

PATRICIA CORNWELL

# CMENTARZ BEZIMIENNYCH




Prószyński i S-ka

**PATRICIA CORNWELL**

**CMENTARZ  
BEZIMIENNYCH**

(FROM POTTER'S FIELD)

PRZEŁOŻYŁ: MIROSLAW P. JABŁOŃSKI

 Prószyński i S-ka

1998

# Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

## DWIE NOCE PRZED BOŻYM NARODZENIEM

—1—

—2—

—3—

—4—

—5—

—6—

—7—

—8—

—9—

—10—

—11—

—12—

—13—

—14—

—15—

—16—

—17—

—18—

—19—

Przypisy

*Książkę niniejszą poświęcam*

*dr Erikowi Blantonowi*

(Scarpetta nazwałaby Cię przyjacielem)

*I rzekł: Cóżżeś to uczynił?  
Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi.*

Genesis, 4.20

## DWIE NOCE PRZED BOŻYM NARODZENIEM

*Szedł pewnym krokiem przez głęboki śnieg, który przykrył cały Central Park; było późno, ale nie znał dokładnej godziny. Kiedy spojrział w stronę Ramble, dostrzegł błyszczące w świetle gwiazd czarne skałki. Widział parę unoszącą się z ust i słyszał swój oddech. Temple Gault zawsze różnił się od innych, był niczym bóg w ludzkim ciele. Nie ślizgał się, kiedy szedł, choć był przekonany, że innych to spotyka. Nie znał też strachu. Spod daszka swej czapki baseballowej badawczo lustrował otoczenie.*

*Gdy dotarł na miejsce, przykucnął, odrzucając na boki poły długiego, czarnego płaszcza. Położył na śniegu stary wojskowy plecak i podniósł na wysokość twarzy gołę, zmarznięte, zakrwawione dłonie. Gault nie lubił rękawiczek, chyba że z lateksu, lecz ten przecież nie chronił przed zimnem. Przetarł ręce i twarz świeżym śniegiem, a potem zrobił poplamioną krwawą śnieżkę. Położył ją obok plecaka, ponieważ nie mógł zostawić żadnych śladów.*

*Uśmiechnął się lekko, gdy przypomniał sobie, jak zacierał ślady i szukał drogi ucieczki. Czuł się jak szczenię, kopiące z radością w piasku plaży. Tak, znalazł to, czego szukał. Odgarnął jeszcze więcej śniegu, aż dojrzał popalowaną folię aluminiową, którą umieścił pomiędzy klapą a framugą. Ujął uchwyt i uniósł pokrywę. W dole znajdowały się ciemne wnętrza*

*metra, skąd dobiegał zgrzyt pociągów. Wrzucił do środka plecak i śnieżną kulę. Gdy schodził, obcasy zadźwięczały na metalowej drabinie.*



W Wigilię Bożego Narodzenia było koszmarnie zimno i niebezpiecznie na drogach. Wieziono mnie po zmroku przez mieszkalne osiedla Richmond, co stanowiło rzadkość. Zwykle to ja prowadzę. Siedzę za kierownicą niebieskiej furgonetki kostnicy, którą udaję się do miejsc przemocy i nie wyjaśnionych zgonów, ale tym razem zajmowałam miejsce pasażera półciężarówki Crown Victoria, a świąteczną muzykę płynącą z radia co i rusz przerywały głosy dyspozytorów oraz gliniarzy.

– Szeryf Santa skręcił właśnie w prawo, tam dalej. – Wskazałam przed siebie. – Chyba zabłądził.

– Taaa, no cóż, sądzę, że jest nagrzany – oznajmił kapitan Pete Marino, dowódca posterunku, pod którego jurysdykcją znajdował się ten teren. – Kiedy się zatrzymamy, zajrzyj mu w oczy.

Nie byłam tym zdumiona. Szeryf Lamont Brown jeździł cadillakiem, nosił ciężką złotą biżuterię i był uwielbiany przez społeczeństwo. Ci z nas, którzy znali prawdę, nie śmieli pisnąć ani słowa. Oprócz tego świętokradztwem jest mówić, że Santa<sup>[1]</sup> nie istnieje, a w tym wypadku naprawdę nie istniał. Szeryf Brown brał kokainę i prawdopodobnie każdego roku kradł połowę tego, co dostawał dla biednych. Był szumowiną, a ostatnio upewnił się, czy zostałam powołana do ławy przysięgłych, ponieważ nasza niechęć była obopólna.

Wycieraczki samochodowe szorowały po przedniej szybie. Płatki śniegu przesuwwały się i wirowały przed samochodem jak roztańczone dziewice w białych strojach. Roily się w świetle lamp sodowych, po czym stawały się równie czarne, jak lód pokrywający ulice. Było bardzo zimno. Większość mieszkańców siedziała z rodzinami w domach. Przez okna można było

dostrzec rozświetlone choinki i ogień na kominkach. Karen Carpenter śniła o białym Bożym Narodzeniu, aż Marino nieuprzejmie zmienił stację radiową.

– Jakoś nie mogę darzyć szacunkiem kobiety, która wali w bębny. – Wcisnął w desce rozdzielczej zapalniczkę do papierosów.

– Karen Carpenter nie żyje – przypomniałam mu, jakby to miało ochronić ją przed dalszym lekceważeniem z jego strony. – A teraz wcale nie grała na perkusji.

– Och, taaa... – wyjął papierosa. – Racja. Jej problem miał coś wspólnego z jedzeniem. Zapomniałem nazwy.

Mormon Tabernacle Choir wzbił się w chóralnym Alleluja. Rano wybierałam się do Miami na spotkanie z matką, siostrą oraz z Lucy, moją siostrzenicą. Matka przebywała od kilku tygodni w szpitalu. Kiedyś paliła tyle samo co Marino. Uchyliłam nieco okno po swojej stronie.

– Potem wysiadło jej serce – ciągnął. – W istocie to ją w końcu załatwiło.

– To w końcu wszystkich załatwia – podsumowałam.

– Nie w tej okolicy. W tej przeklętej dzielnicy ludzi na ogół wykańcza „zatrucie ołowiem”.

Znajdowaliśmy się pomiędzy dwoma radiowozami policji, błyskały niebiesko-czerwone koguty; do spółki z glinami, dziennikarzami i ekipami telewizyjnymi tworzyliśmy długą procesję. Podczas każdego przystanku reporterzy manifestowali ogarniającego ich bożonarodzeniowego ducha, wysuwając przed siebie notatniki, mikrofony i kamery. Walczyli szaleńczo, żeby utrwalić sentymentalny wizerunek promieniejącego szeryfa Santa, kiedy wręczał prezenty i jedzenie zapomnianym przez Boga i ludzi dzieciom osiedla oraz ich znerwicowanym matkom. Razem z Marino opiekowaliśmy się pledami, ponieważ tego roku stanowiły one mój dar.

Za rogiem, przy Magnolia Street w Whitcomb Court, otworzyły się drzwiczki samochodu. Mignął mi kolor czerwony, gdy Santa przeszedł przed reflektorami samochodu, za nim podążali szef policji z Richmond i kilku innych ważniaków. Zapłonęły światełka kamer telewizyjnych, rozbłysły flesze i zaczęły trzaskać migawki.

– Te rzeczy to tandeta – poskarżył się Marino z za stosu kocy. – Gdzie je mamy zanieść, do sklepu zoologicznego?

– Są ciepłe, nadają się do prania, a gdy się palą, nie wydzielają trujących gazów, jak choćby cyjanowodoru – stwierdziłam.

– Jezu. I to cię wprawia w świąteczny nastrój.

Wyglądając przez okno zastanawiałam się, gdzie jesteśmy.

– Nie włożyłbym takiego do psiej budy – ciągnął swoje wywody Marino.

– Nie masz budy ani tym bardziej psa, a ja nie dałabym ci ani jednego. Dlaczego idziemy do tamtego mieszkania? Nie ma go na naszej liście.

– To cholernie dobre pytanie.

Dziennikarze, ludzie z sił porządkowych i służb socjalnych stali przed domem, który wyglądał jak reszta budynków, też przypominał cementowy barak. Przepchnęliśmy się przez tłum, podczas gdy światełka kamer przecinały mrok; zapłonęły reflektory i szeryf Santa ryknął:

– Ho, ho, ho!

Wepchnęliśmy się do środka, akurat gdy Santa usadził sobie na kolanie małego czarnego chłopca i dał mu kilka zapakowanych zabawek. Dziecko, którego imię – jak przypadkowo usłyszałam – brzmiało Trevi, miało na głowie niebieską czapkę z liściem marihuany na daszku. Chłopiec, zaskoczony, obserwował mężczyznę w czerwonym stroju; siedzieli w pobliżu obwieszzonego lampkami srebrzącego się drzewka. W małym

pokoju było gorąco, brakowało powietrza i śmierdziało zjełczalym tłuszczem.

– Przejście, madam. – Kamerzysta telewizji odepchnął mnie łokciem.

– Połóż je po prostu tutaj.

– Kto ma resztę zabawek?

– Proszę pani, musi się pani cofnąć. – Mężczyzna omal mnie nie przewrócił.

Poczułam, jak rośnie mi ciśnienie.

– Potrzebujemy kolejnego pudła...

– Nie. Jest tam dalej.

– ...z jedzeniem? Och, racja. Masz.

– Jeśli pani jest z opieki społecznej – odezwał się do mnie kamerzysta – to czemu pani tam nie stanie?

– Gdybyś miał choć pół mózgu – Marino spojrział na niego – to powinieneś wiedzieć, że nie jest z opieki społecznej.

Stara kobieta, siedząca na łóżku w workowatej sukience zaczęła płakać, i major w białej koszuli usiadł obok niej, starając się ją pocieszyć. Marino przysunął się do mnie na tyle blisko, by móc szepnąć:

– Jej córka została zabita w zeszłym miesiącu, nazywała się King. Pamiętasz tę sprawę?

Potrząsnęłam głową. Nie przypominałam sobie. Było tyle spraw.

– Alfons, który – jak sądzimy – ją załatwił, to handlarz, kawał drania, niejaki Jones – ciągnął, by pobudzić moją pamięć.

Ponownie potrząsnęłam głową. Istniało bardzo wielu sprawiających kłopoty handlarzy narkotyków, a Jones to dość pospolite nazwisko. Kamerzysta filmował, a ja odwracałam głowę, kiedy szeryf Santa obrzucał mnie pogardliwym, szklistym spojrzeniem. Kamerzysta ponownie na mnie wpadł.

– Zrób to jeszcze raz! – ostrzegłam go i zorientował się, co mu grozi.

Prasa skierowała swoją uwagę na starszą kobietę, ponieważ historia była świeża – ktoś padł ofiarą morderstwa, matka ofiary płakała, a Trevi został sierotą. Szeryf Santa, gdy znalazł się poza światłem reflektorów, zestawiał chłopca na ziemię.

– Kapitanie Marino – powiedziała pracowniczka opieki społecznej – wezmę jeden z tych kocy.

– Nie mam pojęcia, dlaczego znaleźliśmy się w tej budzie – odparł wręczając jej cały stos. – Chciałbym, żeby mi to ktoś wyjaśnił.

– Tutaj jest tylko jedno dziecko – ciągnęła ta z opieki społecznej – więc nie potrzebujemy wszystkich.

Biorąc jeden złożony pled i wręczając mu z powrotem resztę, zachowywała się tak, jakby to Marino nie trzymał się instrukcji.

– Spodziewaliśmy się czworga dzieci. Mówię ci, że tej budy nie było na liście – gderał Marino.

Podszedł do mnie dziennikarz.

– Przepraszam, doktor Scarpetta? Co panią tutaj sprowadza w środku nocy? Spodziewa się pani czyjejś śmierci?

Był z miejscowej gazety, która nigdy nie traktowała mnie uprzejmie. Udałam, że go nie słyszę. Szeryf Santa zniknął w kuchni i pomyślałam, że zachowuje się nieco dziwnie, gdyż nie mieszkał tutaj i nie poprosił o pozwolenie, ale staruszka nie była w nastroju, by patrzeć czy dbać o to, dokąd on idzie. Uklękałam obok Treviego, który sam, na podłodze, zafascynowany bawił się nowymi zabawkami.

– Masz tutaj fajny wóz strażacki – powiedziałam.

– Świecą mu się światła. – Pokazał mi czerwoną lampkę na dachu szoferki, zabłysła, kiedy przekręcił przełącznik.

Marino przykucnął obok nas

– Dołożyli ci zapasowe baterie?

Starał się, by jego głos brzmiał burkliwie, ale nie potrafił zamaskować kryjącej się w nim serdeczności.

– Muszą być odpowiedniej wielkości. Widzisz ten mały przedział? Tutaj wkłada się baterie. Powinieneś stosować wielkość C...

Z kuchni dobiegł do nas odgłos eksplozji, zabrzmiał jak wystrzał rury wydechowej. Marino wyszarpnął pistolet z kabury, a Trevi zwinął się na podłodze niczym stonoga. Nakryłam chłopca własnym ciałem, strzały padały jeden po drugim, ktoś w pobliżu tylnego wyjścia opróżnił magazynek półautomatycznej broni.

– Na ziemię! Na ziemię!

– O, mój Boże!

– Jezu...

Kamery i mikrofony upadały z trzaskiem, gdy ludzie z krzykiem przepychali się do wyjścia lub padali na podłogę.

– Wszyscy na ziemię!

Marino, z wyciągniętym pistoletem kalibru dziewięć milimetrów, ruszył na palcach w stronę kuchni. Strzelanina ustała i w pomieszczeniu zapadła przytłaczająca cisza. Obejmowałam Treviego, serce mi waliło jak młotem. Zaczęłam się trząść. Staruszka wciąż siedziała na tapczanie, zgięta wpół, ramionami osłaniała głowę, jakby leciała mającym się zaraz rozbić samolotem. Usiadłam obok niej, przytulając chłopca. Był zeszywniały, jego babcia szlochała przerażona.

– O Jezu, Jezu, proszę nie – zawodziła, kołysząc się.

– Już w porządku – powiedziałam pewnym siebie głosem.

– Nie chcę tego nigdy więcej. Nie zniosę tego. Słodki Jezu!

Wzięłam ją za rękę.

– Proszę mnie posłuchać. Już po wszystkim. Przestali strzelać.

Kołysała się i płakała, Trevi obejmował ją za szyję. W drzwiach łączących kuchnię z bawialnią pojawił się Marino; twarz miał ściągniętą, oczy rzucały błyskawice.

– Doktorze. – Skinał na mnie.

Wyszłam za nim do nędznego ogródka na tyłach, między rozciągnięte sznury do wieszania bielizny, gdzie śnieg wirował wokół ciemnej postaci, leżącej na oszronionej trawie. Ofiarą był młody Murzyn; jego oczy, spoglądające niewidzącym wzrokiem w mleczone niebo, były na wpół otwarte. Niebieska kamizelka miała na dole niewielkie rozdarcia. Jeden pocisk przeszedł dokładnie przez policzek, a kiedy nacisnęłam na klatkę piersiową ofiary i wtoczyłam powietrze do ust, krew pokryła moje dłonie, zmroziło mnie. Nie mogłam go ocalić. Syreny zawodziły jak upiory protestujące przeciwko kolejnej śmierci.

Usiadłam, oddychając ciężko. Kiedy Marino pomógł mi wstać, kątem oka zauważyłam poruszające się sylwetki. Odwróciłam się i ujrzałam trzech oficerów policji prowadzących skutego szeryfa Santę. Spiczasta czapka spadła mu z głowy i leżała na ziemi w ogródku, obok łusek oświetlonych promieniem latarki Marino.

– Co się tu stało, na litość boską? – spytałam zszokowana.

– Wygląda na to, że Stary Święty Mikołaj załatwił Starego Świętego Handlarza Cracku<sup>[2]</sup> podczas małej strzelaniny w ogródku – powiedział Marino, bardzo poruszony. – To dlatego kawalkada zmieniła kierunek i zajechała tutaj. Jedyne plan, jaki obowiązywał, to plan szeryfa.

Byłam odrętwiała. Poczulałam w ustach smak krwi i pomyślałam o AIDS. Zjawił się szef policji, zaczął zadawać pytania.

– Szeryf chyba uważał, że tamten dostarcza w tej okolicy coś więcej niż świąteczne podarunki – wyjaśnił Marino.

– Prochy?

- Tak przypuszczamy.
- Zastanawiałem się, dlaczego tutaj stanęliśmy – powiedział szef. – Tego adresu nie było na liście.
- No cóż, właśnie dlatego. – Marino patrzył na ciało niewidzącym wzrokiem.
- Wiemy, kto to jest?
- Anthony Jones ze słynnych Braci Jones. Siedemnaście lat, częściej bywał w poprawczaku niż obecna tutaj pani doktor w operze. Jego starszy brat zginął w zeszłym roku przez Tec 9. To było w Fairfield Court, na Phaup Street. W zeszłym miesiącu sądziliśmy, że Anthony zamordował matkę Treviego, ale sam pan wie, co się w tej okolicy dzieje. Nikt nic nie widział. Nie ma sprawy. Może teraz coś wyjaśnimy.
- Trevi? Masz na myśli tego małego chłopca? – Wyraz twarzy szefa nie uległ zmianie.
- Tak, Anthony jest prawdopodobnie jego ojcem. Czy raczej był.
- Co z bronią?
- W której sprawie?
- W tej.
- Pistolet smith & wesson, kalibru trzydzieści osiem. Wystrzelone wszystkie pięć naboii. Jones nie opróżnił magazynka, a w trawie znaleźliśmy szybkoładowarkę.
- Strzelił pięć razy i chybił – powiedział szef, który wyglądał olśniewająco w wyjściowym mundurze; śnieg osiadał mu na czapce.
- Trudno powiedzieć. Szeryf Brown miał kamizelkę.
- Miał kuloodporną kamizelkę pod szatą Świętego Mikołaja. – szef powtarzał, jakby robił notatki.
- Taa... – Marino pochylił się w stronę słupka podtrzymującego sznur do bielizny, promień jego latarki liznął zardzewiały metal; kciukiem w



rękawiczce potarł wgniecenie uczynione przez pocisk.

– No, no – powiedział – mamy dziś w nocy jednego zastrzelonego Murzyna i jednego Polaka<sup>[3]</sup>.

Szef milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Moja żona jest Polką, kapitanie.

Chciałam się zapaść pod ziemię, a Marino spojrział zmieszany.

– Nie nosi pan polskiego nazwiska – zauważył.

– Przyjęła moje, a ja nie jestem Polakiem – rzekł szef, który był czarny.

– Sugeruję kapitanie, żeby pan sobie darował te swoje etniczne i rasowe żarty – ostrzegł, a mięśnie szczęk mu zadrgały.

Nadjechał ambulans. Zaczęłam się trząść.

– Proszę posłuchać, nie miałem na myśli... – zaczął Marino.

– Sądzę, że jest pan idealnym kandydatem do odbycia kursu na temat różnorodności kultur – przerwał mu szef.

– Już tam byłem.

– Był pan, *sir*, i pójdzie pan znowu, kapitanie.

– Byłem trzy razy. Nie ma potrzeby posyłać mnie po raz kolejny – rzekł Marino, który poszedłby raczej na szkolenie do proktologów niż po nauki z zakresu politycznej poprawności.

Trzasnęły drzwiczki i szcęknęły metalowe nosze na kółkach.

– Marino, nie mam tutaj nic więcej do roboty – chciałam, żeby się zamknął, zanim wpadnie w większe kłopoty. – Muszę się dostać do biura.

– Co? Zamierzasz dzisiaj przeprowadzić sekcję? – Marino wyglądał tak, jakby uszło z niego powietrze.

– Sądzę, że w świetle powyższych okoliczności to dobry pomysł – oświadczyłam z powagą. – Jutro rano wyjeżdżam z miasta.

– Święta w rodzinnym gronie, co? – powiedział szef Tucker, który był zbyt młody, by zająć tak wysoko.

– Tak.

– To miłe. Proszę ze mną, doktor Scarpetta, podwiozę panią do kostnicy.

Marino spojrzał na mnie, zapalając papierosa.

– Wstąpię tam, jak tylko tutaj posprzątam – oznajmił.

Paul Tucker objął stanowisko szefa richmondskiej policji kilka miesięcy temu, ale do tej pory spotykaliśmy się sporadycznie i wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej. Dzisiejszej nocy pierwszy raz znaleźliśmy się razem na miejscu zbrodni. Swoje wiadomości o Tuckerze zmieściłabym na fiszce papieru.

Był gwiazdą koszykówki na uniwersytecie w Maryland i przyznano mu stypendium fundacji Cecila Rhodesa w Oksfordzie. Miał nadzwyczajną kondycję, był wyjątkowo bystry i ukończył akademię FBI. Zdawało mi się, że go lubię, ale nie byłam tego całkiem pewna.

– Marino nie miał nic złego na myśli – powiedziałam, kiedy przejeżdżaliśmy na żółtym świetle przez East Broad Street.

Czułam spojrzenie ciemnych oczu Tuckera i kryjącą się w nich ciekawość.

– Świat jest pełen ludzi, którzy nie chcą nikogo zranić, ale ciągle to robią. – Miał głęboki, dźwięczny głos.

– Nie będę się z tym sprzeczać, pułkowniku Tucker.

– Proszę mi mówić Paul.

Nie powiedziałam mu, że może się zwracać do mnie Kay, nauczyłam się tego po wielu latach bycia kobietą w świecie takim jak ten.

– To nie jest dobry pomysł, by posyłać go na kolejny kurs z różnorodności kulturowych – ciągnęłam.

– Marino musi się nauczyć dyscypliny i szacunku. – Ponownie patrzył przed siebie.

– Zna je na swój sposób.

– Musi je poznać we właściwy sposób.

– Nie zmieni go pan, pułkowniku – powiedziałam z przekonaniem. – Jest trudny, źle wychowany i działa ludziom na nerwy, ale to najlepszy detektyw z wydziału zabójstw, z jakim kiedykolwiek pracowałam.

Tucker milczał, aż dojechaliśmy do granic Akademii Medycznej Stanu Wirginia i skręciliśmy w prawo, w Czternastą Ulicę.

– Proszę mi powiedzieć, doktor Scarpetta – odezwał się. – Uważa pani, że jej przyjaciel Marino jest dobrym komendantem komisariatu?

Pytanie zaskoczyło mnie. Byłam zdziwiona, kiedy Marino awansowano na porucznika, a zdębiałam, gdy został kapitanem. Zawsze nienawidził wyższych szarż, a teraz stał się jednym z tych, których nie znosił – i nadal ich nienawidził, tak jakby sam nie należał do tego grona.

– Uważam, że Marino jest doskonałym oficerem policji. Jest nienagannie uczciwy i ma dobre serce – przedstawiłam krótko swoją opinię.

– Zamierza pani odpowiedzieć na moje pytanie czy nie? – W tonie Tuckera kryło się rozbawienie.

– Nie jest politykiem.

– Oczywiście.

Zegar na wieży na Main Street Station wybił godzinę. Górował nad starą, przykrytą kopułą stacją kolejową z jej terakotowym dachem i siecią torów. Zaparkowaliśmy za budynkiem Consolidated Laboratory na miejscu przeznaczonym dla naczelnego koronera – wąskim pasku czarnego asfaltu, na którym mój samochód spędzał większość swego życia.

– Zbyt wiele czasu poświęca FBI – stwierdził Tucker.

– Oddaje im nieocenione usługi – odparłam.

– Tak, wiem, i pani także to wie. Ale w jego wypadku związane są z tym poważne trudności. Oczekuje się po nim, że będzie zarządzał pierwszym komisariatem, a nie zajmował się wszystkimi zbrodniami popełnionymi na

terenie miasta, podczas gdy ja staram się kierować całym departamentem policji w Richmond.

– Skoro zbrodnia rodzi się wszędzie, staje się problemem każdego – wyraziłam swoje stanowisko. – Nie ma znaczenia, gdzie znajduje się wówczas czyjś posterunek czy departament.

Tucker patrzył w zamyśleniu na zamknięte stalowe drzwi wewnętrznego podjazdu.

– Jestem pewien – odezwał się – że późną nocą nie robiłbym tego, co pani, gdy oprócz ciała w chłodni nie ma nikogo.

– Ich się nie boję – oświadczyłam trzeźwo.

– To irracjonalne, ale ja bym się bardzo bał.

Reflektory oświetlały obskurne stiuki i stal pomalowaną na ten sam mdły beż. Czerwona tablica przy drzwiach informowała wchodzących, że wewnątrz znajdują się rzeczy stanowiące biologiczne zagrożenie, i podawała instrukcję postępowania z nieboszczykami.

– Muszę panią o coś zapytać – odezwał się pułkownik Tucker.

Kiedy pochylił się w moją stronę, wełniana tkanina jego munduru zaszeleściła na tapicerce. Poczułam wodę kolońską Hermes. Był przystojny, miał wystające kości policzkowe i mocne białe zęby; pod skórą prężyły się mięśnie przywodzące na myśl jaguara lub tygrysa.

– Dlaczego pani to robi? – spytał.

– Dlaczego robię co, pułkowniku?

Oparł się o swoje siedzenie.

– Proszę się zastanowić – powiedział, podczas gdy na skanerze tańczyły światła. – Jest pani prawnikiem, lekarzem. Jest pani szefem i ja jestem szefem. Dlatego pytam. To nie wynika z braku szacunku.

Nie uraził mnie.

– Nie wiem, dlaczego – wyznałam.

Przez chwilę siedział w milczeniu; potem ponownie się odezwał.

– Mój ojciec był dozorcą, a matka sprzątała u bogatych ludzi w Baltimore.

Przerwał na moment.

– Kiedy teraz jadę do Baltimore, zatrzymuję się w eleganckich hotelach i jadam w restauracjach w porcie. Oddają mi honory. W poczcie, jaką otrzymuję, zwracają się do mnie „Szanowny Panie”. Mam dom w Windsor Farms. Dowodzę ponad sześciuset ludźmi, którzy noszą broń w tym panimieście bezprawia. Wiem, dlaczego to robię, doktor Scarpetta. Robię to, ponieważ jako dziecko nie miałem żadnej władzy. Żyłem wśród ludzi, którzy także jej nie mieli, i nauczyłem się, że zło, o którym mówiły niedzielne kazania, miało swe korzenie w nadużywaniu tej jednej rzeczy, której ja nie zakosztowałem.

Płatki śniegu wciąż padały w ten sam sposób. Obserwowałam, jak wolno pokrywają maskę samochodu.

– Pułkownik Tucker – odezwałam się – jest Wigilia, a szeryf Santa zastrzelił kogoś w Whitecomb Court. Media muszą dostawać szau. Co pan radzi?

– Przez całą noc będę w kwaterze głównej. Wydam polecenie, żeby budynek obserwowano. Chciałaby pani eskortę do domu?

– Sądzę, że Marino przyjedzie po mnie, ale z pewnością zatelefonuję, jeśli dojdę do wniosku, że potrzebna będzie dodatkowa obstawa. Powinien być pan świadom, że moje i tak już kłopotliwe położenie stało się jeszcze bardziej kłopotliwe przez fakt, że Brown mnie nienawidzi; a teraz ja będę świadkiem w tej sprawie.

– Gdybyśmy wszyscy mogli mieć to szczęście.

– Nie jestem zachwycona.

– Ma pani rację – westchnął. – Nie powinna się pani czuć szczęśliwa, ponieważ szczęście nie ma z tym nic wspólnego.

– Nadjeżdża moja sprawa – oznajmiłam, kiedy na parking wtoczył się ambulans ze zgaszonym kogutem i wyłączoną syreną, bo przecież nie ma się po co śpieszyć, kiedy przewozi się zwłoki.

– Wesołych świąt, doktor Scarpetta – powiedział Tucker, gdy wysiadałam z samochodu.

Weszłam bocznym wejściem i wcisnęłam przełącznik. Drzwi we wnęce otworzyły się wolno ze skrzypieniem i ambulans wtoczył się do środka. Sanitariusze rzucili się do otwierania tylnych drzwiczek. Podnieśli nosze i kiedy otworzyłam drzwi prowadzące do wnętrza kostnicy, powieźli ciało wzdłuż rampy.

Fluorescencyjne oświetlenie, jasny blok spalarni i jasne podłogi nadawały korytarzowi wrażenie aseptyczności, które było złudne. W tym miejscu nic nie było sterylne. Z punktu widzenia normalnych standardów medycznych nic nawet nie było czyste.

– Chce pani, żebyśmy wsadzili go do lodówki? – spytał jeden z ekipy karetki.

– Nie. Możecie go zawieźć na rentgen. – Otwierałam drzwi po kolei, a nosze, klekocząc, toczyły się za mną, znacząc kafelki kroplami krwi.

– Będzie pani sama dziś w nocy? – spytał sanitariusz wyglądający na Latynosa.

– Obawiam się, że tak.

Rozpięłam plastikowy fartuch i włożyłam go przez głowę, mając nadzieję, że Marino wkrótce się pokaże. W szatni zdjęłam z półki zielony fartuch chirurgiczny. Na buty naciągnęłam ochraniacze, a na dłonie dwie pary rękawiczek.

– Położyć go na stole? – spytał sanitariusz.

- Byłoby wspaniale.
- Hej, chłopcy, połóżmy go na stole dla pani doktor.
- Jasna sprawa.
- Kurwa, ten worek cieknie. Będzie nam potrzebny nowy.
- Z której strony chce pani mieć jego głowę?
- Głowa tutaj.
- Na plecach?
- Tak – powiedziałam. – Dziękuję.
- Dobra. Raz-dwa-trzy, hop.

Przenieśliśmy Anthony’ego Jonesa z noszy na stół i jeden z sanitariuszy zaczął rozpinać zamek plastikowego worka.

– Nie – zaprotestowałam. – Zostawcie go w środku. Prześwietlę go przez worek.

- Ile to potrwa?
- Chwilę.
- Będzie pani potrzebowała pomocy, żeby go znowu przenieść.
- Przyjmę każdą pomoc, jaką będę mogła otrzymać.
- Możemy poczekać kilka minut. Naprawdę zamierza pani zrobić to wszystko sama?
- Spodziewam się jeszcze kogoś.

Nieco później przenieśliśmy zwłoki do pomieszczenia sekcyjnego i rozebraliśmy je na blacie pierwszego stalowego stołu. Sanitariusze odeszli, pozostawiając kostnicę z jej zwykłymi dźwiękami kapiącej wody z kranów oraz szczękiem stali narzędzi chirurgicznych. Przyczepiłam zdjęcia rentgenowskie do podświetlaczy, dzięki którym organy oraz kości Jonesa zobaczyłam w całej krasie. Pociski oraz ich odłamki zmasakrowały wątrobę, płuca, serce i mózg. W pośladku denata tkwiła stara kula, złamanie prawej kości barkowej było wyleczone. Pan Jones, jak wielu



moich pacjentów, umarł tak, jak żył. Robiłam właśnie nacięcie, kiedy od strony wewnętrznego podjazdu zabręczał dzwonek. Nie przerywałam sekcji. Ktokolwiek to był, powinni się nim zająć strażnicy. Chwilę później usłyszałam w korytarzu głośne kroki i wszedł Marino.

– Byłbym wcześniej, ale wszyscy sąsiedzi postanowili wyjść i pogapić się na tę zabawę.

– Jacy sąsiedzi? – Spojrzałam zdziwiona, skalpel zawisł w powietrzu.

– Ci trutnie z Whitecomb Court. Obawialiśmy się, że dojdzie do poważnych zamieszek. Rozeszła się wieść, iż został zastrzelony przez glinę, potem, że to Santa go wykończył, a najgorsi byli ci ludzie, którzy chyba wypełzli spomiędzy płyt chodnikowych.

Marino, ciągle w wyjściowym mundurze, zdjął płaszcz i przerzucił go przez krzesło.

– Zbiegli się tam ze swoimi dwulitrowymi butelkami pepsi, uśmiechali się do telewizyjnych kamer. Zupełnie nieprawdopodobne.

Z kieszeni koszuli wyjął paczkę marlboro.

– Myślałam, że lepiej sobie radzisz z paleniem.

– Owszem. Cały czas radzę sobie lepiej.

– Marino, z tego nie można żartować.

Pomyślałam o swojej matce i tracheotomii, którą jej robiono. Rozedma płuc nie wyleczyła jej z nałogu, aż znalazła się w areszcie respiratora.

– Dobra. – Podeszedł do stołu. – Wyjawię ci pewną prawdę. Zszedłem do pół paczki dziennie, pani doktor.

Przeciąłam żebra i usunęłam mostek.

– Molly nie pozwala mi palić ani w swoim samochodzie, ani w domu.

– Chwała jej za to. – Marino zaczął się z nią spotykać od Dnia Dziękczynienia. – Jak wam się układa?

– Naprawdę dobrze.

– Spędzicie razem święta?

– O, taaa. Będziemy u jej rodziny w Urbana. Przygotują wielkiego indyka.

Strzepnął popiół na podłogę i zamilkł.

– To zajmie trochę czasu – oznajmiłam. – Nastąpiła fragmentacja pocisków, możesz to zobaczyć na tych zdjęciach.

Marino powiódł wzrokiem po światłocieniach, widocznych na otaczających pomieszczenie podświetlaczach.

– Czego używał? Hydra-Shok? – spytałam.

– W dzisiejszych czasach wszyscy gliniarze używają Hydra-Shok. Sądzę, że wiesz dlaczego.

– Jego nerki mają mocno ziarnistą powierzchnię. Był zbyt młody na coś takiego.

– Co to oznacza? – Marino spojrzał z ciekawością.

– Przypuszczalnie miał nadciśnienie.

Milczał, zastanawiając się prawdopodobnie, czy i jego nerki wyglądają tak samo, a ja podejrzewałam, że tak.

– Bardzo byś mi pomógł, gdybyś zaczął notować – odezwałam się.

– Nie ma sprawy, jeśli będziesz literować.

Poszedł za kontuar i wziął notes i długopis. Zdjął rękawiczki. Zaczęłam dyktować wagę i rozmiary ciała, kiedy odezwał się jego pager. Odpiął go od paska i podniósł w górę, by odczytać wiadomość. Spochmurniał.

Podszedł do telefonu znajdującego się w drugim końcu pomieszczeń sekcyjnych i wystukał numer. Rozmawiał odwrócony do mnie plecami i słyszałam tylko oderwane słowa. Przedzierały się przez hałas, ale wiedziałam, że cokolwiek mu powiedziano, były to złe wieści.

Kiedy się rozłączył, usuwałam odłamki ołowiu z mózgu i gryzmoliłam pospiesznie ołówkiem na pustym, zakrwawionym opakowaniu po

rękawiczkach. Przerwałam i spojrzałam na niego.

– Co się stało? – spytałam przypuszczając, że telefon związany był ze sprawą, gdyż z całą pewnością to, co stało się tej nocy, było już wystarczająco złe.

Marino był spocony, twarz miał ciemnoczerwoną.

– Benton nadał 911 na mój pager.

– Nadał: co?

– To kod, którego postanowiliśmy użyć, jeżeli Gault ponownie uderzy.

– O, Boże – wyszeptałam.

– Powiedziałem Bentonowi, żeby nie kłopotał się telefonowaniem do ciebie, ponieważ jestem tutaj i powiem ci to osobiście.

Oparłam się dłońmi o brzeg stołu.

– Gdzie? – spytałam zdenerwowana.

– Znaleźli ciało w Central Parku. Kobieta, biała, około trzydziestki. Wygląda na to, że Gault zdecydował się święcić Boże Narodzenie w Nowym Jorku.

Bałam się dzisiaj. Miałam nadzieję i modliłam się, żeby milczenie Gaulta mogło trwać wiecznie; że może jest chory lub umarł w jakiejś odległej miejscinie, w której nikt nie zna jego nazwiska.

– Biuro przysłała po nas śmigłowiec – ciągnął Marino. – Musimy się zbierać, jak tylko uporasz się z tą sprawą. Pieprzony skurwiel!

Zaczął chodzić wściekły.

– Musiał to zrobić w Wigilię!

Zapatrzył się na mnie.

– To planowe działanie. Jego ruchy są przemyślane.

– Zadzwoń do Molly – powiedziałam, starając się zachować spokój i pracować szybciej.

– Nie wiesz czasem, po co ja to włożyłem? – Chodziło mu o mundur wyjściowy.

– Masz ubranie na zmianę?

– Będę musiał zatrzymać się na moment w domu. Muszę zostawić broń.  
Co zamierzasz zrobić?

– Zawsze trzymam tutaj jakieś rzeczy. Kiedy wyjdiesz, mógłbyś zadzwonić do mojej siostry w Miami? Lucy powinna być tam od wczoraj. Powiedz jej, co się stało, i że nie przylecę; a przynajmniej nie teraz.

Dałam mu numer i wyszedł.



Śnieg przestał padać przed północą i wtedy też wrócił Marino. Anthony Jones leżał zamknięty w chłodni, a każda jego rana, stara i nowa, została udokumentowana na wypadek mojego ewentualnego wystąpienia w sądzie.

Pojechaliśmy na lotnisko Aero Services International, gdzie stojąc za taflą szkła, obserwowaliśmy Bentona Wesleya, lądującego pośród powietrznych turbulencji w belljet rangerze. Helikopter usiadł zgrabnie na małej drewnianej platformie, a wtedy z głębokiego cienia wynurzyła się ciężarówka z paliwem. Pełną twarz księżycy co chwilę przykrywały welony chmur. Patrzyłam na Wesleya, wysiadł ze śmigłowca i schylony umykał spod obracających się płatów wirnika. Z jego postaci biła złość i zniecierpliwienie. Był wysoki i trzymał się prosto, pewność siebie wywoływała w ludziach obawę.

– Tankowanie potrwa około dziesięciu minut – oświadczył podchodząc do nas. – Można się gdzieś napić kawy?

– Niezły pomysł – przyznałam. – Marino, też ci przynieść?

– Nie.

Zostawiliśmy go i poszliśmy do małego pomieszczenia, wciśniętego pomiędzy dwie sale restauracyjne.

– Przykro mi z powodu tego, co się zdarzyło – odezwał się Wesley cicho.

– Nie mamy wyboru.

– On także o tym wie. Czas popełnienia przestępstwa nie jest przypadkowy. – Napełnił dwa styropianowe kubki. – Dosyć mocna.

– Im mocniejsza, tym lepsza. Wyglądasz na zmęczonego.

– Zawsze tak wyglądam.

– Czy twoje dzieci przyjechały na święta do domu?

– Tak. Wszyscy tam są, z wyjątkiem mnie, oczywiście. – Zagapił się na chwilę. – Jego działania się nasilają.

– Jeżeli to ponownie Gault, to zgoda.

– Wiem, że to on – rzekł z niezachwianą pewnością siebie, która podkreśliła jego wściekłość.

Wesley nienawidził Temple'a Brooksa Gaulta, zadziwiał go złośliwy geniusz mordercy. Doprowadzał go do wściekłości.

Kawa nie była zbyt gorąca i szybko ją wypiliśmy. Z twarzy Bentona czytałam jak z otwartej księgi. Nie mówił za wiele, ale ja nauczyłam się wyciągać wnioski z jego milczenia.

– Chodźmy – powiedział, dotykając mego łokcia i poderwaliśmy się na widok Marino idącego z naszymi torbami.

Pilot był członkiem OUZ – Oddziału Uwalniania Zakładników FBI. Czujnie obserwował, co się dzieje w okolicy. Spojrzał na nas, by pokazać, że jest świadom naszego istnienia, ale gdy otwierał drzwiczki helikoptera, to ani nam nie pomachał, ani nie uśmiechnął się, nie powiedział też jednego słowa. Zanurkowaliśmy pod wirującymi płatami. Zawsze już będą

kojarzyły mi się z morderstwem. Zdawało się, że gdy tylko Gault uderzał, w maelstromie furkoczącego powietrza i błyszczącego metalu przybywało FBI i unosiło mnie w górę.

Ścigaliśmy go już od kilku lat, lecz i tak nie można było kompletować listy jego ofiar. Nie wiedzieliśmy, ilu ludzi zabił w bestialski sposób, ale co najmniej pięcioro, wliczając w to kobietę w ciąży, która kiedyś dla mnie pracowała, oraz trzynastoletniego chłopca, Eddie Heatha. Nie mieliśmy pojęcia, jak wielu osobom zatruł życie, ale z pewnością ja byłam jedną z nich.

Wesley, z mikrofonem i słuchawkami na uszach, siedział za mną. Oparcie mojego fotela było bardzo wysokie i całkowicie go przysłaniało. Oświetlenie kabiny wyłączono, zaczęliśmy się wolno wznosić, sunąc bokiem i kierując się na północny wschód. Po niebie mknęły chmury, a zbiorniki wodne poniżej lśniły niczym zwierciadła.

– W jakim ona jest stanie? – W słuchawkach zabrzmiał nagle głos Marino.

– Zamarznięta – odparł Wesley.

– To znaczy, że ciało mogło tam leżeć kilka dni i nie rozkładać się. Prawda, Doc?

– Gdyby tak było – wyjaśniłam – ktoś powinien był ją znaleźć już wcześniej.

– Uważamy, że została zamordowana zeszłej nocy – powiedział Wesley.

– Była na widoku, oparta o...

– Taa, ten bydlak to lubi. To jego sprawka.

– Sadza ich lub zabija, kiedy siedzą – ciągnął Wesley. – Jak dotąd, wszystkich tak samo.

– Przynajmniej tych, o których wiemy – przypomniałam im.

– Ofiary, które znamy.

– Racja. Siedzące prosto w samochodach, na krześle, oparte o kontener na śmieci.

– Dzieciak w Londynie.

– On nie.

– Wyglądał, jakby został wyrzucony w pobliżu torów kolejowych.

– W tym wypadku nie wiemy, kto to zrobił. – Wesley wydawał się tego pewny. – Nie wierzę, że to był Gault.

– Jak sądzicie, dlaczego zostawia zwłoki w pozycji siedzącej? – spytałam.

– W ten sposób daje nam wskazówkę – wyjaśnił Marino.

– Pogarda, naigrywanie się – odparł Benton. – To jego podpis. Przypuszczam, że coś głębszego się za tym kryje.

Ja także to podejrzewałam. Wszystkie ofiary Gaulta znajdowano w pozycji siedzącej, z pochylonymi głowami, z rękami opartymi na udach lub zwisającymi luźno wzdłuż ciała, jakby były lalkami. Jedyne wyjątek stanowiła strażniczka więzienna. Jej zwłoki, ubrane w mundur, spoczywały w fotelu, tyle że brakowało im głowy.

– Z pewnością pozycja... – zaczęłam, ale aktywowane głosem mikrofony nie były nigdy odpowiednio zsynchronizowane i porozumienie się nie było takie proste.

– Ten drań chce nam utrzyć nosa.

– Nie sądzę, żeby tylko to było jego...

– A teraz daje nam znać, że jest w Nowym Jorku...

– Marino, pozwól mi skończyć. Benton? Symbolizm?

– Może układać ciała ofiar w dowolny sposób. Ale jak dotąd wybiera jedną i tę samą pozycję. Sadza je. To część jego kaprysu.

– Jakiego kaprysu?

– Gdybym to wiedział, Pete, może nie doszłoby do tego lotu.

Jakiś czas później pilot odebrał wiadomość:

– FAA ogłasza SIGMET.

– Co to jest, do diabła? – spytał Marino.

– Ostrzeżenie o turbulencjach. W Nowym Jorku wieje wiatr, dwadzieścia pięć węzłów, w porywach do trzydziestu jeden.

– Więc nie możemy lądować? – Marino nie znosił latania, głos miał podszyty paniką.

– Polecimy niżej, a wiatry będą ponad nami.

– Co rozumiesz przez niżej? Widziałeś kiedykolwiek, jak wysokie są budynki w Nowym Jorku?

Sięgnęłam do tyłu pomiędzy swoim fotelem a drzwiami i poklepałam Marino po kolanie. Znajdowaliśmy się czterdzieści mil morskich od Manhattanu i prawie mogłam dostrzec światło mrugające na szczycie Empire State Building. Tarcza księżycy nabrzmiała, na La Guardia panował ruch, a z kominów unosił się dym w postaci olbrzymich, białych pióropuszy. Przez przezroczysty bąbel pod swymi stopami widziałam dwanaście pasów ruchu na New Jersey Turpike, i wszędzie błyszcząły klejnoty światła, jakby Fabergé<sup>[4]</sup> ozdobił miasto oraz jego mosty wytworami swego talentu.

Przelecieliśmy za plecami Statuy Wolności, potem nad Ellis Island; tam w lodowaty zimowy dzień w zatłoczonym urzędzie imigracyjnym nastąpiło przedstawienie moich dziadków Ameryce. Wyjechali z Werony, gdzie dla mojego dziadka, czwartego syna robotnika kolejowego, nie było żadnej przyszłości.

Pochodziłam z rodu krzepkich, ciężko pracujących ludzi, którzy na początku osiemnastego wieku wyemigrowali do Włoch z Austrii i Szwajcarii, co tłumaczyło moje blond włosy oraz niebieskie oczy. Pomimo twierdzeń matki, że chociaż Napoleon oddał Weronę Austrii, nasi



przodkowie potrafili utrzymać w czystości włoską linię krwi, byłam innego zdania. Podejrzewałam, że jakieś geny odpowiadają za moje nieco teutońskie rysy.

Pojawiła się Macy's, tablice reklamowe i złote łuki McDonalda, a Nowy Jork coraz bardziej przypominał betonową dżunglę, z parkingami i chodnikami dźwigającymi wysokie zaspę śniegu, który wyglądał na brudny nawet z powietrza. Krążyliśmy nad VIP Heliport przy Zachodniej Trzydziestej, rozświetlając i marszcząc mroczne wody Hudsonu, a potem wylądowaliśmy obok połyskującego Sikorsky'ego S-76, który powodował, że inne metalowe ptaki wydawały się zupełnie małe.

– Uważajcie na tylny wirnik – ostrzegł nas pilot.

W słabo ogrzewanym budynku zostaliśmy powitani przez kobietę po pięćdziesiątce, o ciemnych włosach, inteligentnej twarzy i zmęczonych oczach. Ubrana w gruby wełniany płaszcz, spodnie i sznurowane kozaki przedstawiła się jako komandor Frances Penn z nowojorskiej Policji Transportowej.

– Dziękuję, że zechcieliście przylecieć – odezwała się, ściskając każdemu z nas dłoń. – Jeśli jesteście gotowi, samochody czekają.

– Jesteśmy gotowi – potwierdził Wesley.

Poszliśmy do dwóch policyjnych radiowozów, w każdym siedziało dwóch funkcjonariuszy, silniki pracowały, a ogrzewanie włączone było na pełną moc. Przez moment sytuacja była niezręczna, gdyż trzymaliśmy otwarte drzwi, nie mogąc się zdecydować, kto z kim pojedzie. Jak to się często zdarza, podzieliliśmy się ze względu na płeć i wsiadłam do samochodu razem z komandor Penn. Zaczęłam wypytywać ją, czyjej kompetencji podlega ta sprawa, ponieważ przy tak głośnym śledztwie mogło pojawić się wielu chętnych do jej prowadzenia.

– Interesuje między innymi nas, ponieważ jesteśmy przekonani, że ofiara spotkała napastnika w metrze – wyjaśniła pani komandor, będąca jednym z trzech szefów w szóstym co do wielkości departamencie policji w Stanach.

– Doszło do tego wczoraj późnym popołudniem.

– Skąd wiadomo?

– Prawdę powiedziawszy, to dość fascynujące. Jeden z naszych funkcjonariuszy patrolował w cywilu przystanek metra przy Osiemdziesiątej Pierwszej i Central Park West, i około piątej trzydzieści po południu zauważył dosyć szczególną parę, opuszczającą Muzeum Historii Naturalnej wyjściem prowadzącym do kolejki.

Wjechaliśmy na oblodzone wyboje, cała zadygotałam.

– Mężczyzna natychmiast zapalił papierosa, a kobieta wyjęła fajkę.

– To interesujące – skomentowałam.

– Palenie w metrze jest zabronione, między innymi dlatego policjant ich zapamiętał.

– Czy dostali mandat?

– Mężczyzna tak. Kobieta nie, ponieważ nie zapaliła. Podejrzany okazał oficerowi prawo jazdy, które, jak teraz wiemy, było fałszywe.

– Powiedziała pani, że ta para dziwnie wyglądała. O co konkretnie chodziło?

– Kobieta ubrana była w lekki płaszcz i czapkę baseballową Atlanta Braves. Głowę miała ogoloną. Prawdę powiedziawszy, policjant nie był pewny, czy to w ogóle kobieta. Z początku przypuszczał, że to para homoseksualistów.

– Proszę opisać mężczyznę, z którym była – poprosiłam.

– Wzrost średni, szczupła budowa ciała, dziwnie ostre rysy i wyjątkowo niebieskie oczy. Włosy miał rude jak marchewka.

– Kiedy pierwszy raz ujrzałam Gaulta, włosy miał w kolorze platyny, a gdy widziałam go ostatni raz w październiku, były czarne jak pasta do butów.

– Wczoraj były zdecydowanie rude.

– A dzisiaj prawdopodobnie w zupełnie innym kolorze. Ma naprawdę niesamowite oczy. O bardzo intensywnym kolorze.

– Jest wyjątkowo inteligentny.

– Żadne słowa nie są w stanie opisać, kim jest.

– Na myśl przychodzi mi diabeł, doktor Scarpetta – rzekła Penn.

– Mów mi Kay.

– Jeżeli ty będziesz mi mówić Frances.

– A więc okazuje się, że wczoraj po południu odwiedzili Muzeum Historii Naturalnej. Co tam teraz pokazują?

– Rekiny.

Spojrzałam na nią, ale mówiła całkiem poważnie. Siedzący za kierownicą młody policjant radził sobie zwinnie z nowojorskim ruchem ulicznym.

– Obecna wystawa poświęcona jest rekinom. Przypuszczam, że znajdują się tam wszystkie okazy, jakie żyły od początku świata.

Milczałam.

– Jeśli jesteśmy w stanie zrekonstruować wydarzenia – ciągnęła komandor Penn – to Gault (równie dobrze możemy tak go nazywać, ponieważ jesteśmy przekonani, że jest w to zamieszany) zabrał kobietę po wyjściu z metra i zaprowadził ją do Cherry Hill w Central Parku, i tam zastrzelił, a nagie ciało zostawił oparte o fontannę.

– Dlaczego poszła z nim do Central Parku po zmroku? Zwłaszcza w taką pogodę?

– Sądzymy, że mógł ją skusić, by towarzyszyła mu do Ramble.

– Które jest uczęszczane przez homoseksualistów.

– Tak, tam się spotykają, to bardzo zarośnięty, skalisty obszar z krętymi ścieżkami, prowadzącymi donikąd. Nawet funkcjonariusze z rejonowego posterunku nie lubią się tam zapuszczać. Nieważne, jak często bywasz w tym rejonie, zawsze się zgubisz. Wysoka kryminogenność. Prawdopodobnie dwadzieścia pięć procent przestępstw, które zdarzają się w Central Parku, ma miejsce właśnie tam. Głównie rozbojów.

– A zatem Gault musi dobrze znać Central Park, skoro po ciemku zabrał ją do Ramble.

– Najwyraźniej.

To sugerowało, iż mógł się ukrywać przez jakiś czas w Nowym Jorku, i ta myśl była ogromnie frustrująca. Przebywał pod naszym nosem, a my nic nie wiedzieliśmy.

– Miejsce zbrodni jest pilnowane przez całą noc – zwróciła się do mnie komandor Penn. – Przypuszczałam, że będziesz chciała rzucić na nie okiem przed udaniem się do hotelu.

– Oczywiście – potwierdziłam. – A co z dowodami?

– Z fontanny wydobyliśmy łuskę, która nosi wyraźny ślad, odpowiadający iglicy dziewięćmilimetrowego pistoletu glock. I znaleźliśmy włos.

– Gdzie był?

– Blisko ciała, w ślimacznicy żelaznej ozdoby wewnątrz fontanny. Mogło się zdarzyć, że kosmyk został przytrzaśnięty podczas usadzania ciała.

– Jaki kolor?

– Jaskraworudy.

– Gault jest zbyt ostrożny, by zostawić łuskę naboju czy włos – wygłosiłam swoją opinię.

- Może nie mógł dostrzec, gdzie upadła – powiedziała komandor Penn.
- Było ciemno. Łuska musiała być bardzo gorąca, kiedy wpadła w śnieg. Więc, jak widzisz, mogło się to zdarzyć.
- Tak – potwierdziłam. – To możliwe.

W odstępie kilku minut każde z nas – Marino, Wesley i ja – dotarliśmy do Cherry Hill, gdzie do pomocy starym latarniom tkwiącym na obwodzie okrągłego placu ustawiono reflektory. To, co niegdyś służyło jako rondo do zawracania powozów i wodopój dla koni, teraz pokrywała gruba warstwa śniegu i otaczała żółto-czarna taśma, oddzielająca miejsce zbrodni.

W środku wydzielonego terenu znajdowała się pokryta lodem, połączana fontanna z kutego żelaza, która – jak nam powiedziano – nie działała o żadnej porze roku. To tutaj znaleziono nagie ciało młodej kobiety. Zostało okaleczone i byłam przekonana, że tym razem celem Gaulta nie było usunięcie śladów zębów, on chciał pozostawić wizytówkę, żebyśmy mogli zidentyfikować zabójcę. Po przebadaniu śladów wywnioskowaliśmy, że Gault zmusił ofiarę do rozebrania się do naga i dojścia boso do fontanny, gdzie znaleziono ciało. Strzelił jej z bliska w prawą skroń i wyciął płaty skóry z wewnętrznej strony ud i z lewego ramienia. Do fontanny wiodły dwa różne ślady stóp, ale tylko jeden stamtąd odchodził. Krew denatki, której jeszcze nie zidentyfikowaliśmy, zabarwiła śnieg czerwienią.

Stałam tuż obok Wesleya, a nasze ramiona się stykały, jakbyśmy chcieli się wzajemnie ogrzać. Przyglądał się w milczeniu odciskom stóp i fontannie. Odetchnął głęboko i poczułam, jak opiera się o mnie mocniej.

– Jezu – zamruczał Marino. – Znaleźliście jej ubranie? – spytałam komandor Penn, chociaż znałam odpowiedź.

– Ani śladu. – Rozejrzała się wokoło. – Ślady obuwia biegną aż do skraju placu. – Wskazała jakieś pięć jardów na zachód od fontanny.

– Wyraźnie widać, skąd zaczynają się odciski bosych stóp. Przedtem miała na sobie chyba jakieś wysokie buty. Myśliwskie albo kowbojskie.

– A co z nim?

– Zdaje się, że odzukulaliśmy jego ślady, prowadzą na zachód, aż do Ramble, ale trudno powiedzieć. Jest tam wiele odcisków i mnóstwo ubitego śniegu.

– A więc tych dwoje opuściło Muzeum Historii Naturalnej przez stację metra, weszło od zachodniej strony do parku, poszło prawdopodobnie do Ramble, a potem skierowało się tutaj – starałam się poskładać wszystko do kupy. – Na placyku najwyraźniej zmusił ją do rozebrania się i zdjęcia butów. Podeszła bosą do fontanny, gdzie strzelił jej w głowę.

– Tak to wygląda tym razem – odezwał się krępy detektyw z Nowojorskiego Departamentu Policji, który przedstawił się jako T. L. O'Donell.

– Jaką mamy temperaturę? – spytał Wesley. – Albo raczej, jaka była wczoraj późno w nocy?

– Spadła do minus dwunastu stopni – wyjaśnił O'Donell, który był młody, zły i miał gęste czarne włosy. – Na wietrze dochodziła do dwudziestu poniżej zera.

– I zdjęła ubranie oraz buty. – Wesley zdawał się mówić do samego siebie. – To dziwaczne.

– Nie, jeśli ktoś ci przystawia broń do głowy. – O'Donell lekko przytupywał w miejscu.

Dłonie wsunął głęboko w kieszenie ciemnoniebieskiej policyjnej kurtki, która przy tak niskiej temperaturze nie była wystarczająco ciepła nawet w połączeniu z kamizelką kuloodporną.

– Gdybyś był zmuszony rozebrać się na dworze podczas takiego mrozu – powiedział Wesley z namysłem – wiedziałbyś, że musisz umrzeć.

Nikt się nie odezwał.

– Rozbieranie się w tej temperaturze jest przeciwne instynktowi samozachowawczemu, ponieważ nie można długo przeżyć nago w takich warunkach.

Nadal w milczeniu obserwowaliśmy miejsce zbrodni. Fontannę wypełniał poplamiony na czerwono śnieg, widziałam wgłębienia po nagich poślądkach ofiary. Jej krew była równie jaskrawa jak w chwili śmierci, ponieważ zamarzła.

– Dlaczego, do diabła, nie uciekała? – odezwał się Marino.

Wesley odsunął się ode mnie i kucnął, by przyjrzeć się temu, co uznawaliśmy za odciski butów Gaulta.

– To najważniejsze pytanie – stwierdził. – Dlaczego?

Także postanowiłam przyjrzeć się śladom. Wyraźny wzór protektora był niezwykle interesujący. Gault nosił jakieś obuwie o zawiłych, wypukłych nacięciach w kształcie rombu i falistym bieżniku, ze znakiem wytwórcy na podbiciu oraz z wkomponowanym w obcas logo. Oceniłam rozmiar buta na siedem i pół lub osiem.

– Jak to zabezpieczyliście? – spytałam komandor Penn.

Odpowiedział detektyw O'Donell.

– Sfotografowaliśmy ślady, a tam dalej – wskazał grupkę policjantów stojących po drugiej stronie fontanny – są jeszcze lepsze. Staramy się zrobić odlew.

Wykonywanie odlewów odcisków stóp w śniegu należało do zajęć wyjątkowo trudnych. Jeżeli płynny gips dentystyczny nie był wystarczająco zimny, a zmrożony śnieg odpowiednio twardy, wszystko kończyło się roztopieniem zabezpieczanego dowodu. Podeszliśmy w milczeniu do miejsca wskazanego przez detektywa i kiedy się rozejrzałam, dostrzegłam ślady stóp Gaulta.



Nie dbał o to, że zostawia wyraźne odciski. Nie przejmował się tym. Byliśmy zdecydowani poznać każde miejsce, w którym był, a dla niego nie miało to najmniejszego znaczenia. Nie wierzył, byśmy mogli go schwytać.

Po drugiej stronie fontanny policjanci pokrywali woskowym sprayem do odcisków na śniegu dwa ślady butów, trzymali pojemniki z aerozolem w odpowiedniej odległości i pod takim kątem, by strumień sprężonego roztworu czerwonego wosku nie niszczył szczegółów. Inny policjant mieszał w plastikowym kubku płynny gips dentystyczny.

Kiedy kilka warstw wosku nałożono już na ślady butów, gips powinien na tyle ostygnąć, by można go było wylać i zrobić odlew. Warunki atmosferyczne sprzyjały tym wszystkim zabiegom. Nie było ani słońca, ani wiatru, a technicy policyjni we właściwy sposób przechowywali wosk, ponieważ pojemnik z nim działał jak należy. Dysze nie pluły ani nie zatykały się, jak to widywałam wielokrotnie podczas podobnych prób.

– Może tym razem będziemy mieli szczęście – powiedziałam do Wesleya, kiedy Marino odszedł na bok.

– Potrzebujemy całego szczęścia, jakie tylko może nas spotkać – odparł, spoglądając w stronę ciemnych drzew.

Na wschód od nas biegła granica trzydziestu siedmiu akrów tego, co znano jako Ramble, oddalonego obszaru Central Parku, słynącego jako siedlisko ptaków i z krętych ścieżek prowadzących przez skalisty teren. Każdy przewodnik ostrzegał turystów, iż Ramble nie jest miejscem na samotne spacerowanie bez względu na porę dnia czy roku. Zastanawiałam się, jak Gault zwabił do parku swoją ofiarę. Zastanawiałam się, gdzie ją spotkał i co go skłoniło do takiego postępowania. Możliwe, że był w odpowiednim nastroju, a ona się po prostu napatoczyła.

– Jak można się tutaj dostać z Ramble? – rzuciłam pytanie pod adresem kogokolwiek, kto by mnie słuchał.

Oficer mieszający gips spojrział mi w oczy. Był mniej więcej w wieku Marino, a policzki miał mięsiste i czerwone od mrozu.

– Wzdłuż jeziora biegnie ścieżka – powiedział, a z ust mu zaleciało papierosami.

– Jakiego jeziora?

– Nie widzi go pani teraz. Jest zamrożone i zasypane śniegiem.

– Uważa pan, że to jedyna droga, jaką mogli wybrać?

– To duży park. W innych miejscach, jak na przykład w Ramble, śnieg jest naprawdę mocno rozdeptany. Tam dalej nawet dziesięć stóp śniegu nie powstrzyma ludzi po prochach czy żadnych spotkaniach. Ale tutaj, w Cherry Hill, to zupełnie inna historia. Nie wolno tu wjeżdżać samochodem i z pewnością nikt nie jeździ konno w taką pogodę. Więc mieliśmy szczęście. Dostaliśmy miejsce zbrodni w dobrym stanie.

– Dlaczego uważacie, że przestępca i ofiara wyruszyli z Ramble? – spytał Wesley, który był zawsze bezpośredni i często lapidarny, kiedy jego analityczny umysł przeszukiwał swoją olbrzymią bazę danych.

– Jeden z tamtych facetów sądzi, że zlokalizował odciski jej butów tam dalej – ciągnął funkcjonariusz, który lubił gadać. – Problem w tym, jak pani widzi, że jej ślady nie wyróżniają się zbyt.

Rozejrzeliśmy się po śniegu, który, rozdeptywany, pomału zmieniał się w breję. Obuwie ofiary nie miało bieżnika.

– Poza tym – ciągnął – ponieważ może się tutaj kryć element homoseksualny, doszliśmy do wniosku, że Ramble mogło stanowić pierwotny cel ich wycieczki.

– Jaki element homoseksualny? – chciał wiedzieć Wesley.

– Z wcześniejszego opisu ich obojga wynikało, że wyglądali na parę gejów.

– Nie rozmawiamy o dwóch mężczyznach – zaznaczył Wesley.

- Na oko ofiara nie wyglądała jak kobieta.
- Na czyje oko?
- Policji Transportowej. Naprawdę powinniście z nimi pogadać.
- Hej, Mossberg, jesteś gotowy z tym gipsem?
- Położyłbym jeszcze jedną warstwę wosku.
- Daliśmy już cztery. Mamy wystarczająco grubą skorupę, jeśli tylko gips jest dostatecznie schłodzony.

Funkcjonariusz Mossberg kucnął i zaczął ostrożnie wlewać lepki gips do pokrytego czerwonym woskiem odcisku. Ślady butów ofiary znajdowały się w pobliżu odcisków Gaulta, a ich rozmiar był mniej więcej taki sam. Zastanawiałam się, czy w ogóle kiedykolwiek znajdziemy jej buty, a mój wzrok podążył do miejsca odległego o jakieś piętnaście stóp od fontanny, gdzie zaczynały się odciski bosych stóp. Na tym odcinku trop zmierzał prosto ku fontannie, przy której Gault zastrzelił ofiarę.

Kiedy wpatrywałam się w cienie czające się poza oświetlonym placykiem i czułam kąsanie ostrego mrozu, nie mogłam pojąć sposobu myślenia tej kobiety. Nie rozumiałam uległości, jaką okazała zeszłej nocy.

- Dlaczego się nie opierała? – spytałam.
- Ponieważ Gault przeraził ją do szpiku kości – odparł Marino, który nagle znalazł się przy mnie.
- Czy rozebrałbyś się tutaj z jakiegoś powodu?
- Nie jestem nią. – Wyczułam w jego słowach złość.
- Nic o niej nie wiemy – dodał Wesley.
- Z wyjątkiem tego, że z jakiegoś irracjonalnego powodu ogoliła sobie głowę – stwierdził Marino.
- Mamy za mało danych, by analizować jej postępowanie – odparł Wesley. – Nie wiemy nawet, jak się nazywała.

– Jak sądzicie, co zrobił z jej ubraniem? – zainteresował się Marino. Rozglądał się, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza z wielbłądziej wełny, który zaczął nosić po kilku randkach z Molly.

– Prawdopodobnie to samo co z ubraniem Eddiego Heatha – powiedział Wesley, nie mogąc się dłużej oprzeć chęci pospacerowania między drzewami.

Marino spojrział na mnie.

– Nie wiemy, co Gault zrobił z ubraniem Eddiego.

– Sądzę, że w tym tkwi sedno sprawy. – Obserwowałam Bentona przygnębioną.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie uważam, żeby zatrzymał je sobie na pamiątkę. Przemieszcza się, a rzeczy by mu zawadzały.

– Pozbywa się ich – podsunęłam.

Zapalniczka sypnęła kilka razy iskrami, zanim niechętnie niewielki płomyk umożliwił Marino przypalenie papierosa.

– Była całkowicie w jego władzy – myślałam na głos. – Przyprowadził ją tutaj, powiedział, żeby się rozebrała, a ona to zrobiła. Widać wyraźnie, gdzie kończą się odciski jej butów, a zaczynają ślady bosych stóp. Nie było żadnej walki, próby ucieczki. Brak jakiegokolwiek oporu.

Wesley wrócił spomiędzy drzew, patrząc uważnie pod nogi. Poczułam na sobie jego wzrok.

– Był między nimi jakiś związek – powiedziałam z przekonaniem.

– Gault nie ma związków – zaoponował Marino.

– Ma, tyle że dość specyficzne. Pokręcone i spaczone, jak to tylko możliwe. Tak było z dozorcą w więzieniu w Richmond i ze strażniczką Helen.

– Tak, i oboje wykończył. Helen odciął głowę, którą zostawił na polu w pieprzonej torbie na kręgle. Farmer znalazł ten mały prezent i jeszcze nie

przyszedł do siebie. Słyszałem, że zaczął pić jak smok i niczego na tym polu nie uprawia. Nie wypuszcza na nie nawet krów.

– Nie powiedziałałam, że on nie zabija ludzi, z którymi jest jakoś związany – odparłam. – Mówię tylko, że utrzymuje pewne relacje.

Spojrzałam na najbliższe odciski stóp. Nosila dziewiątkę albo dziesiątkę.

– Mam nadzieję, że zrobią także odlew jej śladów.

Funkcjonariusz Mossberg użył miesadła malarskiego, by zręcznie rozprowadzić gips dentystyczny do każdego zakątka odcisku. Znowu zaczął padać śnieg; twarde, małe płatki szczypały w twarz.

– Nie sądzę – odezwał się Marino. – Zrobią zdjęcia i to wszystko, ona już nie jest dla nas żadnym świadkiem.

Byłam przyzwyczajona do świadków, którzy nie przemawiali do nikogo oprócz mnie.

– Chciałabym odlew odcisku jej śladów – zaprotestowałam. – Musimy ją zidentyfikować. Buty mogą być w tym pomocne.

Marino podszedł do Mossberga oraz jego kompanów i zaczęli rozmawiać, spoglądając od czasu do czasu w moją stronę. Kiedy śnieg zaczął mocniej padać, Wesley zadarł głowę do góry.

– Chryste – powiedział. – Mam nadzieję, że to chwilowe.



Gdy Frances Penn wiozła nas do New York Athletic Club na Central Park South, śnieg padał coraz gęstszy. Przed świtem już nic nie mogliśmy zrobić, a obawiałam się, że do tego czasu ślady Gaulta zostaną zasypane.

Wioząc nas ulicami opustoszałego miasta, komandor Penn milczała zamyślona. Było prawie wpół do trzeciej nad ranem i nie towarzyszył nam żaden policjant. Ja siedziałam z przodu, a Marino i Wesley z tyłu.

– Powiem ci szczerze, że nie lubię śledztw, do których prowadzenia wielu rości sobie prawo – odezwał się do niej.

– To znaczy, że masz sporo doświadczeń w tym względzie. Nikt ich nie lubi.

– Są jak drzazga w tyłku – podsunął Marino, podczas gdy Wesley, jak zwykle, tylko słuchał.

– Czego powinniśmy się spodziewać? – zapytała tak dyplomatycznie, jak to tylko możliwe, ale ona wiedziała, o co mi chodzi.

– Oficjalnie NYPD<sup>[5]</sup> poprowadzi dochodzenie, ale to moi funkcjonariusze będą się w tym grzebać, poświęcając na to większość czasu i odwalając brudną robotę. Zawsze się tak dzieje, kiedy dzielimy się sprawą tak bardzo interesującą media.

– Pierwszy przydział miałem właśnie do NYPD – pochwalił się Marino. Komandor Penn spojrzała na niego we wstecznym lusterku.

– Zostawiłem to bagno przy pierwszej okazji – dodał ze swoim normalnym wyczuciem taktu.

– Nadal zna pan tam kogoś? – spytała.

– Większość facetów, z którymi zaczynałem, jest albo na emeryturze, albo na rencie. Ci, co awansowali, są grubi i przykuci łańcuchami do swoich biur.

Ciekawe, czy Marino pomyślał, że o nim mogą kiedyś mówić tak samo.

– To może nie jest zły pomysł, Pete – odezwał się Wesley – zorientuj się, kto tam jeszcze pozostał. Mam na myśli przyjaciół.

– No dobra, ale nie obiecuj sobie za wiele.

– Nie chcemy mieć tutaj problemów.

– Nie ma sposobu, by ich całkowicie uniknąć – podsumował Marino. – Gliny będą chomikować każdą informację. To dobra okazja, żeby zostać bohaterem.

- Nie możemy na to pozwolić – ciągnął Wesley tym samym tonem.
- Nie, nie możemy – zgodziłam się.
- Przychodźcie do mnie, kiedy tylko chcecie – powiedziała komandor Penn. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Jeśli ci pozwolą – palnął Marino.

Były trzy wydziały w Policji Transportowej i ona dowodziła wydziałem wsparcia i rozwoju. Odpowiadała za szkolenie, ćwiczenia i analizę przestępczości. Detektywi departamentu podlegali komendzie głównej i w związku z tym nie pozostawali pod jej bezpośrednimi rozkazami.

– Odpowiadam za komputery, a – jak wiecie – nasz departament ma najbardziej wyrafinowane systemy komputerowe w Stanach. To dzięki naszemu połączeniu z KAIN-em mogłam tak szybko zawiadomić Quantico. Jestem zamieszana w to dochodzenie. Nie ma obawy – powiedziała komandor Penn spokojnie.

– Proszę mi opowiedzieć o użyteczności KAIN-a w tej sprawie – wtrącił Wesley.

– W chwili kiedy dostałam szczegóły dotyczące natury morderstwa, pomyślałam, że jest w nim coś znajomego. Wprowadziłam to, co mieliśmy, do terminalu VICAP i trafiłam w dziesiątkę, potem zatelefonowałam do was.

– Słyszała pani o Gaulcie? – spytał Wesley.

– Nie mogę powiedzieć, żebym znała tak dobrze jego *modus operandi*.

– Teraz już pani zna – stwierdził Wesley.

Komandor Penn podjechała przed wejście do Athletic Club i otworzyła drzwiczki samochodu.

– Tak – rzekła ponuro. – Teraz już znam.

Przy opuszczonym kontuarze w pięknym hallu pełnym antyków wpisaliśmy się do książki meldunkowej i Marino poszedł do windy. Nie

czekał na nas, wiedziałam dlaczego. Chciał zatelefonować do Molly, w której był ciągle bezrozumnie zakochany i nie obchodziło go, co z Wesleyem będziemy robić.

– Wątpię, żeby bar był otwarty o tej porze – powiedział do mnie Wesley, kiedy mosiężne drzwi zamknęły się i winda powiozła Marino na jego piętro.

– Na pewno nie jest.

Przez chwilę staliśmy, jakby w nadziei, iż pojawi się ktoś ze szklaneczkami i butelką.

– Chodźmy. – Dotknął lekko mego łokcia i pojechaliśmy na górę.

Na dwunastym piętrze odprowadził mnie do pokoju, próbowałam wsunąć do czytnika kartę magnetyczną, ale za pierwszym razem włożyłam ją do góry nogami. Potem obróciłam ją magnetycznym paskiem w niewłaściwą stronę i światełko na mosiężnej kłamce pozostało czerwone.

– Odwrotnie – poinformował mnie Wesley.

– Myślę, że teraz będzie dobrze.

– Napijemy się do poduszki? – spytał, kiedy otworzyłam drzwi i zapaliłam światło.

– Teraz to raczej pora na środek nasenny.

– Właśnie tym jest jeden głębszy.

Moja kwatery była skromna, ale ładnie urządzona; rzuciłam torbę na królewskie łóżko.

– Jesteś członkiem klubu ze względu na swego ojca? – spytałam.

Nigdy wcześniej nie byłam razem z Bentonem w Nowym Jorku i dręczyło mnie to, że nie wiem o nim wielu rzeczy.

– Pracował w Nowym Jorku. Tak, dlatego. Kiedy dorastałam, bardzo często tu przyjeżdżałam.

– Barek jest pod telewizorem.



– Potrzebny mi klucz.

– Oczywiście.

Kiedy brał ode mnie mały stalowy kluczyk, w jego oczach błyszczało rozbawienie, a palce delikatnie musnęły moją dłoń.

– Poszukać lodu?

Odkręcił wieczko termosu.

– Może być czysta bez lodu.

– Pijesz jak mężczyzna. – Wręczył mi szklaneczkę.

Patrzyłam na niego, kiedy zrzucił z siebie ciemny wełniany płaszcz i dobrze skrojoną marynarkę. Jego wykrochmalona biała koszula była wymięta po całym dniu; ściągnął szelki podtrzymujące kaburę pistoletu i położył na toaletce.

– Dziwnie się człowiek czuje bez broni – zauważyłam, ponieważ często nosiłam swoją trzydziestkęósemkę, albo – w bardziej nerwowych sytuacjach – high power browninga.

Nowojorskie przepisy dotyczące posiadania broni przez funkcjonariuszy spoza departamentu były dość surowe.

Benton usiadł naprzeciwko mnie na drugim łóżku i obserwowaliśmy się znad szklanek.

– Podczas ostatnich kilku miesięcy nie spędziliśmy ze sobą zbyt wiele czasu – stwierdziłam.

Skinął głową.

– Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać – ciągnęłam.

– Dobrze. – Nie odwrócił spojrzenia. – Wal.

– Rozumiem. To ja mam zacząć.

– Mógłbym ja, ale może nie spodobałoby ci się to, co mam do powiedzenia.

– Jednak chciałabym usłyszeć.

– Jest Boże Narodzenie, a ja siedzę w twoim pokoju hotelowym. Connie śpi samotnie w naszym łóżku i jest nieszczęśliwa, że nie ma mnie przy niej. Dzieciaki są nieszczęśliwe, gdyż nie jestem z nimi.

– Ja powinnam być w Miami. Moja matka jest bardzo chora – rzekłam.

Patrzył się na mnie w milczeniu. Uwielbiałam te jego wyraziste rysy twarzy.

– Jest tam Lucy, a mnie jak zwykle nie ma. Masz pojęcie, ile wakacji spędziłam z dala od rodziny?

– Tak – przyznał. – Całkiem dobre.

– Prawdę powiedziawszy, nie jestem pewna, czy podczas jakichkolwiek wakacji nie myślałam o jakiejś okropnej sprawie. Dlatego nie miało znaczenia, czy byłam z rodziną, czy nie.

– Musisz być poza tym, Kay.

– Trochę się już nauczyłam.

– Musisz zostawiać to za drzwiami, jak cuchnące ubranie.

Ale nie potrafiłam. Żaden dzień nie mógł minąć, by przez myśl nie przeszło mi jakieś wspomnienie i nie rozbłysnął jakiś obraz. Widziałam twarz obrzmiałą od obrażeń i śmierci, zniewolone ciało. Wyobrażałam sobie szczegółowo cierpienia ofiar, ponieważ przede mną nic się nie ukryło. Zbyt dobrze poznawałam denatów. Zamknęłam oczy i ujrzałam odciski nagich stóp na jaskrawoczerwonym śniegu.

– Benton, nie chcę spędzać tutaj Bożego Narodzenia – powiedziałam przygnębiona.

Poczułam, że siada obok mnie. Przyciągnął mnie i trwaliśmy tak w bezruchu. Nie mogliśmy być blisko siebie, nie dotykając się.

– Nie powinniśmy tego robić – rzekłam, kiedy właśnie zaczynaliśmy to robić.

– Wiem.

– Naprawdę trudno jest o tym mówić.

– Wiem.

Wyłączył lampkę.

– Czyż to nie śmieszne? – spytałam. – Jak się zastanowić nad tym, co dzielimy, co oglądamy na co dzień, to mówienie o innych sprawach nie powinno być trudne.

– Te ponure obrazy nie mają nic wspólnego z intymnością – odparł.

– Mają.

– Więc dlaczego nie jesteś z Marino? Czy swoim zastępcą, Fieldingiem?

– Pracowanie przy tych samych koszmarach nie oznacza, że następnym logicznym krokiem jest pójście ze sobą do łóżka. Ale nie sądzę, bym mogła kochać się z kimś, kto nie rozumie, czym to dla mnie jest.

– Ja nie wiem. – Jego dłonie znieruchomiały.

– Mówisz Connie? – Nawiązałam do jego żony, która nie wiedziała, że od jesieni jesteśmy kochankami.

– Nie wszystko.

– Ile wie?

– O pewnych sprawach nic. – Urwał na moment. – O mojej pracy naprawdę niewiele. Nie chcę, żeby wiedziała.

Nie odpowiedziałam.

– Nie chcę, żeby wiedziała, co to robi z nami. Zmieniamy barwę jak niektóre ćmy, jak miasta pokrywające się sadzą.

– Nie chcę mieć tak zbrukanej duszy jak nasi koledzy. Nie zgadzam się na to.

– Masz prawo.

– Uważasz, że to w porządku ukrywać tak wiele przed żoną? – spytałam cicho, ale trudno mi było skupić się na tym, o czym mówię, gdyż moje ciało rozpalało się pod dotykiem jego dłoni.

– To nie fair w stosunku do niej i do mnie.  
– Ale czujesz, że nie masz wyboru.  
– Wiem, że nie mam. Ona rozumie, że są we mnie obszary dla niej niedostępne.

– Chce, żeby tak było?  
– Tak. – Sięgnął po swoją szkocką. – Masz ochotę na jeszcze jedną kolejkę?

– Owszem – potwierdziłam.

Wstał; w ciemności skrzypnął metal, kiedy pękła metalowa zakrętka. Nalał do naszych szklaneczek czystą szkocką i usiadł ponownie.

– To jest wszystko, co mamy, chyba że chcesz to zmienić – rzekł.  
– Nie potrzebuję wiele.  
– Gdybyś mnie zapytała, czy to, co robimy, jest słuszne, nie potrafiłbym odpowiedzieć.

– Wiem, że nie jest słuszne.

Przełknęłam whisky i kiedy sięgnęłam, by odstawić szklanę na szafkę przy łóżku, przyciągnął mnie. Całowaliśmy się ponownie, namiętniej, nie tracił czasu na zajmowanie się guzikami, jego dłonie wślizgiwały się pod wszystko, co napotykały. Zachowywaliśmy się jak wariaci, zdzieraliśmy z siebie ubrania, jakby płonęły.

A potem zasłony zapłonęły światłem dnia, a my dryfowaliśmy pomiędzy namiętnością i snem, czując w ustach smak nieświeżej whisky. Usiadłam, okrywając się kołdrą.

– Benton, jest wpół do siódmej.

Stękając, zasłonił oczy ramieniem, słońce bardzo brutalnie go traktowało. Leżał na plecach, zaplątany w prześcieradła, kiedy ja brałam prysznic. Gorąca woda przywróciła mi jasność myślenia i to był pierwszy

od lat bożonarodzeniowy poranek, kiedy ktoś oprócz mnie leżał w moim łóżku. Czułam się, jakbym coś ukradła. Zaczęłam się ubierać.

– Nie możesz nigdzie iść – odezwał się Wesley, wpół śpiąc.

Zapięłam płaszczyk.

– Muszę – odparłam, spoglądając na niego ze smutkiem.

– Jest Boże Narodzenie.

– Czekają na mnie w kostnicy.

– Przykro mi to słyszeć – wymamrotał w poduszkę. – Nie wiedziałem, że czujesz się aż tak źle.

Nowojorski urząd koronera mieścił się przy First Avenue, naprzeciwko neogotyckiego szpitala z czerwonej cegły, zwanego Bellevue, gdzie dawniej przeprowadzano sekcje miejskie. Graffiti oraz zmrożone przez zimę brązowe liście wina szpeciły ściany i kute żelazo, a grube czarne torby ze śmieciami oczekiwały na wywiezienie na pryzmach brudnego śniegu. Wewnątrz zniszczonej, żółtej taksówki, piszczącej podczas hamowania, rozbrzmiewały bez przerwy bożonarodzeniowe kolędy.

– Potrzebuję rachunku – powiedziała rosyjskiemu kierowcy, który ostatnie dziesięć minut spędził na wyjaśnianiu mi, co złego dzieje się ze światem.

– Na jaką sumę?

– Osiem dolarów – postanowiłam być wspaniałomyślna.

Był poranek pierwszego dnia świąt.

Skinął głową, zaczął skrobać w bloczku, a ja patrzyłam na mężczyznę, obserwującego mnie z chodnika w pobliżu ogrodu Bellevue. Nie ogolony, ze zmierzwionymi długimi włosami, miał na sobie dżinsową niebieską kurtkę oblamowaną futrem, a mankiety poplamionych wojskowych spodni wpuścił do zniszczonych kowbojskich butów. Kiedy wysiadałam z taksówki, zaczął grać na wymyślonej gitarze i śpiewać:

– *Jingle bells, jingle bells, jingle all the day. Ohhh what fun it is to ride to Galveston todayaaayyyy...*<sup>[6]</sup>

– Ma pani wielbiciela – powiedział mój zabawny kierowca, kiedy przez okno odbierałam rachunek.

Odjechał w obłoku spalin. W zasięgu wzroku nie widziałam żadnego innego samochodu czy człowieka i straszliwa serenada stała się głośniejsza.

Potem mój pozbawiony piątej klepki miłośnik rzucił się za mną. Przeraziłam się, kiedy zaczął wrzeszczeć „Galvestone!”, jakby to było moje imię czy oskarżenie pod moim adresem. Wpadłam do hallu urzędu koronera.

– Ktoś za mną idzie – powiedziałam do strażniczki stanowczo nie będącej w bożonarodzeniowym nastroju, kiedy tak siedziała za swoim biurkiem.

Obłąkany muzyk przycisnął twarz do drzwi wejściowych i gapił się przez nie z rozpląszczonym nosem oraz zbielełymi policzkami. Otworzył szeroko usta, obscenicznie obracając językiem po szkle oraz poruszając biodrami w przód i w tył, jakby kopulował z budynkiem. Strażniczka, potężna kobieta z rastafariańskimi loczkami na głowie, podeszła do drzwi i załomotała w nie pięścią.

– Benny, przestań – zbesztła go głośno. – Odejdź natychmiast.

Zastukała mocniej.

– Nie zmuszaj mnie, żebym tam do ciebie wyszła.

Benny odsunął się od szyby. Nagle stał się Nurejewem i wywijał na pustej ulicy piruety.

– Jestem doktor Kay Scarpetta – przedstawiłam się strażniczce. – Doktor Horowitz oczekuje mnie.

– Niemożliwe, żeby szef na panią czekał. Są święta.

Przyjrzała mi się ciemnymi oczyma, które widziały wszystko.

– Doktor Pinto jest pod telefonem. Mogę panią z nim połączyć, jeśli pani chce.

Skierowała się z powrotem do swego stanowiska.

– Doskonale wiem, że jest Boże Narodzenie – poszłam za nią – ale doktor Horowitz spodziewa się mnie.

Wyjęłam portfel i pokazałam jej złotą odznakę naczelnego koronera. Nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Była już pani tutaj kiedyś?

– Wiele razy.

– Hmm. No cóż, z całą pewnością nie widziałam dzisiaj szefa. Ale to nie znaczy, że nie mógł wejść od strony parkingu i nic mi nie powiedzieć. Czasami siedzą tu pół dnia, a ja o tym nie wiem. Hmm. To prawda, nikt nie zwraca sobie tym głowy, by mi cokolwiek powiedzieć.

Sięgnęła po telefon.

– Hmm. Nie *sir*, ja nie muszę niczego wiedzieć.

Wybrała numer.

– Nic nie muszę wiedzieć. Doktor Horowitz? Mówi Bonita z ochrony. Jest tutaj doktor Scarlett.

Przerwała.

– Nie wiem.

Spojrzała na mnie.

– Może pani przeliterować?

– S-c-a-r-p-e-t-t-a – powiedziałam cierpliwie. Nadal nie potrafiła przekazać tego prawidłowo, ale była dosyć bliska sukcesu.

– Tak, *sir*. Oczywiście, że mogę.

Odłożyła słuchawkę i oświadczyła.

– Proszę tam podejść i zaczekać.

Poczekalnia była umeblowana na szaro i wyłożona szarym dywanem, na czarnych stolikach leżały czasopisma, pośrodku pomieszczenia ustawiono skromne sztuczne drzewko. Marmurową ścianę zdobił napis: *Taceant Colloquia Effugiat Risus Hic Locus Est Ubi Mors Gaudet Succurrere Vitae*, co znaczyło, że człowiek może znaleźć nieco rozmowy lub śmiechu w tym miejscu, w którym śmierć cieszy się pomagając żywym. Para Azjatów



siedziała naprzeciwko mnie, trzymając się mocno za ręce. Nie rozmawiali ani nie podnieśli wzroku; dla nich już zawsze świętom towarzyszyć będzie ból.

Zastanawiałam się, dlaczego się tutaj znaleźli i kogo stracili, i pomyślałam o wszystkich, których znałam. Chciałabym móc jakoś ich pocieszyć, chociaż tego daru zdaje się nie miałam. Po wszystkich tych latach, najlepsze, co mogłam powiedzieć pogrążonym w smutku, to, iż śmierć ich ukochanych była szybka i nie cierpieli wiele. Na ogół, kiedy mówiłam te słowa, nie były one całkiem prawdziwe, bo jak można zmierzyć duchowe udrczenie kobiety zmuszonej do rozebrania się do naga w opuszczonym parku w przeraźliwie zimną noc? Jak ktokolwiek z nas mógłby sobie wyobrazić, co czuła, kiedy Gault poprowadził ją do wypełnionej lodem fontanny i odciągnął kurek broni?

Skłonienie jej do rozebrania się stanowiło przypomnienie o jego okrucieństwie i nienasyconej żądzy zabawy. Nagość nie była konieczna. Nie było potrzeby telegrafowania do niej, że jako osoba samotna zostanie zabita w święta i nikt nie będzie znał jej nazwiska. Gault mógł ją po prostu zastrzelić i byłoby po wszystkim. Mógł wyjąć swego glocka i zaskoczyć ją. Drań.

– Pan i pani Li? – Przed parą Azjatów pojawiła się kobieta o siwych włosach.

– Tak.

– Zaprowadzę teraz państwa, jeżeli jesteście gotowi.

– Tak, tak – odparł mężczyzna, a jego żona zaczęła płakać.

Zostali poprowadzeni w stronę pokoju oględzin, dokąd ciało kogoś, kogo kochali, zostanie przywiezione z kostnicy specjalną windą. Wielu ludzi nie akceptowało śmierci, dopóki nie zobaczyli jej czy nie dotknęli. I pomimo wielu oględzin, w których uczestniczyłam przez wszystkie te lata,

nie potrafiłam sobie wyobrazić uczuć towarzyszących przechodzeniu przez ten rytuał. Uważałam, że nie mogłabym znieść ostatniego, przelotnego spojrzenia przez szybę. Czując ból głowy, zamknęłam oczy i zaczęłam masować skronie. Siedziałam tak długi czas, aż zorientowałam się, że nie jestem sama.

– Doktor Scarpetta? – Nade mną stała sekretarka doktora Horowitza, a wyraz jej twarzy zdradzał zaniepokojenie. – Dobrze się pani czuje?

– Emily – powiedziała zaskoczona. – Tak, wszystko w porządku, ale nie spodziewałam się dzisiaj zastać cię tutaj.

Wstałam.

– Chce pani tylenol?

– Jesteś bardzo miła, ale czuję się dobrze – odparłam.

– Ja także jestem zaskoczona pani widokiem. Ale życie nie jest teraz całkiem normalne. Jestem zdziwiona, że dostała się pani tutaj i uniknęła dziennikarzy.

– Nie widziałam ani jednego.

– W nocy byli wszędzie. Przypuszczam, że czytała pani porannego „Timesa”?

– Nie miałam okazji – odrzekłam skrupowana.

Zastanawiałam się, czy Wesley nadal leżał w moim łóżku.

– Życie teraz to jeden wielki bałagan – powiedziała Emily, młoda kobieta o ciemnych, długich włosach, która zawsze była tak przesadnie skromnie ubrana, że sprawiała wrażenie, jakby wskoczyła w teraźniejszość z poprzedniego wieku. – Telefonowano nawet od burmistrza. Niestety, na tego rodzaju rozgłosie miastu nie zależy. Ciągle nie mogę uwierzyć, że ciało znalazł dziennikarz.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Dziennikarz?

– Tak naprawdę to korektor z „Timesa”, czy ktoś w tym rodzaju, jeden z tych wariatów, którzy uprawiają jogging bez względu na pogodę. Zdarzyło się, że był w parku wczoraj rano i biegł przez Cherry Hill. Było bardzo zimno, pusto i padał śnieg. Zbliżył się do fontanny i natknął się na tę biedną kobietę. Nie trzeba dodawać, że opis w porannej gazecie zawiera wiele szczegółów i ludzie są nieprzytomni ze strachu.

Przeszłam przez kilkoro drzwi, a potem ona wsunęła głowę do biura swego szefa, chcąc zaanonsować nas na tyle delikatnie, byśmy go nie przestraszyły. Doktor Horowitz posunął się w latach i coraz gorzej słyszał. Jego gabinet pachniał wieloma kwitnącymi kwiatami, ponieważ uwielbiał orchidee, fiołki afrykańskie i gardenie, a one dobrze się rozwijały pod jego troskliwą opieką.

– Dzień dobry, Kay. – Wstał zza biurka. – Przywiozłaś kogoś ze sobą?  
– Spodziewam się, że kapitan Marino dołączy do nas.  
– Emily, upewnij się, czy jest w drodze. Jeśli nie, będziesz musiała zaczekać.

Wiedziałam, że doktor Horowitz nie chce czekać. Nie było czasu. Kierował największym urzędem koronerskim w kraju; tutaj na stalowych stołach poddawano sekcji siedem tysięcy ludzi – populację niewielkiego miasteczka. Jedna czwarta ciał to były ofiary zabójstw, nazwisk wielu z nich nigdy nie poznano. Nowy Jork miał tak poważny problem z identyfikacją zmarłych, że detektywi z Nowojorskiego Departamentu Policji mieli w budynku Horowitza filię wydziału osób zaginionych.

Podniósł słuchawkę i odezwał się do kogoś, kogo nie wymienił z nazwiska.

– Jest tutaj doktor Scarpetta. Idziemy do was – oznajmił.  
– Znajdę kapitana Marino – rzekła Emily. – Wydaje mi się, że jego nazwisko nie jest mi obce.

– Pracujemy ze sobą od lat – wyjaśniłam. – A on z kolei współpracuje od lat z zespołem wspomagająco-badawczym FBI w Quantico.

– Myślałam, że to się nazywa wydział zachowań społecznych; tak jak w filmach.

– Biuro zmieniło nazwę, ale cel jest ten sam. – Opowiedziałam o niewielkiej grupce agentów, którzy zyskali sławę dzięki opracowywaniu profili psychologicznych zabójców oraz przestępców popełniających zbrodnie na tle seksualnym.

Dopóki ostatnio nie zostałam konsultantką sądową tego wydziału w dziedzinie anatomopatologii, nie wierzyłam, że istnieje wiele rzeczy, jakich nie widziałam. Byłam w błędzie.

Okna gabinetu Horowitza wypełniło słońce, które zostało schwyte przez szklane półki z kwiatami i miniaturowymi drzewkami. Wiedziałam, że w łazience, w parnej ciemności, rosły na podpórkach wokół umywalki i wanny orchidee, oraz że w domu ma oranżerię. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Horowitza, przypominał mi Lincolna. Obaj mieli wychudzone, życzliwe twarze, naznaczone cierpieniem wywołanym przez wojny rozdzierające na pół społeczeństwo. Obaj znosili tragedię w taki sposób, jakby byli do tego wybrani. I mieli duże, silne dłonie.

Poszliśmy na dół do kostnicy – nowojorskie biuro nazywało ją swoim domem pogrzebowym. Powietrze sączące się z wewnętrznego podjazdu było zimne i śmierdziało starym dymem papierosowym oraz śmiercią. Tabliczki przyklejone do zielono-niebieskich ścian prosiły, by ludzie nie wrzucali do kontenerów na śmieci zakrwawionych prześcieradeł, całunów lub luźnych strzępków.

Należało nakładać pokrowce na buty i nie można było jeść; na wielu drzwiach znajdowały się czerwone znaki ostrzegające przed zagrożeniem biologicznym. Horowitz wyjaśnił, że sekcję nieznaną kobiety, naszym

zdaniem ostatniej ofiary Gaulta, przeprowadzi jeden z jego trzydziestu zastępców. Skręciliśmy do szatni, gdzie doktor Lewis Rader, ubrany już w aseptyczny strój, przymocowywał do pasa pojemnik z bateriami.

– Doktor Scarpetta – odezwał się Horowitz – czy zna pani doktora Radera?

– Znamy się od zawsze – powiedział Rader z uśmiechem.

– Tak – przyznałam ciepło. – Ale ostatni raz widzieliśmy się w San Antonio.

– Jezu! To już tak dawno?

Było to podczas zjazdu Amerykańskiej Akademii Ekspertyz Sądowych, w czasie sesji Przynieś Własne Slajdy – w wieczór zdarzający się raz do roku, kiedy ludzie tacy jak my zbierali się, by pokazać i omówić znane sobie przypadki. Rader prezentował okoliczności dziwacznej śmierci młodej kobiety, która zginęła na skutek uderzenia pioruna. Ponieważ ubranie zostało z niej zerwane, a głowa uległa poranieniu, kiedy upadła uderzając nią o beton, trafiła do biura koronera jako ofiara napaści seksualnej. Gliny były o tym przekonane aż do momentu, gdy Rader pokazał im, że sprzączka jej paska uległa namagnesowaniu, a ona sama ma niewielkie osmalenie na podeszwie jednej stopy.

Pamiętam, że po prezentacji Rader nalał mi jacka danielsa, bez lodu, i wspominaliśmy dawne dni, kiedy istniało tylko kilkoro anatomopatologów sądowych, pośród których byłam jedyną kobietą. Rader zbliżał się do sześćdziesiątki i był bardzo poważany w środowisku, ale nie nadawałby się na szefa. Nie lubił wojować z papierkową robotą i politykami.

Kiedy zakładaliśmy zbiorniki z powietrzem, osłony na twarz i kaptury, wyglądaliśmy tak, jakbyśmy mieli wyjść w przestrzeń kosmiczną. AIDS było problemem, kiedy ktoś ukłuł się igłą lub skaleczył podczas pracy przy zarażonym ciele, ale statystycznie większą groźbę stanowiły infekcje

przenoszone drogą powietrzną – jak gruźlica, hepatitis czy zapalenie opon mózgowych. Dlatego wkładaliśmy dwie pary rękawiczek, oddychaliśmy filtrowanym powietrzem i ubieraliśmy się w jednorazowe zielone stroje chirurgiczne. Niektórzy anatomopatolodzy, jak na przykład Rader, nosili siatkowe rękawiczki z nierdzewnej stali – to im chyba zostało ze średniowiecza.

Naciągałam kaptur na głowę, kiedy O'Donell, detektyw, którego poznałam zeszłej nocy, wszedł wraz z Marino; mój kolega wyglądał na zirytowanego i skacowanego. Nikomu nie patrząc w oczy, bez słowa nałożyli chirurgiczne maski i rękawiczki. Bezimienne zwłoki leżały w chłodni w szufladzie nr 121; kiedy ruszyliśmy z szatni, wyjęto stamtąd ciało i położono na wózku szpitalnym. Nagość zmarłej, leżącej na zimnej, stalowej tacy, wzbudzała współczucie.

Wycięte z ramienia i wewnętrznych stron ud fragmenty skóry stanowiły upiorne łaty ciemniejącej krwi. Jej skóra była jaskraworóżowa od zimnego *livor mortis*, typowego dla zamarzniętych ciał lub dla ludzi zmarłych na skutek wystawienia na mróz. Rana postrzałowa prawej skroni pochodziła z broni dużego kalibru i widziałam wyraźny znak odcisniętego na skórze wylotu lufy, powstałego na skutek przyciśnięcia przez Gaulta pistoletu do głowy ofiary.

Mężczyźni w aseptycznych strojach i maskach powieźli ją do pomieszczenia rentgenowskiego, gdzie każdemu z nas wręczono parę pomarańczowo zabarwionych plastikowych okularów. Rader nastawił odpowiednią moc zasilania źródła promieniowania o nazwie Luma-Lite, które było prostą czarną skrzynką, z wychodzącym z niej niebieskim światłowodem. Urządzenie stanowiło kolejną parę oczu widzących to, czego my nie mogliśmy dostrzec – słabe białe światło powodowało

świecenie odcisków palców i sprawiało, iż włosy, włókna, narkotyki oraz plamy spermy błyszczały niczym płomień.

– Niech ktoś zgasi lampy – polecił Rader.

W ciemności przesuwiał promień świetlny po całym ciele ofiary, a rozmaite włókna płonęły jak małej średnicy rozgrzane druciki. Szczypczykami Rader zbierał dowody z włosów łonowych, stóp, rąk i z głowy. Kiedy przesunął światłowód ponad opuszkami palców prawej dłoni, małe żółte obszary rozbłysły niczym słońce.

– Jakiś związek chemiczny – odezwał się Rader.

– Czasami nasienie tak świeci.

– To chyba nie to.

– Może narkotyki – podsunęłam.

– Zobaczymy. Gdzie kwas solny?

– Już daję.

Ślad został zmyty i Rader kontynuował swoje badanie. Małe białe światełko przespacerowało się po kobiecym ciele, po płaskiej równinie jej brzucha, przez zapadnięte obszary wyciętej skóry i po łagodnym rozlaniu jej biustu. Do ran nic nie przyłgnęło. To potwierdzało naszą teorię, że Gault zabił ją i okaleczył tam, gdzie została znaleziona, ponieważ gdyby przenoszono ją po napaści, do wysychającej krwi przykleiłyby się rozmaite brudy. W istocie obrażenia te stanowiły najczystsze partie jej ciała.

Pracowaliśmy w ciemności ponad godzinę, podczas której oglądałam denatkę cal po calu. Miała jasną skórę, najwyraźniej nie lubiła się opalać. Słabe mięśnie, szczupła budowa ciała, wzrost pięć stóp. Lewe ucho przekłute trzy razy, prawe dwa. Miała złote kolczyki i pierścionki. Była ciemną blondynką o niebieskich oczach i regularnych rysach twarzy, które mogły nie wyglądać tak szyderczo, gdyby ofiara nie ogoliła głowy i nie

została zabita. Paznokcie u rąk miała nie pomalowane i obgryzione do mięsa.

Jedyny ślad po starych obrażeniach stanowiły zagojone blizny na czole i na szczycie głowy, ponad lewą kością ciemieniową. Miały kształt linii, jedna długości półtora cala, druga dwóch cali. Jedynym widocznym śladem wystrzału na jej rękach były resztki prochu pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem prawej dłoni, którą najprawdopodobniej uniosła w obronnym geście, kiedy pistolet wypalił. Ten ślad wykluczał samobójstwo.

– Nie wiemy, czy była prawo, czy leworęczna?

Głos Horowitza zabrzmiał gdzieś w ciemności poza mną.

– Prawe ramię jest chyba lepiej umięśnione od lewego – zauważyłam.

– A zatem praworęczna. Jest niedożywiona i niezbyt czysta – ciągnął Horowitz.

– Jak na przykład prostytutka. To się zgadza z moimi domysłami – dodał O'Donell.

– Żadne dziwki, jakie znam, nie golą głów. – Z ciemności po drugiej stronie stołu dobiegł do nas burkliwy głos Marino.

– Zależy od tego, komu chciała się podobać – zasugerował O'Donell. – Tajniak, który zauważył ją w metrze, myślał z początku, że to mężczyzna.

– To wtedy, kiedy była z Gaultem – powiedział Marino.

– Kiedy była z mężczyzną, który, jak sądzisz jest Gaultem.

– Nie sądzę – odparł Marino – ja wiem. Niemal czuję tego sukinsyna, jakby zostawiał za sobą smród.

– Zapach, który czujesz, raczej pochodzi od niej – zauważył O'Donell.

– Opuść to niżej, dokładnie tutaj. Dobra, dzięki. – Rader zbierał kolejne włókna, podczas gdy bezcielesne głosy kontynuowały rozmowę w ciemności.



– Uważam, że to dosyć niezwykle – odezwałam się. – Zasadniczo, tak wiele pozostałych na ciele włókien sugerowałoby, że ofiara była owinięta w brudny koc czy wieziona w bagażniku samochodu.

– To oczywiste, że nie kąpała się ostatnio, a jest zima – powiedział Rader, kiedy przesunął światłowód, oświetlając bladą, dziecięcą bliznę szczepienia przeciwko ospie. – Mogła nosić to samo ubranie od kilku dni, a jeśli jeździła autobusami czy metrem, to zebrała mnóstwo rozmaitych drobin.

To wszystko składało się na obraz biednej kobiety, której zaginięcia jak dotąd nikt nie zgłosił, ponieważ nie miała domu i nikt nie wiedział ani nie dbał o to, że zniknęła. Aż do momentu kiedy położyliśmy ją na stole numer sześć w pokoju sekcyjnym, gdzie biegły dentysta sądowy, doktor Graham, czekał na zbadanie jej uzębienia, uważaliśmy ją za typową bezdomną.

Młody mężczyzna o szerokich ramionach i wyglądzie człowieka roztargnionego, co nasuwało na myśl wykładowcę szkoły medycznej, był chirurgiem szczękowym na Staten Island, gdzie zajmował się żywymi pacjentami. Ale dzisiaj pracował przy tych, którzy skarżyli się w milczeniu, i robił to za wynagrodzenie, które prawdopodobnie nie pokryłoby kosztu taksówki czy rachunku za lunch. Stężenie pośmiertne opanowało już ciało i zmarła kobieta nie współpracowała z nim, niczym dziecko, które boi się dentysty. W końcu rozwarł jej usta cienkim pilnikiem.

– No, no, wesołych świąt – odezwał się, przysuwając bliżej jasną lampę.  
– Ma usta pełne złota.

– Nadzwyczaj interesujące – zainteresował się Horowitz, niczym matematyk rozważający ciekawy problem.

– To są złote plomby. – Wskazał wypełnienia w pobliżu linii dziąsła z przodu każdego zęba. – Tutaj, tutaj i tutaj.

Pokazywał kolejne.

– W sumie sześc. To bardzo rzadkie. Prawdę mówiąc, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie w kostnicy.

– Co to, do diabła, jest złota plomba? – spytał Marino.

– Drzazga w dupie, ot co – odparł Graham. – Bardzo trudne, nieprzyjemne leczenie zębów.

– Przypuszczam, że dawniej trzeba to było zdać, by otrzymać dyplom dentysty – powiedziałam.

– Zgadza się. – Graham nie przerywał pracy. – Studenci nienawidzą tego.

Wyjaśniał, że technika ta wymaga od dentysty roztarcia w zębie złotych kuleczek, a najmniejszy ślad wilgoci mógł spowodować wypadnięcie wypełnienia. Mimo że plomby takie okazywały się bardzo trwałe, ich wykonanie było pracochłonne, bolesne i drogie.

– I niewielu pacjentów – dodał – zakłada je na przednich zębach, które przecież ciągle widać.

Opisywał rozmaite plombowania, ekstrakcje, kształt zębów i ich zdeformowanie, które czyniło tę kobietę tym, kim była. Miała lekko otwarty zgryz i półkoliste starcie przednich zębów – prawdopodobnie wynikające z zagryzania przez nią fajki – ponieważ powiedziano mu, że była z nią widziana.

– Jeżeli nałogowo paliła fajkę, to czy nie powinna mieć na zębach zażółceń od tytoniu? – spytałam, gdyż nie widziałam ich śladu.

– Możliwe. Ale spójrzcie, jak są zerodowane powierzchnie zębów. Te wyżłobienia na poziomie linii dziąsła, które wymagały złotych wypełnień. – Pokazał nam. – Największe zniszczenia w uzębieniu pochodzą od obsesyjnego mycia szczotką.

– Skoro szorowała zęby jak głupia dziesięć razy dziennie, nie mogła mieć plam od tytoniu – podsumował Marino.

– Takie postępowanie nie pasuje do ogólnego stanu jej higieny – skomentowałam. – Prawdę powiedziawszy, jej jama ustna nie pasuje do reszty.

– Może pan określić, kiedy wykonano te plomby? – spytał Rader.

– Niezbyt dokładnie – zastrzegł się Graham, kontynuując badanie. – Ale zasadniczo są w dobrym stanie. Powiedziałbym, że prawdopodobnie wszystkie wykonał ten sam dentysta, a niemal jedynym miejscem w kraju, gdzie nadal się to praktykuje, jest Zachodnie Wybrzeże.

– Zastanawiam się, skąd pan to może wiedzieć? – spytał go detektyw O'Donell.

– Niewielu dentystów zakłada takie plomby. Ja ich nie robię. Nawet nie znam nikogo, kto by je robił. Ale istnieje stowarzyszenie o nazwie American Academy of Gold Foil Operators, liczy kilkuset członków – dentystów dumnych z tego, że nadal wykonują te szczególne naprawy ubytków. A najwięcej ich mieszka w stanie Waszyngton.

– Dlaczego ktoś chciałby mieć takie plomby? – spytał O'Donell.

– Złoto wytrzymuje bardzo długo. – Graham popatrzył na niego. – Ludzie czasem interesują się tym, co się im wkłada do ust. Chemikalia zawarte w białych plombach kompozytowych mogą przypuszczalnie powodować uszkodzenie nerwu zęba. Ulegają przebarwieniom i dużo szybciej się wypłukują. Natomiast co do srebra, to niektórzy uważają, że powoduje wszystko – od cystofibrozy po wypadanie włosów.

– Taa... Niektóre prostytutki po prostu lubią wygląd złota – wtrącił Marino.

– Niektóre tak – zgodził się Graham. – Mogła być jedną z nich.

Ale ja tak nie myślałam. Ta kobieta nie robiła na mnie wrażenia kogoś, kto dba o swój wygląd. Podejrzywałam, że nie ogoliła sobie głowy na pokaz albo kierując się modą. Kiedy zaczęliśmy badać wnętrze jej ciała,

zrozumiałam więcej, chociaż wcale nie byliśmy bliżej rozwiązania tajemnicy.

Przeszła histerektomię – zabieg polegający na usunięciu macicy przez pochwę i pozostawieniu jajników. Miała płaskostopie, a pod znalezionymi przez nas wcześniej bliznami na głowie stary krwiał w płacie czołowym, stanowiący pozostałość po poważnym ciosie, który spowodował pęknięcie czaszki.

– Padła ofiarą jakiegoś napadu, prawdopodobnie wiele lat temu – doszłam do wniosku. – Tego rodzaju obrażenie głowy może się wiązać ze zmianą osobowości.

Pomyślałam o jej tułaczce po świecie i o tym, że nikt za nią nie tęsknił.

– Przypuszczalnie została odrzucona przez rodzinę, bo miała zaburzenia osobowości.

– Zobaczmy, czy możemy szybko załatwić badanie toksykologiczne. Sprawdźmy ją na obecność difenylhydantoiny.

Przez resztę dnia niewiele dało się zrobić. Miasto żyło Bożym Narodzeniem i laboratoria oraz większość urzędów były zamknięte. Wraz z Marino przeszłam kilka przecznic w kierunku Central Parku, zanim wstąpiliśmy do greckiej kafejki, gdzie wypiliśmy tylko kawę, bo nie mogłam nic przełknąć. Potem złapaliśmy taksówkę.

Wesleya nie było u siebie. Wróciłam do swojego pokoju i przez długi czas stałam przed oknem, wyglądając na ciemne, splątane drzewa i czarne skałki. Niebo pokrywały ciężkie chmury. Nie widziałam ani ślizgawki, ani fontanny, przy której znaleziono martwą kobietę. Chociaż nie byłam na miejscu zbrodni wówczas, kiedy znajdowało się tam jej ciało, obejrzałam dokładnie fotografie. To, co zrobił Gault, było straszne i zastanawiałam się, gdzie on teraz jest.

Nie potrafię zliczyć wszystkich przypadków gwałtownej śmierci, z jakimi zetknęłam się od początku swojej kariery, ale mimo to wiele z nich potrafiłam jakoś wytłumaczyć. Nie jest trudno zrozumieć ludzi rozwścieczonych, nafaszerowanych prochami, przerażonych czy szalonych, oni mogli zabić. Nawet psychopaci mają swoją własną pokrętną logikę, ale Temple Brooks Gault wymykał się jakiemukolwiek opisowi czy wyliczeniom.

Jego pierwsze spotkanie z aparatem sprawiedliwości nastąpiło niespełna pięć lat temu, kiedy pił white russians w barze w Abingdon, w Wirginii. Pewien pijany kierowca ciężarówki, czujący niechęć do zniewieściałych mężczyzn, zaczął dokuczać Gaultowi, który miał czarny pas w karate. Gault skrzywił się w swoim dziwnym uśmiechu, wstał bez słowa, obrócił się na pięcie i kopnął faceta prosto w głowę. Przy stoliku obok siedziało z pół

tuzina gliniarzy po służbie i chyba tylko dlatego został wówczas złapany i oskarżony o zabójstwo.

Jego kariera w wirgińskim więzieniu była krótka i dziwaczna. Stał się ulubieńcem skorumpowanego wartownika, który sfałszował dokumenty Gaulta, umożliwiając mu ucieczkę. Gault znalazł się na wolności, ale nim spotkał i zabił Eddiego Heatha, zmasakrował kobietę w Central Parku. Posunął się do zamordowania mojej kierowniczkę kostnicy, wartownika i Helen, strażniczki więziennej. Miał wtedy trzydzieści jeden lat.

Za moim oknem zaczęły dryfować płatki śniegu, które w dali osiadały na drzewach jak mgła. Na trotuarze zadźwięczały kopyta; ciągnięta przez konia dorożka przejechała z dwojgiem pasażerów, okutanych w kraciaste pledy. Biała klacz była stara i nie stąpała pewnie, a kiedy się ślizgała, powożący wściekle okładał ją batem. Inne konie stały ze spuszczoneymi głowami przykryte niechlujnymi derkami i obserwowały pogodę ze smutną rezygnacją, a ja poczułam, jak zaczyna mnie dławić wściekłość. Serce uderzało mi gwałtownie. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, odwróciłam się pospiesznie.

– Kto tam? – spytałam ostro.

– Kay? – odezwał się Wesley po krótkiej przerwie.

Wpuściłam go. Baseballową czapkę i ramiona płaszcza miał mokre od śniegu. Zdjął skórzane rękawiczki, wepchnął je do kieszeni i nie odrywając ode mnie wzroku, zdjął płaszczy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Powiem ci, o co chodzi. – Głos mi drżał. – Podejź tu i popatrz.

Chwyciłam go za rękę i pociągnęłam do okna.

– Tylko popatrz! Czy ty myślisz, że te biedne konie mają choć dzień odpoczynku? Sądzisz, że ktoś o nie dba? Czy uważasz, że są chociaż

wyczesane lub odpowiednio podkute? Wiesz, co się dzieje, kiedy się potykają, bo jest ślisko, a one są stare jak cholera i prawie się przewracają?

– Kay...

– Są po prostu mocniej bite.

– Kay...

– Więc dlaczego nic z tym nie zrobisz? – pomstowałam.

– A co byś chciała, żebym zrobił?

– Coś. Świat pełen jest ludzi, którzy nic nie robią i jestem tym kurewsko zmęczona.

– Mam napisać skargę do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami? – spytał.

– Tak, chciałabym, żebyś to zrobił – powiedziałam. – Ja też to zrobię.

– Czy wystarczy, jeżeli uczynimy to jutro, ponieważ, jak sędzę, nie działa dzisiaj żaden urząd?

Nadal wyglądałam przez okno, a woźnica znowu okładał swego konia.

– Już dość – sapnęłam.

– Dokąd idziesz?

Kiedy zmierzałam do windy, wyszedł z pokoju i pośpieszył za mną. Przeszłam przez hall i bez płaszcza wyszłam frontowymi drzwiami z hotelu. Śnieg padał coraz gęstszy i ulica była oblodzona. Obiektem mego gniewu okazał się zgarbiony na koźle stary człowiek w kapeluszu. Gdy ujrzał podchodzących – kobietę w średnim wieku z wysokim mężczyzną podążającym jej śladem – wyprostował się.

– Macie państwo ochotę na miłą przejażdżkę? – spytał z twardym akcentem.

Klacz wyciągnęła w moją stronę szyję i postawiła uszy, jakby wiedziała, na co się zanoszi. Miała skórę pokrytą bliznami, nogi o przerośniętych kopytach i ciemne oczy z różowymi obwódkami.

– Jak się nazywa twój koń? – spytałam.

– Biały Śnieg. – Wyglądał równie nędznie, co jego żalosna kobyła. Zaczął cytować swój cennik.

– Nie interesują mnie pańskie trasy – odrzekłam, a on spojrzał na mnie z góry ze znużeniem.

– Więc jak długo chcecie jeździć? – Wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparłam sucho. – A ile czasu zajmie ci jazda, zanim znowu zaczniesz okładać klacz batem? W święta tłuczesz ją mniej czy więcej?

– Jestem dobry dla swego konia – powiedział zbity z tropu.

– Jesteś dla niego okrutny; i prawdopodobnie dla wszystkiego, co żyje i oddycha – podsumowałam.

– Mam swoją robotę do wykonania – rzekł, a oczy mu się zwężyły.

– Jestem lekarzem i napiszę na ciebie skargę – oświadczyłam, kiedy się odrobinę uspokoiłam.

– Co? – zarechotał. – Jesteś końskim lekarzem?

Podeszłam bliżej budy, aż znalazłam się tuż obok dorożkarza.

– Uderzysz tą klacz jeszcze raz, a ja to zobaczę – oświadczyłam z kamiennym spokojem, jaki rezerwowałam sobie dla ludzi, których nienawidziłam. – Ten mężczyzna za mną także to będzie widział. Z tamtego okna, tam, na górze. – Pokazałam mu. – A pewnego dnia obudzisz się i stwierdzisz, że kupiłam firmę, w której pracujesz i wywaliłam cię z roboty.

– Nie kupisz jej. – Spojrzał z zaciekawieniem na New York Athletic Club.

– Nie rozumiesz otaczającej cię rzeczywistości – zakończyłam.

Schowwał podbródek w kołnierz, ignorując mnie.

Gdy wracaliśmy do pokoju milczałam, a i Wesley nie odezwał się ani słowem. Wzięłam głęboki oddech, ale ręce nadal mi latały. Podeszedł do



barku i nalał nam po szklaneczce whisky, potem oparł mnie o poduszki i przykrył płaszczem nogi.

Zgasił światło i usiadł obok. Przez chwilę masował mi kark, podczas gdy ja patrzyłam w okno. Zasnute śnieżnymi chmurami niebo było szare i mokre, ale nie tak ponure, jak podczas ulewy. Zastanawiałam się, dlaczego śnieg wydaje się miękki, podczas gdy deszcz pada twardo i w jakiś sposób robi wrażenie zimniejszego.

Kiedy w Boże Narodzenie policja znalazła kruche, nagie ciało Eddiego Heatha, w Richmond było przenikliwie zimno i padał deszcz. Chłopiec oparty był o kontener na śmieci, stojący za opuszczonym budynkiem o zabitych deskami oknach i chociaż Eddie nie odzyskał nigdy przytomności, nie był jeszcze martwy. Gault uprowadził go z pobliskiego sklepu, do którego matka posłała go po puszkę zupy.

Nigdy nie zapomniałam niegościnnosci tego brudnego miejsca, gdzie znaleziono chłopca, ani nieuzasadnionego okrucieństwa Gaulta, polegającego na położeniu obok ciała małej torby zawierającej puszkę zupy i batonik, który Eddie kupił sobie przed śmiercią. Cała scena była tak realna, że nawet policjant z Henrico County zapłakał. Przywołałam w pamięci widok obrażeń Eddiego i gorący dotyk jego ręki, kiedy badałam go na pediatrycznym oddziale intensywnej opieki, zanim został odłączony od podtrzymującej życie aparatury.

– Och, Boże – zamruczałam w ciemnym pokoju. – Och, Boże, jaka jestem tym wszystkim zmęczona.

Wesley nie odpowiedział. Podniósł się i z drinkiem w dłoni stanął przed oknem.

– Jestem zmęczona okrucieństwem. Jestem zmęczona ludźmi chłostającymi konie i zabijającymi małych chłopców oraz uszkodzone na umyśle kobiety.

Wesley nie odwrócił się.

– Jest Boże Narodzenie. Powinnaś zadzwonić do rodziny.

– Masz rację. To być może mnie rozweseli.

Wydmuchałam nos i sięgnęłam po telefon. W domu siostry w Miami nikt nie odpowiadał. Wyjęłam z torebki notes z adresami i zatelefonowałam do szpitala, w którym od tygodni leżała moja matka. Pielęgniarka z oddziału intensywnej opieki powiedziała mi, że Dorothy jest u matki i że zawoła ją.

– Halo?

– Wesołych świąt – powiedziałam do mojej jedynej siostry.

– Sądzę, że to ironia, jeżeli weźmiesz pod uwagę, gdzie jestem. Z pewnością nie ma nic szczęśliwego w tym miejscu, ale nie możesz o tym wiedzieć, skoro cię tutaj nie ma.

– Jestem obeznana z tymi oddziałami. Gdzie jest Lucy i jak się czuje?

– Wyszła z przyjaciółką po sprawunki. Podrzuciły mnie tutaj i zabiorą z powrotem mniej więcej za godzinę. Potem pójdziemy na mszę. No cóż, nie wiem, czy ta przyjaciółka przyjdzie, ponieważ nie jest katoliczką.

– Przyjaciółka Lucy ma imię. Nazywa się Janet i jest bardzo miła.

– Nie zamierzam się w to zagłębiać.

– Jak mama?

– Tak samo.

– To znaczy? – spytałam, bo zaczęła mnie wkurzać.

– Musieli ją dzisiaj często odsysać. Nie wiem, na czym polega problem, ale nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to okropne, jak próbuje kaszlnąć i z powodu tej okropnej rury w gardle nie wydaje żadnego dźwięku. Dzisiaj mogła się obyć bez respiratora tylko pięć minut.

– Wie, jaki mamy dzień?

– Och, tak – potwierdziła Dorothy złowieszczo. – Bardzo dobrze. Postawiłam na jej stoliku małą choinkę. Bardzo płakała.

Tępy ból zagnieździł mi się w klatce piersiowej.

– Kiedy przyjedziesz? – spytała.

– Nie wiem. Nie możemy teraz wyjechać z Nowego Jorku.

– Czy nic cię nie uderza w tym, Katie, że większą część życia spędzasz na zajmowaniu się nieżyjącymi? – Jej głos stał się ostry. – Myślę, że masz relacje wyłącznie ze zmarłymi...

– Dorothy, powiedz mamie, że ją kocham i że dzwoniłam. Powtórz, proszę, Lucy i Janet, że spróbuję zatelefonować wieczorem lub jutro.

Odłożyłam słuchawkę.

Wesley stał ciągle przed oknem, zwrócony do mnie plecami. Znał moje rodzinne problemy.

– Przykro mi – powiedział uprzejmie.

– Zachowywałyby się tak samo, nawet gdybym tam była.

– Wiem. Ale prawda jest taka, że ty powinnaś być tam, a ja w domu.

Kiedy to powiedział, poczułam się nieszczęśliwa, ponieważ jego dom i mój nie były tym samym domem. Znowu pomyślałam o obecnej sprawie i kiedy zamknęłam oczy, ujrzałam kobietę, która wyglądała jak manekin bez ubrania i peruki. Zobaczyłam jej okropne rany.

– Benton, kogo on tak naprawdę zabija, kiedy morduje tamtych ludzi? – odezwałam się.

– Siebie – odparł. – Gault zabija samego siebie.

– To nie może być wszystko.

– Nie, ale stanowi część tego.

– Dla niego to jest sport.

– To prawda.

– Co z jego rodziną? Wiemy coś więcej na jej temat?

– Nie. – Nadal się nie odwracał. – Matka i ojciec mieszkają w Beaufort, w Karolinie Południowej.

– Przeprowadzili się z Albany?

– Pamiętasz powódź?

– Ach, tak. Huragan.

– Południowa Georgia została zmieciona niemal do czysta. Najwyraźniej Gaultowie wyjechali i są teraz w Beaufort. Sądzę, że szukają prywatności.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Właśnie. Przez ich dom w Georgii przewalały się autobusy turystów. Do drzwi pukali dziennikarze. Nie współpracowali z władzami. Jak wiesz, wielokrotnie prosiłem o rozmowę i odmawiali mi.

– Chciałabym, żebyśmy wiedzieli coś więcej o jego dzieciństwie.

– Dorósł na rodzinnej plantacji, która składała się z wielkiego białego drewnianego domu, otoczonego setkami akrów drzew pekanowych. Obok stała fabryczka, produkująca batony orzechowe i inne słodczyce, które możesz zobaczyć w zajazdach dla ciężarówek i restauracjach, głównie na południu Stanów. Ale co się działo w domu, kiedy Gault w nim mieszkał, nie wiemy.

– A jego siostra?

– Nadal jest gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu, jak sądzą. Nie udało się nam jej znaleźć, żeby z nią pogadać. Prawdopodobnie i tak by z nami nie rozmawiała.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że Gault się z nią kontaktował?

– Trudno powiedzieć. Nie znaleźliśmy niczego, co by wskazywało, że byli sobie kiedykolwiek bliscy. Nawet nie wiemy, że Gault w całym swoim życiu był blisko – w normalnym tego słowa znaczeniu – z kimkolwiek.

– Co robiłeś dzisiaj? – Mój głos złagodniał i poczułam się bardziej odprężona.

- Pogadałem z kilkoma detektywami i sporo chodziłem.
  - Dla sportu czy służbowo?
  - Głównie to drugie, ale właściwie z obu powodów. Przy okazji, Biały Śnieg zniknęła. Woźnica został w pustej dorożce. I nie uderzył jej.
- Otworzyłam oczy.
- Proszę, opowiedz mi więcej o swoich spacerach.
  - Przeszedłem od miejsca, gdzie widziano Gaulta z ofiarą na stacji metra przy Central Park West i Osiemdziesiątej Pierwszej. Zależnie od pogody i tego, jaką drogą pójdziesz, to wyjście z metra jest o pięć, dziesięć minut drogi od Ramble.
  - Ale wcale nie wiemy, że tam poszli.
  - Prawdę mówiąc, nie wiemy nic. – Westchnął przeciągle i głęboko. – Mamy zachowane odciski obuwia, ale jest tam mnóstwo innych śladów: nóg, kopyt, psich łap i Bóg wie czego jeszcze. A przynajmniej były. – Spojrzał na uderzający o szybę śnieg.
  - Myślisz, że on mieszka gdzieś w okolicy?
  - Ta stacja metra nie jest przesiadkowa. To przystanek docelowy. Ludzie, którzy tam wysiadają, mieszkają albo na Upper West Side, albo idą do restauracji, muzeum czy na zawody w parku.
  - I to jest powód, dla którego uważam, że Gault nie mieszka nigdzie w okolicy – powiedziałam. – Na stacji takiej jak ta przy Osiemdziesiątej Pierwszej, czy innych w pobliżu, prawdopodobnie widzi się ciągle tych samych ludzi. Policjant, który dał Gaultowi mandat, rozpoznałby go, gdyby Gault był kimś miejscowym i często korzystał z kolejki.
  - To istotna uwaga – przyznał Wesley. – To znaczy, że Gault zna teren, który wybrał na miejsce popełnienia zbrodni. Tyle że nie mam żadnych wskazówek, by kiedykolwiek spędził tutaj dużo czasu. Więc skąd go zna? – Odwrócił się do mnie.

Światła w pokoju były zgaszone, a on stał w mroku na tle szarego nieba za domem i śniegu. Wyglądał kiepsko, ciemne spodnie wisiały na nim, a pasek zapięty miał na nową dziurkę.

– Schudłeś – zauważyłam.

– Pochlebia mi, że to dostrzegłaś – powiedział kwaśno.

– Znam twoje ciało dobrze tylko wówczas, kiedy nie jesteś ubrany. A wtedy jesteś piękny.

– Wtedy, jak sądzę, to jest jedyna chwila, która ma znaczenie.

– Nie tylko. Ile schudłeś i dlaczego?

– Nie wiem ile. Nigdy się nie ważę. Czasem zapominam o jedzeniu.

– A dzisiaj jadłeś coś? – spytałam, jakbym była jego lekarzem domowym.

– Nie.

– Wkładaj płaszcz – poleciłam.



Idąc wzdłuż ogrodzenia parku, trzymaliśmy się za ręce i nie przypominałam sobie, czy kiedykolwiek wcześniej okazywaliśmy publicznie swoje uczucie. Ale tych kilkoro ludzi wokół nas nie mogło widzieć wyraźnie naszych twarzy, a nawet gdyby, to i tak o to nie dbali.

Przeszliśmy w milczeniu wiele przecznic, a ja rozmyślałam o swojej rodzinie w Miami. Mogłam zadzwonić do nich przed nocą, a nagrodą stałyby się przypuszczalnie kolejne narzekania. Byli nieszczęśliwi z mego powodu, ponieważ nie zrobiłam tego, czego oczekiwali; a ilekroć to się zdarzało, szaleńczo chciałam ich opuścić, jakby byli niechcianą pracą lub

nałogiem. Martwiłam się o Lucy, którą zawsze kochałam, tak jakby była moją córką. Matce nie byłam w stanie dogodzić, a Dorothy nie lubiłam.

Przysunęłam się bliżej do Bentona i wzięłam go pod rękę, przytuliłam się do niego. Oboje mieliśmy czapki z daszkami, które utrudniały całowanie się, więc stanęliśmy w gęstniejącym zmierzchu na chodniku, odwróciliśmy je do tyłu jak łobuziaki i w ten sposób rozwiązaliśmy nasz problem. Potem śmialiśmy się z własnego wyglądu.

– Cholera, szkoda, że nie mam aparatu. – Wesley zaśmiał się głośniej.

– Nie ma czego żałować.

Odwróciłam czapkę we właściwą stronę i pomyślałam, że ktoś zrobiłby nam wspólne zdjęcie. To mi przypomniało, że postępujemy nagannie i szczęśliwa chwila uleciała. Poszliśmy dalej.

– Benton, to nie może tak trwać bez końca – oświadczyłam.

Nie odpowiedział, więc kontynuowałam:

– Na co dzień jesteś układnym mężem i ojcem, a potem wyjeżdżamy z miasta.

– Jak się w związku z tym czujesz? – W jego głosie ponownie pojawiło się napięcie.

– Sądzę, że tak samo jak większość ludzi, którzy mają romanse. Winna, zawstydzona, pełna obaw i smutku. Mam migreny, a ty chudniesz. – Przerwałam na chwilę. – Potem się spotykamy.

– A co z zazdrością?

Zawahałam się.

– Staram się być na tyle zdyscyplinowana, żeby jej nie odczuwać.

– Nie da się tego opanować.

– Z pewnością można. Oboje robimy to cały czas, kiedy pracujemy nad sprawami takimi jak ta.

– Jesteś zazdrosna o Connie? – drążył dalej temat.

- Zawsze lubiłam twoją żonę i uważam ją za miłą osobę.
- Ale jesteś zazdrosna o mój związek z nią? To byłoby bardzo zrozumiałe...

Przerwałam mu.

- Dlaczego musisz to rozgrzebywać?
- Ponieważ chcę stawić czoło faktom i jakoś wszystko poukładać.
- Dobra, więc powiedz mi coś – rzekłam. – Kiedy byłam z Markiem, wówczas twoim partnerem i najlepszym przyjacielem, czułeś kiedykolwiek zazdrość?

- O kogo? – starał się być zabawny.
- Czy byłeś kiedykolwiek zazdrosny o mój związek z Markiem? – zapytałam.

Nie odpowiedział bezpośrednio.

- Skłamałbym, gdybym nie przyznał, że zawsze mnie pociągałaś. Bardzo mocno – dodał na koniec.

Wróciłam myślą do czasów, kiedy Mark, Wesley i ja byliśmy razem. Szukałam najdrobniejszego wspomnienia potwierdzającego, co powiedział. Nie mogłam sobie nic przypomnieć, ale kiedy byłam z Markiem, moja uwaga ogniskowała się wyłącznie na nim.

- Jestem szczery – ciągnął Wesley. – Porozmawiajmy ponownie o tobie i Connie. Muszę wiedzieć.

- Dlaczego?
- Muszę wiedzieć, czy możemy być wszyscy razem – odparł. – Jak dawniej, kiedy przychodziłaś do nas na kolację lub wpadałaś z wizytą. Moja żona zaczęła pytać, dlaczego już tego nie robisz.
- Wspominałeś, że obawiasz się, iż staje się podejrzliwa.
- Pojawił się pewien problem. Ona cię lubi. A teraz, ponieważ pracujemy razem, zastanawia się, dlaczego widzi cię rzadziej niż dawniej.



– Rozumiem, że to może dziwić.

– Co zamierzasz zrobić?

Bywałam w domu Bentona i widziałam go z żoną oraz dziećmi. Z chwil, w których na krótko dzielili swój świat z przyjaciółmi, zapamiętałam dotknięcia, uśmiechy i aluzje odnoszące się do rzeczy, o których nic nie wiedziałam. Ale w tamtych czasach było inaczej, ponieważ kochałam Marka, który teraz nie żył.

Puściłam dłoń Wesleya. Żółte taksówki przejeżdżały w obłokach śniegu, a w oknach budynków mieszkalnych płonęły ciepło światła. Pod wysokimi żelaznymi lampami park jarzył się bielą.

– Nie mogę tego zrobić – odparłam.

Skręciliśmy w stronę Central Park West.

– Przykro mi, ale nie sądzę, bym mogła przebywać obok ciebie i Connie – dodałam.

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż potrafisz panować nad swoimi emocjami.

– Łatwo ci to mówić; ja nie mam nikogo innego w życiu.

– W pewnym momencie będziesz musiała to zrobić. Nawet jeśli zerwiemy ze sobą, będziesz musiała mieć do czynienia z moją rodziną. Jeśli będziemy pracować razem, jeśli będziemy przyjaciółmi.

– A zatem stawiasz mi ultimatum?

– Wiesz, że nie.

Przyśpieszyłam kroku. Kiedy poszliśmy pierwszy raz do łóżka, potwornie skomplikowałam sobie życie. Z pewnością powinnam być mądrzejsza. Na stole sekcyjnym widziałam więcej niż tylko jednego biednego głupca, który zdecydował się na związek z kimś żonatym czy zamężnym. Ludzie unicestwiali siebie i innych. Wariowali lub wnosili sprawę o rozwód.

Minęłam Tavern on the Green. Spojrzałam w górę na budynek Dakota Center, gdzie na rogu, wiele lat temu, zabito Johna Lennona. Stacja metra znajdowała się bardzo blisko Cherry Hill i zastanawiałam się, czy Gault mógł opuścić park i przyjść tutaj. Stałam i gapiłam się. Tamtej nocy, ósmego grudnia, jechałam z sądu do domu, kiedy usłyszałam w radio, że Lennon został zastrzelony przez jakieś absolutne zero, mające ze sobą egzemplarz „Catcher in the Rye”.

– Benton – powiedziałam. – Tutaj mieszkał Lennon.

– Tak. Zginął dokładnie tu, przy wejściu.

– Czy to może mieć dla Gaulta jakieś znaczenie?

Nie odpowiedział od razu.

– Nie pomyślałem o tym.

– Może powinniśmy się nad tym zastanowić?

Milczał, patrząc w górę Dakota Center, ozdobionego kutym żelazem i miedzianymi ornamentami.

– Przypuszczalnie powinniśmy pomyśleć o wszystkim – odrzekł.

– Kiedy Lennon został zamordowany, Gault był nastolatkiem. Sądząc po jego mieszkaniu w Richmond, zdawał się preferować muzykę klasyczną i jazz. Nie przypominam sobie, by miał choć jeden album Lennona lub Beatlesów.

– Jeżeli jest zafascynowany Lennonem – wyjaśnił Wesley – to nie ze względu na muzykę. Gaulta mogłaby ekscytować sensacyjność tej zbrodni.

Poszliśmy dalej.

– Nie ma po prostu dosyć ludzi do zadawania pytania, na które szukamy odpowiedzi – rzekłam.

– Potrzebowalibyśmy całego departamentu policji. Może całego FBI.

– Możemy sprawdzić, czy ktokolwiek pasujący do jego opisu nie był widziany wokół Dakoty? – spytałam.

– Do diabła, mógł tutaj mieszkać – powiedział Wesley z goryczą. – Jak dotąd wydaje się, że pieniądze nie stanowią dla niego problemu.

Za rogiem Muzeum Historii Naturalnej znajdowały się przykryte czapami śniegu różowe markizy restauracji o nazwie Scaletta, i zaskoczyło nas, że była oświetlona, a w środku panował gwar. Jakaś para w futrzanych płaszczach skręciła w tę stronę i zeszła na dół, a ja zastanowiłam się, czy mamy zrobić to samo. Czułam się coraz głodniejsza, a i Wesley nie powinien więcej tracić na wadze.

– Jesteś za tym? – spytałam.

– Absolutnie. Czy Scaletta to jakiś twój krewny?

– Nie sądzę.

Doszliśmy zaledwie do drzwi, kiedy poinformowano nas, że restauracja jest zamknięta.

– Z całą pewnością nie wygląda na nieczynną – powiedziałam nagle wyczerpana, nie mając ochoty iść ani kroku dalej.

– Ale tak jest, *signora*. – *Maître d'* był niski, łysiejący i nosił jasnoczerwony smoking z szerokim jedwabnym pasem na brzuchu. – To prywatne przyjęcie.

– A kto to jest Scaletta? – spytał go Wesley.

– Czemu pan chce wiedzieć?

– To ciekawe nazwisko, podobne do mojego – wyjaśniłam.

– A jak brzmi pani?

– Scarpetta.

Popatrzył uważnie na Wesleya i wydał się zaintrygowany.

– Tak, oczywiście. Ale nie jest z panią dziś wieczorem?

Spojrzałam na niego bezmyślnie.

– Kto?

– Signor Scarpetta. Był zaproszony. Najmocniej przepraszam, nie wiedziałem, że będzie pani na tym przyjęciu...

– Zaproszony? – Nie miałam pojęcia, o czym tamten mówi.

Moje nazwisko jest dosyć rzadkie; nie spotkałam nigdy żadnego innego Scarpetty, nawet we Włoszech.

*Maître d'* zawahał się.

– Nie jest pani spokrewniona z tym Scarpetta, który często tutaj przychodzi?

– Jakim Scarpetta? – zaczęłam się denerwować.

– Mężczyzna. Ostatnio bywał tu bardzo często. Bardzo dobry klient. Został zaproszony na nasze przyjęcie gwiazdkowe. A zatem nie jesteście państwo jego gośćmi?

– Proszę mi o nim powiedzieć coś więcej – rzekłam.

– Młody człowiek. Wydaje dużo pieniędzy – uśmiechnął się *maître d'*.

Poczułam, jak ciekawość Wesleya rośnie.

– Mógłby go pan opisać? – poprosił.

– Mamy w środku dużo gości. Jutro ponownie otwieramy...

Wesley pokazał mu dyskretnie odznakę. Mężczyzna przyjrzał się jej spokojnie.

– Oczywiście. – Był uprzejmy, ale nie przestraszony. – Znajdę państwu stolik.

– Nie, nie – zaproponował Wesley. – Nie trzeba. Ale musimy zadać panu kilka pytań na temat tego młodego człowieka, który twierdzi, że jego nazwisko brzmi Scarpetta.

– Proszę wejść – nalegał tamten. – Rozmawiając, możemy równie dobrze siedzieć. Siedząc, równie dobrze możecie państwo jeść. Na imię mam Eugenio.

Poprowadził nas do przykrytego różowym obrusem stolika w rogu, z dala od ubranych wieczorowo gości, wypełniających salę jadalną. Wznosili toasty, jedli, rozmawiali i śmieli się w sposób charakterystyczny dla Włochów.

– Nie mamy dzisiaj całego menu – przeprosił Eugenio. – Mogę przynieść państwu *costoletta di vitello alla griglia* lub *pollo al limone*, może z niewielką ilością *capellini primavera* lub *rigatoni con broccolo*.

Zgodziliśmy się na wszystko, dodając do tego butelkę wina marki Dolcetto D’Alba, które było moim ulubionym i trudnym do dostania winem. Eugenio wyszedł po nie, gdy tymczasem mnie ogarnął mdły strach, a do głowy przychodziły mi najgorsze myśli.

– Nawet tego nie sugeruj – ostrzegłam Wesleya.

– Na razie niczego nie zamierzam sugerować.

Nie musiał. Restauracja znajdowała się w pobliżu stacji metra, na której widziano Gaulta. Mógł zwrócić uwagę na lokal ze względu na jego nazwę; Scaletta. To mogło spowodować, że pomyślał o mnie, a ja byłam kimś, o kim z pewnością dużo rozmyślał.

Niemal natychmiast zjawił się z powrotem Eugenio wraz z naszą butelką wina. Odwinął folię i wkręcił korkociąg, mówiąc:

– Proszę zobaczyć, 1979 rok, bardzo lekkie. Bardzo podobne do beaujolais.

Wyciągnął korek i nalał mi nieco do spróbowania.

Skinęłam głową i napełnił nasze kieliszki.

– Niech pan usiądzie, Eugenio – powiedział Wesley – i też sobie naleje. Proszę nam opowiedzieć o Scarpencie.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że pojawił się tutaj pierwszy raz przed kilkoma tygodniami. Wiem, że nigdy wcześniej tu nie był. Prawdę

mówiąc, to dosyć niezwykły człowiek.

– W jakim sensie? – spytał Wesley?

– Wyglądał niezwykle. Bardzo jasne rude włosy, szczupły, ubrany niecodziennie. Wicie państwo, długi, czarny skórzany płaszcz, włoskie spodnie i chyba podkoszulek. – Spojrzał w sufit i ponownie wzruszył ramionami. – Jeżeli potraficie sobie wyobrazić kogoś, kto nosi eleganckie spodnie i buty od Armaniego i do tego podkoszulek. Nie wyprasowany.

– Był Włochem? – spytałam.

– Och, nie. Mógł oszukać innych ludzi, ale nie mnie. – Eugenio potrząsnął głową i nalał sobie kieliszek wina. – To Amerykanin. Ale może mówi po włosku, ponieważ korzystał z części menu napisanej w tym języku. Zamówił także po włosku, rozumiecie państwo? Nie po angielsku. Zresztą był w tym bardzo dobry.

– Jak płacił? – pytał Wesley.

– Zawsze kartą kredytową.

– I nazwisko na tej karcie brzmiało Scarpetta? – zapytałam.

– Tak, jestem tego pewien. Bez imienia, tylko z literą K. Powiedział, że ma na imię Kirk. Nie jest to włoskie imię. – Eugenio uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– A zatem był przyjacielski – powiedział Wesley, podczas gdy mój mózg wzbraniał się przed zaakceptowaniem tej informacji.

– Czasem był bardzo miły, a czasem niezbyt. Zawsze miał coś do czytania. Gazety.

– Był sam? – spytał Wesley.

– Zawsze.

– Jaką miał kartę?

Zastanowił się.

– American Express, złotą.

Spojrzałam na Wesleya.

– Masz przy sobie swoją kartę? – zapytał mnie.

– Na pewno.

Wyjęłam portfel; karty nie było.

– Nie rozumiem. – Poczułam, jak oblewa mnie rumieniec aż po cebulki włosów.

– Gdzie ją miałaś ostatni raz?

– Nie wiem. – Byłam jak ogłuszona. – Nie używam jej często. W wielu miejscach jej nie przyjmują.

Siedzieliśmy w milczeniu. Wesley sączył swoje wino i rozglądał się po sali. Byłam przerażona i oszołomiona. Nie rozumiałam, co to wszystko znaczy. Dlaczego Gault przyszedł tutaj i kupował na moje nazwisko? Jeżeli miał moją złotą kartę, to jak ją zdobył? Gdy tylko zadałam to pytanie, nasunęło się ponure podejrzenie. Quantico.

Eugenio podniósł się, by sprawdzić, co z naszymi daniami.

– Benton – krew gotowała mi się w żyłach – jesienią pozwoliłam korzystać z niej Lucy.

– Kiedy odbywała u nas praktykę? – Zmarszczył czoło.

– Tak, dałam jej kartę, gdy skończyła uniwersytet w Wirginii i wybierała się do akademii. Wiedziałam, że będzie mnie odwiedzać, latać do Miami na wakacje, i tak dalej. Dałam jej złotą kartę American Express głównie w tym celu, by wykorzystywała ją do kupna biletów lotniczych i kolejowych Amtraku.

– I od tej pory jej nie widziałaś? – patrzył z powątpiewaniem.

– Prawdę mówiąc, nawet o niej nie pomyślałam. Na ogół używam MasterCard lub Visy i wydaje mi się, że ważność karty Amexu wygaśnie w lutym. Więc musiałam sądzić, że Lucy będzie jej używała do tej pory.

– Lepiej do niej zadzwoń.

– Zadzwoń.

– Jeśli ona jej nie ma, będę podejrzewał, że Gault ukradł ją, kiedy w październiku włamano się do naszego Ośrodka Badań Inżynieryjnych.

Właśnie tego się obawiałam.

– A co z twoimi rachunkami? – spytał. – Czy w ostatnich kilku miesiącach zauważyłaś jakieś dziwne wydatki?

– Nie – odparłam. – W ogóle nie pamiętam, żeby były jakiegokolwiek pobrania przez cały październik i listopad.

Przerwałam na chwilę.

– Powinniśmy unieważnić tę kartę czy śledzić go dzięki niej?

– Namierzenie go w ten sposób może stanowić pewien problem.

– Z powodu pieniędzy.

Wesley zawahał się.

– Zobaczę, co będę mógł zrobić.

Wrócił Eugenio z naszym spaghetti. Powiedział, że starał się przypomnieć sobie coś jeszcze.

– Wydaje mi się, że ostatni raz był tutaj w czwartek wieczorem. – Policzył na palcach. – Cztery dni temu. Lubi *bistecca* i *carpaccio*. Ufff, niech pomyślę. Brał *fungi e carciofi* raz i zwykłe *capellini*. Bez sosu. Tylko trochę masła. Zaprosiliśmy go na przyjęcie. Robimy tak co roku, by okazać uznanie naszym przyjaciółom i specjalnym klientom.

– Palił? – spytał Wesley.

– Tak.

– Pamięta pan co?

– Tak, brązowe papierosy. Nat Shermans.

– A co z piciem?

– Lubił drogą szkocką i dobre wino. Tylko że on był – Eugenio zadarł nos – snobem. Myślał, że jedynie Francuzi produkują wino.



Roześmiał się.

– Więc zwykle brał Château Carbonnieux lub Château Oliver i rocznik nie mógł być młodszy niż 1989.

– Tylko białe wina? – spytałam.

– Nigdy czerwone. Nie dotknąłby czerwonego. Posłałem mu raz jedno od firmy, ale je odesłał.

Eugenio i Wesley wymienili wizytówki oraz inne informacje, a potem nasz *maître d'* zwrócił swoją uwagę na przyjęcie, które teraz mocno się rozkręciło.

– Kay – odezwał się Wesley – czy jesteś w stanie podać jakiegokolwiek inne wyjaśnienie tego, czego się dowiedzieliśmy?

– Nie – powiedziałam. – Opis tego mężczyzny wskazuje na Gaulta. Wszystko na niego wskazuje. Dlaczego on mi to robi? – Mój strach przerodził się w furję.

Spojrzenie Bentona było twarde.

– Pomyśl. Czy wydarzyło się ostatnio coś, o czym powinnaś mi powiedzieć? Dziwne telefony, tajemnicze przesyłki, przerwane połączenia?

– Żadnych dziwnych telefonów, żadnych przerwanych połączeń. Dostałam dziwaczny list, ale w mojej pracy to niemal normalne.

– Poza tym nic? A co z system antywłamaniowym? Odzywał się częściej niż zwykle?

Potrząsnęłam wolno głową.

– W tym miesiącu włączył się parę razy, ale nie było żadnych śladów, że coś jest nie w porządku. Poza tym naprawdę nie sądzę, by Gault spędzał w Richmond wiele czasu.

– Musisz być bardzo ostrożna – powiedział niemal zirytowany, jakbym taka nie była.

– Zawsze jestem bardzo ostrożna – oświadczyłam.

Następnego dnia miasto ponownie ruszyło do pracy, a ja zabrałam Marino na lunch do Tatou, ponieważ pomyślałam, że zanim pojedziemy do Brooklyn Heights spotkać się z komandor Penn, oboje potrzebujemy podnoszącej na duchu atmosfery.

Młody mężczyzna grał na harfie i większość stolików zajęta była przez atrakcyjne, dobrze ubrane pary. Bywalcy tego lokalu prawdopodobnie niewiele wiedzieli na temat życia szarych ludzi.

Czułam się dziwnie, zupełnie tu nie pasowałam. Patrząc poprzez stół na tani krawat Marino, zieloną sztruksową marynarkę oraz nikotynowe plamy na jego grubych palcach, czułam się samotna. Chociaż lubiłam jego towarzystwo, nie dzieliłam z nim swych głębszych myśli. Mógłby ich nie zrozumieć.

– Wygląda na to, że powinnaś wypić do lunchu lampkę wina, Doc – powiedział Marino, przyglądając mi się uważnie. – Śmiało. Ja prowadzę.

– Nie, nie pojedziesz. Weźmiemy taksówkę.

– W każdym razie, skoro i tak nie prowadzisz, możesz się wyluzować.

– Tak naprawdę to sam chcesz się napić wina.

– Nie mam nic przeciwko temu – oznajmił, kiedy zjawiała się kelnerka. – Co macie godnego degustacji?

Wykonała dobrą robotę, starając się nie wyglądać na urażoną, kiedy przedzierała się przez robiącą wrażenie listę, w której Marino się zgubił. Zaproponowałam, by spróbował beringer cabernet, które, jak wiedziałam, było dobrym winem, a potem zamówiliśmy po filiżance zupy z soczewicy i spaghetti bolonese.

– Ta zamordowana kobieta doprowadza mnie do szału – powiedział Marino, kiedy kelnerka odeszła.

Pochyliłam się nad stolikiem, zachęcając go do ściszenia głosu. Poszedł w moje ślady.

– Jest powód, dla którego ją poderwał.

– Prawdopodobnie taki, że tam była – skwitowałam jego słowa, gdyż ogarniał mnie coraz większy gniew. – Jego ofiary są dla niego niczym.

– Taaa, dobra, ale myślę, że jest w tym coś więcej. I chciałbym także wiedzieć, co spowodowało, że zawłókł swoją dupę do Nowego Jorku. Sądziś, że spotkał się z nią w muzeum?

– Możliwe – rzekłam. – Może dowiemy się czegoś więcej, kiedy tam pójdziemy.

– Czy wstęp kosztuje?

– Jeśli oglądasz wystawy, to tak.

– Miała mnóstwo złota w ustach, ale nie przypuszczam, żeby w chwili śmierci była przy forsie.

– Też tak sędzę. Ale ona i Gault weszli jakoś do muzeum. Widziano ich, jak wychodzili.

– Więc może spotkali się wcześniej, zabrał ją tam i zapłacił za nią.

– Może przyjdzie nam jakiś pomysł, gdy obejrzymy to, co on oglądał.

– Wiem, co go interesowało. Rekiny.

Jedzenie było wspaniałe i można było siedzieć w restauracji całymi godzinami. Czułam się potwornie zmęczona. Na moją psychikę składało się wiele warstw bólu i smutku, które zaczęły się na siebie nakładać, gdy byłam młoda. Potem, przez lata, dochodziły następne. Bardzo często wpadałam w ponury nastrój i teraz właśnie przyszła taka chwila.

Zapłaciłam rachunek, ponieważ jeśli byłam z Marino i wybierałam restaurację, ja płaciłam. Marino naprawdę nie było stać na Tatou. Nie było

go stać na Nowy Jork. Rzuciłam okiem na MasterCard i pomyślałam o karcie American Express, mój nastrój jeszcze się pogorszył.

Żeby się dostać na wystawę rekinów w Muzeum Historii Naturalnej, musieliśmy zapłacić po pięć dolarów i pójść na trzecie piętro. Marino wspinał się po schodach wolniej ode mnie, a ja starałam się nie słyszeć jego chrapliwego oddechu.

– Cholera, można by się spodziewać, że mają windę w tej budzie – poskarżył się.

– Mają – potwierdziłam. – Ale wejście po schodach dobrze ci zrobi. Dzisiaj to jedyne ćwiczenie, jakie wykonaliśmy.

Wystawę zaczęliśmy zwiedzać od gadów i płazów, po czym mineliśmy czternastostopowego aligatora, zastrzelonego sto lat temu w Biscayne Bay. Marino nie mógł się powstrzymać i przystawał przy każdym okazie, przyglądając się jaszczurkom, węzom i legwanom.

– Chodź – szepnęłam.

– Popatrz na jego rozmiary. – Marino stał zachwycony przed szczątkami zwiniętego, dwudziestotrzystopowego pytona. – Możesz sobie wyobrazić, że nadepnęłaś go w dżungli?

Muzea nie robią na mnie wrażenia, bez względu na to, jak bardzo mi się podobają. Winiłam za to ich twarde, marmurowe posadzki i wysokie sufity. I nienawidziłam węży i ich zębów jadowych. Gardziłam kobrami plującymi, jaszczurkami grzebieniastymi i aligatorami o obnażonych zębach. Przewodnik oprowadzał grupę młodych ludzi, którzy stali oczarowani przed terrarium z waranami z Komodo oraz żółwiami skórzastymi. Biedne zwierzęta już nigdy więcej nie pobiegną ani nie popłyną.

– Proszę was, kiedy jesteście na plaży i macie plastikowe pojemniki, wrzucajcie je do kubłów na śmieci, ponieważ ci kolesie nie mają

doktoratów z nauk przyrodniczych – mówił przewodnik z pasją ewangelisty. – Oni uważają, że to są meduzy...

– Marino, rusz się. – Pociągnęłam go za rękaw.

– Wiesz, nie byłem tu od czasów dzieciństwa. Zaczekaj chwilę. – Wyglądał na zaskoczonego. – Nie, to nieprawda, niech to szlag. Raz zabrała mnie Doris. Wydawało mi się, że to miejsce wygląda znajomo.

Doris była jego ekszoną.

– Dopiero co zaangażowałem się do NYPD, a już była w ciąży z Rockym. Pamiętam, że oglądaliśmy wypchane małpy, a ja jej mówiłem, że to zły znak, że dzieciak źle skończy, kołysząc się na drzewach i zjadając banany.

– Proszę was. Jest ich coraz mniej! – ciągnął przewodnik na temat sytuacji żółwi morskich.

– Więc może dlatego mu się to, do diabła, przytrafiło – mówił Marino. – Z powodu przyjscia do tej dziury.

Raczej rzadko słyszałam, by czynił aluzję na temat swego jedyne go dziecka. W zasadzie, tak jak dobrze znałam Marino, tak nic nie wiedziałam o jego synu.

– Nie miałam pojęcia, że ma na imię Rocky – odezwałam się cicho, gdy poszliśmy dalej.

– Tak naprawdę nazywa się Richard. Kiedy był dzieckiem nazywaliśmy go Ricky, co jakimś cudem zmieniło się w Rocky. Niektórzy wołają na niego Rocco.

– Często się spotykacie?

– Tutaj jest sklep z pamiątkami. Może powinienem kupić Molly naszyjnik z zębów rekina czy coś takiego?

– Możemy to zrobić.

Zmienił zdanie.

– Może przywiozę jej po prostu bagietki.

Nie chciałam go naciskać w sprawie jego syna, ale byłam przekonana, iż brak więzi między nimi stanowił podstawę wielu problemów Marino.

– Gdzie jest Rocky? – spytałam ostrożnie.

– W jakiejś dziurze zwanej Darien.

– W Connecticut? To nie jest żadna dziura.

– To Darien leży w Georgii.

– Zdumiewa mnie, że nie wiedziałam o tym wcześniej.

– Nie robi nic godnego uwagi. – Marino zgiął się wpół, przysuwając twarz do szyby i patrząc na dwa małe rekiny czuwające przy dnie akwarium, ustawionego przy wejściu na wystawę.

– Wyglądają jak wielkie zębacze – ocenił, podczas gdy rekiny spoglądały martwo, delikatnie ruszając płetwami ogonowymi.

Weszliśmy na wystawę, nie czekając w kolejce, ponieważ w środku dnia roboczego było tylko kilkoro zwiedzających. Przeszliśmy obok wojowników Kiribati, ubranych w stroje utkane z włókien kokosowych oraz obrazu Winsłowa Homera. Wymalowane sylwetki rekinów znajdowały się na samolotach, a informacje wyjaśniały, że ryby te potrafią wyczuć zapach z odległości równej długości boiska futbolowego oraz napięcie elektryczne wielkości jednej milionowej części wolta. Mają do piętnastu rzędów zagiętych do tyłu zębów i wrzecionowaty kształt umożliwiający im poruszanie się w wodzie szybciej od torpedy.

Podczas krótkiego filmu pokazano nam wielkiego żarłacza białego druzgoczącego klatkę i rzucającego się gwałtownie na przynętę z tuńczyka. Narrator wyjaśniał, iż rekiny są legendarnymi myśliwymi głębin, perfekcyjnymi maszynami do zabijania, szczękami śmierci, panami mórz. Potrafią wyczuć jedną kroplę krwi w dwudziestu pięciu galonach wody i czują zmianę ciśnienia wywołaną przemieszczeniem się innych zwierząt

morskich. Potrafią dogonić każdą zdobycz i nie jest zupełnie jasne, dlaczego niektóre atakują ludzi.

– Chodźmy stąd – powiedziałam do Marino, kiedy film się skończył.

Zapięłam płaszcz i włożyłam rękawiczki, wyobrażając sobie Gaulta oglądającego potwory rozrywające mięso na strzępy, aż krew rozpływała się w wodzie ciemną chmurą. Widziałam jego zimne spojrzenie i pokręconą duszę, skrytą poza nikłym uśmieszkiem, który dostrzegłam, gdy miałam okazję znajdować się obok niego.

Byłam przekonana, że siedział w tej ciemnej sali z kobietą, której nazwiska nie znaliśmy, a ona nieświadomie oglądała na ekranie własną śmierć. Widziała, jak rozlewa się jej krew, a ciało jest kawałkowane. Gault zaprosił ją na prapremierę spektaklu śmierci. Wystawa stanowiła jego grę wstępną.

Wróciliśmy do rotundy, w której samicę barozaura otaczali uczniowie. Jej długa szyja sięgała wysokiego stropu, kiedy próbowała ochronić małe przed atakującym je allozaurum. Wokół niesły się różne głosy, a dźwięki szurających stóp odbijały się echem od marmurów. Ludzie w uniformach w milczeniu sprawdzali bilety. Wyjrzałam przez szybę frontowych drzwi na brudny śnieg, leżący w pryzmach na zatłoczonej ulicy.

– Przyszła tutaj, żeby się ogrzać – powiedziałam do Marino.

– Co? – Był pochłonięty kośćmi dinozaura.

– Może przyszła tutaj, by się schronić przed chłodem? – zasugerowałam.

– Można stać tutaj cały dzień, patrząc na te przedpotopowe skamieliny. Jeśli nie wchodzi się na żadną wystawę, to nic nie kosztuje.

– Myślisz o tym, gdzie Gault ją spotkał za pierwszym razem? – Spojrzał na mnie sceptycznie.

– Nie wiem, czy to był pierwszy raz.



Ceglane kominy fabryczne były nieczynne, a balustrady Queens Expressway otaczały ponure budowle z betonu i stali.

Nasza taksówka przejechała obok ponurych kamienic czynszowych oraz hurtowni wędzonych i suszonych ryb, marmurów i dachówek. Spirale drutu kolczastego wiły się na szczytach ogrodzeń z siatki, a kiedy jechaliśmy do Transit Authority na Jay Street, widzieliśmy śmieci zgarnięte na pobocza ulic.

Oficer w niebieskich spodniach mundurowych i bluzie jednostki do zadań specjalnych poprowadził nas na pierwsze piętro, gdzie zostaliśmy wprowadzeni do biura dowódcy, Frances Penn. Była na tyle zapobiegliwa, by czekać na nas z kawą i świątecznymi ciasteczkami przy małym stoliku, przy którym omawialiśmy najbardziej makabryczne morderstwo w historii Central Parku.

– Witajcie – powiedziała, potrząsając serdecznie naszymi dłońmi. – Siadajcie. Cukierki są dietetyczne. Zawsze takie bierzemy. Kapitanie, śmietanka i cukier?

– Taaa...

Uśmiechnęła się lekko.

– Ja to samo, ale o ile pamiętam, doktor Scarpetta pije czarną kawę.

– Istotnie – odparłam, przyglądając się jej z rosnącym zaciekawieniem.

– I prawdopodobnie nie je pani ciasteczek?

– Prawdopodobnie nie. – Zdjęłam płaszcz i usiadłam.

Komandor Penn ubrana była w granatowy kostium z cynowymi guzikami i białą jedwabną bluzką ze stójką. Nie potrzebowała munduru, by wyglądać imponująco, chociaż nie była ani surowa, ani chłodna. Mimo że



nie nosiła się na sposób wojskowy, i tak wyglądała bardzo oficjalnie; w jej piwnych oczach dostrzegłam niepokój.

– Okazuje się, że Gault mógł natknąć się na ofiarę w muzeum, co przeczy teorii, iż spotkali się wcześniej – zaczęła.

– Ciekawe, że to powiedziałaś – zauważyłam. – Właśnie byliśmy w muzeum.

– Zdaniem jednego ze strażników kobietę pasującą wyglądem do opisu ofiary widziano, jak chodziła po placyku. Później rozmawiała z mężczyzną, który kupił dwa bilety na wystawę. Prawdę mówiąc, ich niezwykle wygląd zwrócił uwagę wielu pracowników muzeum.

– A ty, jak sądzisz, dlaczego w ogóle znalazła się w muzeum? – spytałam.

– Najprawdopodobniej była bezdomna. Chyba weszła tam, żeby się ogrzać.

– Nie wyrzucają stamtąd ludzi na ulicę? – dopytywał się Marino.

– Tak, jeśli mogą. – Przerwała na chwilę. – Z pewnością, jeśli sprawiają kłopoty.

– Czego ona nie robiła, jak sądzę – podsunęłam.

Komandor Penn sięgnęła po swoją kawę.

– Najwyraźniej była spokojna i nie narzucała się nikomu. Chodziła dookoła, oglądając z zainteresowaniem szkielet dinozaura.

– Odezwała się do kogoś? – zapytałam.

– Spytała, gdzie jest damska toaleta.

– To sugeruje, że nigdy wcześniej tam nie była – stwierdziłam. – Miała jakiś akcent?

– Jeśli tak, to nikt tego nie pamięta.

– Czyli raczej jest stąd – rzekłam.

– Jak była ubrana? – odezwał się Marino.

– Płaszcz – brązowy lub czarny – krótki. Czapka baseballowa Atlanta Braves, granatowa lub czarna. Prawdopodobnie dżinsy i wysokie buty. To wszystko, co zapamiętano.

Siedzieliśmy cicho, pogrążeni w myślach. Odchrząknęłam.

– A potem? – spytałam.

– Później widziano, jak rozmawia z mężczyzną, dosyć charakterystycznie ubranym – w czarny płaszcz, krojem przypominający płaszcze gestapo. Miał także wysokie buty.

Pomyślałam o niezwykłych odciskach obuwia na miejscu zbrodni i o czarnym skórzanym płaszczu, wspomnianym w Scaletcie przez Eugenia.

– Oboje byli widziani w kilku innych salach muzeum, po czym poszli na wystawę rekinów – ciągnęła komandor Penn. – W kiosku z pamiątkami mężczyzna kupił wiele książek.

– Wiecie jakich? – spytał Marino.

– O rekinach. Wśród nich album z fotografiami ludzi, którzy zostali przez nie zaatakowani.

– Płacił gotówką? – spytałam.

– Obawiam się, że tak.

– Potem wyszli z muzeum, a jemu wlepiono mandat na stacji metra – dorzucił Marino.

Skinęła głową.

– Jestem pewna, że zainteresuje was dokument, jaki okazał.

– Taa... proszę mówić.

– Okazał prawo jazdy na nazwisko Benelli, Frank Benelli. Włoch, trzydzieści trzy lata, z Werony.

– Werona? – powtórzyłam. – To ciekawe, moi przodkowie stamtąd pochodzą.

Marino i pani komandor obrzucili mnie przelotnym spojrzeniem.

– Twierdzi pani, że ten drań mówił z włoskim akcentem? – spytał Marino.

– Policjant pamięta, że jego angielski był kulawy. Miał silny włoski akcent, a jak sędzę, Gault go nie ma?

– Gault urodził się w Albany, w Georgii – poinformowałam panią komandor. – Nie ma silnego włoskiego akcentu, co nie oznacza, że nie może udawać.

Wyjaśniłam jej, co zeszłego wieczoru odkryliśmy z Wesleyem w Scaletcie.

– Czy twoja siostrzenica upewniła się, że karta kredytowa Amexu została skradziona? – spytała.

– Do tej pory nie mogłam się z nią skontaktować.

Uszczknęła kawałek ciasteczka i wsunęła go do ust.

– Oficer, który wypisywał mandat, wychował się w Nowym Jorku we włoskiej rodzinie – kontynuowała. – Uważa, że akcent tego mężczyzny był autentyczny. Gault musi być w tym bardzo dobry.

– O, na pewno.

– Uczył się kiedykolwiek włoskiego w szkole czy college'u?

– Nie wiem – odparłam. – Nie skończył college'u.

– Dokąd chodził?

– Do Davidson, prywatnej szkoły w Karolinie Północnej.

– To ekskluzywna szkoła i trudno się do niej dostać – zauważyła.

– Tak. Pochodzi z bogatej rodziny i jest wybitnie inteligentny. Z tego, co wiem, wytrwał tam rok.

– Wyrzucili go?

Wyglądała, jakby była nim zafascynowana.

– Tak zrozumiałam.

– Dlaczego?

– Sądzę, że złamał jakieś zasady kodeksu honorowego.  
– Wiem, że trudno w to uwierzyć – powiedział Marino sarkastycznie.  
– A potem co? Kolejny college? – dociekała komandor Penn.  
– Nie sądzą – odrzekłam.  
– Czy ktokolwiek pojechał do Davidson, by wypytać o niego? –  
Spojrzała sceptycznie, jakby ci, którzy pracowali nad sprawą, nie uczynili  
wystarczająco wiele.

– Nie wiem, czy ktoś to zrobił, ale szczerze mówiąc, wątpię.  
– Ma tuż po trzydziestce. Nie mówimy o bardzo odległych czasach.  
Miejscowi powinni go pamiętać.

Marino zaczął skubać swój styropianowy kubek po kawie. Spojrzał na  
panią komandor.

– Sprawdziliście, czy facet nazwiskiem Benelli istnieje naprawdę?  
– Właśnie to robimy. Jak dotąd, nie mamy potwierdzenia – odparła. – To  
trochę potrwa, szczególnie o tej porze roku.

– Biuro ma oficjalnego przedstawiciela w amerykańskiej ambasadzie w  
Rzymie – powiedziałam. – Mógłby przyśpieszyć sprawę.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym komandor Penn odprowadziła  
nas do drzwi.

– Doktor Scarpetta – odezwała się – czy mogłabym zamienić z panią  
słówko?

Marino spojrział na nas i odpowiedział, jakby pytanie było skierowane do  
niego:

– Jasne. Proszę śmiało. Zaczekam na zewnątrz.

Komandor Penn zamknęła za nim drzwi.

– Czy mogłybyśmy się później spotkać? – spytała.

Zawahałam się.

– Przypuszczam, że tak.

– Może miałybyś czas na kolację dziś wieczorem, powiedzmy o siódmej? Pomyślałam, że mogłybyśmy pogadać i odprężyć się. – Uśmiechnęła się.

Miałam nadzieję, że zjem dziś kolację z Wesleyem, powiedziałam jednak:

– To bardzo miło z twojej strony. Oczywiście, przyjdę.

Wyjęła z kieszeni wizytówkę i wręczyła mi ją.

– Mój adres – wyjaśniła. – A zatem czekam.

Marino nie zapytał, co komandor Penn miała mi do powiedzenia, ale było jasne, że nurtuje go i martwi to, iż nie brał udziału w naszej rozmowie.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy odprowadzano nas do windy.

– Nie – odparłam. – Nic nie jest w porządku. Gdyby tak było, nie plątałibyśmy się teraz po Nowym Jorku.

– Do diabła, odkąd zostałem gliną, przestałem mieć wakacje. Urlopy nie są dla takich ludzi jak my.

– Ale powinny być – powiedziałam, machając na taksówkę, która niestety była już zajęta.

– To bzdura. Ile razy byłaś wzywana w Wigilię Bożego Narodzenia, Dzień Dziękczynienia czy Święto Pracy?

Przejechała kolejna taksówka.

– Podczas wakacji ludzie tacy jak Gault nie mają dokąd iść ani z kim się spotkać, więc zabawiają się w okrutny sposób, rezultat widzieliśmy poprzedniej nocy. A druga połowa świata popada w depresję, zostawia swoich mężów, żony, strzela sobie w łeb albo upija się i rozwala w samochodach.

– Niech to szlag – mruzczałam, usiłując dojrzeć wolną taksówkę na zatłoczonej ulicy. – Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mi pomógł, inaczej będziemy maszerować przez cały most Brooklyński.

Wyszedł na ulicę i zamachał rękami. Jakaś taksówka zmieniła momentalnie kierunek jazdy i zahamowała przed nami. Wsiedliśmy. Kierowca okazał się Irańczykiem i Marino nie był dla niego zbyt uprzejmy. Kiedy wróciłam do swego pokoju, urządziłam sobie długą kąpiel i starałam się ponownie dodzwonić do Lucy. Pechowo, telefon odebrała Dorothy.

– Jak mama? – spytałam.

– Cały rano spędziłyśmy z Lucy w szpitalu. Jest bardzo przygnębiona i wygląda okropnie. Patrząc na nią, myślałam o wszystkich tych latach, kiedy jej mówiłam, żeby nie paliła. Maszyna za nią oddycha. Ma zrobioną tracheotomię. A wczoraj przyłapałam Lucy, jak paliła w ogródku.

– Kiedy zaczęła palić?

– Nie mam pojęcia. Widujesz ją częściej niż ja.

– Jest tam?

– Zaczekaj.

Słuchawka stuknęła głośno, gdy Dorothy ją odłożyła.

– Wesołych świąt, ciociu Kay – usłyszałam na linii głos Lucy, ale wcale nie brzmiał radośnie.

– Dla mnie także nie są to wesołe święta – powiedziałam. – Jak wizyta u babci?

– Zaczęła płakać i nie mogłyśmy zrozumieć, co chce nam powiedzieć. Mama śpieszyła się, bo miała lekcję tenisa.

– Tenisa? – spytałam. – Od kiedy?

– Ma kolejny ze swoich sportowych napadów.

– Mówi, że palisz.

– Niewiele. – Lucy zbagatelizowała moją uwagę, jakby to było nic wielkiego.

– Lucy, musimy o tym pogadać. Nie ma sensu, żebyś popadła w nałóg.

– Nie zamierzam się uzależnić.

– W twoim wieku, kiedy zaczęłam palić, myślałam dokładnie tak samo. Rzucenie tego było szalenie trudne. Przeszłam przez piekło.

– Wiem wszystko o tym, jak trudno przestać palić. Nie zamierzam dopuścić do powstania sytuacji, nad którą stracę kontrolę.

– Dobrze.

– Jutro wracam do Waszyngtonu – dodała.

– Myślałam, że zamierzasz zostać w Miami co najmniej przez tydzień.

– Muszę wrócić do Quantico. Coś się dzieje z KAIN-em. Ktoś z OBI nagrał mi się dziś po południu na pager.

Ośrodek Badań Inżynieryjnych był miejscem, gdzie FBI przeprowadzało badania i projektowało najbardziej tajne technologie dotyczące metod inwigilacji i urządzeń do tego służących, a także robotów. To tam Lucy zajmowała się pracą nad KAIN-em.

KAIN stanowił inteligentny, scentralizowany system komputerowy, łączący departamenty policyjne oraz inne agencje wywiadowcze w jedną potężną bazę danych, dostępną dzięki programowi poszukiwania groźnych przestępców, zwanemu w FBI VICAP. Idea przedsięwzięcia polegała na powiadomieniu policji, że może mieć do czynienia z brutalnym przestępcą, który już wcześniej kogoś zgwałcił lub zamordował. Potem, jeśli zachodziła taka potrzeba, do działania mógł wejść wydział Wesleya; dlatego też znaleźliśmy się w Nowym Jorku.

– Coś się stało? – spytałam niespokojnie, ponieważ niedawno zaistniał pewien poważny problem.

– Brak zgodności w zapisie kontroli danych źródłowych. W systemie nie ma nikogo, kogo tam nie powinno być, ale chyba KAIN wysyła informacje, o które go nie proszono. Od jakiegoś czasu dzieje się coś dziwnego, ale jak dotąd nie byłam w stanie tego wyśledzić. Zachowuje się tak, jakby zaczął myśleć.

- Sądziłam, że taki jest cel sztucznej inteligencji – zauważyłam.
- Niezupełnie – rzekła moja siostrzenica o IQ geniusza. – To nie są zwykłe wiadomości.
- Możesz podać mi przykład?
- Okay. Wczoraj Brytyjska Policja Transportowa dzięki swemu terminalowi VICAP zgłosiła pewną sprawę. Gwałt, który wydarzył się w centralnym Londynie na jednej ze stacji metra. KAIN przyjął informację, przeszukał bazę danych i odesłał wiadomość do terminalu, z którego ją otrzymał. Oficer śledczy w Londynie odebrał tekst, że KAIN-owi potrzebne są dalsze informacje, dotyczące opisu napastnika. Szczególnie chciał wiedzieć, jaki jest kolor jego włosów łonowych, ale interesowało go również, czy ofiara miała podczas gwałtu orgazm.
- Żartujesz?
- KAIN nigdy nie był zaprogramowany, by pytać o takie rzeczy. Oczywiście, to nie należy do procedury VICAP. Oficer w Londynie był zdenerwowany i o całym wydarzeniu zameldował zastępcy okręgowego komisarza policji, który zatelefonował do dyrektora Quantico, a ten z kolei zadzwonił do Bentona Wesleya.
- To Benton telefonował do ciebie? – spytałam.
- W zasadzie polecił to komuś z Ośrodka Badań Inżynieryjnych. Ale Wesley także będzie jutro w Quantico.
- Rozumiem. – Głos miałam spokojny, ponieważ nie chciałam okazać, że obeszło mnie to, iż Benton wyjeżdżał nie powiadamiając mnie o tym fakcie. – Jesteście pewni, że ten oficer w Londynie mówił prawdę? Że to nie kawał?
- Wydruk został nam przefaksowany i zdaniem OBI wiadomość wygląda na autentyczną. Tylko programista znakomicie zaznajomiony z KAIN-em mógłby się dostać do systemu i sfałszować w ten sposób



przekaz. Z tego, co mi powiedziano, nie ma dowodów na to, że ktokolwiek manipulował przy kontroli danych źródłowych.

Lucy zaczęła wyjaśniać, że za pośrednictwem UNIX<sup>[Z]</sup> KAIN współpracował z sieciami lokalnymi, połączonymi w wielką sieć informatyczną. Mówiła o wejściach, portach oraz hasłach, które automatycznie zmieniały się co sześćdziesiąt dni. Jedynie troje najbardziej uprzywilejowanych użytkowników – w tym ona – miało możliwość wniknięcia do mózgu systemu. Użytkownicy sieci w odległych miejscach świata, jak ów oficer w Londynie, mogli co najwyżej wprowadzić dane do głupiego terminalu czy PC, podłączonych do dwudziestogigabajtowego serwera znajdującego się w Quantico.

– KAIN jest przypuszczalnie najlepiej zabezpieczonym systemem, o jakim kiedykolwiek słyszałam – dodała Lucy. – Utrzymywanie go w tym stanie stanowi rzecz najwyższej wagi.

Ale nic nie jest absolutnie szczelne. Ostatniej jesieni włamano się do OBI i mieliśmy powody, by przypuszczać, że zamieszany był w to Gault. Nie musiałam Lucy o tym przypominać. Odbywała tam wówczas praktykę i teraz była odpowiedzialna za usunięcie uszkodzeń.

– Posłuchaj, ciociu Kay – powiedziała, czytając w moich myślach. – Wywróciłam KAIN-a na lewą stronę. Przegryzłam się przez każdy program i przepisałam większą ich część, by się upewnić, że nic nam nie grozi.

– Grozi ze strony kogo? – spytałam. – Gaulta czy KAIN-a?

– Nikt się do niego nie dostanie – podsumowała z pewnością siebie w głosie. – Nikt. Nikomu się nie uda.

Potem powiedziałam jej o swojej karcie American Express i w słuchawce na moment zapanowała cisza.

– Och, nie – rzekła. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

– Pamiętasz, że dałam ci ją na jesieni, kiedy zaczęłaś pracę w OBI – przypomniałam. – Powiedziałam ci, że możesz jej używać na lotniskach i do zakupu biletów kolejowych.

– Ale nigdy jej nie potrzebowałam, ponieważ pozwoliłaś mi korzystać ze swego samochodu. Potem rozbiłam auto i przez jakiś czas nigdzie nie wyjeżdżałam.

– Gdzie trzymałaś tę kartę. W portfelu?

– Nie – potwierdziła moje obawy. – W OBI, w szufladzie biurka, w liście od ciebie. Sądziłam, że to najbezpieczniejsze miejsce.

– I była tam, kiedy doszło do włamania?

– Tak. Przepadła, ciociu Kay. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem o tym przekonana. Powinłam się na nią natknąć od tamtej pory – zająknęła się – kiedy przekopywałam szufladę. Sprawdzę, jak tylko wrócę, ale wiem, że jej tam nie będzie.

– Też jestem tego pewna.

– Naprawdę strasznie mi przykro. Czy ktoś dużo na nią nabił?

– Nie sądzę. – Nie powiedziałam jej, kim był ten ktoś.

– Ale teraz już ją unieważniłaś, co?

– Zajmuję się tym – odparłam. – Powiedz swojej matce, że przyjadę zobaczyć się z babcią tak szybko, jak tylko będę mogła.

– Tak szybko, jak będziesz mogła, to nigdy nie jest szybko – stwierdziła moja siostrzenica.

– Wiem. Jestem okropną córką i wstrętną ciotką.

– Nie zawsze jesteś paskudna.

– Dzięki – pożegnałam ją.

Prywatne mieszkanie komandor Penn znajdowało się w zachodnim Manhattanie, skąd mogłam widzieć światła New Jersey, jarzące się po drugiej stronie rzeki Hudson. Mieszkała na czternastym piętrze w obskurnym budynku stojącym w brudnej części miasta, o czym zapominało się natychmiast po przekroczeniu progu.

Apartament wypełniony był światłem, dziełami sztuki i aromatem dobrego jedzenia. Białe ściany zawieszono rycinami oraz akwarelami i pastelami. Badawcze spojrzenie rzucone na półki z książkami i stoliki powiedziało mi, że uwielbiała Ayn Rand i Annie Leibovitz oraz że przeczytała szereg biografii i książek historycznych, wliczając w to dzieła Shelby Foote'a o tej okropnej, tragicznej wojnie.

– Daj, powieszę twój płaszcz – powiedziała.

Zrzuciłam go, dołączając rękawiczki i czarny kaszmirowy szal, który bardzo lubiłam, gdyż był prezentem od Lucy.

– Widzisz, nie pomyślałam, żeby cię zapytać, czy jest coś, czego nie jadasz – odezwała się z garderoby w hallu, znajdującej się w pobliżu drzwi wejściowych. – Jesz skorupiaki? Bo jeśli nie, to mam kurczaka.

– Jem – zapewniłam ją.

– To dobrze. – Wprowadziła mnie do jadalni, z której doskonale było widać most Waszyngtona, spajający rzekę naszymi jaskrawych klejnotów, zawieszonych w przestrzeni. – Jak rozumiem, pijasz szkocką.

– Wolałabym coś słabszego – odrzekłam, siadając na miękkiej skórzanej sofie w kolorze miodu.

– Wino?

Przytaknęłam i gospodyni zniknęła na chwilę w kuchni. Napełniła dwa kieliszki chardonnay. Komandor Penn ubrana była w czarne dżinsy i szary wełniany sweter z podwiniętymi rękawami. Po raz pierwszy dostrzegłam, że jej przedramiona pokryte są okropnymi bliznami.

– To z moich dawnych, mniej rozważnych lat. – Podłapała moje spojrzenie. – Siedziałam z tyłu motocykla i skończyłam przejażdżkę, zostawiając na nawierzchni całkiem sporo skóry.

– Nazywamy je motocyklami dawców organów – wyjaśniłam.

– Należał do mojego chłopaka. Miałam siedemnaście lat, a on dwadzieścia.

– Co się z nim stało?

– Wpadł pod nadjeżdżające z przeciwka samochody i zginął. – O tak dawnej stracie mówiła w sposób nieskrępowany. – To wtedy zainteresowałam się policyjną robotą.

Upiła trochę wina.

– Nie pytaj, co mną kierowało, ponieważ sama tego nie wiem.

– Czasami, kiedy przeżyjemy tragedię, staramy się poznać jej przyczyny.

– Tak to wyjaśniasz? – Przyjrzała mi się uważnie, lekko zezując.

– Mój ojciec umarł, kiedy miałam dwanaście lat – wyznałam.

– Gdzie mieszkaliście?

– W Miami. Miał niewielki sklep spożywczy, który w końcu prowadziła moja mama, gdyż chorował już wiele lat przed śmiercią.

– Skoro twoja matka zajmowała się sklepem, to kto prowadził dom?

– Chyba ja.

– Tak myślałam. Prawdopodobnie mogłam ci to powiedzieć, zanim odezwałaś się choćby słowem. I jak przypuszczam, jesteś najstarszym dzieckiem, nie masz braci i zawsze byłaś tą najlepszą, która nie mogła się pogodzić z żadnym niepowodzeniem.

Słuchałam.

– Dlatego, że twoje stosunki z ludźmi są swoistą nemezis, nie możesz zdobyć kogoś dobrego, wszystko przez to, że sama jesteś najlepsza. Nie możesz mieć szczęśliwego romansu czy też szczęśliwie wyjść za mąż. A jeśli ktokolwiek, na kim ci zależy, ma jakiś problem, uważasz, że powinnaś go ochronić – i najprawdopodobniej robisz to.

– Czemu ma służyć ta wiwisekcja? – spytałam, nie przyjmując wcale postawy obronnej. Przede wszystkim byłam zafascynowana.

– Bo twoja historia jest moją historią. Żyje wiele takich kobiet jak my. Zauważyłaś także, że nigdy nie trzymamy się razem?

– Widzę to cały czas – odparłam.

– Dobra. – Odstawiła kieliszek. – Naprawdę nie zaprosiłam cię po to, żeby przeprowadzać z tobą wywiad. Ale nie byłabym szczerą, gdybym powiedziała, że nie szukałam okazji, abyśmy się lepiej poznały.

– Dziękuję, Frances – rzekłam. – Cieszę się, że tak czujesz.

– Przepraszam na chwilę.

Wstała i wyszła do kuchni. Usłyszałam zamykanie drzwi lodówki, lejącą się wodę i stukające cicho garnki oraz patelnie. Momentalnie była z powrotem, niosła butelkę chardonnay w kubelku z lodem, który ustawiła na szklanym blacie stolika do kawy.

– Chleb jest w piekarniku, szparagi w szybkowarze i pozostało jedynie usmażyć krewetki – oświadczyła, siadając.

– Frances – odezwałam się – od jak dawna twój departament policji jest podłączony do KAIN-a?

– Zaledwie od kilku miesięcy – odparła. – W kraju byliśmy jedni z pierwszych, którzy zostali przyłączeni.

– A co z NYPD?

– Przymierzają się. Policja Transportowa ma bardziej wyrafinowany system komputerowy i wielki zespół programistów oraz analityków. Więc podłączyli nas bardzo wcześnie.

– Dzięki tobie.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, że departament policji w Richmond także jest włączony – ciągnęłam. – Także Chicago, Dallas, Charlotte, policja stanowa Wirginii, Brytyjska Policja Transportowa. A w trakcie przyłączania jest także spora liczba innych departamentów, zarówno w kraju, jak i za granicą.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Powiedz mi, co się stało, kiedy w wigilię znaleziono ciało nie zidentyfikowanej kobiety, którą – jak jesteśmy przekonani – zabił Gault? Jaki udział ma w tym KAIN?

– Zwłoki znaleziono w Central Parku wcześniej rano i, oczywiście, natychmiast mnie o tym powiadomiono. Jak już wspominałam, sposób działania przestępcy wydawał się znajomy, więc przekazałam szczegóły do KAIN-a, by zobaczyć, co z tego wyniknie. To musiało być późnym popołudniem.

– No i co wyszło?

– Bardzo szybko KAIN poprosił nasz terminal VICAP o więcej szczegółów.

– Możesz sobie dokładnie przypomnieć, o jakie informacje chodziło?

Namyślała się chwilę.

– No cóż, zobaczmy. Interesował się okaleczeniami, chciał wiedzieć, z jakich części ciała usunięto skórę i jakiego rodzaju narzędzia użyto w tym celu. Pytał, czy to było przestępstwo na tle seksualnym, a jeśli tak, czy penetracja była oralna, waginalna, analna czy jakaś inna. Wielu z tych

rzeczy nie wiedzieliśmy, bo jeszcze nie przeprowadzono sekcji. Mogliśmy jednakże zdobyć pewne informacje, dzwoniąc do kostnicy.

– A co z innymi sprawami? – spytałam. – Czy KAIN zapytał o coś, co szczególnie zwróciło twoją uwagę lub było niewłaściwe?

– Nie przypominam sobie. – Patrzyła na mnie badawczo.

– A czy kiedykolwiek KAIN wysłał do Policji Transportowej jakiegokolwiek wiadomości, które uderzyłyby cię jako niezwykle bądź bałamutne?

Pomyślała jeszcze trochę.

– Odkąd zostaliśmy podłączeni w listopadzie, wprowadziliśmy najwyżej dwadzieścia spraw. Gwałty, napady, zabójstwa, które – jak sądziłam – mogą być związane z VICAP z powodu niezwykłych okoliczności popełnienia przestępstwa lub dlatego, że ich ofiary nie zostały zidentyfikowane.

Jedynie informacje, pochodzące od KAIN-a, o jakich wiem, były rutynowymi prośbami o dodatkowe dane. Aż do tej sprawy w Central Parku nigdy mu się specjalnie nie spieszyło. Potem KAIN nadesłał e-mailem ponaglenie, ponieważ system na coś trafił.

– Frances, gdybyś otrzymała jakiegokolwiek wiadomości, które nie byłyby zwyczajne, proszę skontaktuj się natychmiast z Bentonem Wesleyem.

– Czy mogłabyś mi powiedzieć, czego szukacie?

– W listopadzie nastąpiło naruszenie systemu bezpieczeństwa OBI. Ktoś włamał się tam o trzeciej nad ranem i okoliczności wskazują, że mógł się za tym kryć Gault.

– Gault? – Komandor Penn była zbita z tropu. – Jak to się mogło stać?

– Jak się potem okazało, jedna z analityczek komputerowych miała powiązania ze sklepem handlującym sprzętem szpiegowskim w północnej Wirginii, często odwiedzanym przez Gaulta. Wiemy, że ta kobieta była zamieszana we włamanie i istnieje obawa, że to Gault ją do tego nakłonił.

– Dlaczego?

– Co mogło być dla niego lepsze, niż dostać się do KAIN-a i mieć do swej dyspozycji bazę danych zawierającą szczegóły najbardziej przerażających zbrodni popełnionych na świecie?

– Czy nie ma sposobu, by mu to uniemożliwić? – spytała. – Tak wzmocnić zabezpieczenia, by nie było sposobu, aby osoba niepowołana wśliznęła się do systemu?

– Sądzę, że pracują nad tym – odparłam. – Prawdę mówiąc, moja siostrzenica, ich najlepszy programista, jest pewna, że system jest bezpieczny.

– Ach tak, zdaje mi się, że słyszałam o niej. W istocie stworzyła KAIN-a.

– Zawsze miała smykałkę do komputerów i powinna się nimi zajmować jak najwięcej.

– Z pewnością jej nie winię. Jak ma na imię?

– Lucy.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia jeden.

Wstała z kanapy.

– No cóż, może jakiś prosty błąd wywołuje owe dziwne prośby, o których mówiłaś. Wirus. Lucy go pewnie znajdzie.

– Zawsze możemy mieć nadzieję.

– Weź swoje wino – powiedziała. – Dotrzymasz mi towarzystwa w kuchni.

Nie zaszłyśmy jednak daleko, kiedy zadzwonił telefon. Komandor Penn podniosła słuchawkę i widziałam, jak poważnieje jej mina.

– Gdzie? – spytała cicho i rozpoznałam ten ton głosu i ten wzrok. Otwierałam już drzwi garderoby, by sięgnąć płaszcz, kiedy powiedziała:



– Zaraz tam będę.



Śnieg opadał lekko jak popioły, kiedy przybyliśmy na stację metra przy Second Avenue w nędznej części dolnego Manhattanu, znanej jako Bowery.

Wył wiatr, niebiesko-czerwone światła pulsowały raniąc noc, a wiodące do piekielnej otchłani schody były otoczone kordonem. Bezdomnych wypędzono na zewnątrz, pasażerów wyprowadzono, a samochody i wozy transmisyjne przybywały stadami, gdyż zamordowany został funkcjonariusz Wydziału ds. Bezdomnych Nowojorskiej Policji Transportowej. Nazywał się Jimmy Davila. Miał dwadzieścia siedem lat i służył od roku.

– Proszę to włożyć. – Wściekły oficer o bladej twarzy wręczył mi odblaskową kamizelkę, maskę chirurgiczną i rękawiczki.

Z furgonetki policjanci wyjmowali reflektory oraz kolejne kamizelki, a kilku funkcjonariuszy z krótkimi strzelbami pognało obok mnie w dół po schodach. Wyczuwało się napięcie. Pulsowało w powietrzu niczym ciemne, bijące serce, a odgłosy legionów, które przybywały na pomoc zastrzelonemu towarzyszowi, zlewały się z dźwiękiem szurających stóp i dziwnego języka radiowych rozmów. Gdzieś w oddali wyła syrena.

Komandor Penn wręczyła mi mocny reflektor i ruszyliśmy na dół eskortowane przez czterech funkcjonariuszy w kevlarowych zbrojach, płaszczach i kamizelkach odblaskowych. Pociąg przejechał niczym strumień płynnej stali, a my posuwaliśmy się wąskim przejściem prowadzącym do ciemnych katakumb, zasłanych potrzaskanymi fiolkami, igłami, śmieciami i brudem. Światła lizwały posłania włączęgów, rozłożone

na siennikach i występach o cale od torów, a powietrze cuchnęło od smrodu ludzkiej nędzy.

Pod Manhattanem ciągnęło się czterdzieści osiem akrów tuneli, w których w późnych latach osiemdziesiątych mieszkało około pięciu tysięcy bezdomnych. Teraz było ich co prawda mniej, ale i tak manifestowali swą obecność starymi kocami zasłanymi butami, ubraniami i innymi rupieciami.

Ociekające brudem wypchane zwierzęta i włochate sztuczne owady zwisały ze ścian niczym fetysze. Skatersi, z których wielu wydział ds. bezdomnych znał z imienia i nazwiska, zniknęli ze swego podziemnego świata jak cienie, z wyjątkiem Freddiego, który został obudzony z narkotycznego snu. Siedział przykryty wojskowym kocem, rozglądając się w oszołomieniu.

– Hej, Freddie, wstawaj. – Reflektor zaświecił mu prosto w twarz.

Podniósł zabandażowaną rękę, osłaniając i mrużąc oczy, kiedy małe słońca penetrowały jego tunel.

– No, dalej, wstawaj. Co ci się stało w rękę?

– Odmrożenie – zamruczał, gramoląc się na nogi.

– Musisz uważać na siebie. Wiesz, że nie możesz tutaj zostać. Musimy cię stąd zabrać. Chcesz iść do schroniska?

– Nie, człowieku.

– Freddie – funkcjonariusz ciągnął głośno – wiesz, co się tutaj stało? Słyszałeś o policjancie Davili?

– Nic nie wiem. – Freddie zakolebał się, ale złapał równowagę, mrużył oczy w światłach latarek.

– Wiem, że znasz Davilę. Nazywałeś go Jimbo.

– Taaa, Jimbo. Jest w porządku.

– Nie, obawiam się, że nie jest w porządku. Zastrzelono go tutaj dziś w nocy. Ktoś go zabił.

Żółte oczy Freddiego otworzyły się szeroko.

– Och nie, facet!

Rozejrzył się wokoło, jakby zabójca mógł na niego patrzeć – jakby ktoś miał o to winić jego.

– Freddie, widziałeś tutaj dziś wieczorem kogoś, kogo nie znasz? Widziałeś kogoś, kto mógłby zrobić coś takiego?

– Nie, nic nie widziałem. – Freddie niemal stracił równowagę, na wszelki wypadek oparł się o betonowy wspornik. – Nikogo i niczego, przysięgam.

Kolejny pociąg z ogłuszającym łoskotem pognał na południe. Freddiego wyprowadzono i my także ruszyliśmy, szliśmy poboczem i unikaliśmy torów oraz szcurów krzątających się wśród śmieci. Dzięki Bogu, że miałam wysokie buty. Wędrowaliśmy jeszcze jakieś dziesięć minut, a twarz pociła mi się pod maską, pomału traciłam orientację. Nie byłam w stanie powiedzieć, czy jasne światła, widoczne daleko przed nami wzdłuż trakcji, to policyjne reflektory, czy nadjeżdżający pociąg.

– Okay, musimy przejść nad szyną zasilającą – poinformowała komandor Penn, stając blisko mnie.

– Jak daleko jeszcze? – spytałam.

– Tam gdzie te światła. Przejdziemy teraz. Idź bokiem, powoli, krok za krokiem i niczego nie dotykaj.

– Nie, jeśli nie chce pani wytrząść z siebie życia – powiedział jakiś policjant.

– Taaa, sześćset woltów to nie przelewki – dodał inny takim samym twardym tonem.

Szliśmy wzdłuż torów w głąb tunelu, którego sufit się obniżał. Część policjantów musiała pochylić głowy, kiedy przechodziliśmy pod łukiem. Po drugiej stronie technicy przeszukiwali teren, podczas gdy koroner, w

kapturze i rękawiczkach, badała ciało. Zainstalowano tutaj reflektory, a strzykawki, fiolki oraz krew błyszcząły nieprzyjemnie w świetle.

Policjant Davila leżał na plecach, a rozpięta zimowa kurtka ukazywała pod niebieskim blezerem komanda kamizelkę kuloodporną. Strzelono mu między oczy z rewolweru kalibru trzydzieści osiem, który spoczywał na klatce piersiowej denata.

– Czy tak leżał, kiedy go znaleziono? – spytałam, podchodząc bliżej.

– Dokładnie tak – potwierdził detektyw z NYPD.

– Kurtkę miał rozpiętą, a rewolwer znajdował się w tym samym miejscu?

– Tak. – Twarz detektywa była czerwona i spocona, i nie patrzył mi w oczy.

Lekarka podniosła wzrok. Pod plastikowym kapturem nie mogłam dostrzec jej twarzy.

– Nie możemy wykluczyć samobójstwa – wtrąciła.

Pochyliłam się niżej i skierowałam światło latarki na twarz zmarłego. Oczy miał otwarte, głowę lekko skreconą w prawo. Krew wypływająca spod niego była jasnoczerwona i tężała. Był niski, miał potężny kark i szczupłą twarz człowieka odpowiedzialnego. Światło powędrowało do gołych dłoni ofiary i kucnęłam, by dokładniej się im przyjrzeć.

– Nie widzę śladów prochu – stwierdziłam.

– Nie zawsze występują – odparła lekarka.

– Lufy nie przyłożono do czoła i wygląda na to, że strzelano pod niewielkim kątem.

– Można tego oczekiwać, jeśli sam się zastrzelił – przyznała koronerka.

– Tor pocisku biegnie w dół. Tego bym raczej się nie spodziewała – ciągnęłam. – Poza tym, jakim cudem jego broń leży tak równo na klatce piersiowej?

– Jeden z tych bezdomnych mógł ją poruszyć.

Zaczęłam się irytować.

– Dlaczego?

– Może któryś z nich podniósł rewolwer, a potem przyszło mu do głowy, że powinien go zostawić. Więc odłożył tu, gdzie teraz jest.

– Powinniśmy zabezpieczyć woreczkami jego dłonie – zasugerowałam.

– Nie wszystko naraz.

– Nie nosił rękawiczek? – Zmrużyłam oczy przed kółkiem jaskrawego światła. – Tutaj jest bardzo zimno.

– Nie skończyliśmy jeszcze przeszukiwać kieszeni, madam – powiedziała koronerka, młoda, surowa osoba, w rodzaju tych, którym towarzyszyłam podczas zabierających pół dnia autopsji.

– Jak się pani nazywa? – spytałam ją.

– Jestem doktor Jonas i muszę panią prosić, żeby się pani odsunęła. Staramy się zachować wszystkie ślady w miejscu zbrodni i najlepiej będzie, jeżeli niczego pani nie dotknie ani w niczym nie przeszkodzi. Podniosła termometr.

– Doktor Jonas – przemówiła komandor Penn – ta pani to doktor Kay Scarpetta, naczelny koroner stanu Wirginia i biegła sądowa w dziedzinie anatomopatologii, pracująca dla FBI. Jest dosyć obeznana z zabezpieczaniem miejsc zbrodni.

Doktor Jonas podniosła wzrok i w jej oczach za plastikową przyłbicą dostrzegłam błysk zaskoczenia. Dłuższą chwilę odczytywała temperaturę; wyczułam, że jest zakłopotana. Pochyliłam się niżej nad ciałem Davili, zwracając baczniejszą uwagę na lewą stronę jego głowy.

– Lewe ucho ma rozdarte – stwierdziłam.

– Prawdopodobnie doszło do tego podczas upadku – wyjaśniła doktor Jonas.

Przeszukałam wzrokiem otoczenie. Znajdowaliśmy się na gładkiej betonowej platformie. Nie było tutaj szyn, by się o nie uderzyć. Poświeciłam latarką na betonowe podpory i ściany, szukając śladów krwi na jakimkolwiek elemencie konstrukcji, o jaki Davila mógł się uderzyć.

Kucając przy samych zwłokach, przyjrzałam się dokładniej poranionemu uchu i czerwieniejącemu pod nim kawałkowi ciała. Zaczęłam dostrzegać charakterystyczny odcisk, falujący i z małutkimi dziurkami. Pod uchem odbity był łuk skraju obcasa. Wstałam, po twarzy ściekał mi pot. Kiedy spoglądałam w ciemny korytarz na zbliżające się światła, wszyscy na mnie patrzyli.

– Został kopnięty w bok głowy.

– Nie może pani wiedzieć, czy nie uderzył się padając – powiedziała doktor Jonas.

Zagapiłam się na nią.

– Mogę – zapewniłam ją.

– Skąd mamy wiedzieć, czy ktoś po nim nie deptał? – spytał jeden z policjantów.

– Nie odpowiadają temu obrażenia – odparłam. – Ludzie depczą zwykle więcej niż jeden raz i po innych partiach ciała. Poza tym należałoby się spodziewać, że obrażenia wystąpią po tej stronie twarzy, która dotyka betonu.

Pociąg wtargnął z hukiem do tunelu. Światła błyskały w odległej ciemności.

– Został unieszkodliwiony kopnięciem, a następnie zastrzelony z własnej broni – oświadczyłam.

– Musimy go zabrać do kostnicy – wtrąciła lekarka.

Oczy komandor Penn były szeroko otwarte, a twarz niespokojna i zła.

– To on, prawda? – spytała mnie, kiedy ruszyliśmy w drogę powrotną.

- Już wcześniej ogłuszał tak ludzi – rzekłam.
- Ale dlaczego? Ma broń, glocka. Dlaczego nie użył swego pistoletu?
- Najgorsze, co może się przytrafić policjantowi, to zostać zastrzelonym z własnej broni – odparłam.
- Więc Gault zrobił to z rozmysłem, by policję... byśmy to odczuli?
- Uważa, że to zabawne – wyjaśniłam.

Poszłyśmy z powrotem przez tory i przez rojące się od szczurów śmieci. Wyczułam, że komandor Penn płacze. Mijały minuty.

– Davila był dobrym policjantem – odezwała się w końcu. – Był bardzo uczynny, nigdy się nie skarżył... I ten jego uśmiech. Rozjaśniał pokój.

Teraz jej głos nabrzmiał od furii.

– Kurwa mać, to był dzieciak.

Jej podwładni znajdowali się w pobliżu, ale niezbyt blisko. Spojrzałam wzdłuż tunelu, a potem w poprzek trakcji i pomyślałam o kilometrach splotów i zakrętów metra. Bezdomni nie mieli latarek i nie mogłam zrozumieć, jak potrafią się orientować w tym terenie. Minęliśmy kolejne nędzne obozowisko, gdzie biały mężczyzna, który wydawał mi się skądś znajomy, siedział, paląc crack w kawałku anteny samochodowej, jakby nie było w tym kraju takich rzeczy, jak prawo i porządek. Zauważyłam jego czapkę baseballową, ale z początku nie poznałam go. Przyjrzałam się uważniej.

– Benny, Benny, Benny. Wstydź się – odezwał się niecierpliwie jeden z policjantów. – Chodź tu. Wiesz, że nie wolno ci tego robić. Ile razy jeszcze będziemy przez to przechodzić, człowieku?

Wczoraj rano Benny ścigał mnie, kiedy szłam do biura koronera. Poznałam jego brudne wojskowe spodnie, kowbojskie buty i niebieską dżinsową bluzę.

– To po prostu weźcie mnie i zamknijcie – oświadczył, zapalając ponownie kokainę.

– O, taaa, twoja dupa powinna zostać zamknięta, w porządku. Załatwimy ci to.

– Jego czapka – odezwałam się cicho do komandor Penn.

To była granatowa lub czarna czapka zespołu Atlanta Braves.

– Zaczekajcie – powstrzymała swoje hordy. – Skąd wzięłeś tę czapkę? – spytała Benny’ego.

– Nic nie wiem – odparł, zrywając nakrycie głowy ze zmierzwionych, brudnych włosów.

Jego nos wyglądał tak, jakby go coś przeżuło.

– Oczywiście, że wiesz – powiedziała z przekonaniem Frances.

Popatrzył na nią z szaleństwem w oczach.

– Benny, skąd wzięłeś tę czapkę? – spytała ponownie.

Dwaj funkcjonariusze podnieśli go i zakuli w kajdanki. Pod jego kocem znajdowały się kieszonkowe wydania książek, magazyny, zapalniczki gazowe, plastikowy woreczek zapinany na strunę. Było w nim kilka batonów, paczki gumy do żucia bez cukru, blaszany klarnet i pudełko ustników saksofonowych. Spojrzałam na komandor Penn i napotkałam jej wzrok.

– Zabierzcie to wszystko – poleciła swoim ludziom.

– Nie możecie zabrać mojego miejsca. – Benny szarpał się pomiędzy trzymającymi go funkcjonariuszami. – Nie możecie zabrać mojego pierdolonego miejsca!

Zatupał nogami.

– Wy przekłete skurwysyny...

– Tylko to utrudniasz, Benny. – Zacisnęli mu mocniej kajdanki, jeden gliniarz trzymał go pod ramię.



– Nie dotykajcie niczego bez rękawiczek – poleciła komandor Penn.

– Nie ma obaw.

Zebrali majątek Benny'ego do toreb na śmieci, które wynieśliśmy wraz z ich właścicielem. Idąc, oświetlałam sobie drogę latarką; wszędzie było ciemno i cicho. Czasami odwracałam głowę, gdyż oślepił mnie nadjeżdżający pociąg. W pewnej chwili jakieś światło odskoczyło w bok. Zorientowałam się, że to latarka oświetlająca betonowy łuk, pod którym przechodził Temple Gault. Wyraźnie widziałam sylwetkę w długim ciemnym płaszczu, białą plamę twarzy. Chwyciłam rękaw pani komandor i krzyknęłam.

Przez całą pochmurną noc ponad trzydziestu funkcjonariuszy przeszukiwało Bowery i jego podziemia. Nikt nie wiedział, jakim cudem Gault dostał się do tuneli, chyba że po zamordowaniu Jima Davili w ogóle z nich nie wyszedł. Nie mieliśmy także pojęcia, jak stamtąd uciekł po tym, gdy go zobaczyłam, jednak jakoś mu się udało.

Następnego ranka Wesley pojechał na lotnisko La Guardia, podczas gdy Marino i ja wróciliśmy do kostnicy. Nie spotkałam doktor Jonas od poprzedniej nocy, nie było także doktora Horowitza, ale powiedziano mi, że jest na miejscu komandor Penn z jednym ze swoich detektywów i że powinniśmy ich znaleźć w pomieszczeniu rentgenowskim.

Wraz z Marino wślizgnęliśmy się tam w milczeniu niczym para, która spóźniła się na film, a potem zgubiliśmy się w ciemności. Podejrzywałam, że oparł się o ścianę, ponieważ w podobnych sytuacjach miał kłopoty z błędnikiem. Łatwo było dać się niemal zahipnotyzować i zacząć zataczać. Przysunęłam się bliżej do stalowego stołu, gdzie ciemne kształty otaczały ciało Davili, a palec światła ukazywał okaleczoną głowę ofiary.

– Chciałbym dostać dla porównania jeden z tych odlewów – powiedział ktoś.

– Mamy zdjęcia odcisków butów. Przyniosłam je tutaj. – Poznałam głos komandor Penn.

– Powinny wystarczyć.

– Odlewy są w laboratorium.

– Waszym?

– Nie, nie u nas – odparła Penn. – W NYPD.

– Ten fragment otartej skóry i siniak ze śladem buta powstał od uderzenia obcasem. – Promień światła zatrzymał się poniżej lewego ucha. – Faliste linie są całkiem wyraźne, ale na otarciu nie widzę żadnego odbitego śladu. Ten wzór jest także i tutaj. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Stłuczenie przypomina plamę z małym wężykiem. Nie mam pojęcia, co to jest.

– Jakaś wypukłość.

– Owszem.

– A co z samym uchem? Jakiś wzór?

– Trudno powiedzieć, jest rozerwane. Postrzępione krawędzie nie są otarte i połączone tkanką. Jeśli przyjrzymy się łukowatemu zmiażdżeniu w tym miejscu – pokryty lateksem palec wskazał je – zauważymy, że obcas zmiażdżył ucho.

– Dlatego jest rozdarte.

– Pojedynczy cios, zadany z wielką siłą.

– Wystarczającą, żeby zabić.

– Możliwe. Zobaczymy. Sądzę, że będzie miał pęknięcia z lewej strony ciemieniowej części czaszki i wielki krwiak podoponowy.

– Założę się, że tak.

Dłonie ubrane w rękawiczki manipulowały światłem i kleszczami. Włos, czarny, długości około sześciu cali, przylgnął do zakrwawionego kołnierza służbowego swetra Davili. Kiedy szłam przez ciemność, szukając wyjścia, włos został zdjęty i umieszczony w kopercie. Odłożyłam ciemne okulary na wózek i wyslizgnęłam się na zewnątrz. Marino tuż za mną.

– Jeżeli to jego włos – powiedział na korytarzu – to znaczy, że znowu ufarbował sobie łeb.

– Spodziewałam się tego – oświadczyłam, przywołując w pamięci obraz sylwetki, którą widziałam zeszłej nocy. Twarz Gaulta była bardzo jasna, ale nie potrafiłam nic powiedzieć o włosach.

– Nie jest już rudy.  
– Teraz równie dobrze może mieć fioletowe włosy.  
– Skoro farbuje włosy, to może łysieje.  
– Nie sędzę – odparłam. – Ten włos nie musi być jego. Doktor Jonas ma ciemne włosy mniej więcej tej długości, a zeszłej nocy pochyliła się dosyć długo nad ciałem.

Mieliśmy fartuchy, rękawice oraz maski i wyglądaliśmy jak zespół chirurgów mających wykonać ważną operację, na przykład przeszczep serca. Jacyś mężczyźni wieźli ładunek prostych sosnowych skrzyń, przeznaczonych na Cmentarz Bezimiennych, a w prosektorium zaczynały się poranne sekcje. Jak dotąd, było tylko pięć przypadków, a wśród nich dziecko, które najwyraźniej zmarło na skutek pobicia. Marino odwrócił wzrok.

– Cholera – zamruczał, twarz mu nabiegła krwią. – Co za sposób na zaczynanie dnia.

Milczałam.

– Davila był żonaty zaledwie od dwóch miesięcy.

Nie przychodziło mi nic do głowy, co mogłabym powiedzieć.

– Gadałem z kilkoma chłopakami, którzy go znali.

Osobiste rzeczy uzależnionego od cracku Benny'ego zostały bezceremonialnie zwalone na stole i postanowiłam odsunąć je dalej od martwego dziecka.

– Zawsze chciał być gliną. Słyszę to, kurwa, za każdym razem.

Worki na śmieci były ciężkie i wydobywał się z nich wstrętny odór. Zaczęłam je przenosić na stół numer osiem.

– Możesz mi powiedzieć, jak ktoś może pragnąć być gliną? – Marino chwycił worek i ruszył za mną, stawał się coraz bardziej wściekły.

– Po prostu chcemy, żeby było inaczej, nieco lepiej.

– Racja – potwierdził sarkastycznie. – Pewne jak cholera, że Davila zmienił świat. Pewne jak diabli, że jest nieco lepiej.

– Daj spokój – rzekłam. – Chciał dobrze i robił, co mógł.

Ruszyła piła Strykera, zadudniła woda, i w tym teatrze z milczącą publicznością oraz martwymi aktorami promienie X obnażyły pociski i kości. Nagle weszła komandor Penn, zmęczone oczy spoglądały na nich znad maski. Towarzyszył jej ciemnowłosy młody mężczyzna, którego przedstawiła jako detektywa Maiera. Pokazał nam fotografie odcisków butów z Central Parku.

– Są niemal w tej samej skali – wyjaśnił. – Muszę jednak przyznać, że lepsze byłyby odlewy, gdybyśmy mogli je dostać.

Ale miało je NYPD i gotowa byłam się założyć, że Policja Transportowa nigdy ich nie zobaczy. Frances Penn niemal nie wyglądała na tę samą kobietę, którą odwiedziłam poprzedniego wieczoru i zastanawiałam się, dlaczego tak naprawdę zaprosiła mnie do siebie. Z czego by mi się zwierzyła, gdybyśmy nie zostały wezwane do Bowery?

Zaczęliśmy rozwiązywać worki i wykladać ich zawartość na stole, z wyjątkiem cuchnących wełnianych kocy, które stanowiły posłanie Benny'ego. Te złożyliśmy na podłodze. Inwentarz był nadzwyczaj dziwny i można go było wytłumaczyć na dwa sposoby. Albo Benny „mieszkał” z kimś, kto nosił męskie buty rozmiaru siedem i pół, albo zdobył rzeczy kogoś, kto miał takie buty. Jak nam powiedziano, Benny nosił jedenastkę.

– Co Benny powiedział dziś rano? – spytał Marino.

– Że te rzeczy po prostu zjawily się na jego kocach. Wyszedł na ulicę, wrócił, a to już tam było, w plecaku – odparł detektyw Maier, wskazując na zabrudzony, zielony, płócienny plecak, który na pewno niejedno wiedział.

– Kiedy to było?

– No cóż, Benny nie ma pewności. Prawdę mówiąc, niczego nie jest zbyt pewny. Ale sądzi, że stało się to w ciągu kilku ostatnich dni.

– Widział tego, kto zostawił plecak? – zapytał Marino.

– Mówi, że nie.

Przytrzymałam zdjęcie blisko jednej z podeszew butów, by porównać ślady i okazało się, że ich rozmiar oraz wzór jest taki sam. W jakiś sposób Benny wszedł w posiadanie rzeczy kobiety, którą – jak byliśmy przekonani – Gault zabił bestialsko w Central Parku. Wszyscy czworo staliśmy chwilę w milczeniu, a potem zaczęliśmy oglądać każdą rzecz, która naszym zdaniem należała do ofiary. Podczas rekonstruowania jej życia na podstawie blaszanego klarnetu i łachmanów czułam zawroty głowy i zmęczenie.

– Możemy ją jakoś nazwać? – spytał Marino.

– A jak by pan chciał? – zainteresowała się komandor Penn.

– Jane.

Detektyw Maier spojrzał na Marino.

– Niezwykle oryginalnie. A jak na nazwisko? Doe?

– Czy możliwe jest, że ustniki saksofonowe należą do Benny'ego? – spytałam.

– Nie sądzę – odparł Maier. – Powiedział, że wszystkie te rzeczy znajdowały się w plecaku. Poza tym nie wiadomo, czy potrafi na czymś grać.

– Czasem brzdąkał na niewidzialnej gitarze – oznajmiłam.

– Tak bywa, jak się pali crack. A on robił tylko to. Żebrał i palił crack.

– A wcześniej? – spytałam.

– Był elektrykiem, zostawiła go żona.

– To nie powód, żeby się przenosić do kanału – wtrącił Marino, którego także zostawiła żona. – Musiało być coś jeszcze.

– Narkotyki. Skończył po drugiej stronie ulicy, w Bellevue. Odruli go i wypuścili. Ta sama stara śpiewka; to samo bez końca.

– Może te ustniki należały kiedyś do jakiegoś saksofonu, a te Benny zastawił? – podsunęłam.

– Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć – odparł Maier. – Benny powiedział, że to wszystko, co tam było.

Pomyślałam o ustach kobiety, którą nazwaliśmy Jane, o kształcie jej przednich zębów, zdaniem dentysty sądowego zniekształconych na skutek palenia fajki.

– Jeżeli ona długo grała na saksofonie – powiedziałam – to mogłoby to tłumaczyć ubytki w jej przednich zębach.

– A co z blaszanym klarnetem? – spytała komandor Penn.

Pochyliła się bliżej nad złocistym instrumentem, zakończonym czerwonym ustnikiem. Firma, która go wyprodukowała, nazywała się Generation, wykonano go w Wielkiej Brytanii i nie wyglądał na nowy.

– Jeżeli grała na nim dużo, mogła jeszcze bardziej zniszczyć zęby – zauważyłam. – Ciekawe, że to jest klarnet altowy, a ustniki są także do saksu altowego. Może więc grała kiedyś na saksofonie altowym.

– Może zanim doznała obrażeń głowy – zauważył Marino.

– Możliwe.

Kontynuowaliśmy przeglądanie jej rzeczy i wróżyliśmy z nich jak z herbacianych fusów. Preferowała gumę do żucia bez cukru i pastę do zębów Sensodyne, co było zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę jej zniszczone zęby. Nosila czarne męskie dżinsy, rozmiar trzydzieści dwa w pasie, długości trzydzieści cztery. Były stare i miały podwinięte mankiety, co sugerowało, że dostała je od kogoś albo kupiła w sklepie z używaną odzieżą. Z pewnością w chwili, kiedy zginęła, były na nią za duże.

– Czy mamy pewność, że nie należą do Benny’ego? – zapytałam.

– Mówi, że nie – odparł Maier. – Rzeczy, do których się przyznaje, są w tamtym worku.

Wskazał na wypchaną torbę na podłodze.

Kiedy wsunęłam dłoń w gumowej rękawiczce do kieszeni czarnych dżinsów, znalazłam biało-czerwony karteluszek identyczny jak te, które dano mnie i Marino, kiedy odwiedziliśmy Muzeum Historii Naturalnej. Był okrągły, wielkości srebrnej dolarówki i miał przymocowany sznureczek. Po jednej stronie wydrukowano słowo „Contributor”<sup>[8]</sup>, po drugiej logo muzeum.

– Trzeba sprawdzić, czy są na nim odciski palców – powiedziałam wkładając kartonik do woreczka na dowody rzeczowe. – Mogła tego dotknąć. Albo Gault, kiedy płacił za wstęp na wystawę.

– W jakim celu to zatrzymała? – zastanowił się Marino. – Wychodząc zwykle odczepia się kartonik od guzika koszuli i wyrzuca do kosza na śmieci.

– Może włożyła go do kieszeni i zapomniała – podsunęła komandor Penn.

– Mogła wziąć na pamiątkę – dodał Maier.

– Nie wygląda mi na taką, która zbierałaby pamiątki – oświadczyłam. – Odnoszę wrażenie, że bardzo rozważnie dobierała rzeczy, które chciała zatrzymać.

– Sugerujesz, że mogła zatrzymać kartonik po to, by ktoś go ewentualnie znalazł?

– Nie wiem – odparłam.

Marino zapalił papierosa.

– To każe mi się zastanowić, czy znała Gaulta – odezwał się Maier.

– Jeżeli go znała – odrzekłam – i jeżeli wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie, to dlaczego poszła z nim tamtej nocy do parku?



– To właśnie do siebie nie pasuje. – Marino wypuścił olbrzymi kłęb dymu.

– Nie pasuje, gdyby była mu zupełnie obca – oznajmiłam.

– Więc może go znała – zasugerował Maier.

– Możliwe – zgodziłam się.

Wsunęłam dłoń do kolejnej kieszeni tych samych czarnych spodni i znalazłam osiemdziesiąt dwa centy, podniszczony ustnik saksofonowy i kilka równo złożonych chusteczek higienicznych. Wywrócona na lewą stronę bluza dresu była średniego rozmiaru, a napisu z przodu nie dało się już odczytać.

Miała także dwie pary szarych spodni od dresu i trzy pary sportowych skarpet z kolorowymi paskami. W przegródce plecaka znajdowała się oprawiona fotografia cętkowanego psa, siedzącego w przesianym światłem słońca cieniu drzew. Pies zdawał się uśmiechać do robiącego zdjęcie, a daleko w tle stał obserwujący go człowiek.

– To także trzeba zbadać pod kątem obecności odcisków palców – dodałam. – Prawdę mówiąc, jeśli trzymać fotografię pod kątem, można je dostrzec na szybce.

– Założę się, że to jej pies – wtrącił Maier.

– Potrafimy stwierdzić, w jakiej części świata została zrobiona? – spytała komandor Penn.

Przyjrzałam się dokładniej zdjęciu.

– Wygląda to na równinę. Słoneczną. Nie widzę żadnej tropikalnej roślinności, ale pustynia to też nie jest.

– Czyli zdjęcie mogło zostać wykonane gdziekolwiek – podsumował Marino.

– Prawie wszędzie – zgodziłam się. – Nie jestem w stanie niczego powiedzieć o tej postaci w tle.

Komandor Penn obejrzała fotografię.

– Mężczyzna?

– Może być kobieta – powiedziałam.

– Taaa, sądzę, że to kobieta – potwierdził Maier. – Naprawdę chuda.

– Więc może to sama Jane – rzekł Marino. – Lubiła baseballowe czapki, a ta osoba ma na głowie coś takiego.

Spojrzałam na komandor Penn.

– Chciałabym kopie wszystkich fotografii, łącznie z tą.

– Dostaniesz je najszybciej, jak to możliwe.

Kontynuowaliśmy przekopywanie się przez rzeczy nieżyjącej kobiety, której obecność wyczuwało się w tym pokoju. Odkrywałam jej osobowość, dotykając tych rzeczy i wierzyłam, że zostawiła nam jakieś wskazówki. Nosila męskie podkoszulki zamiast staników i znaleźliśmy trzy pary damskich fig oraz kilka podpasek.

Wszystko było zniszczone i brudne, ale równo zacerowane rozdzarcia oraz igły, nici i zapasowe guziki, które trzymała w plastikowym pudełeczku, sugerowały chęć utrzymania porządku i dbania o swój wygląd. Tylko czarne dżinsy i spłowiała bluza były podarte lub przewrócone na lewą stronę, a my podejrzewaliśmy, iż to wina Gaulta, który zmusił ją w ciemności do rozebrania się.

Pod koniec poranka mieliśmy już za sobą oględziny każdego przedmiotu, ale nie zbliżyło to nas ani o krok do zidentyfikowania ofiary, którą zaczęliśmy nazywać Jane. Zakładaliśmy tylko, że Gault zabrał jej wszystkie dokumenty, a Benny wziął drobne pieniądze, które mogła mieć, po czym pozbył się portmonetki, portfela czy czegokolwiek, w czym je trzymała. Nie mogłam zrozumieć, kiedy Gault mógł zostawić plecak na kocach Benny'ego; jeżeli rzeczywiście to on zrobił.

– Z ilu tych rzeczy zdejmujemy odciski palców? – spytał Maier.

– Część przedmiotów już odłożyliśmy – odpowiedziałam – odciski palców mogły się zachować na blaszanym klarnecie. Można także spróbować zbadać światłem spolaryzowanym plecak. Szczególnie wewnętrzną stronę klapy, ponieważ jest skórzana.

– Problemem jest ciągle właścicielka tych wszystkich przedmiotów – Marino westchnął. – Nic z tych rzeczy nie powie nam, kim była.

– No cóż, mam dla ciebie dobrą wiadomość – powiedział Maier. – Nie sądzę, żeby zidentyfikowanie Jane pomogło nam schwytać faceta, który ją zabił.

Spojrzałam na Marino i zauważyłam, że jego zainteresowanie denatką ulatuje. Z jego oczu zniknął blask i widziałam to wcześniej, gdy ofiary były nikim. Jane poświęcono odpowiednią porcję zainteresowania. Ironia polegała na tym, że jeszcze mniej czasu by jej poświęcono, gdyby zabójca nie był seryjny.

– Sądzicie, że Gault zastrzelił ją w parku, a potem udał się stamtąd do tunelu, gdzie znaleziono plecak? – spytałam.

– Mogło tak być – przyznał Maier. – Musiał jedynie odejść z Cherry Hill i złapać metro przy, powiedzmy, Osiemdziesiątej Szóstej lub Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Zawiozłoby go prosto do Bowery.

– Mógł też pojechać taksówką – wtrąciła komandor Penn. – Nie mógł tylko iść. To kawał drogi.

– A jeśli plecak został na miejscu zbrodni, tuż przy fontannie? – spytał Marino. – Czy Benny mógł go znaleźć?

– Co by robił o tej porze w Cherry Hill? Pamiętaj, jaka była wówczas pogoda – odezwała się Penn.

Otworzyły się drzwi i kilku pracowników kostnicy wepchnęło wózek z ciałem Davili.

– Nie wiem – odparł Maier. – Miała ze sobą plecak w muzeum? – spytał komandor Penn.

– Moim zdaniem wspomiano, że niosła coś przewieszona przez jedno ramię.

– To mógł być ten plecak.

– Owszem.

– Czy Benny handluje prochami? – zainteresowałam się.

– Jeżeli kupujesz, to po jakimś czasie możesz sprzedawać – wyjaśnił Maier.

– Może istnieje związek pomiędzy Davilą a zamordowaną – rzekłam.

Komandor Penn popatrzyła na mnie z ciekawością.

– Nie możemy wykluczyć takiej ewentualności – ciągnęłam. – Na pierwszy rzut oka wydaje się to nieprawdopodobne, ale Gault i Davila znaleźli się w tunelu w tym samym czasie. Dlaczego?

– Zbieg okoliczności. – Maier zagapił się na mnie.

Marino się nie odezwał. Przy stole sekcyjnym numer pięć dwóch koronerów fotografowało pod różnymi kątami martwego policjanta. Pomocnik mokrym ręcznikiem ścierał krew z twarzy trupa w sposób, który byłby brutalny, gdyby Davila cokolwiek czuł. Marino nie zdawał sobie sprawy, że ktokolwiek go obserwuje i przez moment ujawniła się jego wrażliwość. Widziałam jego puste spojrzenie i przygarbione plecy.

– I w tym samym tunelu był Benny – dodałam. – Albo zabrał plecak z miejsca zbrodni, albo – jak twierdzi – ktoś mu go podrzucił.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby ten bagaż mu podrzucono – powiedział Maier.

– Dlaczego? – spytała komandor Penn.

– Po co Gault miałby go wieźć z Cherry Hill? Dlaczego go po prostu nie zostawił i nie odszedł? – odparł pytaniem.

- Może coś w nim było? – zasugerowałam.
- Na przykład? – chciał wiedzieć Marino.
- Coś, co mogłoby pomóc ją zidentyfikować. Może nie chciał, żebyśmy poznali jej tożsamość i potrzebował chwili, żeby przejrzeć rzeczy.
- Mogło tak być – zgodziła się komandor Penn. – Z pewnością nie znaleźliśmy nic, co by nam w tym pomogło.
- Jednak w przeszłości Gault, o ile pamiętam, nie dbał o to, czy zidentyfikujemy jego ofiary, czy nie – przypomniałam. – Dlaczego więc teraz miałyby go to obchodzić? Dlaczego miałyby przejmować się z powodu tej upośledzonej bezdomnej kobiety?

Komandor Penn chyba mnie nie słuchała, a nikt inny mi nie odpowiedział. Koronerzy zaczęli rozbierać Davilę, co nie było prostym zadaniem. Ramiona miał sztywno złożone wzdłuż torsu, jakby z kolegami tworzył mur podczas meczu piłkarskiego. Lekarze zmagali się ze zwłokami, próbowali zdjąć przez głowę służbowy sweter, kiedy odezwał się pager. Wszyscy chwyciliśmy się za pasy, a potem spojrzeliśmy w kierunku stołu Davili, skąd dochodziło buczenie.

- To nie mój – odezwał się jeden z koronerów.
- Cholera – powiedział drugi. – To jego.

Kiedy zdjął pager z pasa Davili, przebiegł mnie dreszcz. Zapadła cisza. Nie mogliśmy oderwać wzroku od stołu numer pięć i od komandor Penn, która podeszła tam, ponieważ to do jej zamordowanego funkcjonariusza ktoś dzwonił. Lekarz wręczył jej pager, a ona podniosła go do oczu, by odczytać wyświetloną wiadomość. Twarz jej poczerwieniała. Widziałam, jak przełyka ślinę.

- To kod – oznajmiła.

Ani ona, ani koroner nie pomyśleli o tym, by nie dotyczyć urzędu. Nie przypuszczali, że może mieć znaczenie.

– Kod? – Maier spoglądał tajemniczo.

– Policyjny. – Jej głos przepełniała furia. – Dziesięć, kreska, siedem.

Dziesięć, kreska, siedem oznacza „Koniec trasy”.

– Kurwa mać – zaklął Maier.

Marino zrobił mimowolny krok, jakby ruszał w pościg, ale nie było tu nikogo, za kim mógłby pognać.

– Gault – powiedział z niedowierzaniem. – Ten skurwysyn musiał wziąć numer jego pagera po tym, jak mu rozwalił mózg w metrze. Rozumiecie, co to oznacza? – Spojrzał na nas. – To znaczy, że nas obserwuje! Wie, że jesteśmy tutaj, i wie, co robimy!

Maier rozejrzał się dookoła.

– Nie mamy pojęcia, kto przysłał tę wiadomość – zauważył jeden z lekarzy, całkiem stropiony.

Ja jednak nie miałam żadnych wątpliwości.

– Nawet jeśli zrobił to Gault, nie musi być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co się tu robi – stwierdził Maier. – Miał świadomość, że ciało tutaj trafi, zdawał sobie sprawę, że i my tu będziemy.

Wiedział, że ja tutaj będę, pomyślałam. Niekoniecznie musiał mieć pewność, że będą tutaj pozostali.

– Jest tam, gdzie może korzystać z telefonu. – Marino rozejrzał się dzikim wzrokiem.

Nie mógł ustać spokojnie.

– Nadaj to do wszystkich jednostek – poleciła Penn Maierowi. – Prześlij także dalekopisem.

Maier ściągnął gumowe rękawiczki i kiedy wychodził z pomieszczenia, cisnął je ze złością do kosza na śmieci.

– Włóżcie pager do woreczka na dowody rzeczowe – poprosiłam. – Trzeba sprawdzić odciski palców. Wiem, że go dotykaliśmy, ale nadal

możemy spróbować. To dlatego miał rozpięty płaszcz.

– Co? – Marino wyglądał na oszołomionego.

– Płaszcz Davili był rozpięty. Nie wiedzieliśmy dlaczego.

– Gault potrzebował jego broni.

– Nie trzeba rozpinać płaszcza, by dobyć broni – wyjaśniłam. – Z boku znajduje się rozcięcie, na wysokości kabury. Sądzę, że Gault rozpiął płaszcz Davili, by dostać się do pagera. Stąd wziął jego numer.

Lekarze wrócili do swoich zmagania z martwym ciałem. Zdjęli buty, skarpety i odpięli kaburę nad kostką z waltherem 0.380, którego Davila nie powinien był nosić i nie miał szansy użyć. Zdjęli kuloodporną kamizelkę z kevlaru, niebieski policyjny podkoszulek oraz srebrny krzyżyk na długim łańcuszku. Na jego prawym ramieniu znajdował się niewielki tatuaż róży oplecionej dookoła krzyża. W portfelu miał jednego dolara.

Opuściłam Nowy Jork tego popołudnia samolotem USAir i wylądowałam na Washington National o trzeciej. Lucy nie czekała na mnie na lotnisku, ponieważ od czasu wypadku nie prowadziła samochodu, a nie było żadnego szczególnego powodu, dla którego miałby wyjść po mnie Wesley.

Gdy wydostałam się na zewnątrz, dźwigając walizkę i torbę, coś we mnie pękło. Byłam zmęczona, a memu ubraniu wiele brakowało do świeżości. Czułam się beznadziejnie przygnębiona i nawet do tego wstydziłam się przyznać.

W końcu przyjechałam do Quantico w obtłuczonej taksówce, pomalowanej na niebieski kolor skorupki jaja drozda wędrownego i o szybach zabarwionych na fioletowo. Boczne okienko z tyłu nie dawało się otworzyć, a mój wietnamski kierowca nie potrafił wyjaśnić strażnikowi przy wjeździe na teren akademii FBI, kim jestem.

– Pani doktor – powtarzał kierowca. Wartownicy, leżące na jezdni kolczatki oraz anteny na dachach budynków odbierały mu odwagę. – Ona jest okay.

– Nie – zaprotestowałam z tylnego siedzenia. Mam na imię Kay. Kay Scarpetta.

Próbowałam wysiąść, ale drzwi były zamknięte, a klamki nie mogłam się dopatrzeć. Wartownik sięgnął po radiotelefon..

– Proszę mnie wypuścić – powiedziałam do kierowcy, który gapił się na dziewięćmilimetrowy pistolet wiszący u pasa strażnika. – Muszę stąd wyjść.

Odwrócił się, przerażony.



– Zabrać stąd?

– Nie – odrzekłam, kiedy z budki wyłonił się strażnik.

Oczy kierowcy otworzyły się szeroko.

– Chcę tylko na chwilę tutaj wysiąść, żeby wytłumaczyć wszystko wartownikowi – mówiłam wolno, pokazując na migi, o co mi chodzi. – Nie wie, kim jestem, ponieważ nie mogę otworzyć okienka, a on nie może zajrzeć przez szybę.

Kierowca pokiwał głową.

– Muszę wysiąść – powiedziałam stanowczo. – Otwórz drzwi.

Zamek odskoczył.

Wysiadłam i zmrużyłam oczy w słońcu. Pokazałam swój identyfikator wartownikowi, młodzieńcowi przepełnionemu duchem militarizmu.

– Okna są przyciemniane i nie widziałem pani – oświadczył. – Następnym razem proszę opuścić szybę.

Kierowca zaczął wyjmować z samochodu moje bagaże i ustawiać je na drodze. Kiedy rozległ się ogień artyleryjski i padły strzały karabinowe ze strzelnic piechoty morskiej i FBI, rozejrzał się wokoło przerażony.

– Nie, nie, nie. – Pokazałam mu, by wstawił z powrotem bagaże do auta. – Proszę mnie zawieźć tam.

Wskazałam w kierunku Jefferson, wysokiego, brązowego budynku, stojącego po drugiej stronie parkingu.

Było jasne, że nie miał najmniejszej ochoty zawozić mnie dokądkolwiek, ale wsiadłam z powrotem do taksówki, zanim zdążył odjechać. Trzasnęła klapa bagażnika i strażnik pomachał, żebyśmy przejechali. Powietrze było zimne, a niebo błękitne.

W hallu budynku powitał mnie wiszący nad biurkiem recepcji ekran wideo, życząc szczęśliwych i bezpiecznych ferii. Młoda piegowata kobieta

wpisała mnie do książki gości i dała kartę magnetyczną, służącą do otwierania drzwi na terenie akademii.

– Czy Święty Mikołaj był dla pani szczodry, doktor Scarpetta? – spytała radośnie, przeglądając klucze do pomieszczeń.

– Musiałam być niegrzeczna w tym roku – odparłam. – Głównie dostałam różgi.

– Nie wierzę. Pani jest zawsze taka miła – rzekła. – Jak zwykle, daliśmy pani pokój na piętrze bezpieczeństwa.

– Dziękuję. – Nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia i miałam wrażenie, że ona o tym wie.

– Jak długo pani u nas zostanie?

– Jedną noc. – Pomyślałam, że ma chyba na imię Sarah i z jakiegoś powodu wydawało mi się bardzo ważne, żeby to sobie przypomnieć.

Wręczyła mi dwa klucze – jeden metalowy, a jeden plastikowy.

– Masz na imię Sarah, prawda? – spytałam, podejmując ryzyko.

– Nie, Sally. – Wyglądała na urażoną.

– To znaczy Sally – powiedziałam skonsternowana. – Oczywiście, przepraszam. Zawsze bardzo się o mnie troszczysz i dziękuję ci za to.

Obdarzyła mnie niepewnym spojrzeniem.

– Przy okazji, pani siostrzenica przechodziła tędy może trzydzieści minut temu.

– Dokąd poszła?

Wskazała w kierunku szklanych drzwi, wiodących z hallu do serca budynku i stuknęła w przycisk zwalniający zamek, zanim miałam okazję wsunąć kartę do czytnika. Lucy mogła pójść obok kantyny, poczty, sali konferencyjnej i OBI. Albo w stronę swojej kwatery, która była w tym samym budynku, tyle że w innym skrzydle.

Staralam się wyobrazić sobie, gdzie moja siostrzenica może być o tej porze, ale i tak mi zrobiła niespodziankę. Czekala w moim apartamencie.

– Lucy! – wykrzyknelam, kiedy otworzylam drzwi, a ona stala w srodku.

– Jak sie tu dostalas?

– W ten sam sposob co ty – odparla. – Mam klucz.

Wnioslam bagaze do salonu i postawilam je na ziemi.

– Skad? – badalam jej twarz.

– Mój pokój jest po tej stronie, a twój po tamtej.

Piętro bezpieczeństwa przeznaczone było dla świadków objętych programem ochrony, agentów wywiadu bądź jakichkolwiek osób, co do których departament lub sąd zdecydował, że wymagają szczególnej ochrony. By dostać się do pokoi, trzeba było przejść przez dwoje drzwi, z których pierwsze wymagały wystukania na klawiaturze kodu zmienianego po każdym użytkowniku. Do otwarcia drugich potrzebna była karta magnetyczna, którą wymieniano równie często. Zawsze podejrzewałam, że rozmowy telefoniczne są kontrolowane.

Przyznano mi tę kwaterę przeszło rok temu, ponieważ Gault nie stanowił jedynej zmory w moim życiu. Czułam się zmieszana, że Lucy również została tu skierowana.

– Myślałam, że jesteś w bursie w budynku Waszyngtona – powiedziałam.

Weszła do salonu i usiadła.

– Byłam – odparła. – A od dzisiejszego popołudnia jestem tutaj.

Usiadłam na sofie naprzeciwko niej. Moja siostrzenica włożyła spodnie od dresu, trampki i granatową bluzę FBI z kapturem. Miała krótkie kasztanowe włosy, a twarz o ostrych rysach była bez skazy, z wyjątkiem jasnej blizny na czole. Lucy studiowała na ostatnim roku Uniwersytetu

Stanowego Wirginii. Była piękna i błyskotliwa, a nasz związek obfitował we wzloty i upadki.

– Umieścili cię tutaj dlatego, że ja tu jestem? – Nadal nie dawałam za wygraną

– Nie.

– Nie uściskałaś mnie, kiedy weszłam. – Przyszło mi to na myśl, kiedy wstałam i pocałowałam ją w policzek, a ona zeszytniała i wysunęła się z moich ramion. – Paliałaś.

Usiadłam z powrotem.

– Kto ci to powiedział?

– Nikt nie musiał mówić. Czuję zapach twoich włosów.

– Objęłaś mnie, bo chciałaś sprawdzić, czy czuć ode mnie dym. Zrzedzisz.

– Wcale nie.

– Tak. Jesteś gorsza od babci – dodała.

– Która leży w szpitalu z powodu palenia papierosów – odparłam, wytrzymując twarde spojrzenie jej zielonych oczu.

– Skoro znasz moją tajemnicę, równie dobrze mogę zapalić teraz.

– To pokój dla niepalących. Prawdę mówiąc, nic w nim nie jest dozwolone – rzekłam.

– Nic?

– Absolutnie nic.

– Pijasz tutaj kawę. Wiem. Słyszałam, jak gotowałaś ją w mikrofalówce, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Kawa jest w porządku.

– Powiedziałaś: nic. Dla wielu ludzi na tej planecie kawa to nałóg. Założę się także, że piłaś tutaj alkohol.

– Lucy, proszę, nie pal.

Wyciągnęła z kieszeni paczkę mentolowych virginia slim.

– Wyjdę na zewnątrz – oświadczyła.

Nie mogłam uwierzyć, że wpadła w nałóg, którego rzucenie tyle mnie kosztowało, otworzyłam okna, żeby mogła zapalić. Lucy była wysportowana i cieszyła się doskonałym zdrowiem. Powiedziałam jej, że nie rozumiem tego.

– Bawię się tym. Nie palę dużo.

– Mniejsza z tym, lepiej powiedz, kto przeniósł cię do mojego apartamentu? – spytałam obserwując, jak wypuszcza kłęby dymu.

– Przenieśli mnie.

– Kto?

– Najwyraźniej rozkaz przyszedł z samej góry.

– Burgess? – Wymieniłam wicedyrektora odpowiedzialnego za akademię.

Skinęła głową.

– Tak.

– Z jakiego powodu? – Zmarszczyłam czoło.

Strzepnęła popiół na otwartą dłoń.

– Nikt mi nic nie mówił. Przypuszczam tylko, że ma to związek z OBI, z KAIN-em. – Przerwała na chwilę. – No wiesz, te dziwne wiadomości, i tak dalej.

– Lucy, co się właściwie dzieje?

– Nie wiemy – odparła szczerze. – Ale coś się dzieje.

– Gault?

– Nie ma dowodów na to, że do systemu wszedł ktoś nieupoważniony.

– Jesteście jednak przekonani, że tak się stało.

Zaciągnęła się głęboko, jak długoletni palacz.

– KAIN nie postępuje tak, jak byśmy sobie życzyli. Robi coś ponadto, otrzymuje skądś instrukcje.

– Musi być jakiś sposób, żeby namierzyć to źródło – powiedziałam.

Jej oczy sypały iskry.

– Wierz mi, że się starałam.

– Nie kwestionuję ani twoich wysiłków, ani umiejętności.

– Nie ma tropu – ciągnęła. – Jeśli ktoś buszuje w sieci, to nie zostawia śladów. A to jest niemożliwe. Nie można wejść do systemu i polecić mu, by wysyłał wiadomości czy zrobił cokolwiek innego, i żeby kontrola danych źródłowych nie zarejestrowała tego. I mamy pracującą dwadzieścia cztery godziny na dobę drukarkę, która zapisuje każde uderzenie w klawisz, wykonane przez kogokolwiek w dowolnym celu.

– Dlaczego się złościysz? – spytałam.

– Ponieważ jestem zmęczona obarczaniem mnie odpowiedzialnością za problemy, jakie tutaj mamy. Włamanie nie było z mojej winy. Nie miałam pojęcia, że ktoś, kto pracował tuż obok mnie... – Zaciągnęła się ponownie.

– Dobra, mówię tylko, że uporam się z tym, ponieważ mnie o to poproszono. Ponieważ senator mnie o to prosił. Czy prosił ciebie, naprawdę...

– Lucy, nic mi nie wiadomo o tym, by ktokolwiek miał cię obwiniać o problemy z KAIN-em – odezwałam się łagodnie.

Gniew widoczny w jej oczach przybrał na sile.

– Gdybym nie była o to oskarżana, nie zostałabym przydzielona do tego pokoju. To oznacza areszt domowy.

– Bzdura. Mieszkam tutaj za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Quantico, a z pewnością nie nałożono na mnie aresztu domowego.

– Tobie przydzielają to miejsce ze względów bezpieczeństwa – powiedziała. – Ale ja nie dlatego tutaj jestem. Znowu mnie obwiniają.

Jestem obserwowana. Powiem ci, że w drodze tutaj towarzyszyli mi jacyś ludzie.

Skinęła głową w kierunku OBI, znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

– Co się dzisiaj stało? – spytałam.

Poszła do kuchni, puściła wodę na papierosa i wyrzuciła niedopałek do śmieci. Usiadła ponownie i nie odzywała się. Przyglądałam się jej badawczo i stawałam się coraz bardziej niespokojna. Nie wiedziałam, dlaczego jest taka zła, ale za każdym razem, kiedy zachowywała się w ten sposób, byłam pełna obaw.

Wypadek samochodowy mógł mieć fatalne następstwa, a uraz głowy zniszczyć jej nadzwyczajne zdolności; mnie zaś opanowała wizja tętniaka i czaszki pękającej niczym skorupka gotowanego na twardo jajka. Pomyślałam o kobiecie, którą nazwaliśmy Jane, o jej ogolonej głowie z bliznami, i wyobraziłam sobie Lucy w miejscu, w którym nikt nie znałby jej tożsamości.

– Dobrze się czuć? – spytałam siostrzenicę.

Wzruszyła ramionami.

– Co z bólami głowy?

– Mam je nadal. – W jej spojrzeniu pojawiła się podejrzliwość. – Midrin czasami mi pomaga, a czasami wywołuje wymioty. Jedynym środkiem, który naprawdę przynosi mi ulgę, jest fiorinal. Ale nie mam go.

– Nie potrzebujesz niczego takiego. Nie musisz być na barbituranach – odparłam. – Masz apetyt, śpisz dobrze, ćwiczysz?

– Co to jest, badanie lekarskie?

– Prawdę mówiąc, skoro do tego doszło, to jestem lekarzem. Tyle tylko, że nie umówiłaś się na wizytę, ale ja jestem na tyle miła, by mimo wszystko cię przyjąć.

Na jej ustach zawitał uśmiech.

- Czuję się dobrze – powiedziała mniej defensywnie.
- Coś się dzisiaj stało? – powtórzyłam.
- Sądzę, że nie rozmawiałaś jeszcze z komandor Penn.
- Nie kontaktowałyśmy się od rana. Nie wiedziałam, że ją znasz.
- Jej departament podłączony jest do nas, do KAIN-a. O dwunastej w południe KAIN wywołał terminal VICAP Policji Transportowej. Myślę, że wyjechałaś już wówczas na lotnisko.

Skinęłam głową; żołądek mi się ścisnął na wspomnienie piszczącego w kostnicy pagera Davili.

- Jaka tym razem była wiadomość? – spytałam.
- Mam ją, jeśli chcesz zobaczyć.
- Tak – potwierdziłam.

Lucy poszła do swego pokoju i wróciła, niosąc aktówkę. Rozpięła ją i wyjęła stos papierów, wręczając mi jeden, który był wydrukiem z terminalu VICAP, znajdującego się w jednostce łączności dowodzonej przez komandor Penn.

---

-- WIADOMOŚĆ PQ21 96701 001 145 POCZĄTEK --

OD: KAIN

DO: WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH ODDZIAŁÓW:

PRZEDMIOT: MARTWI POLICJANCI

ZE WZGLĘDU NA BEZPIECZEŃSTWO: PODCZAS AKCJI LUB PATROLOWANIA  
TUNELI METRA WSZYSCY SĄ ZOBOWIĄZANI NOSIĆ HEŁMY.

-- WIADOMOŚĆ PQ21 96701 001 145 KONIEC --

---

Zatrwożona, patrzyłam chwilę na wydruk. Potem spytałam:

- Czy jest adres użytkownika, który się podłączył, by wykonać ten zapis?



– Nie.  
– Nie ma żadnego sposobu, by go namierzyć?  
– Nie konwencjonalnymi metodami.  
– Co masz na myśli?  
– Myślę, że kiedy włamano się do OBI, ktoś zaszczepił coś w programie KAIN-a.

– Wirus? – spytałam.  
– Owszem, ale dołączono go do pliku, na który jeszcze nie wpadliśmy. Pozwala poruszać się komuś wewnątrz naszego systemu bez pozostawiania śladów.

Pomyślałam o Gaulcie, którego zeszłej nocy widziałam w tunelu, oświetlonego z boku przez jego własną latarkę; w korytarzu z nieskończonymi torami, prowadzącymi głębiej w ciemność. Gault poruszał się swobodnie przez przestrzenie, których większość ludzi nie widziała. Zwinnie kroczył przez oliwioną stal, strzykawki, cuchnące gniazda ludzi i szczurów. Sam był wirusem. Dostawał się w jakiś sposób do naszych ciał, naszych budynków i naszych urządzeń.

– Tak czy inaczej – podsumowałam – KAIN jest zainfekowany przez wirus.

– I to niezwykle, jego zadaniem nie jest zniszczenie twardego dysku czy wymiecenie danych. To tajemniczy wirus. Został stworzony specjalnie dla KAIN-a, jego celem jest umożliwienie komuś dostępu do komputera oraz do bazy danych VICAP. Ten wirus jest jak wytrych. Otwiera każde drzwi w tym domu.

– I został wprowadzony do istniejącego programu.  
– Można powiedzieć, że ma nosiciela – wyjaśniła Lucy. – Tak. Jakiś rutynowo używany program. Wirus nie może spowodować jego zniszczenia, kiedy komputer przyjmuje program lub podprogram

standardowy, który wywołuje program nosiciela – jak autoexec, bat w DOS-ie.

– Rozumiem. I wirus nie jest elementem żadnego pliku odczytywanego w chwili, kiedy komputer jest ładowany.

Lucy skinęła głową.

– Ile plików programowych ma KAIN?

– Och, mój Boże – westchnęła. – Tysiące. A niektóre z nich są wystarczająco długie, by owinać nim ten budynek. Wirus może być doczepiony gdziekolwiek, a sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana, ponieważ nie robiłam całego oprogramowania. Nie znam tak dobrze plików, które napisali inni.

Inni oznaczali Carrie Grethen, która razem z Lucy pracowała przy programach i była jej serdeczną przyjaciółką. Carrie także знаła Gaulta i była odpowiedzialna za włamanie do OBI. Lucy nie mówiła o niej i unikała wymieniania jej imienia.

– Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że wirus może być dołączony tylko do programów, które napisała Carrie? – spytałam.

Wyraz twarzy Lucy nie zmienił się.

– Może znajdować się w którymś z programów, którego nie napisałam. Może kryć się w takim, który napisałam. Nie wiem. Szukam. To może zabrać dużo czasu.

Zadzwonił telefon.

– To prawdopodobnie Jan. – Wstała i wyszła do kuchni.

Spojrzałam na zegarek. Od pół godziny powinnam być na dole, w wydziale. Lucy nakryła dłonią mikrofon.

– Masz coś przeciwko temu, żeby Jan tu wpadła? Idziemy pobiegać.

– Proszę bardzo – odparłam.

– Chce wiedzieć, czy pobiegasz z nami.

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. Nie dotrzymałabym kroku Lucy, nawet gdyby paliła dwie paczki dziennie, a Janet mogła przejść na zawodowstwo w lekkiej atletyce. W ich towarzystwie czułam, że jestem stara i z innej półki.

– Napijesz się czegoś? – Lucy odłożyła słuchawkę i głowę miała teraz wetkniętą w lodówkę.

– Co masz do zaoferowania? – Patrzyłam na jej szczupłą, zgiętą w pół figurę; jedna ręka oparta na otwartych drzwiczkach, podczas gdy druga przesuwała puszki na półkach.

– Dietetyczna pepsi, zima, gatorade i perier.

– Zima?

– Nie znasz tego?

– Nie piję piwa.

– To nie jest piwo. Zasmakuj ci.

– Nie wiedziałam, że mają tutaj służbę – rzekłam z uśmiechem.

– Kupiłam trochę rzeczy w kantynie.

– Napiję się periera.

Wróciła z naszymi drinkami.

– Nie ma programów antywirusowych? – spytałam.

– Program antywirusowy znajduje tylko znane wirusy, jak Piątek Trzynastego, Maltese Amoeba, Stoned czy Michał Anioł. To, z czym mamy do czynienia w KAIN-ie, zostało stworzone specjalnie dla niego. To była wewnętrzna robota. Nie będzie żadnego programu antywirusowego, dopóki go nie napiszę.

– Czego nie zrobisz, jeżeli wcześniej nie znajdziesz tego wirusa.

Pociągnęła wielki łyk gatorade.

– Lucy, czy KAIN-a nie należałoby wyłączyć?

Wstała.

– Sprawdzę, co z Jan. Nie przedostanie się przez te zewnętrzne drzwi, a wątpię, żebyśmy usłyszały jej pukanie.

Także wstałam i zniosłam swoje bagaże do sypialni, skromnego pomieszczenia z prostą, sosnową szafą. W przeciwieństwie do innych pokoi apartamenty chronione dysponowały osobnymi łazienkami. Z okien miałam widok na pokryte śniegiem pola, przechodzące w ciągnące się po horyzont lasy. Słońce świeciło tak jasno, że czułam, jakby była wiosna. Chciałabym mieć czas na kąpiel. Pragnęłam zmyć z siebie kurz Nowego Jorku.

– Ciociu Kay? Jesteśmy tutaj – usłyszałam, kiedy myłam zęby.

Szybko przepłukałam usta i wróciłam do salonu. Lucy włożyła parę butów oakleys i rozciągała się w drzwiach. Jej przyjaciółka jedną stopę trzymała opartą na krześle i ściągała mocniej sznurowadła.

– Dzień dobry, doktor Scarpetta – powitała mnie Janet, prostując się szybko. – Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że wpadłam. Nie chciałabym pani przeszkadzać.

Pomimo moich wysiłków, by czuła się swobodnie, Janet zawsze zachowywała się jak kapral przestraszony wejściem Pattona. Była młodą agentką, na którą zwróciłam pierwszy raz uwagę, kiedy byłam tutaj w zeszłym miesiącu z gościnnym wykładem. Pamiętam, że pokazywałam slajdy, przedstawiające zgony będące skutkiem użycia przemocy oraz sposoby zabezpieczania miejsca zbrodni, a Janet, patrząc z końca sali, nie spuszczała ze mnie wzroku. Czułam, jak w ciemności przygląda mi się badawczo ze swego miejsca, i zaciekało mnie, że w czasie przerw z nikim nie rozmawiała. Znikała gdzieś na dole.

Później dowiedziałam się, że ona i Lucy były przyjaciółkami, i być może to oraz pewna nieśmiałość wyjaśniały jej zachowanie wobec mnie. Dobrze zbudowana dzięki godzinom spędzonym w sali gimnastycznej, miała długie do ramion blond włosy oraz niebieskie oczy, które były niemal fiołkowe.

Jeśli wszystko poszłoby dobrze, powinna skończyć akademię przed upływem dwóch miesięcy.

– Gdyby kiedykolwiek chciała pani z nami pobiegać, doktor Scarpetta, będzie pani zawsze mile widziana. – Janet powtórzyła uprzejmie swoje zaproszenie.

– Jesteś bardzo miła – uśmiechnęłam się – i pochlebia mi to, że uważasz, że mogłabym dotrzymać wam kroku.

– Oczywiście, że mogłaby pani.

– Nie, nie mogłaby. – Lucy skończyła pić gatorade i postawiła pustą butelkę na blacie. – Nienawidzi biegania. Kiedy to robi, opadają ją czarne myśli.

Wróciłam do łazienki, umyłam twarz i przejrzałam się w lustrze. Moje jasne włosy wydawały się bardziej szare niż rano i jakoś gorzej przycięte. Nie miałam makijażu i twarz wyglądała jak wyjęta z suszarki i wymagająca przeprasowania. Lucy i Janet były nieskazitelne, wysportowane i bystre, jakby natura czerpała radość z rzeźbienia i polerowania tylko młodych. Ponownie umyłam zęby i to kazało mi pomyśleć o Jane.



Wydział Bentona Wesleya zmieniał nazwę wiele razy i był teraz częścią OUZ, ale jego lokalizacja pozostawała ciągle ta sama – sześćdziesiąt stóp pod ziemią, w pozbawionym okien pomieszczeniu, które niegdyś stanowiło przeciwatomowy schron Hoovera. Znalazłam Wesleya w jego biurze, rozmawiał przez telefon. Patrzył na mnie, kiedy przerzucałam raporty.

Przed Wesleyem leżały rozłożone zdjęcia z miejsca zbrodni, dotyczące konsultowanej przez niego sprawy, nie mającej nic wspólnego z Gaultem. Ofiarą był młody mężczyzna, który został dźgnięty i pocięty nożem 122

razy. Uduszono go pętlą, a jego ciało znaleziono wiszące głową w dół w pokoju motelowym na Florydzie.

– To zbrodnia z podpisem. Okropne zabójstwo, za dużo pchnięć nożem i niezwykły splot więzów – mówił Wesley do słuchawki. – Tak. Pętla wokół każdego nadgarstka ma kształt kajdanków.

Usiadłam. Benton miał na nosie okulary do czytania i palcami przeczesywał włosy. Wyglądał na zmęczonego. Popatrzyłam po wiszących na ścianach olejnych obrazach i stojących za szkłem książkach z autografami. Często kontaktowali się z nim ludzie piszący powieści lub scenariusze filmowe, ale nie chwalił się tymi znajomościami. Myślę, że uważał to za krępujące i w złym guście. Nie sądzę, by w ogóle rozmawiał z nimi, gdyby decyzja w tej sprawie zależała tylko od niego.

– Tak, to bardzo brutalny sposób dokonania zbrodni, delikatnie mówiąc. Inne także. Mówimy o dominacji, wywołanej na ogół przez wściekłość.

Zauważyłam, że miał na swoim biurku kilka jasnoniebieskich skryptów FBI, które pochodziły z OBI. Jeden z nich był instrukcją obsługi KAIN-a, którą pomagała pisać Lucy, i w wielu miejscach pomiędzy strony wsunięto spinacze. Zastanawiałam się, czy to ona zaznaczyła te fragmenty, czy on, ale przyszła mi z pomocą intuicja, kiedy zdrętwiała mi lewa strona klatki piersiowej. Serce bolało mnie w ten sposób zawsze wtedy, gdy Lucy miała kłopoty.

– To zagrażało jego poczuciu dominacji. – Wesley spotkał mój wzrok. – Tak, reakcją będzie gniew. Zawsze, u kogoś takiego.

Miał czarny krawat w jasnozłote paski i, co typowe, koszulę białą i wykrochmaloną. Do tego spinki do mankietów Departamentu Sprawiedliwości, obrączkę ślubną i złoty zegarek na czarnym skórzanym pasku, który Connie podarowała mu z okazji dwudziestej piątej rocznicy

ich ślubu. On i jego żona wywodzili się z zamożnych rodzin i żyli bardzo dostatnio. Odłożył słuchawkę i zdjął okulary.

– Jaki problem? – spytałam.

Nienawidziłam tego, że w jego obecności przyśpieszało moje tętno.

Zebrał fotografie i wsunął je do żółtej koperty.

– Kolejna ofiara na Florydzie.

– Znowu okolice Orlando?

– Tak. Dam ci raporty, jak tylko je dostaniemy.

Skinęłam głową i sprowadziłam rozmowę na Gaulta.

– Przypuszczam, że wiesz, co zaszło w Nowym Jorku – powiedziałam.

– Pager.

Ponownie skinęłam głową.

– Wiem – mruknął. – Szydzi z nas. Okazuje nam swoją pogardę.

Prowadzi własną grę, tylko że to staje się coraz groźniejsze.

Dużo groźniejsze. Ale nie powinniśmy skupiać się wyłącznie na nim.

Słuchał, jego wzrok spoczywał na mnie, a dłonie miał złożone na teczce z aktami zamordowanego mężczyzny, o którym dopiero co rozmawiał przez telefon.

– Bardzo łatwo możemy dostać na punkcie Gaulta takiej obsesji, że dosłownie przestaniemy pracować nad innymi zagadnieniami. Na przykład jest bardzo ważne, żeby zidentyfikować tę kobietę, którą – jak sądzimy – zamordował w Central Parku.

– Myślę, że wszyscy uważają to za istotne, Kay.

– Wszyscy tylko mówią, że to ważne – odparłam, a złość zaczęła we mnie narastać. – Ale faktycznie gliny i Biuro chcą schwycić Gaulta, natomiast identyfikacja tej bezdomnej kobiety schodzi na dalszy plan. Jest kolejną biedną, bezimienną ofiarą, którą więźniowie pogrzebią na Potter's Field<sup>[9]</sup>.

- Ale, jak widzę, jest ważna dla ciebie.
- Owszem.
- Dlaczego?
- Uważam, że ona ma nam coś jeszcze do powiedzenia.
- O Gaulcie?
- Tak.
- Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Instynkt – odparłam. – Jesteśmy zobowiązani zrobić dla niej wszystko, co tylko możemy. Ma prawo zostać pochowana pod własnym nazwiskiem.
- Oczywiście, że ma. NYPD, Policja Transportowa, Biuro – wszyscy chcemy ją zidentyfikować.

Nie wierzyłam mu.

- Tak naprawdę nie obchodzi nas to – stwierdziłam bezbarwnym tonem.
- Nie gliniarzy, koronerów ani nie ten wydział. Wiemy już, kto ją zabił, więc to, kim ona jest, nie ma większego znaczenia. I wyraźnie to widać, kiedy mówi się o priorytetach w tak uginającym się pod przemocą mieście jak Nowy Jork.

Wesley zapatrzył się przed siebie, przebiegając palcami po piórze.

- Obawiam się, że jest nieco racji w tym, co mówisz. – Spojrzał na mnie.
- Nie dbamy o to, bo nie możemy. Nie dlatego, że nie chcemy. Pragnę schwytać Gaulta, zanim ponownie zabije. To jest dla mnie najważniejsze.
- I tak powinno być. Ale nie wiemy, czy ta nieżyjąca kobieta nie może w tym pomóc. Może by mogła.

Widziałam przygnębienie Bentona i słyszałam znużenie w jego głosie.

- Wydaje mi się, że jedynym ogniwem łączącym ją z Gaultem jest to, że, spotkali się w muzeum – zaczął. – Przejrzeliśmy jej rzeczy osobiste i żadna z nich nie doprowadziła nas do niego. Więc moje pytanie brzmi: czego jeszcze możemy się o niej dowiedzieć, co mogłoby nam pomóc go złapać?



– Nie wiem – odparłam. – Ale kiedy miałam do czynienia z niezidentyfikowanymi ofiarami w Wirginii, to nie spoczęłam, dopóki nie zrobiłam wszystkiego, co możliwe, by odkryć ich tożsamość. Ta sprawa dotyczy Nowego Jorku, ale jestem w nią zamieszana, gdyż współpracuję z twoim wydziałem, a ty zostałeś zaproszony do tego śledztwa.

Mówiłam z taką pasją, jakby Jane okrutnie zamordowano w tym pokoju.

– Jeżeli nie mogę trzymać się własnych metod – ciągnęłam – to nie będę już mogła służyć FBI jako konsultant.

Wesley wysłuchiwał tego wszystkiego z pełną zakłopotania cierpliwością. Wiedziałam, że podzielał większą część moich frustracji, ale była też pewna różnica. Nie wyrósł w biedzie i podczas naszych najgorszych kłótni wykorzystywałam to przeciw niemu.

– Gdyby była kimś ważnym, wszystkich by obchodziła – stwierdziłam. W dalszym ciągu milczał. – Nie ma sprawiedliwości dla biedaków – kontynuowałam – jeśli ktoś tego nie dopilnuje Patrzył na mnie.

– Benton, nalegam.

– Wyjaśnij mi, co chcesz zrobić – powiedział.

– Chcę uczynić wszystko, aby wyjaśnić, kim ona jest. Pragnę, żebyś mnie poparł.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Analizował.

– Dlaczego ona? – spytał.

– Myślałam, że już to wytłumaczyłam.

– Uważaj – ostrzegł. – Zastanów się, czy kierują tobą subiektywne motywy.

– Co sugerujesz?

– Lucy.

Poczułam napływ irytacji.

– Lucy mogła zostać tak samo poszkodowana, jak tamta kobieta – ciągnął. – W pewnym sensie Lucy zawsze była sierotą i nie tak dawno temu zaginęła w Nowej Anglii, a ty jej poszukiwałaś.

– Oskarżasz mnie o swego rodzaju przeniesienie.

– Nie oskarżam. Wraz z tobą badam możliwości.

– Usiłuję tylko wykonywać swoją robotę – oświadczyłam – i nie mam ochoty na psychoanalizę.

– Rozumiem. – Przerwał na moment. – Zrób wszystko, co musisz. Pomogę ci, jak tylko będę mógł. I jestem pewien, że Pete także to zrobi.

Potem przeskoczyliśmy na bardziej zdradliwy temat, jaki stanowili Lucy i KAIN, ale o tym Wesley nie chciał mówić. Kiedy wyszedł po kawę, w pokoju obok zadzwonił telefon i jego sekretarka przyjęła kolejną wiadomość. Od mojego przyjścia telefon nie przestawał dzwonić, i wiedziałam, że tak jest zawsze. Świat pełen jest zdesperowanych ludzi, którzy mają nasze numery telefoniczne i nikogo innego, do kogo mogliby zadzwonić.

– Powiedz mi tylko, co – według ciebie – zrobiła – odezwałam się, kiedy wrócił.

Postawił przede mną kawę.

– Mówisz jak jej ciotka.

– Nie. Teraz mówię jak jej matka.

– Bądź raczej sobą i pogadajmy jak zawodowcy – zaproponował.

– Dobrze. Wprowadź mnie w szczegóły.

– Szpiegostwo, które zaczęło się w październiku, kiedy nastąpiło włamanie do OBI, trwa dalej. Ktoś grasuje wewnątrz KAIN-a.

– Tyle wiem.

– Nie wiemy, kto to robi.

– Zakładamy, że Gault, jak sądzę.

Wesley sięgnął po kawę. Spojrzał mi w oczy.

– Z pewnością nie jestem ekspertem w dziedzinie komputerów, ale jest coś, co musisz zobaczyć.

Otworzył cienką teczkę z aktami i wyjął kawałek papieru. Kiedy mi go wręczył, rozpoznałam, że to wydruk komputerowy.

– To jest strona z kontroli danych źródłowych KAIN-a, dokładnie z tej chwili, kiedy do terminalu VICAP w Policji Transportowej została wysłana większość ostatnich wiadomości – oświadczył. – Czy dostrzegasz coś niezwykłego?

Pomyślałam o wydruku, który pokazała mi Lucy, o „Martwych Policjantach”. Patrzyłam jakiś czas na rejestr początkowy i końcowy, adres użytkownika, daty i czasy, zanim zrozumiałam problem. Poczułam strach.

Adres identyfikacyjny Lucy nie był tradycyjny w tym znaczeniu, że nie został zestawiony z inicjału imienia i pierwszych siedmiu liter nazwiska. Zamiast tego nazwała się LUCYMÓWI, i zgodnie ze śladem rewizji była głównym użytkownikiem, kiedy wiadomość została wysłana do Nowego Jorku.

– Pytałeś ją o to? – zapytałam Wesleya.

– Pytano ją i nie była zaniepokojona, ponieważ, jak możesz zobaczyć z wydruku, korzystała z systemu przez cały dzień, czasem również po godzinach pracy.

– Jest zaniepokojona. Nie obchodzi mnie, co powiedziała tobie, Benton. Uważa, że została przeniesiona na piętro bezpieczeństwa, by łatwo ją było obserwować.

– Jest obserwowana.

– To, że była w sieci w tym samym czasie, kiedy tę wiadomość wysłano do Nowego Jorku, niczego nie dowodzi – upierałam się.

– Wiem. Nie ma nic w kontroli zapisów, co by wskazywało, że to zrobiła. Tak naprawdę nie ma śladu, że w ogóle ktokolwiek to zrobił.

– Kto więc zwrócił ci na to uwagę? – zapytałam, ponieważ wiedziałam, że Wesley wcale nie bada rutynowo zapisów kontroli danych źródłowych.

– Burgess.

– A zatem wcześniej ktoś z OBI poinformował o tym jego.

– Oczywiście.

– Tu nadal są ludzie, którzy nie ufają Lucy z powodu tego, co stało się jesienią.

Jego spojrzenie było twarde.

– Nie mogę niczego zrobić w tej sprawie, Kay. Musi sama to udowodnić. Nie możemy nic dla niej uczynić. Ty też nie możesz dla niej nic zrobić.

– Nie zamierzam. Wszystko, o co proszę, to bezstronność. Lucy nie obwiniano o obecność wirusa w programie KAIN-a. Nie wprowadziła go tam. Stara się coś z tym zrobić i szczerze mówiąc, jeżeli ona tego nie może, nie sądzę, by ktokolwiek inny był w stanie to uczynić. Cały system zostanie zniszczony.

Podniósł filiżankę, ale rozmyślił się i odstawił ją z powrotem.

– Nie sądzę także, by została przeniesiona na piętro bezpieczeństwa, ponieważ ktoś uważa, że to ona sabotuje KAIN-a. Jeżeli naprawdę tak myślisz, powiedz jej, żeby się pakowała. Trzymanie jej tu nic nie da.

– Niekoniecznie – odparł, ale nie oszukał mnie.

– Powiedz mi prawdę.

Namyślał się, patrząc przed siebie.

– Ty przydzieliłeś Lucy na piętro bezpieczeństwa, prawda? – ciągnęłam.

– To nie Burgess. To nie z powodu tych czasów zarejestrowania się w systemie, które mi pokazałeś. To głupstwo.

– Nie dla niektórych ludzi – wyjaśnił. – Ktoś wyżej wywiesił czerwoną flagę i kazał mi się jej pozbyć. Powiedziałem, że jeszcze nie teraz. Musimy się jej najpierw przyjrzeć.

– Chcesz mi powiedzieć, że to Lucy jest wirusem? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Nie. – Pochylił się do mnie w swoim fotelu. – Uważam, że to Gault. I chcę, żeby Lucy pomogła nam go wyśledzić.

Popatrzyłam na niego, jakby właśnie wyjął broń i wystrzelił w powietrze.

– Nie – powiedziałam, czując narastającą złość.

– Kay, posłuchaj mnie...

– Absolutnie nie. Trzymaj ją od tego z daleka. Nie jest, do cholery, agentką FBI.

– Jesteś przewrażliwiona...

Nie zamierzałam pozwolić mu mówić.

– Na litość boską, jest studentką. To nie jej interes... – Zawiódł mnie głos. – Znam ją. Będzie starała się z nim skontaktować. Nie rozumiesz?

Spojrzałam na niego z ogniem w oczach.

– Ty jej nie znasz, Benton!

– Myślę, że znam.

– Nie pozwolę ci jej tak wykorzystywać.

– Daj mi wyjaśnić.

– Powinieneś wyłączyć KAIN-a – oświadczyłam.

– Nie mogę. To może być jedyny trop, jaki zostawia Gault. – Milczał chwilę, a ja świdrowałam go wzrokiem. – Zagrożone jest ludzkie życie. Gault nie skończył z zabijaniem.

– Właśnie dlatego nie chcę, żeby Lucy choćby tylko myślała o nim! – wybuchnęłam.

Wesley siedział w milczeniu. Spojrzał w stronę zamkniętych drzwi, a potem ponownie na mnie.

– On już wie, kim ona jest.

– Nie może o niej wiele wiedzieć.

– Nie mamy pojęcia ile. Ale wie, jak wygląda.

Nie byłam w stanie myśleć.

– Skąd?

– Dzięki temu, co zginęło, kiedy została skradziona twoja karta American Express – odparł. – Lucy nie powiedziała ci?

– Czego?

– O rzeczach, które miała w biurku. – Urwał nagle, gdy pojął, że nie rozumiem, o czym mówi.

Czułam, że niektóre szczegóły pomija milczeniem.

– Jakie rzeczy? – spytałam.

– No cóż – podjął – miała w biurku OBI list od ciebie. Ten, w którym znajdowała się karta kredytowa.

– Wiem o tym.

– Racja. Ale w tym liście znajdowała się także fotografia: ty i Lucy razem, w Miami. Siedzicie w ogródku za domem twojej mamy.

Zamknęłam na chwilę oczy i kiedy ponuro kontynuował, wzięłam głęboki oddech.

– Gault wie, że Lucy jest twoim oczkiem w głowie. Także nie chcę, by na niej zogniskował swą uwagę, ale staram ci się zasugerować, że prawdopodobnie już to zrobił. Włamał się do świata, w którym ona jest bogiem. Przejął KAIN-a.

– To dlatego ją przeniosłeś – powiedziałam.

Wesley opiekował się mną, starając się znaleźć sposób, w jaki można będzie pomóc. Ujrzałam piekło, kryjące się w jego duszy za chłodną

rezerwą, i czułam jego olbrzymi ból. On także miał dzieci.

– Przeniosłeś ją do mnie na piętro bezpieczeństwa. Obawiałeś się, że Gault mógłby przyjść po nią.

Nie odpowiedział.

– Chcę, żeby wróciła na uniwersytet do Charlottesville. Chcę ją tam jutro zabrać – rzekłam stanowczo.

Nie chciałam, by Lucy poznała mój świat, ale to już było niemożliwe.

– Nie może jechać – rzekł po prostu. – I nie może zostać u ciebie w Richmond. Prawdę mówiąc, teraz nie może być nigdzie indziej. Tu jest najbezpieczniejsza.

– Nie zostanie tu do końca życia – odparłam.

– Póki go nie złapiemy...

– On może nigdy nie zostać schwytany, Benton!

Spojrzał na mnie ze znużeniem.

– Wówczas obie możecie skończyć w naszym Programie Ochrony Świadków.

– Nie zrezygnuję ze swojej tożsamości. Z życia. W czym to jest lepsze od bycia nieboszczykiem?

– Jest – szepnął, a ja wiedziałam, że widział ciała skopane, pozbawione głów i podziurawione kulami.

Wstałam.

– Co mam zrobić w sprawie swojej skradzionej karty kredytowej? – spytałam.

– Unieważnij ją – odparł. – Myślałem, że będziemy mogli użyć pieniędzy ze skonfiskowanych przedmiotów, z nalotów na handlarzy narkotyków, ale nie możemy.

Przerwał na moment, kiedy z niedowierzaniem potrząsnęłam głową.

– To nie jest moja decyzja. Znasz nasze problemy budżetowe. My także je mamy.

– Dobry Boże – rzekłam. – Myślałam, że chcesz go namierzyć.

– Twoja karta kredytowa nie powie nam, gdzie on jest, a tylko gdzie był.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Obwiniaj o to polityków.

– Nie chcę słyszeć o problemach budżetowych ani o politykach! – wykrzyknęłam.

– Kay, w dzisiejszych czasach w Biurze ledwie starcza na amunicję na strzelnicę. I znasz nasze problemy personalne. Nawet kiedy tu rozmawiamy, osobiście nadzoruję sto trzydzieści dziewięć spraw. A w zeszłym miesiącu odeszło na emeryturę dwóch moich najlepszych ludzi.

Teraz mój wydział liczy dziewięciu pracowników. Dziewięciu. Razem staramy się podolać wszystkim sprawom z całych Stanów Zjednoczonych oraz tym przysłanym nam z zagranicy. Do diabła, jedynym powodem, dla którego korzystamy z twoich konsultacji, jest to, że ci nie płacimy.

– Nie robię tego dla pieniędzy.

– Możesz anulować swoją kartę Amexu – powiedział ze znużeniem. – Na twoim miejscu zrobiłbym to natychmiast.

Patrzyłam na niego dłuższą chwilę, po czym wyszłam.



Zanim wróciłam do pokoju, Lucy skończyła bieganie i wzięła prysznic. Kolację podawano w kafeterii, ale ona była w OBI, pracowała.

– Wracam dziś w nocy do Richmond – poinformowałam ją przez telefon.

– Myślałam, że spędzisz tu noc – odparła i wyczułam jej rozczarowanie.

– Marino przyjedzie po mnie – powiedziałam.

– Kiedy?

– Jest w drodze. Zanim wyjadę, możemy zjeść razem kolację.

– Okay. Chciałabym, żeby Jan przyszła.

– W porządku – zgodziłam się. – W takim razie włączymy w to Marino.

Lucy milczała.

– Może spotkałybyśmy się wcześniej – zasugerowałam.

– Tutaj?

– Tak. Jeśli tylko przeprowadzisz mnie przez wszystkie te skanery, zamknięte drzwi, urządzenia prześwietlające i wykrywacze metalu.

– No cóż, będę musiała uzgodnić to ze zwierzchniczką. Nienawidzi, kiedy dzwonię do niej do domu.

– Idę do ciebie.

Ośrodek Badań Inżynierskich to były trzy szklano-betonowe strąki otoczone drzewami, na parking przed nimi nie można się było dostać bez stawania przy budce strażniczej, znajdującej się jakieś sto stóp od wejścia do akademii. OBI stanowiło najbardziej tajny z wydziałów FBI i pracownicy musieli poddawać skanowaniu swoje linie papilarne w biometrycznych zamkach, zanim pleksiglasowe drzwi wpuściły ich do wnętrza. Lucy czekała na mnie w wejściu. Była niemal ósma wieczorem.

– Cześć – powiedziała.

– Na parkingu stoi z tuzin samochodów. Czy ludzie naprawdę pracują tutaj tak późno?

– Wchodzą i wychodzą przez cały dzień. Przez większość czasu nawet ich nie widzę.

Przeszliśmy olbrzymią przestrzeń beżowego dywanu ograniczonego również beżowymi ścianami, mijając zamknięte drzwi prowadzące do laboratoriów, w których uczeni zajmowali się badaniami, o jakich nie wolno im było mówić. Poza wiadomościami na temat pracy Lucy w projekcie KAIN miałam mgliste pojęcie o tym, co się tam dzieje, ale wiedziałam, że celem tych działań było techniczne wsparcie dowolnego zadania, z jakim mógł się zetknąć agent specjalny – czy to była inwigilacja, strzelanie, zjeżdżanie na linie ze śmigłowca, czy użycie w akcji robota. Dla Gaulta dostanie się tutaj stanowiło taki sam wyczyn, jak przespacerowanie się po terenie NASA czy zakładów wzbogacania uranu. To było nie do pomyślenia.

– Benton powiedział mi o zdjęciu, które miałaś w biurku – odezwałam się do Lucy, kiedy wsiadałyśmy do windy.

Wcisnęła guzik drugiego piętra.

– Gault już wie, jak wyglądasz, jeżeli to jest to, co cię martwi. Widział cię już wcześniej – co najmniej dwa razy.

– Nie podoba mi się to, że mógł się dowiedzieć, jak ty wyglądasz – powiedziałam z naciskiem.

– Jesteś zarozumiała uważając, że ma tę fotografię.

Weszliśmy do szarego pomieszczenia podzielonego na stłoczone boksy ze stanowiskami pracy, drukarkami i stosami papieru. Sam KAIN znajdował się za szklaną szybą, w klimatyzowanym pomieszczeniu

wypełnionym monitorami, modemami i milami kabli ukrytych pod podwyższoną podłogą.

– Muszę coś sprawdzić – powiedziała, przykładając dłoń do skanera, by otworzyć drzwi wiodące do KAIN-a.

Weszłam za nią w chłodne powietrze, naelektryzowane od niewidzialnego ruchu, odbywającego się z nieprawdopodobnymi szybkościami. Światelka modemów mrugały na czerwono i zielono, a na osiemnastocalowym ekranie KAIN-a pojawiały się grube pętle i spirale odcisków palców osoby, której dłoń była właśnie skanowana.

– Zdjęcie znajdowało się w kopercie razem z kartą American Express. Logika podpowiada mi, że może mieć obie te rzeczy.

– Może je mieć ktoś inny. – Wpatrywała się intensywnie w modemy, spoglądając od czasu do czasu na monitor i robiąc notatki. – To zależy od tego, kto w końcu przekopał moje biurko.

Zawsze zakładaliśmy, że to Carrie włamała się samotnie do OBI i zabrała to, czego chciała. Teraz nie byłam już tego taka pewna.

– Carrie mogła nie być sama – powiedziałam.

Lucy nie odpowiedziała.

– Tak naprawdę nie wierzę, by Gault oparł się pokusie wejścia tu. Sądzę, że był z nią.

– To cholernie ryzykowne, kiedy jest się poszukiwanym za morderstwo.

– Lucy, przede wszystkim włamywanie się tutaj jest cholernie ryzykowne.

Robiła dalej swoje notatki, podczas gdy na ekranie KAIN-a wirowały kolory, a światelka modemów zapalały się i gasły. KAIN stanowił produkt ery kosmicznej – macki połączeń sprzęgały go z siłami porządkowymi znajdującymi się tutaj i za granicą, a głową była stojąca na sztorc beżowa skrzynia, wyposażona w rozmaite przyciski i szczeliny. Kiedy chłodne

powietrze zafurkotało, niemal zastanowiłam się, czy komputer wiedział, o czym mówimy.

– Co jeszcze zniknęło z twojego pokoju? – spytałam. – Brakuje jeszcze czegoś?

Przyglądała się uważnie błyskającym światełkom modemu, a na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– To musi przechodzić przez jeden z tych modemów.

– Co się dzieje? – zapytałam zdumiona.

Usiadła przed klawiaturą, uderzyła w klawisz spacji i oszczędzacz ekranu zniknął. Weszła do programu i zaczęła wystukiwać polecenia UNIX, które dla mnie były niezrozumiałe. Potem otworzyła menu i weszła do kontroli rejestracji danych.

– Wchodzę tutaj rutynowo, śledząc przepływ informacji pomiędzy modemami – powiedziała, obserwując badawczo monitor. – Jeżeli ta osoba nie znajduje się fizycznie w tym budynku, tylko jest podłączona do systemu, musi posługiwać się modemem.

– Nie ma innej drogi – zgodziłam się.

– No cóż. – Wzięła głęboki oddech. – Teoretycznie możesz użyć odbiornika, by dostać się do klawiatury dzięki promieniowaniu van Ecka. Nie tak dawno robili to radzieccy agenci.

– Ale w ten sposób nie wejdiesz do systemu – powiedziałam.

– Możesz jednak poznać hasła i inne informacje, które umożliwią ci dostęp, gdybyś знаła kod wywoławczy.

– Czy zostały zmienione po włamaniu?

– Oczywiście. Zmieniłam wszystko, co mi tylko przyszło do głowy, i prawdę mówiąc od tamtej pory kody dostępu zmieniły się jeszcze raz. Poza tym mamy modemy zwrotne – to znaczy, że wywołujesz KAIN-a, a on

ponownie wywołuje ciebie, by sprawdzić, czy na pewno masz odpowiednie uprawnienia. – Wyglądała na zniechęconą i złą.

– Jeśli wprowadzisz do programu wirus – odezwałam się, starając się jej pomóc – czy nie zmienia on wielkości pliku? Czy w ten sposób nie można dojść do tego, gdzie się on kryje?

– Owszem, zmienia – odparła – ale problem polega na tym, że program UNTX, używany do badania plików pod tym kątem, nazywany jest sumą kontrolną i nie jest kryptograficznie zabezpieczony. Jestem pewna, że ktokolwiek to zrobił, dołączył kompensacyjną sumę kontrolną, i spowodował, że bajty w programie wirusa zniknęły.

– Więc wirus jest niewidoczny.

Skinęła głową, roztargniona, wiedziałam, że myśli o Carrie. Potem wystukała komendę, by sprawdzić, jakie instytucje strzegące prawa i porządku są w tej chwili podłączone do KAIN-a. Nowy Jork. Także Charlotte oraz Richmond, Lucy wskazała mi ich modemy. Podczas transmisji danych z użyciem linii telefonicznych na frontowych obudowach modemów tańczyły światełka.

– Powinnyśmy iść na kolację – powiedziałam łagodnie do swojej siostrzenicy.

Wystukała kolejne polecenia.

– Nie jestem głodna.

– Lucy, nie możesz pozwolić, żeby to zapanowało nad twoim życiem.

– I kto to mówi?

Miała rację.

– Wojna została wypowiedziana – dodała. – Bo to jest wojna.

– To nie Carrie – odparłam, mówiąc o kobiecie, która – jak podejrzewałam – była czymś więcej niż tylko przyjaciółką Lucy.

– Nie ma znaczenia, kto to jest. – Dalej stukała po klawiaturze.

Ale miało. Carrie Grethen nie mordowała ludzi ani nie okaleczała ich ciał. Temple Gault – tak.

– Czy podczas włamania zginęło jeszcze coś z twoich rzeczy? – spróbowałam ponownie.

Przerwała na chwilę i spojrzała na mnie; jej oczy błyszczały.

– Tak, jeśli musisz wiedzieć – odparła. – Miałam wielką żółtą kopertę, której nie chciałam zostawiać w akademiku na uniwersytecie czy w tutejszej bursie, ponieważ współlokatorzy i różni inni ludzie wchodzi tam ciągle i wychodzą. Myślałam, że będzie bezpieczniejsza tutaj, w moim biurku.

– Co było w tej kopercie?

– Listy, notatki, rozmaite rzeczy. Niektóre z nich pochodziły od ciebie, wliczając w to ten z kartą kredytową oraz zdjęciem. Większość była od niej.

– Zarumieniła się. – Także kilka kartek od babci.

– Miałaś listy od Carrie? Dlaczego do ciebie pisała? Obie byłyście w Quantico i nie znałyście się przed jesienią.

– W pewien sposób znałyśmy się. – Jej twarz stała się jeszcze bardziej czerwona.

– To znaczy? – spytałam zaskoczona.

– W lecie nawiązałyśmy kontakt przez komputerowy biuletyn ogłoszeniowy „Prodigy”. Zachowałam wszystkie wydruki naszych notatek, jakie sobie przesłałyśmy.

– Czy z rozmysłem starałaś się załatwić to, żebyście mogły być razem w OBI? – Moje niedowierzanie rosło.

– Właśnie zwalniano ją z Biura – odparła Lucy. – Zachęcała mnie, bym spróbowała zatrudnić się tutaj.

Moje milczenie było złowróżbne.

– Słuchaj, skąd mogłam wiedzieć?

– Sądzę, że nie mogłaś – oświadczyłam. – Ale ona cię wystawiła, Lucy. Potrzebowała cię tutaj. To było zaplanowane dużo wcześniej, zanim poznałyście się przez „Prodigy”. Prawdopodobnie spotkała już wtedy Gaulta w tym sklepie ze sprzętem szpiegowskim w północnej Wirginii, a potem oboje uznali, że powinna cię poznać.

Patrzyła ze złością.

– Boże – westchnęłam przeciągle – zostałam zwabiona w pułapkę. – Gapiłam się na nią, niemal czując mdłości. – To wszystko stało się nie tylko dlatego, że jesteś tak dobra w tym, co robisz, ale także i z mojego powodu.

– Nie próbuj udowadniać, że to twoja wina. Nie znoszę, kiedy to robisz.

– Jesteś moją siostrzenicą, Lucy. Prawdopodobnie Gault wiedział o tym już od jakiegoś czasu.

– Jestem także dosyć znana w światku komputerowym. – Spojrzała na mnie wyzywająco. – Wielu o mnie słyszało. Nie wszystko musi się dziać za twoją przyczyną.

– Czy Benton wie, jak poznałaś się z Carrie?

– Powiedziałam mu to już dawno temu.

– Dlaczego mnie nie powiedziałaś?

– Nie chciałam. I bez tego czułam się wystarczająco źle. To sprawa osobista. – Nie spojrzała na mnie. – To było pomiędzy panem Wesleyem a mną. A poza tym nie zrobiłam nic złego.

– Chcesz mi powiedzieć, że podczas włamania ta wielka żółta koperta zniknęła?

– Tak.

– Dlaczego ktoś mógłby jej pragnąć?

– Ona jej chciała – powiedziała z goryczą w głosie. – Były tam listy, które do mnie napisała.

– Czy od tamtej pory starała się z tobą skontaktować?

– Nie.

– Chodź – rzekłam zdecydowanym tonem matki. – Poszukajmy Marino.



Był w sali konferencyjnej, gdzie ja wzięłam zimę, a on zamówił kolejne piwo. Lucy poszła poszukać Janet, co pozwoliło Marino i mnie na kilkuminutową rozmowę.

– Nie wiem, jak możesz pić to świństwo – powiedział, patrząc pogardliwie na mój napój.

– Także tego nie wiedziałam, dopóki nie spróbowałam. – Pociągnęłam łyk.

Napój był całkiem dobry i powiedziałam to Marino.

– Może powinieneś czasem spróbować czegoś, zanim to osądzisz – dodałam.

– Nie pijam piwa dla pedałów. I nie muszę próbować wielu rzeczy, żeby wiedzieć, że nie są dla mnie.

– Sądzę, że dzieli nas między innymi ten drobiazg, Marino, że ja nie martwię się bez przerwy o to, czy ludzie wezmą mnie za lesbijkę.

– Niektórzy myślą, że nią jesteś.

Rozbawił mnie.

– No cóż, z pewnością nikt nie sądzi, że ty jesteś gejem – oznajmiłam. – Większość ludzi co najwyżej uważa cię za bigota.

Marino ziewnął, nie zasłaniając ust. Palił i pił budweisera z butelki. Pod oczami miał cienie i chociaż wyjawiał już intymne szczegóły swego związku z Molly, rozpoznałam symptomy kogoś ogarniętego namiętnością.

– Dobrze się czujesz? – zainteresowałam się.



Odstawił butelkę i rozejrzał się dokoła. Pomieszczenie wypełniał gwar rozmów agentów oraz gliniarzy pijących piwo i jedzących popcorn, a w kącie grzmiał telewizor.

– Jestem wykończony – uznał; wydawał się bardzo roztargniony.

– Doceniam to, że po mnie przyjechałeś.

– Po prostu szturchnij mnie, jeśli będę zasypiał za kierownicą – odparł. – Albo ty możesz prowadzić. To świństwo, które pijesz, nie ma pewnie w sobie ani trochę procentów.

– Ma wystarczającą ilość. Nie będę prowadzić, a jeśli jesteś zmęczony, możemy zostać tutaj.

Wstał po kolejne piwo. Odprowadziłam go wzrokiem. Będzie z nim trudno dziś w nocy. Potrafiłam wyczuć jego fronty burzowe lepiej od jakiegokolwiek meteorologa.

– Dostaliśmy z laboratorium w Nowym Jorku raport, który może cię zainteresować – powiedział, siadając ponownie. – To ma związek z włosem Gaulta.

– Tym znalezionym w fontannie? – spytałam z zaciekawieniem.

– Taaa. Nie pamiętam tych naukowych szczegółów, które ty tak lubisz, więc możesz sama tam zadzwonić, by je poznać, okay? Ale kwintesencja jest taka, że odkryto w nim ślady prochów. Powiedzieli, że musiał pić i zażywać kokę, co spowodowało, że chemikalia odłożyły się w jego włosach.

– Znaleźli kokaetylen – powiedziałam.

– Chyba tak się to nazywa. Występowało na całej długości włosa, od cebulki do końca, co znaczy, że pije i bierze kokę od jakiegoś czasu.

– Nie możemy wiedzieć, jak długo to robi – odparłam.

– Facet, z którym rozmawiałem, powiedział, że mamy do czynienia z pięciomiesięcznym przyrostem – rzekł Marino.

– Badanie włosów na obecność narkotyków stanowi nadal kontrowersyjną metodę – wyjaśniłam. – Nie jest do końca pewne, czy niektóre pozytywne wyniki, wykazujące obecność kokainy we włosach, nie są spowodowane zewnętrznymi zanieczyszczeniami. Na przykład dymem w palarniach cracku, który jest pochłaniany przez włosy tak jak tytoniowy. Nie zawsze można łatwo odróżnić to, co organizm zaabsorbował, od tego, co przyjęto doustnie czy w jakikolwiek inny sposób.

– Myślisz, że świństwo wchłonął z powietrza? – Marino zadumał się nad tym.

– Możliwe. Co nie znaczy, że nie pije albo że się nie narkotyzuje. Prawdę mówiąc, na pewno to robi. Kokaetylen produkowany jest przez wątrobę.

Marino zapalił w zamyśleniu kolejnego papierosa.

– A co z tym jego ciągłym farbowaniem włosów?

– To także może wpływać na wynik badań – potwierdziłam. – Niektóre utleniacze mogą zneutralizować pewne prochy.

– Utleniacze?

– Na przykład woda utleniona.

– Jest więc możliwe, że część kokaetyleny została zneutralizowana – rozumował Marino. – Może to oznaczać, iż poziom narkotyków w jego organizmie jest wyższy, niż na to wygląda.

– Możliwe.

– Skądś musi brać prochy.

– W Nowym Jorku to z pewnością nie jest trudne – odparłam.

– Do diabła, to nigdzie nie jest trudne. – Coś go wyraźnie zaprzętało.

– O czym myślisz? – spytałam.

– Powiem ci – zaczął. – Ten narkotykowy trop nie skończył się dobrze dla Jimmy'ego Davili.

- Dlaczego? Znamy już wyniki jego badania toksykologicznego?
- Są negatywne. – Zawahał się. – Benny zaczął śpiewać. Mówi, że Davila był dealerem.
- Myślę, że Benny nie jest źródłem, do którego można podchodzić bezkrytycznie – powiedziałam. – Odnoszę wrażenie, że on nie jest wiarygodnym świadkiem.
- Zgadzasz się z tobą – oświadczył Marino. – Ale niektórzy próbują zrobić z Davili złego gliniarza. Chodzą słuchy, że chcą mu przypiąć zamordowanie Jane.
- To szaleństwo – odparłam zaskoczona. – Absolutny nonsens.
- Pamiętasz tę substancję na ręce Jane, która świeciła w promieniach Luma-Lite?
- Tak.
- Kokaina – rzekł.
- A badanie toksykologiczne?
- Negatywne. I to jest dziwne. – Marino wyglądał na sfrustrowanego. – Benny twierdzi, że to Davila dał mu plecak.
- Daj spokój – powiedziałam zirytowana.
- Tylko ci powtarzam.
- To nie Davili włos znaleziono w fontannie.
- Nie jesteśmy w stanie udowodnić, jak długo tam leżał. I nie wiemy, że pochodzi od Gaulta.
- Badanie DNA potwierdzi to – powiedziałam z przekonaniem. – Davila nosił broń 0.380, a Jane została zastrzelona z trzydziestkiósemki glocka.
- Posłuchaj. – Marino pochylił się do przodu, opierając dłonie na stole. – Nie przyjechałem tutaj, by się z tobą sprzeczać, Doc. Mówię ci tylko, że sprawy nie wyglądają dobrze. Nowojorscy politycy pragną zamknąć tę sprawę i dobrym na to sposobem jest przypięcie jej komuś nieżyjącemu.

Więc co należy zrobić? Uczynić z Davila worek śmieci, którego nikt nie żałuje. Nikogo nie obchodzi.

– A co z tym, co stało się z samym Davilą?

– Ta głupia koronerka, która była na miejscu zbrodni, nadal sądzi, że możliwe, iż popełnił samobójstwo.

Spojrzałam na Marino, jakby stracił rozum.

– Kopnął się w głowę? – spytałam. – A potem kropnął sobie między oczy?

– Stał, strzelając do siebie, a potem przewrócił się, uderzając głową o beton czy coś takiego.

– Reakcje organizmu na obrażenia świadczą, iż najpierw otrzymał cios w głowę – powiedziałam, stając się coraz bardziej zła. – I wytłumacz mi, proszę, jakim cudem służbowy rewolwer znalazł się dokładnie na środku klatki piersiowej zmarłego?

– To nie jest twoja sprawa, Doc. – Marino spojrzał mi prosto w oczy. – To podstawowa kwestia. Ty i ja jesteśmy gośćmi. Zostaliśmy tu zaproszeni.

– Davila nie popełnił samobójstwa – oświadczyłam. – A doktor Horowitz nie pozwoli, by podobny raport wyszedł z jego urzędu.

– Może nie. A może powiedzą mu, że Davila był śmieciem, którego załatwił inny dealer. Jane skończy w sosnowej skrzynce na Potter's Field. Koniec historii. Central Park i metro są znowu bezpieczne.

Pomyślałam o komandor Penn i poczułam niepokój. Zapytałam o nią Marino.

– Nie wiem, jak to odebrała – odparł. – Rozmawiałem z paroma facetami. Naciskają ją. Z jednej strony nie chce, by ktokolwiek uważał, że jest złą policjantką, z drugiej zaś nie ma ochoty, by opinia publiczna nabrała przekonania, iż w metrze grasuje seryjny morderca.

– Rozumiem. – Myślałam o olbrzymiej presji, jakiej Penn musi podlegać, ponieważ to jej wydział odpowiadał za bezpieczeństwo w metrze.

W tym celu Nowy Jork przeznacza na Policję Transportową dziesiątki milionów dolarów.

– Do tego – dodał – jest jeszcze ten przeklęty dziennikarzyna, który znalazł ciało Jane w Central Parku. Z tego, co słyszałem, ten facet jest nieugięty niczym młot pneumatyczny. Chce dostać Nagrodę Nobla.

– Niezbyt prawdopodobne – rzekłam z irytacją.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedział Marino, który często obstawiał, kto dostanie nagrodę.

Do tej pory, według niego, ja sama zdobyłam już kilka nobli.

– Chciałabym wiedzieć, czy Gault nadal przebywa w Nowym Jorku.

Marino osuszył drugą butelkę piwa i spojrzał na zegarek.

– Gdzie jest Lucy? – spytał.

– Szuka Janet, jak słyszałam.

– Jaka ona jest?

Wiedziałam, nad czym się zastanawia.

– Jest cudowną młodą kobietą – odparłam. – Bystrą, ale bardzo spokojną.

Milczał.

– Marino, moją siostrzenicę przeniesiono na piętro bezpieczeństwa.

Odwrócił się w stronę kontuaru, jakby zastanawiał się nad następnym piwem.

– Kto? Benton?

– Tak.

– Z powodu tego komputerowego bałaganu?

– Tak.

– Chcesz kolejną zimę?

– Nie, dziękuję. A ty nie powinienesz pić następnego piwa, ponieważ prowadzisz. Prawdę mówiąc, chyba przyjechałeś policyjnym wozem i nie powinienesz być wypić nawet jednego.

– Wziąłem dzisiaj swoją półciężarówkę.

Słyszając to nie poczułam się szczęśliwsza, więc powiedział:

– Posłuchaj, nie jest wyposażona w poduszki powietrzne. Przykro mi, okay? Ale taksówka czy wypożyczony samochód także ich nie ma.

– Marino...

– Kupię ci wreszcie wielką torbę powietrzną. I będziesz mogła wlec ją ze sobą wszędzie, gdzie ci się spodoba, jako swój osobisty balon na podgrzane powietrze.

– Kiedy jesienią włamano się do OBI, z biurka Lucy zginęły pewne dokumenty.

– Jakie? – spytał.

– Żółta koperta zawierająca osobistą korespondencję. – Opowiedziałam mu o „Prodigy” i o tym, jak Lucy i Carrie się poznały.

– Znały się jeszcze przed spotkaniem w Quantico? – spytał.

– Tak. I sądzę, iż Lucy jest przekonana, że to Carrie przekopała jej szufladę w biurku.

Marino rozglądał się wokół, przesuwając po blacie stolika kolistymi ruchami pustą butelkę po piwie.

– Zdaje się, że ma obsesję na punkcie Carrie i nie widzi niczego więcej – ciągnęłam. – Martwię się.

– Gdzie teraz jest Carrie? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia – odrzekłam.

Ponieważ nie było dowodów na to, że to ona włamała się do OBI czy skradła jakąkolwiek własność Biura, została zwolniona i nie wniesiono

oskarżenia. Nie była zatrzymana ani przez jeden dzień. Marino namyślał się przez chwilę.

– No cóż, ta dziwka nie jest kimś, kim Lucy powinna się martwić. Raczej nim.

– Z całą pewnością ja także jestem bardziej zainteresowana Gaultem.

– Myślisz, że ma kopertę?

– Tego się obawiam. – Poczułam na ramieniu czyjąś dłoń i odwróciłam się.

– Siedzimy tutaj czy idziemy? – spytała Lucy.

Przebrała się w spodnie khaki i drelichową koszulę z wyhaftowanym logo FBI. Miała na nogach turystyczne buty i mocny skórzany pas. Brakowało jej tylko czapki i broni.

Marino bardziej był zainteresowany osobą Janet, która wypełniała sobą koszulkę polo w sposób niezwykle przyciągający wzrok.

– Powiedz mi, co było w tej kopercie – zwrócił się do mnie, niezdolny oderwać wzroku od piersi Janet.

– Nie tutaj – odparłam.

Półciężarówka Marino to był duży, niebieski ford, którego Pete utrzymywał w większej czystości niż swój policyjny samochód. Auto wyposażone było w CB radio oraz stelaż na broń i poza niedopałkami papierosów wypełniającymi popielniczkę nie było widać żadnych innych śmieci. Siadłam z przodu, gdzie wiszące pod wstecznym lusterkiem odświeżacze powietrza nasyciły ciemności silnym zapachem sosny.

– Powiedz mi dokładnie, co było w kopercie – odezwał się Marino do Lucy, która wraz z przyjaciółką siedziała z tyłu.

– Nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie – odparła Lucy, przesuwając się do przodu i opierając dłoń na szczycie mego fotela.

Marino przeturlał się obok budki strażniczej, a potem – gdy jego półciągarówka coraz bardziej się ożywiała – wrzucił wyższy bieg.

– Pomyśl. – Podniósł głos.

Janet szepnęła coś do Lucy i przez moment konwersowały po cichu. Wąska droga była czarna, strzelnice niezwykle ciche. Nigdy wcześniej nie jechałam autem Marino i uderzyło mnie, jakim było wyraźnym symbolem jego męskiej dumy.

– Miałam kilka listów od babci, cioci Kay i e-maile z „Prodigy” – zaczęła Lucy.

– Od Carrie, jak rozumiem – powiedział Marino.

Zawahała się.

– Tak.

– Co jeszcze?

– Kartki urodzinowe.

– Od kogo? – spytał Marino.

– Od tych samych ludzi.

– A co z matką?

– Nic.

– Od ojca?

– Nic od niego nie miałam.

– Jej ojciec zmarł, kiedy była małeńka – przypomniałam Marino.

– Czy kiedy pisałaś do Lucy, to używałaś swego adresu zwrotnego? – spytał mnie.

– Tak, jest wydrukowany na mojej papeterii.

– Skrytka pocztowa?

– Nie. Osobista korespondencja jest dostarczana do mnie do domu.

Wszystko inne idzie do biura.

– Co chcesz odkryć? – spytała Lucy z nutą urazy w głosie.



– Dobra – powiedział Marino, kiedy jechaliśmy przez ciemne okolice. – Pozwól mi powiedzieć, czego na razie dowiedział się twój złodziej. Wie, gdzie chodzisz do szkoły, gdzie w Richmond mieszka twoja ciotka Kay, gdzie na Florydzie mieszka twoja babcia. Wie, jak wyglądasz i gdzie się urodziłaś. Dodatkowo, z powodu tych wydruków e-mailowych, jest świadom twojej przyjaźni z Carrie. – Zerknął we wsteczne lusterko, – I to jest minimum tego, co ten drań wie o tobie. Nie czytałem tych listów i notatek, by wiedzieć, czego jeszcze się dowiedział.

– Tak czy inaczej ona wie najwięcej ze wszystkich – oznajmiła Lucy ze złością.

– Ona? – spytał Marino z naciskiem.

Lucy milczała.

– Lucy, musisz z tym skończyć – odezwała się łagodnie Janet. – Musisz dać temu spokój.

– Co jeszcze? – spytał Marino moją siostrzenicę. – Postaraj sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły. Co jeszcze było w kopercie?

– Tylko kilka autografów i starych monet. Rzeczy z czasów, kiedy byłam dzieckiem, i które nie miały wartości dla nikogo poza mną samą. Na przykład muszelka z plaży, którą znalazłam, kiedy byłam z ciotką Kay.

Namyślała się przez chwilę.

– Mój paszport. I kilka papierów z uczelni.

Brzmiący w jej głosie ból szarpał mi serce i chciałam ją uściskać, ale kiedy Lucy była smutna, wszystkich od siebie odsuwała. Walczyła.

– Dlaczego trzymałaś to w kopercie? – pytał Marino.

– Gdzieś musiałam to przechowywać – odszczeknęła się. – To były w końcu moje rzeczy, nie? Gdybym zostawiła je w Miami, mama prawdopodobnie wyrzuciłaby je do śmieci.

– A te dokumenty z uczelni – wtrąciłam się. – Czego dotyczyły?

W półciężarówce zapadła cisza, przez którą przebijał się tylko warkot silnika. Wznosił się i opadał wraz z przyspieszeniem i zmianą biegów, kiedy Marino przejeżdżał przez małą miejscowość Triangle. Przydrożne bary były oświetlone i przypuszczałam, że wiele ze stojących przed nimi samochodów należało do marines.

– No cóż, teraz to wręcz zabawne – odezwała się Lucy. – Jedne z tych rzeczy napisałam, kiedy jako praktykantka zajmowałam się zabezpieczeniami programu UNIX. Moim tematem były zasadniczo hasła dostępu, wiecie – co może się stać, kiedy użytkownik poda zły kod. Więc pisałam o rozkodowaniu podprogramu standardowego w bibliotekach C, żeby...

– A czego dotyczyły te inne dokumenty? – przerwał jej Marino. – Operacji mózgu?

– Jak na to wpadłeś? – spytała zadziornie.

Na posiłek zatrzymaliśmy się w Globe & Laurel i kiedy rozejrzałam się wokoło po szachownicy policyjnych kurtek w szkocką kratę oraz spostrzegłam wiszące nad barem kufle do piwa, pomyślałam o swoim życiu. Bywaliśmy tutaj z Markiem, a później, w Londynie, wybuchła ukryta bomba, kiedy obok niej przechodziliśmy. Potem przychodziłam tutaj często z Wesleyem, ale jeszcze później, kiedy zaczęliśmy poznawać się coraz bliżej, nie pokazywaliśmy się zbyt publicznie.

Wszyscy jedliśmy francuską zupę cebulową i polędwicę. Janet jak zwykle milczała, a Marino nie przestawał gapić się na nią, wypowiadając prowokacyjne komentarze. Lucy robiła się coraz bardziej wściekła z tego powodu, a ja byłam zdumiona jego zachowaniem. Nie był głupcem. Wiedział, co robi.

– Ciociu Kay – powiedziała Lucy. – Chcę spędzić z tobą weekend.

– W Richmond? – spytałam.

– Chyba nadal tam mieszkasz, prawda? – Nie uśmiechnęła się.

Zawahałam się.

– Sądzę, że powinnaś zostać tam, gdzie jesteś.

– Nie siedzę w więzieniu. Mogę robić, co chcę.

– Oczywiście, że nie jesteś w więzieniu – powiedziałam cicho. –

Pozwól, że porozmawiam o tym z Bentonem, dobrze?

Milczała.

– Więc powiedz mi, co sądzisz o dziewiątce siga? – zwrócił się Marino w stronę piersi Janet.

Spojrzała mu śmiało w oczy i odparła:

– Wolę colta pythona z sześciocalową lufą. A pan?

Kolacja ciągnęła się, zmierzając do smętnego końca i powrotna jazda do akademii upłynęła w napiętej ciszy, jeśli pominąć nieustanne wysiłki Marino, zmierzające do wciągnięcia Janet w rozmowę. Kiedy obie dziewczyny wysiadły z samochodu, odwróciłam się i naskoczyłam na niego.

– Na litość boską! – wybuchnęłam. – Co cię napadło?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Byłeś wstrętny. Absolutnie szkaradny i doskonale wiesz, o co mi chodzi!

Gmerając w kieszeni w poszukiwaniu papierosa gnał przez ciemność wzdłuż J. Edgar Hoover Road, zmierzając w stronę autostrady międzystanowej.

– Prawdopodobnie Janet nigdy więcej nie będzie cię chciała widzieć na oczy – ciągnęłam. – Nie winiłabym także i Lucy, gdyby zaczęła cię unikać. I co za wstyd! Byliście przyjaciółmi.

– To, że udzielałem jej lekcji strzelania, nie znaczy, iż się zaprzyjaźniliśmy – odparł. – Jeśli chodzi o moje zdanie, to uważam, że jest

przemądrzałym i zepsutym dzieciakiem, jakim zawsze była. Nie warto wspominać, iż nie jest w moim typie i niech mnie diabli porwą, jeśli rozumiem, dlaczego pozwalasz jej na to, co robi.

– To znaczy na co? – spytałam zbita z tropu.

– Czy ona umówiła się kiedykolwiek na randkę z facetem? – Spojrzał na mnie. – Choćby raz?

– Jej prywatne życie to nie twój interes – odrzekłam. – Nie ma żadnego związku z tym, jak się zachowywałeś dziś wieczorem.

– Bzdury. Gdyby Carrie nie była dziewczyną Lucy, prawdopodobnie nigdy by nie doszło do włamania do OBI i Gault nie hasały teraz w naszym komputerze.

– To śmieszne oskarżenie, nie poparte żadnym dowodem – oświadczyłam. – Podejrzewam, że Carrie doprowadziłyby do końca swoją misję bez względu na to, czy Lucy stanowiłaby część tego scenariusza, czy też nie.

– Powiem ci coś. – Wypuścił dym w stronę lekko uchylonego okienka po swojej stronie. – Tą planetą rządzą homoseksualiści.

– Dobry Boże – odezwałam się z obrzydzeniem w głosie – mówisz tak samo jak moja siostra.

– Uważam, że powinnaś Lucy stąd odesłać, pomóc jej.

– Marino, musisz z tym skończyć. Formułujesz swoje opinie, będąc ignorantem. Są wstrętne. Jeżeli nawet moja siostrzenica woli kobiety niż mężczyzn, to powiedz mi proszę, dlaczego uważasz to za groźne dla siebie?

– Nie sądzę tak w najmniejszym nawet stopniu. Tylko jest to nienaturalne. – Wyrzucił niedopałek papierosa przez okno, gdzie noc zgasiła mały pocisk. – Wiesz, to nie jest tak, że ja tego nie rozumiem. To znany fakt, że wiele kobiet żyje ze sobą, bo to jest najlepsze, co mogą uczynić.

– Rozumiem – potwierdziłam. – Znany fakt.

Zawahałam się.

– Więc powiedz mi, czy to przypadek Lucy i Janet?

– Dlatego podpowiadałem ci, żeby im pomóc, ponieważ istnieje nadzieja. Z łatwością mogą zdobyć chłopaków. Szczególnie Janet, wzięwszy pod uwagę to, jak jest zbudowana. Gdybym nie był związany, byłbym półgłówkiem nie prosząc jej, by umówiła się ze mną na randkę.

– Marino – odezwałam się. – Zostaw je w spokoju. Zachowujesz się tak, by cię nie lubiano, starasz się być przykry. Postępujesz jak skończony głupiec. Janet tego świata nie zamierzają umawiać się z tobą na randki.

– Jej strata. Właściwe doświadczenie mogłoby ją wyleczyć. To, co kobiety robią ze sobą, nie jest tym, co uważam za istotę rzeczy. Nie mają pojęcia, co tracą.

Myśl, że Marino może uważać siebie za eksperta w kwestii tego, czego kobiety potrzebują w łóżku, była tak absurdalna, że zapomniałam o strapieniu. Roześmiałam się.

– W stosunku do Lucy jestem opiekuńczy, wiesz? – ciągnął. – Jestem kimś w rodzaju wujka i widzisz, problem tkwi w tym, że ona nigdy nie przebywała z mężczyznami. Jej ojciec zmarł. Ty jesteś rozwiedziona. Nie ma braci, a jej matka chodzi do łóżka w towarzystwie proszków nasennych.

– W większości to wszystko prawda – odparłam. – Chciałabym, żeby Lucy znajdowała się pod pozytywnym męskim wpływem.

– Gwarantuję ci, że gdyby tak było, nie stałaby się homo.

– To nie jest odpowiednie słowo – zwróciłam mu uwagę. – I nie wiemy naprawdę, dlaczego ludzie stają się tacy.

– Więc powiedz mi. – Spojrzał w moją stronę. – Wyjaśnij, co poszło źle.

– Po pierwsze, nie zamierzam mówić, że cokolwiek poszło nie tak. Być może istnieje czynnik genetyczny, prowadzący do określonej orientacji

seksualnej. Może i go nie ma. Tak naprawdę to bez znaczenia.

– Więc się nie przejmuj.

Zastanowiłam się nad tym chwilę.

– Przejmuję się, ponieważ to jest trudniejszy sposób na życie.

– I to wszystko? – spytał sceptycznie. – Nie wolałabyś raczej, żeby była z mężczyzną?

Ponownie się zawahałam.

– Sądzę, że w tej kwestii obchodzi mnie tylko, by była z dobrymi ludźmi.

Milczał, skupiwszy się na prowadzeniu. Potem odezwał się znowu.

– Przepraszam za dzisiejszy wieczór. Wiem, że wyszedłem na kutasa.

– Dzięki za przeprosiny – odrzekłam.

– No cóż, prawda jest taka, że moje sprawy osobiste nie układają się teraz najlepiej. Wspaniale nam szło z Molly, dopóki tydzień temu nie zadzwoniła Doris.

Okropnie mnie to zaskoczyło. Dawni małżonkowie i kochankowie mają swoje sposoby na odnowienie związków.

– Wygląda na to, że Rocky musiał coś powiedzieć i dowiedziała się o Molly. Nagle chce wrócić do domu. Pragnie wrócić do mnie.

Kiedy Doris odeszła, to zupełnie wykończyło Marino. Na tym etapie swego życia wierzyłam nieco cynicznie, że rozbitych związków międzyludzkich nie da się poskładać i uzdrowić jak złamanych kości.

Kiedy zapalił kolejnego papierosa, z tyłu zbliżyła się ciężarówka, po czym wyprzedziła nas. Jakiś samochód przyspieszył za nami, jego długie światła oślepiły nas w lusterku.

– Molly nie czuje się z tego powodu zbyt szczęśliwa – ciągnął z oporami. – Prawda jest taka, że nie ma między nami już takiego żaru; a także dlatego, że nie spędziliśmy razem Bożego Narodzenia. Myślę, że

zastanawia się nad odejściem ode mnie. Ten sierżant, którego poznała. Nie wiedziałaś o tym. Przedstawiłem ich sobie pewnego wieczoru.

– Bardzo mi przykro. – Spojrzałam na jego twarz i pomyślałam, że płacze. – Nadal kochasz Doris? – spytałam łagodnie.

– Nie wiem, do diabła. Nic nie wiem. Kobiety są takie, jakby pochodziły z innej planety. Wiesz? To jest tak, jak dziś wieczorem. Wszystko robię źle.

– To nieprawda. Od lat jesteśmy przyjaciółmi. Coś musisz robić dobrze.

– Jesteś jedyną kobietą, którą uważam za przyjaciółkę – oświadczył. – Ale ty jesteś jak facet.

– Bardzo ci dziękuję.

– Mogę z tobą rozmawiać jak z facetem. Wiesz, co robisz. Nie osiągnęłaś swej pozycji dzięki temu, że jesteś kobietą. Cholera. – Zerknął we wsteczne lusterko, a potem przestawił je tak, by go nie raziło. – Jesteś kobietą, a oprócz tego kimś.

Ponownie spojrział w lusterko. Odwróciłam się. Jakiś samochód niemal dotykał naszego zderzaka, a jego światła oślepiły. Jechaliśmy siedemdziesiąt mil na godzinę.

– To dziwne – powiedziałam. – Ma dosyć miejsca, żeby nas wyprzedzić.

Na 1-95 panował niewielki ruch. Nie było powodu, by siedzieć komukolwiek na ogonie, i pomyślałam o wypadku z ostatniej jesieni, kiedy Lucy rozbiła mego mercedesa. Jej także ktoś doczepił się do tylnego zderzaka. Obleciał mnie strach.

– Widzisz, co to za samochód? – spytałam.

– Wygląda jak Z. Może stara dwieścieosiemdziesiątka Z, coś w tym guście.

Sięgnął pod płaszcz i wyjął z kabury pistolet. Położył go na udach, obserwując nadal lusterka. Obejrzałam się ponownie i dostrzegłam kształt głowy; zdawało mi się, że kierowcą jest mężczyzna. Patrzył prosto na nas.

– Dobra! – warknął Marino. – Zaczyna mnie to wkurzać.

Nacisnął hamulec. Obcy samochód wystrzelił przed nas z przeciągłym, wściekłym wyciem klaksonu. To był porsche, a za kierownicą siedział Murzyn.

– Nadal masz na zderzaku tę konfederacką nalepkę? – spytałam go. – Tę, która świeci w reflektorach?

– Taaa, mam. – Schował pistolet do kabury.

– Może powinieneś się zastanowić nad jej usunięciem?

Daleko w przodzie porsche zmniejszył się do rozmiarów małego światełka. Przypomniałam sobie pułkownika Tuckera, mającego wysłać Marino na zajęcia z różnorodności kultur. Wątpiłam, by to cokolwiek pomogło, choćby Marino spędził tam resztę swego życia.

– Jutro jest czwartek – powiedział. – Muszę iść do komendy i sprawdzić, czy ktokolwiek jeszcze pamięta, że nadal pracuję dla miasta.

– Co się stało z szeryfem Santą?

– Jego wstępne przesłuchanie przewidziane jest na przyszły tydzień.

– Siedzi, jak przypuszczam.

– Nie. Wyszedł na skutek ugody. Kiedy zasiadasz w ławie przysięgłych?

– W poniedziałek.

– Może byś się od tego wykręciła?

– Nie mogę o to prosić – oświadczyłam. – Ktoś mógłby zrobić z tego wielką sprawę; a nawet jeśli nie, nie mogę być hipokrytką. Oczekuje się ode mnie, że będę się troszczyć o sprawiedliwość.

– Uważasz, że powinienem spotkać się z Doris? – Wjechaliśmy do Richmond, na niebie przed nami rysowały się kontury centrum.

Popatrzyłam na jego profil, na rzednące włosy, wielkie uszy i twarz oraz zastanawiałam się nad tym, w jaki sposób jego ogromne dłonie sprawiały, że kierownica w nich niknęła. Nie pamiętał swego życia sprzed ślubu z



Doris. Ich związek dawno już miał za sobą etap ognistego seksu, obecnie wszedł na orbitę bezpiecznej, lecz nudnej stabilizacji. Uważałam, że rozstali się, gdyż obawiali się starości.

- Sądzę, że powinieneś się z nią spotkać – odrzekłam.
- Więc mam pojechać do New Jersey?
- Nie. To Doris odeszła i to ona powinna przyjechać tutaj.

Kiedy skręciliśmy z Carry Street, Windsor Farms było ciemne i Marino nie chciał się zgodzić, żebym sama weszła do domu. Wjechał na mój ceglany podjazd i patrzył przed siebie na oświetlone przez reflektory zamknięte drzwi do garażu.

– Masz pilota?

– Jest w moim samochodzie.

– To kurewsko dobry pomysł, skoro auto jest w środku za zamkniętymi drzwiami.

– Gdybyś wysadził mnie od frontu, tak jak o to prosiłam, mogłabym otworzyć drzwi wejściowe.

– Nie ma mowy. Nie będziesz chodzić wzdłuż tego długiego chodnika, Doc.

Mówił bardzo autorytatywnie i wiedziałam, że kiedy tak się zachowuje, to nie ma co się z nim sprzeczać. Wręczyłam mu klucze od domu.

– Więc ty wejdź od frontu i otwórz drzwi garażu. Zaczekam tutaj.

– Między siedzeniami jest strzelba. – Otworzył drzwiczki.

Sięgnął w dół, by pokazać mi dwunastkę benelli z zapasowym ośmionabojowym magazynkiem. Dotarło do mnie, że nazwisko wytwórcy znakomitych włoskich strzelb było także tym, na które opiewało prawo jazdy Gaulta.

– Bezpiecznik jest tutaj. – Marino mi pokazał. – Wszystko, co musisz zrobić, to pchnąć go, zarepetować i strzelać.

– Czy szykują się tutaj jakieś zamieszki, o których mi nie powiedziano?

Wysiadł z półciężarówki i zamknął za sobą drzwi. Opuściłam szybę.

– Chyba by ci pomogło, gdyś poznał kod mojego alarmu.

– Już poznałem. – Zaczął iść przez oszronioną trawę. – To twoja data urodzenia.

– Skąd wiesz?

– Jesteś przewidywalna – usłyszałam, zanim zniknął za żywopłotem.

Kilka minut później drzwi garażu zaczęły się unosić, a w środku zapaliło się światło, oświetlając poustawiane porządnie pod ścianami narzędzia ogrodnicze, rower, na którym rzadko jeździłam, i samochód. Nie mogłam patrzeć na swego mercedesa i nie wspominać tego, którego skasowała Lucy.

Poprzedni mercedes 500E był lśniący i szybki, o silniku częściowo zaprojektowanym przez firmę Porsche. Teraz chciałam mieć coś dużego, kupiłam więc czarnego S500, który obroniłby się prawdopodobnie przed ciężarówką z cementem czy ciągnikiem siodłowym. Marino stał obok mego wozu, patrząc na mnie tak, jakby chciał, żebym się pośpieszyła. Zatrąbiłam przypominając mu, że zamknął mnie w środku.

– Dlaczego wszyscy zatrzymują mnie w swoich samochodach? – spytałam, kiedy mnie wypuścił. – Wiesz, ten taksówkarz dziś rano.

– Ponieważ to niebezpieczne, kiedy przebywasz na wolności. Zanim wyjdę, chcę się rozejrzeć po domu – oznajmił.

– To nie jest konieczne.

– O nic nie pytałem. Mówię ci tylko, że się rozejrzę.

– W porządku. Sam się obsłuż.

Poszedł za mną, a ja weszłam prosto do salonu i włączyłam gazowy kominek. Potem otworzyłam drzwi wejściowe i przyniosłam pocztę oraz kilka gazet, które jeden z moich sąsiadów zapomniał zabrać. Dla każdego, kto by obserwował mój przytulny ceglany dom, musiało być jasne, że wyjechałam na święta.

Kiedy wróciłam do salonu rozejrzałam się, szukając czegokolwiek, co choćby w najmniejszym stopniu było nie w porządku. Zastanawiałam się,

czy ktokolwiek pomyślał o włamaniu się tu. Interesowało mnie, czy ktoś to miejsce obserwował.

Moja dzielnica jest jedną z najbogatszych w Richmond i wcześniej były problemy, głównie z Cyganami mającymi skłonność wchodzenia do domów, kiedy byli w nich ich właściciele. Nie martwiłam się nimi specjalnie, ponieważ nigdy nie zostawiałam otwartych drzwi, a alarm zawsze był włączony. To zupełnie innego rodzaju przestępcy obawiałam się, a on był mniej zainteresowany tym, co miałam, niż tym, kim i czym jestem. W domu w łatwo dostępnych miejscach trzymałam wiele broni.

Usiadłam na sofie; cienie rzucane przez płomienie kominka skakały po wiszących na ścianach olejnych obrazach. Miałam nowoczesne meble europejskie i w czasie dnia dom pełen był światła. Przeglądając pocztę, trafiłam na różową kopertę podobną do tych, które dostałam już wcześniej. Była wielkości banknotu i z niezbyt dobrego gatunkowo papieru, w rodzaju papeterii, jaką można dostać w drugstosze. Nadano ją z Charlottesville, 23 grudnia. Rozciąłam ją skalpelem. Liścik napisany był odręcznie, wiecznym piórem o czarnym atramencie.

*Droga doktor Scarpetta,  
Mam nadzieję, że ma Pani nadzwyczajne Święta Bożego  
Narodzenia!*

*KAIN.*

Odłożyłam delikatnie list na stolik do kawy.

– Marino? – zawołałam.

Gault napisał to przed zamordowaniem Jane, ale ponieważ poczta wolno działa, dostałam to dopiero teraz.

– Marino! – Wstałam.

Usłyszałam jego głośne i szybkie kroki na schodach. Wbiegł do salonu z pistoletem w dłoni.

– Co? – spytał oddychając głośno, kiedy rozglądał się wokoło. – Wszystko w porządku?

Wskazałam na list. Jego wzrok spoczął na różowej kopercie i podobnym papierze.

– Od kogo?

– Zobacz – powiedziałam.

Usiadł obok mnie, a potem zaraz się poderwał.

– Włączę najpierw alarm.

– Dobry pomysł.

Wrócił i usiadł ponownie.

– Możesz mi dać dwa pióra? Dzięki.

Użył ich do przytrzymania kartki w stanie rozłożonym, żeby móc przeczytać tekst bez narażenia na szwank jakichś odcisków palców, których jeszcze nie zatarłam. Kiedy skończył, zaczął się przyglądać charakterowi pisma i stemplowi na kopercie.

– Pierwszy raz dostałaś coś takiego? – spytał.

– Nie.

Spojrzał na mnie oskarżycielsko.

– I nic nie powiedziałaś? – To nie jest pierwszy list, ale pierwszy podpisany KAIN – wyjaśniłam.

– A jak były sygnowane pozostałe?

– Przyszły tylko dwa napisane na tej różowej papeterii i nie były podpisane.

– Masz je?

– Nie, nie sądziłam, że są ważne. Stemple pochodziły z Richmond. Były dziwne, ale nie alarmujące. Od czasu do czasu otrzymuję dosyć szczególną

korespondencję.

– Do domu?

– Głównie do biura. Mojego adresu domowego nie ma książce.

– Kurwa mać, Doc! – Marino wstał i zaczął chodzić po salonie. – Nie zaniepokoiło cię to, że otrzymujesz przesyłki na adres domowy, który nie jest ujęty w spisie?

– Położenie mojego domu z pewnością nie jest tajemnicą. Czy wiesz, jak często prosiliśmy dziennikarzy, by go nie filmowali ani nie fotografowali, a oni mimo wszystko to robili?

– Powiedz mi, co było w tamtych listach.

– Tak jak ten, były bardzo krótkie. W jednym pytał mnie, jaka jestem i czy nadal tak ciężko pracuję. Wydaje mi się, że w drugim było coś o tęsknocie za mną.

– Tęsknocie?

Poszukałam w pamięci.

– Coś w rodzaju: „To już tak długo. Naprawdę musimy się spotkać”.

– Jesteś pewna, że to ta sama osoba? – Spojrzał na różową kartkę na stoliku.

– Tak sędzę. Oczywiście, tak jak przewidywałeś, Gault zna mój adres.

– Prawdopodobnie był obok tego budynku. – Przestał chodzić i spojrzał na mnie. – Wiesz o tym?

Nie odpowiedziałam.

– Mówię ci, że Gault wie, gdzie mieszkasz. – Przeciągnął palcami przez włosy. – Dociera to do ciebie? – spytał natarczywie.

– Przede wszystkim jutro rano należy złożyć wizytę w laboratorium – powiedziałam.

Pomyślałam o dwóch poprzednich listach. Jeżeli także pochodziły od Gaulta, to wysłał je z Richmond. Był tu.

– Nie możesz tutaj zostać, Doc.

– Będą mogli poddać analizie znaczki pocztowe. Jeśli je polizał, została na nich jego ślina. Możemy poznać jego DNA.

– Nie możesz tutaj zostać – powtórzył.

– Oczywiście, że mogę.

– Mówię ci, że nie.

– Muszę, Marino – upierałam się. – Mieszkam tutaj.

Potrząsnął głową.

– Nie. Nie ma o czym mówić. Albo ja się tu wprowadzę.

Byłam przywiązana do Marino, ale nie zniosłabym myśli, że zostałby pod moim dachem. Oczyma duszy widziałam go wycierającego buty o moje wschodnie dywany i pozostawiającego okrągłe ślady na cisowym drewnie i mahoni. Siedząc przed kominkiem oglądałby zapasy i pił budweisera prosto z puszeki.

– Zadzwoń do Bentona – ciągnął. – Powie ci to samo.

Ruszył w stronę telefonu.

– Marino – odezwałam się. – Nie wciągaj go w to.

Podszedł do kominka i usiadł na obramowaniu z piaskowca. Podparł głowę rękoma, a kiedy spojrzał na mnie, jego twarz nosiła ślady wyczerpania.

– Wiesz, jak się będę czuł, jeśli coś ci się stanie?

– Nie bardzo – odparłam skrepowana.

– To mnie zabije. Zabije mnie, przysięgam.

– Stajesz się sentymentalny.

– Nie rozumiem, co znaczy to słowo. Ale dobrze wiem, że najpierw będzie musiał mnie załatwić. Słyszysz?

Patrzył na mnie z napięciem. Wytrzymałam jego wzrok. Czułam, jak krew zabarwia mi policzki.

– Wiesz, że możesz zostać załatwiona jak inni. Jak Eddie, Susan, Jane, Jimmy Davila. Gault przyczepił się do ciebie, niech to szlag. A jest prawdopodobnie najwredniejszym zabójcą w tym zwariowanym kraju. – Przerwał, patrząc na mnie. – Słuchasz?

Podniosłam na niego wzrok.

– Tak – potwierdziłam. – Słucham. Słyszę każde twoje słowo.

– Musisz się wyprowadzić także dla dobra Lucy. Nie może tu do ciebie przyjechać. A jeśli coś stanie się tobie, to pomyśl, co będzie z nią?

Zamknęłam oczy. Uwielbiałam swój dom. Tak ciężko na niego pracowałam. Tak jak przewidywał Wesley, stało się. Teraz musiałam zapłacić za to, kim byłam i jaką pracę wykonywałam.

– A więc mam się wynieść i wydać wszystkie swoje oszczędności na ochronę? – spytałam. – Mam to wszystko poświęcić, tak po prostu?

Zatoczyłam rękami krąg, pokazując na pokój.

– Mam dać temu potworowi tyle władzy?

– Nie wolno ci także jeździć własnym samochodem – ciągnął, myśląc głośno. – Musisz prowadzić coś, czego nie rozpozna. Możesz wziąć moją półciężarówkę, jeśli chcesz.

– Do diabła, nie – powiedziałam.

Marino wyglądał na zranionego.

– Dla mnie to wiele znaczy, gdy pozwalam komuś nią jeździć. To się właściwie nie zdarza.

– Nie o to chodzi. Chcę żyć swoim życiem. Pragnę, żeby Lucy była bezpieczna. Chcę mieszkać w swoim domu i jeździć własnym samochodem.

Wstał i przyniósł mi chusteczkę.

– Nie płaczę – rzekłam.

– Ale jesteś tego bliska.



– Nie, nieprawda.  
– Chcesz drinka? – spytał.  
– Szkocką.  
– Myślę, że napiję się trochę bourbona.  
– Nie możesz, prowadzisz.  
– Nie, nie prowadzę – oświadczył wchodząc za bar. – Rozbijam obóz na twojej kanapie.

Koło północy przyniosłam mu poduszkę oraz pled i pomogłam umościć się na sofie. Mógł spać w pokoju gościnnym, ale chciał zostać tam, gdzie był, przy nieco przykręconym ogniu na kominku.

Wróciłam na górę i czytałam, aż druk zaczął mi się rozmazywać przed oczami. Byłam wdzięczna, że Marino został ze mną. Nie pamiętam w ogóle, kiedy byłam równie przerażona. Jak dotąd Gault zawsze chodził swoimi ścieżkami. Jak dotąd nie spieprzył ani jednego diabelskiego zadania, które sobie postawił. Byłam przekonana, iż gdyby chciał mojej śmierci, nie uniknęłabym przeznaczenia. Wierzyłam, że gdyby chciał zabić Lucy, także by to uczynił.

Najbardziej zaczęłam się obawiać dopiero później. Widziałam jego dzieła. Wiedziałam, co robił. Mogłam narysować każdy kawałek kości i każdą poszarpaną ranę. Patrzyłam na swój dziewięciomilimetrowy pistolet leżący na stoliku przy łóżku i jak zawsze zastanawiałam się: zdążę po niego sięgnąć? Ocalę życie swoje lub kogoś innego? Kiedy przyjrzałam się swojej sypialni i przyległemu gabinetowi, przyznałam rację Marino. Nie mogłam tutaj zostać sama.

Zastanawiając się nad tym, usnęłam i miałam denerwujący sen. Ze starego, zabytkowego lustra uśmiechała się do mnie głupkowato postać o twarzy przypominającej biały balon, ubrana w długą, ciemną szatę. Za każdym razem, kiedy mijałam zwierciadło, postać obserwowała mnie

stamtąd z chłodnym uśmiechem. Była zarazem żywa i martwa, i chyba pozbawiona płci. Obudziłam się nagle o pierwszej w nocy. Nasłuchiwałam płynących z zewnątrz odgłosów. Poszłam na dół i usłyszałam chrapanie Marino. Zawołałam go cicho po imieniu. Rytm chrapania nie zmienił się.

– Marino? – szepnęłam, przysuwając się bliżej.

Usiadł, macając głośno w poszukiwaniu broni.

– Na litość boską, nie zastrzel mnie.

– Co takiego? – Rozejrzył się dokoła; jego twarz oświetlona słabym blaskiem kominka była blada.

Zrozumiał, gdzie jest, i odłożył pistolet na stolik.

– Nie skradaj się tak do mnie.

– Nie skradałam się.

Usiadłam obok niego na sofie. Dotarło do mnie, iż mam na sobie koszulę nocną i że nigdy wcześniej nie widział mnie w takim stroju, ale nie przejmowałam się tym.

– Coś nie tak? – spytał.

Roześmiałam się smutno.

– Nie sądzę, by istniało wiele spraw, które byłyby w porządku.

Jego wzrok zaczął wędrować po mnie i czułam toczącą się w nim walkę. Zawsze wiedziałam, że Marino jest mną zainteresowany. Ja miałam inny stosunek do naszej przyjaźni. Dzisiaj sytuacja okazała się trudniejsza, gdyż nie mogłam ukryć się za kurtynami laboratoryjnych kitli, garsonek i tytułów. Miałam na sobie krótką koszulkę z flaneli w kolorze piasku. Było po północy, a on nocował w moim domu.

– Nie mogę spać – ciągnęłam.

– Ja spałem całkiem dobrze.

Położył się z powrotem, zakładając ręce za głowę i obserwując mnie.

– W przyszłym tygodniu mam zasiadać w ławie przysięgłych.

Nie skomentował tego.

– Mam na głowie kilka toczących się spraw sądowych i muszę chodzić do pracy. Nie mogę tak po prostu spakować się i wyjechać.

– Sąd to żaden problem. Możemy cię od tego uwolnić.

– Nie chcę.

– Tak czy inaczej, zostaniesz odsunięta – oświadczył. – Żaden obrońca na świecie nie będzie cię chciał na ławie przysięgłych.

Milczałam.

– Możesz spokojnie wyjechać. Sprawy sądowe będą kontynuowane i bez ciebie. Hej, może wyjazd na narty na kilka tygodni? Gdzieś na zachód.

Im więcej mówił, tym bardziej się denerwowałam.

– Musisz zmienić nazwisko – kontynuował. – I dostać ochronę. Nie możesz być w jakimś narciarskim ośrodku zdana tylko na siebie.

– No cóż – odgryzłam się – nikt nie zamierza mi przydzielić agenta FBI czy Secret Service, jeśli o tym myślisz. Prawo jest honorowane tylko wówczas, gdy nastąpi jego pogwałcenie. Większości ludzi nie przydziela się agentów czy gliniarzy, dopóki nie zostaną napadnięci czy zabici.

– Możesz kogoś wynająć. Może także prowadzić za ciebie samochód, ale nie powinnaś jeździć własnym autem.

– Nikogo nie wynajmę i upieram się przy jeżdżeniu własnym samochodem.

Namyślał się przez chwilę, patrząc w sufit.

– Jak długo go masz?

– Nie ma nawet dwóch miesięcy.

– Kupiłaś go u McGeorge'a, tak? – Mówił o dealerze Mercedesa w Richmond. – Tak.

– Pogadam z nim i zobaczę, czy nie mógłby ci pożyczyć czegoś mniej rzucającego się w oczy od tego nazimobilu.

Wściekła, wstałam z sofy i podeszłam bliżej do ognia.

– Z czego mam jeszcze zrezygnować? – spytałam gorzko, patrząc na płomień oblizujące sztuczne kłody.

Marino nie odpowiedział.

– Nie pozwolę mu, by uczynił ze mnie Jane. To tak jakby mnie przygotowywał, by móc zrobić ze mną to samo co z nią. Chce mi zabrać wszystko, co mam. Nawet nazwisko. Powinnam mieć fałszywe papiery. Powinnam mniej rzucać się w oczy. Nie powinnam nigdzie mieszkać, prowadzić samochodu i mówić ludziom, gdzie mnie mogą znaleźć. Hotele oraz prywatna ochrona to bardzo drogie rzeczy. Więc w końcu pozbędę się swoich oszczędności. Jestem szefem koronerów Wirginii i nigdy więcej nie pojawię się w swoim biurze. Gubernator mnie wyleje. Krok po kroku, stracę wszystko, co mam, i wszystko, czym byłam. Przez niego.

Marino nadal nie odpowiadał i zrozumiałam, że zasnął. Kiedy podciągnęłam mu koc pod brodę, po policzku potoczyła mi się łza. Poszłam na górę.

Zaparkowałam za budynkiem biura kwadrans po siódmej i przez chwilę siedziałam w samochodzie, patrząc na popękany asfalt, obskurne sztukaterie i obwisłe ogrodzenie parkingu.

Za mną znajdowały się estakady nad torami kolejowymi i przejścia dla pieszych nad 1-95, a dalej granice śródmieścia, zabite deskami i sponiewierane przez zbrodnię. Nie było tu drzew ani krzewów i rosło bardzo niewiele trawy. Do zalet tego stanowiska z pewnością nigdy nie zaliczał się wspaniały widok, ale teraz nie dbałam o to. Tęskniłam za swoim gabinetem i pracownikami, i wszystko, na co patrzyłam, stanowiło dla mnie pociechę.

Wewnątrz kostnicy zatrzymałam się przy portierni, by zapoznać się z dzisiejszymi przypadkami. Sekcji wymagała ofiara samobójstwa oraz osiemdziesięcioletnia kobieta, która zmarła w domu z powodu nieleczonego raka piersi. Z ciężkim sercem czytałam imiona całej rodziny, której samochód wpadł wczoraj wieczorem pod pociąg. Postanowiłam asystować oględzinom i czekając na swoich zastępców, otworzyłam drzwi chłodni oraz te wiodące do pomieszczenia sekcyjnego.

Trzy stoły wypolerowano do połysku, a wyłożona płytkami podłoga prezentowała się bardzo czysto. Obejrzałam badawczo zastawione naczyniami i odczynnikami szafeczki, wózki z równo poukładanymi narzędziami i probówkami, stalowe półki ze sprzętem fotograficznym i filmowym. W szatni sprawdziłam prześcieradła oraz wykrochmalone laboratoryjne fartuchy i włożywszy nylonowy chałat, podeszłam w hallu do wózka z chirurgicznymi maskami, ochroniaczami na buty i osłonami twarzy.

Wciągając rękawiczki, kontynuowałam inspekcję, po czym weszłam do pomieszczenia chłodni, by odnaleźć pierwszy przypadek. Znajdujące się w czarnych workach ciała leżały na ambulatoryjnych wózkach, powietrze było schłodzone niemal do zera stopni Celsjusza i zważywszy na fakt, że mieliśmy komplet „pacjentów”, odpowiednio suche. Sprawdziłam wiszące przy dużych palcach u nóg plakietki z nazwiskami, znalazłam tę właściwą i wytoczyłam wózek na zewnątrz.

Przez następną godzinę nikt nie powinien mi tu przeszkadzać i cieszyłam się z panującej ciszy. Nie potrzebowałam nawet zamykać drzwi do pomieszczenia sekcyjnego, ponieważ było zbyt wcześnie, by winda po drugiej stronie hallu zapełniła się udającymi się na górę biegłymi sądowymi. Nie mogłam znaleźć żadnych dokumentów związanych z ofiarą samobójstwa i ponownie przeszukałam stanowisko. Dotyczący gwałtownej śmierci raport umieszczono w nieodpowiedniej skrzynce, figurująca na nim data nie zgadzała się o dwa dni, a większa część formularza nie została wypełniona. Jediną informacją, jaką przynosił dokument, było nazwisko zmarłego oraz wzmianka, że ciało dostarczono o trzeciej rano przez Sauls Mortuary – co nie miało sensu.

Mój urząd korzystał z usług trzech firm zajmujących się przewozem i dostarczaniem ciał. Te trzy domy pogrzebowe pełniły dwudziestoczterogodzinne dyżury telefoniczne i powinien być przez nie obsługiwany każdy urząd koronerski w środkowej Wirginii. Nie rozumiałam, dlaczego ofiara samobójstwa została dostarczona przez zakład, z którym nie mieliśmy umowy, ani dlaczego kierowca nie podpisał się na dokumentach. Poczułam przypływ irytacji. Nie było mnie tylko kilka dni, a już cały system zaczął się sypać. Poszłam do telefonu i zadzwoniłam do nocnego strażnika, którego zmiana miała potrwać jeszcze pół godziny.

– Mówi doktor Scarpetta – przedstawiłam się, kiedy podniósł słuchawkę.

– Tak, madam.

– Z kim rozmawiam?

– Evans.

– Panie Evans, o trzeciej nad ranem dostarczono ofiarę domniemanego samobójstwa.

– Tak, madam, wpuściłem ich.

– Kto dostarczył ciało?

Nastąpiła chwila przerwy.

– Hm, to był chyba ktoś od Saulsa.

– Nie korzystamy z ich usług.

Strażnik milczał.

– Myślę, że byłoby dobrze, gdyby pan tu przyszedł.

Zawahał się.

– Do kostnicy?

– Tu właśnie jestem.

Ponownie się zawahał. Czułam jego silny opór. Wielu ludzi, którzy pracowali w tym budynku, nie chciało mieć nic wspólnego z kostnicą. Nie chcieli się do niej zbliżać, a ja musiałam zatrudniać wciąż nowych strażników, którzy gotowi byli co najwyżej wsadzić głowę do pomieszczenia chłodniczego. Wielu wartowników i większość sprzątaczek nie pracowała u mnie długo.

Podczas gdy czekałam na tego nieustraszonego strażnika nazwiskiem Evans, rozpięłam czarny worek, który wyglądał na całkiem nowy. Głowa ofiary omotana była w czarną, foliową torbę na śmieci, związaną dokoła szyi sznurówką. Samobójca miał na sobie poplamioną krwią piżamę, a na rękę grubą złotą bransoletę i roleksa. Z kieszonki na piersi w jego piżamie wyglądała różowa kopertka. Czując miękkość kolan, cofnęłam się o krok.

Pobiegłam do drzwi, zatrzasnęłam je i przesunęłam nie dającą się otworzyć z zewnątrz zasuwę, gmerając jednocześnie w torebce w poszukiwaniu rewolweru. Szminka i szczotka do włosów zagrzechotały na posadzce. Pomyślałam o szatni, o miejscach, w których ktoś mógł się ukryć i kiedy wybierałam numer telefonu, trzęsły mi się ręce. Napastnik w zależności od tego, jak ciepło się ubrał, mógł się ukryć w chłodni – zastanawiałam się oszalała, wyobrażając sobie ambulatoryjne wózki i leżące na nich ciała w czarnych workach. Czekając, żeby Marino odpowiedział na moje wezwanie przez pager, popędziłam do wielkich stalowych drzwi i zatrzasnęłam kłódkę.

Dzwonek telefonu odezwał się po pięciu minutach; w tym samym momencie, kiedy Evans zaczął stukać do zamkniętych drzwi pomieszczeń sekcyjnych.

– Zaczekaj! – zawołałam. – Zostań tam, gdzie jesteś.

Podniosłam słuchawkę.

– Taa... – odezwał się Marino.

– Przyjeżdżaj natychmiast – powiedziałam, starając się, by mój głos nie drżał. Jednocześnie mocno ścisnęłam kolbę broni.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się.

– Szybko! – popędziłam go. Odwiesiłam słuchawkę i wybrałam 911.

Potem odezwał się przez drzwi do Evansa.

– Policja już jedzie – rzekłam głośno.

– Policja? – podniósł głos.

– Mamy tutaj spory problem. – Serce zaczęło mi się uspokajać. – Idź na górę i zaczekaj w sali konferencyjnej. Czy to jasne?

– Tak, madam. Już idę.

Wzdłuż połowy długości ściany biegł laminowany blat; wspięłam się na niego i siadłam tak, że znajdowałam się blisko telefonu, widziałam



wszystkie drzwi. Trzymałam swego smith & wessona kalibru trzydzieści osiem i żałowałam, że nie mam browninga czy strzelby Marino. Patrzyłam na czarny worek na wózku, jakby mógł się poruszyć.

Zadzwonił telefon i podskoczyłam. Chwyciłam słuchawkę.

– Kostnica. – Głos mi drżał.

Milczenie.

– Halo? – zapytałam bardziej zdecydowanie.

Nikt nie odpowiedział.

Odłożyłam słuchawkę, a złość przepływała przeze mnie, zamieniając się szybko we wściekłość, która rozpraszała strach niczym słońce mgłę. Otworzyłam dwudzielne drzwi wiodące na korytarz i ponownie weszłam do biura kostnicy. Ponad telefonem znajdowały się cztery paski taśmy klejącej, a pod nimi rogi kartki papieru, które pozostały, kiedy ktoś zerwał listę wewnętrznych numerów telefonicznych. Znajdował się na niej numer kostnicy oraz bezpośredniej linii do mego biura na górze.

– Niech to szlag! – wykrzyknęłam bez tchu.



Dzwonek w wewnętrznym podjeździe odezwał się w chwili, kiedy właśnie zastanawiałam się, co się jeszcze może się wydarzyć. Pomyślałam o swoim gabinecie na górze, podeszłam do ściany i wcisnęłam przycisk. Wielkie drzwi otworzyły się skrzypiąc. Za nimi stał umundurowany Marino z dwoma posterunkowymi i detektywem. Z rozpiętymi kaburami pobiegli do pomieszczenia sekcyjnego. Poszłam za nimi, odkładając rewolwer na blat, gdyż nie sądziłam, żeby był mi potrzebny.

– Co się stało, do diabła? – spytał Marino, kiedy spoglądał nie widzącym wzrokiem na ciało w rozpiętym worku.

Pozostali także spojrzeli, ale nie dostrzegli niczego niezwykłego. Potem przenieśli wzrok na mnie i na rewolwer, który dopiero co odłożyłam.

– Doktor Scarpetta? O co chodzi? – spytał detektyw, którego nazwiska nie znałam.

Opowiedziałam o sprawie dostarczania zwłok, a oni słuchali, nic po sobie nie okazując.

– I zjawił się, mając w kieszeni coś, co wygląda na list. Jak śledczy mógł to przeoczyć? Co departament policji ma do powiedzenia w tej kwestii? Nie ma wzmianki o tym – powiedziałam – że głowa ofiary zapakowana była w obwiązany sznurówką worek na śmieci.

– Co tam napisano? – spytał detektyw, mający na sobie ściągnięty pasem czarny płaszcz, kowbojskie buty, a na ręku złotego roleksa, który, moim zdaniem, był podróbką.

– Nie dotykałam koperty – oznajmiłam. – Pomyślałam, że mądrzej będzie poczekać, aż przyjedziecie.

– Lepiej zobaczmy – odrzekł.

Dłońmi w rękawiczkach wysunęłam kopertę z kieszonki, starając się dotknąć jak najmniejszej powierzchni papieru. Przestraszyłam się, widząc swoje nazwisko i adres domowy wypisane wyraźnie wiecznym piórem o czarnym atramencie. List zaopatrzony był w znaczek. Zniosłam go na blat, otworzyłam ostrożnie za pomocą skalpela i rozłożyłam pojedynczą kartkę papieru, która była mi znajoma. Tekst brzmiał:

*HO! HO! HO!*

*KAIN*

– Kto to jest KAIN? – spytał jeden z policjantów, kiedy odwiązywałam sznurówkę i zdejmowałam worek na śmieci z głowy zmarłego.

– O, kurwa! – powiedział detektyw, cofając się o krok.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął Marino.

Ktoś strzelił szeryfowi Santa między oczy, a dziewięćmilimetrowa łuska pocisku przyczepiona była do jego lewego ucha. Odcisnięty ślad lufy pochodził wyraźnie od glocka. Usiadłam na krześle i rozejrzałam się. Zdawało się, że nikt za bardzo nie wiedział, co robić. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic takiego. Ludzie nie popełniali morderstw, by potem dostarczyć swe ofiary do kostnicy.

– Na górze jest nocny strażnik – odezwałam się, odzyskując oddech.

– Był tutaj, kiedy go przywieziono? – Marino zapalił papierosa, jego oczy miały błyskawice.

– Najwyraźniej.

– Idę z nim pogadać – rzekł Marino, który tu dowodził, ponieważ należeliśmy do jego rewiru.

Spojrzał na swoich policjantów.

– Wy, chłopcy, rozejrzyjcie się tu na dole i na wewnętrznym podjeździe. Zobaczymy, co znajdziecie. Nadajcie przez radio, nie alarmując mediów, że Gault był tutaj. Może nadal przebywać w okolicy. – Spojrzał na zegarek, a potem na mnie. – Jak się nazywa ten facet na górze?

– Evans.

– Znasz go?

– Niezbyt dobrze.

– Chodź – powiedział.

– Czy ktoś będzie pilnował tego pomieszczenia? – Spojrzałam na detektywa i dwóch mundurowych.

– Ja – oznajmił jeden z nich. – Ale chyba nie chce pani zostawić tutaj swego rewolweru.

Włożyłam z powrotem broń do torebki, którą wzięłam ze sobą. Marino zdusił niedopałek w popielniczce i wsiedliśmy do windy po drugiej stronie hallu. Jak tylko drzwi się za nami zamknęły, jego twarz nabiegła krwią. Stracił swój kapitański spokój.

– Nie mogę w to uwierzyć! – Spojrzał na mnie, a jego oczy były pełne furii. – To się nie mogło zdarzyć! Nie mogło!

Drzwi rozsunęły się, a on kroczył wściekły korytarzem budynku, w którym spędziłam większą część swego życia.

– Powinien być w pokoju konferencyjnym – odpowiedziałam.

Przeszłam obok swego gabinetu, prawie do niego nie zaglądając. Nie miałam teraz czasu, by sprawdzać, czy Gault był tam wcześniej. Musiałby tylko wsiąść do windy lub wejść po schodach i już mógł się znaleźć w moim biurze. Kto by to sprawdzał o trzeciej nad ranem?

W pomieszczeniu konferencyjnym Evans siedział sztywno na krześle, stojącym w połowie długości stołu. Kiedy siadałam naprzeciwko strażnika, który pozwolił, by miejsce mojej pracy stało się sceną zbrodni, ze ścian spoglądały na mnie zdjęcia poprzednich szefów. Evans był starszym Murzynem, który potrzebował tej pracy. Miał na sobie mundur w kolorze khaki z brązowymi wypustkami na kieszeniach i nosił broń. Zastanawiałam się, czy wie, jak się nią posługiwać.

– Czy wiesz, co się stało? – spytał Marino, odsuwając krzesło.

– Nie, sir. – W jego oczach dostrzegłam przerażenie.

– Ktoś coś dostarczył, a nie powinien tego robić. – Marino znowu wyciągnął papierosy. – Stało się to podczas twojej służby.

Evans skrzywił się. Wyglądał na prawdziwie zagubionego.

– Ma pan na myśli ciało?

– Posłuchaj – wtrąciłam się. – Wiem, co to jest standardowa procedura operacyjna. Wszyscy wiemy. Chodzi o przypadek rzekomego samobójstwa. Rozmawialiśmy o tym przez telefon...

– Jak powiedziałem, wpuściłem go – przerwał Evans.

– O której? – spytał Marino.

Spojrzał w sufit.

– Chyba koło trzeciej nad ranem. Kiedy zajechał karawan, jak zawsze siedziałem za biurkiem.

– Gdzie zajechał? – spytał Marino.

– Za budynek.

– Skoro to było za budynkiem, to jak mogłeś go widzieć? Hall, w którym siedzisz, jest od frontu – powiedział Marino bez ogródek.

– Nie widziałem go – oświadczył strażnik. – Ale ten człowiek przyszedł i ujrzałem go przez szybę. Podszedłem, żeby zapytać, czego chce, a on powiedział, że jest przewoźnikiem.

– A co z dokumentami? – spytałam. – Nic ci nie pokazał?

– Powiedział, że kazali mu jechać, chociaż policjanci nie skończyli jeszcze swego raportu. Wyjaśnił, że dostarczą go później.

– Rozumiem – rzekłam.

– Stwierdził, że karawan stoi z tyłu budynku – ciągnął Evans. – Powiedział, że kółko w jego noszach jest uszkodzone i zapytał, czy może użyć jednego z naszych wózków.

– Znałeś go? – spytałam, hamując złość.

Potrząsnął głową.

– Możesz go opisać? – pytałam dalej.

Evans namyślał się przez jakiś czas.

– Prawdę mówiąc, nie przyjrzałem się mu bliżej. Ale wydaje mi się, że był biały i miał również białe włosy.

– Białe?  
– Tak, madam. Jestem tego pewny.  
– Jak był ubrany?  
– Chyba w ciemny garnitur i krawat. Wie pani, tak jak jest ubrana większość pracowników domów pogrzebowych.  
– Gruby, chudy, wysoki, niski?  
– Szczupły. Średniego wzrostu.  
– Co było potem? – spytał Marino.  
– Potem powiedziałem mu, by podjechał pod bramę wewnętrznego podjazdu, to go wpuszczę. Przeszedłem przez budynek, tak jak zawsze to robię, i otworzyłem drzwi. Wszedł, a tam w hallu stały nosze na kółkach. Wziął je, przełożył ciało i wrócił. Oznaczył je i tak dalej. – Oczy Evansa uciekły w bok. – Włożył ciało do chłodni i poszedł sobie.

Nadal na nas nie patrzył. Wzięłam głęboki oddech, a Marino wypuścił kłęb dymu.

– Panie Evans – powiedziałam. – Chcę całej prawdy.  
Spojrzał na mnie.  
– Musi nam pan powiedzieć, co się stało, kiedy go pan wpuścił do środka – kontynuowałam. – Muszę to wiedzieć. Naprawdę.

Evans spojrzał na mnie i jego oczy pojaśniały.  
– Doktor Scarpetta, nie wiem, co się stało, ale powiedziałbym, że to było złe. Proszę się na mnie nie wściekać. Nie lubię być tam na dole w nocy. Byłbym kłamcą, gdybym powiedział, że lubię. Staram się dobrze wykonywać swoją robotę.

– Powiedz po prostu prawdę – cedziłam słowa. – To wszystko, czego chcemy.

– Opiekuję się matką. – Był bliski łez. – Jestem wszystkim, co ma, a jest bardzo chora na serce. Odkąd zmarła moja żona, chodzę tam codziennie i

robię jej zakupy. Mam córkę wychowującą troje dzieci.

– Panie Evans, nie straci pan swojej pracy – oświadczyłam, chociaż zasługiwał na to.

Jego wzrok na krótko spotkał się z moim.

– Dziękuję pani, madam. Wierzę w to, co pani mówi. Ale martwi mnie, co powiedzą inni ludzie.

– Panie Evans – poczekałam, aż spojrzał mi w oczy – jestem jedyną osobą, której powinien się pan obawiać.

Otarł łzy.

– Przykro mi z powodu tego, co zrobiłem. Gdyby z mojej winy ktoś zostałby poszkodowany, nie wiem, co bym począł.

– Niczego nie zrobiłeś – powiedział Marino. – To tylko ten sukinsyn o białych włosach.

– Opowiedz nam o nim – poprosiłam. – Co dokładnie zrobił, kiedy go wpuściłeś?

– Wjechał wózkami do środka, tak jak mówiłem, i postawił go przed chłodnią. Musiałem ją otworzyć, wie pani, i powiedziałem, że może wtoczyć ciało do wnętrza. Tak też uczynił. Potem zabrałem go do biura kostnicy i pokazałem, jakie dokumenty powinien wypełnić. Powiedziałem mu, żeby wpisał liczbę kilometrów w celu uzyskania zwrotu kosztów. Nie słuchał tego.

– Odprowadziłeś go z powrotem?

Evans westchnął.

– Nie, proszę pani. Nie zamierzam pani okłamywać.

– Co więc zrobiłeś? – spytał Marino.

– Zostawiłem go na dole, wypełniał papierki. Zamknąłem chłodnię i nie martwiłem się zamykaniem za nim drzwi wewnętrznego podjazdu. Nie wjechał do niego, ponieważ tam stoi jedna z pani furgonetek.

Pomyślałam chwilę.

– Jaka furgonetka?

– Niebieska.

– Tam nie ma żadnej furgonetki – oświadczył Marino.

Twarz Evansa zwiotczała.

– Na pewno była o trzeciej nad ranem. Widziałem ją tam, kiedy przytrzymałem drzwi, żeby mógł wjechać z ciałem na wózku.

– Zaczekaj chwilę – powiedziałam. – Czym przyjechał ten facet o białych włosach?

– Karawanem.

– Widziałeś go? – chciałam wiedzieć.

Odetchnął ze zniecierpliwieniem.

– Nie, nie widziałem. Powiedział, że nim przyjechał, a ja po prostu uznałem, że postawił go na tylnym parkingu w pobliżu drzwi podjazdu.

– Kiedy więc nacisnąłeś przycisk, żeby otworzyć drzwi, to nie czekałeś tam i nie widziałeś, czym przyjechał?

Wlepił spojrzenie w blat stołu.

– Czy kiedy zszedłeś tam, żeby przycisnąć guzik otwierający drzwi, to widziałeś wówczas furgonetkę? – pytałam. – Zanim wtoczył ciało?

Evans namyślał się jakiś czas, wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy.

– Cholera – powiedział, spuszczać wzrok. – Nie pamiętam. Nie patrzyłem. Po prostu otworzyłem drzwi na korytarzu. Uderzyłem w przycisk na ścianie i cofnąłem się do wnętrza. – Przerwał na chwilę. – Możliwe, że wtedy nic tam nie stało.

– Więc wówczas podjazd mógł być pusty.

– Tak, madam. Sądzę, że mogło tak być.



– A kiedy kilka minut później trzymałeś otwarte drzwi, żeby mógł przejechać wózek, nie zauważyłeś furgonetki stojącej w wewnętrznej zatoczce?

– To właśnie wtedy ją zobaczyłem – powiedział. – Po prostu pomyślałem, że należy do pani urzędu. Wyglądała jak jedna z naszych furgonetek. Wie pani, granatowa, bez okien, z wyjątkiem kabiny kierowcy.

– Wróćmy do mężczyzny, który wtoczył ciało do wnętrza chłodni, i tego, jak ją zamykałeś – odezwał się Marino. – Co było potem?

– Pomyślałem, że wyjdzie po skończeniu papierkowej roboty i wróciłem do budynku.

– Zanim on opuścił kostnicę?

Evans ponownie zwiesił głowę.

– Czy masz w ogóle pojęcie, kiedy w końcu wyszedł? – dociekał Marino.

– Nie, sir – odparł cicho strażnik. – Tak naprawdę nie mógłbym przysiąc, czy w ogóle opuścił budynek.

Milczeliśmy wszyscy, jakby Gault mógł tu wejść w każdej chwili. Marino odepchnął swoje krzesło i spojrzał w pusty otwór drzwiowy. Evans przerwał ciszę.

– Jeśli to była jego furgonetka, to sędzę, że sam zamknął za sobą drzwi wjazdowe. Wiem, że były zamknięte o piątej, bo wtedy miałem obchód budynku.

– No cóż, nie trzeba być ekspertem, by dojść do podobnego wniosku – podsumował Marino niezbyt uprzejmie. – Po prostu wyjeżdżasz, wracasz do środka i uderzasz w ten pieprzony guzik. Potem wychodzisz bocznym wyjściem.

– Z całą pewnością teraz nie ma tam furgonetki – stwierdziłam. – Ktoś nią wyjechał.

– Obie stoją na zewnątrz? – zapytał Marino.  
– Stały, kiedy tam przyjechałam – odparłam.  
– Gdybyś go zobaczył podczas konfrontacji, poznałbyś go? – spytał Marino Evansa.

Tamten, zatrwożony, podniósł wzrok.

– Co on zrobił?

– Poznałbyś go? – powtórzył Marino.

– Sądzę, że tak. Tak, sir. Na pewno bym spróbował.

Wstałam i poszłam szybkim krokiem korytarzem. Zatrzymałam się na progu swego gabinetu i rozejrzałam się wokoło w ten sam sposób, w jaki zeszłej nocy rozglądałam się po domu. Starłam się odkryć najdrobniejszą zmianę w otoczeniu – fałdę na dywanie, jakiś przedmiot leżący nie na swoim miejscu, włączoną lampkę, która nie powinna się świecić.

Biurko było całkowicie zasłane plikami papierów, czekających, żebym się z nimi zapoznała, a po włączeniu komputera na monitorze ukazała się informacja, że jest dla mnie jakaś wiadomość. Skrzynka z pocztą przychodzącą była pełna, z wychodzącą – pusta, a mój mikroskop stał pod plastikową folią, ponieważ kiedy ostatni raz oglądałam spreparowane wycinki tkanek, to zaraz potem miałam lecieć na tydzień do Miami.

Wydawało się, że to było nieprawdopodobnie dawno temu, i czułam się zszokowana myśląc, iż szeryf Santa został aresztowany w Wigilię i od tego momentu świat się zmienił. W bestialski sposób Gault zamordował kobietę, którą nazwaliśmy Jane. Zastrzelił młodego funkcjonariusza policji. Zabił szeryfa Santę i przywiózł go do mojej kostnicy. Wszystko to w ciągu czterech dni. Podeszłam do biurka, oglądając je badawczo, a kiedy zbliżyłam się do terminalu komputerowego, niemal poczułam jego zapach.

Nie musiałam dotykać klawiatury, żeby wiedzieć, że on to zrobił. Patrzyłam w ciszy na błyskającą zielenią zapowiedź poczty elektronicznej.

Stuknęłam kilka klawiszy, by wejść do menu, co miało mi pokazać czekające na mnie wiadomości, ale zamiast tego pojawił się oszczędzacz ekranu. Było to czarne tło z jasnymi, czerwonymi literami KAIN, z których skapywały krwawe krople. Wróciłam na korytarz.

– Marino – powiedziałam. – Chodź tu z łaski swojej.

Zostawił Evansa i poszedł za mną do gabinetu. Wskazałam mu komputer. Marino patrzył na niego kamiennym wzrokiem. Pod pachami jego białej mundurowej koszuli pojawiły się mokre plamy i czułam zapach jego potu. Kiedy się poruszał, trzeszczała sztywna czarna skóra. Przesuwał bez przerwy pod wystającym brzuchem obładowany pas, jakby miał na nim wszystko, co zdobył w trakcie swego życia.

– Jak trudno jest zrobić coś takiego? – spytał, wycierając twarz brudną chustką.

– Niezbyt, jeśli masz program gotowy do załadowania.

– Skąd go, do diabła, wziął?

– To mnie właśnie niepokoi – odparłam, myśląc o pytaniach, których nie zadaliśmy.

Wróciliśmy do sali konferencyjnej. Evans stał, przyglądając się w odrętwieniu zdjęciom na ścianie.

– Panie Evans – odezwałam się. – Czy ten mężczyzna z domu pogrzebowego rozmawiał z panem?

Odwrócił się przestraszony.

– Nie, madam. Niewiele.

– Niewiele? – zdziwiłam się.

– Nie, proszę pani.

– Więc jak zakomunikował, czego chce?

– Powiedział, co musiał powiedzieć. – Przerwał. – Był naprawdę milczącym typem. Mówił cicho.

Evans pocierał twarz.

– Im więcej o tym myślę, tym mi się to wydaje dziwniejsze. Miał ciemne okulary. A mówiąc prawdę – urwał – no cóż, odniosłam wrażenie, że...

– Że co? – spytałam.

– Myślę, że mógł być homoseksualistą – odparł Evans po chwili.

– Marino, przejdźmy się – zaproponowałam.

Odprowadziliśmy Evansa do wyjścia z budynku i czekaliśmy, aż zniknął za rogiem, ponieważ nie chciałam, żeby widział, co zrobiliśmy później. Obie furgonetki stały zaparkowane na swoich zwykłych miejscach, niedaleko od mego mercedesa. Nie dotykając drzwi czy szyb, zajrzałam przez okno kierowcy do tej stojącej bliżej podjazdu i spostrzegłam, że plastikowa obudowa kolumny kierownicy została zerwana, a przewody były na wierzchu.

– Zwarł na krótko – oznajmiłam.

Marino wyszarpnął radiotelefon i podniósł go do ust.

– Osiemset.

– Osiemset – odpowiedział dyspozytor.

– Dziesięć-pięć 711.

Radio wezwało znajdującego się wewnątrz budynku detektywa, który miał numer 711, a potem Marino mówił dalej:

– Dziesięć-dwadzieścia-pięć.

– Dziesięć-cztery.

Marino wezwał przez radio samochód holowniczy, ponieważ z klamek furgonetki miały zostać zdjęte odciski palców. Po tym wszystkim powinno się ją zbadać dokładnie z zewnątrz i od środka. Mimo upływu piętnastu minut, 711 w dalszym ciągu nie pojawił się w bocznych drzwiach budynku.

– Jest głupi jak but – poskarżył się Marino, chodząc z radiotelefonem w rękę dookoła furgonetki. – Leniwy sukinsyn. To dlatego nazywamy go

„Detektyw 711”. Ponieważ jest tak „szybki”. Cholera. – Spojrzał z irytacją na zegarek. – Co on robi? Zgubił się w męskiej toalecie?

Czekałam, marznąc nieznośnie, ponieważ nie zdjęłam fartucha i nie włożyłam płaszcza. Także obeszłam kilka razy furgonetkę. Minęło kolejne pięć minut i Marino polecił dyspozytorowi wywołać pozostałych policjantów.

Ich odpowiedź była natychmiastowa.

– Gdzie jest Jakes? – warknął na nich Marino, gdy tylko stanęli w drzwiach.

– Powiedział, że rozejrzy się trochę – odparł jeden z funkcjonariuszy.

– Wywołałem go dwadzieścia minut temu. Myślałem, że jest z jednym z was.

– Nie, sir. Nie, co najmniej od pół godziny.

Marino ponownie spróbował wezwać 711 przez radio i ponownie nie otrzymał odpowiedzi. W jego oczach błysnął strach.

– Może jest w części budynku, do której nie docierają fale radiowe – podsunął policjant, spoglądając w górę na okna.

Jego partner trzymał dłoń na broni i także się rozglądał.

Marino zażądał przez radio posiłków. Na parking zaczęli zjeżdżać się pracownicy urzędu i wchodzić do budynku. Wielu naukowców, ubranych w jesionki i niosących walizeczki, chroniło się przed surowym, zimnym dniem i nie zwracało na nas żadnej uwagi. W końcu radiowozy stanowiły tutaj zwyczajny widok. Marino próbował wywoływać detektywa Jakesa. Nadal nie było odpowiedzi.

– Gdzie go ostatnio widzieliście? – spytał.

– Wsiadał do windy.

– Gdzie?

– Na pierwszym piętrze.

– Nie mógł pojechać na górę, prawda? – zwrócił się do mnie Marino.

– Nie – odparłam. – By wjechać na każde piętro powyżej pierwszego, trzeba włożyć do czytnika kartę identyfikacyjną.

– Mógł z powrotem zjechać do kostnicy? – Marino coraz bardziej się denerwował.

– Kilka minut później zszedłem na dół i nie widziałem go tam – odparł funkcjonariusz.

– Krematorium – zasugerowałam. – Mógł zjechać na ten poziom.

– W porządku. Wy sprawdźcie kostnicę – polecił Marino policjantom. – I chcę, żebyście trzymali się razem. Doc i ja rozejrzemy się w krematorium.

Wewnątrz podjazdu, na lewo od doku załadunkowego znajdowała się stara winda, która obsługiwała niższy poziom, gdzie ofiarowane nauce ciała były balsamowane, przechowywane i spalane po tym, jak uporali się już z nimi studenci medycyny. Było możliwe, że Jakes zapuścił się w te okolice. Nacisnęłam dolny guzik. Winda ruszyła wolno, dzwoniąc i skarżąc się przeciągle. Pociągnęłam za uchwyt i odsunęłam ciężkie, odrapane z farby drzwi. Weszliśmy do środka.

– Cholera, nie lubię już tego – powiedział Marino, odpinając kciukiem zatrzask kabury, kiedy opadaliśmy wraz z powoli sunącą kabiną.

Gdy zatrzymaliśmy się z szarpnięciem, a drzwi otworzyły się w moim najmniej ulubionym rejonie budynku, wyjął broń. Nie lubiłam tego słabo oświetlonego, pozbawionego okien pomieszczenia, nawet jeżeli doceniałam jego ważność. Po przeprowadzeniu katedry anatomii na Akademię Medyczną Wirginii, zaczęliśmy używać spalarki do pozbywania się niebezpiecznych biologicznie resztek. Wyjęłam rewolwer.

– Trzymaj się za mną – polecił Marino, rozglądając się uważnie wokoło.

Pomijając piec, w którym za zamkniętymi drzwiami ryczał ogień, w wielkim pomieszczeniu panowała cisza. Staliśmy w milczeniu, skanując

wzrokiem porzucone wózki z leżącymi na nich pustymi workami na ciała oraz puste niebieskie pojemniki, służące niegdyś do przechowywania formaliny; wypełniano nią zbiorniki w podłodze, w których przetrzymywano zwłoki. Widziałam, że Marino bacznie obserwuje szyny pod sufitem, ciężkie łańcuchy i haki, którymi niegdyś podnoszono masywne pokrywy kadzi, odsłaniając znajdujące się pod nimi ludzkie ciała.

Oddychając ciężko i pocąc się obficie, przysuwał się bliżej pomieszczenia do balsamowania, aż zanurkował do środka. Stałam blisko, kiedy sprawdzał opuszczone biura. Spojrzał na mnie i otarł twarz rękawem.

– Tu musi być ponad trzydzieści stopni – zamruczał, wyciągając zza pasa radiotelefon.

Spojrzałam na niego przestraszona.

– O co chodzi? – spytał.

– Nie istnieje żaden powód, żeby piec był włączony – powiedziałam, patrząc na zamknięte drzwi krematorium.

Zaczęłam iść w ich stronę.

– O ile wiem, nie ma żadnych odpadków, których należałoby się pozbyć, a spalarnia nie powinna działać na pusto.

Stojąc przed drzwiami, usłyszeliśmy piekło szalejące po ich drugiej stronie. Oparłam dłoń na kłamce. Była bardzo gorąca.

Marino wyszedł przede mnie, nacisnął dźwignię i kopniakiem otworzył drzwi. Gotowy do strzału pistolet trzymał w obu rękach, jakby piec krematoryjny był bestią, którą mógłby zastrzelić.

– Jezu – powiedział.

W szczelinach wokół monstrualnych rozmiarów starych żelaznych drzwi pokazały się płomienie, a podłoga zasłana była kawałkami wypalonych na kolor kredy kości. W pobliżu stał wózek noszowy. Podniosłam długi żelazny pręt z hakiem na końcu i zaczepiłam go o pierścień drzwi pieca.

– Cofnij się – poleciłam.

Uderzył w nas podmuch piekielnego gorąca, a ryk płomieni wzniósł się niczym nienawistny wiatr. W otwartych kwadratowych ustach szalało piekło, więc palące się na kracie ciało nie mogło leżeć tam długo. Ubranie zostało już strawione, ale skórzane, kowbojskie buty jeszcze nie. Dymiły na stopach detektywa Jakesa, podczas gdy zachłanne płomienie spalały włosy i pożerały skórę, odsłaniając kości. Pchnęłam drzwi, zatrzaskując je.

Podczas gdy Marino wymiotował w pobliżu stosu metalowych pojemników, pobiegłam z powrotem i w pomieszczeniu balsamowania zwłok znalazłam ręczniki. Owijając sobie nimi dłonie, wstrzymałam oddech i przeszłam obok pieca, przekręcając zawór, który wyłączał gaz. Płomienie zgasły momentalnie, a ja ponownie wybiegłam z pomieszczenia. Chwyciłam radiotelefon Marino, kiedy ten czkał.

– Na pomoc! – wrzasnęłam do dyspozytora. – Na pomoc!



Resztę przedpołudnia spędziłam, zajmując się owymi dwoma nieprzewidzianymi przypadkami zabójstw, podczas gdy w budynku mego urzędu krzątała się grupa do zadań specjalnych. Policjanci poszukiwali niebieskiej furgonetki ze zwartym obwodem zapłonu, która zniknęła, kiedy wszyscy szukali detektywa Jakesa.

Prześwietlenie rentgenowskie ujawniło miażdżący, śmiertelny cios w klatkę piersiową. Żebra i mostek były popękane, aorta rozerwana, a badanie na obecność tlenu węgla w płucach ujawniło, że kiedy Jakes został umieszczony w palenisku, już nie oddychał.

Wyglądało na to, że Gault wyprowadził jeden ze swych ciosów karate, ale nie wiedzieliśmy, w której części budynku do tego doszło. Nie mieliśmy także rozsądnego wytłumaczenia, jak jedna osoba mogła podnieść ciało na wózek. Jakes ważył sto osiemdziesiąt pięć funtów i miał pięć stóp i jedenaście cali wzrostu, a Temple Brooks Gault nie był dużym mężczyzną.

- Nie rozumiem, jak tego dokonał – dziwił się Marino.
- Ani ja – zgodziłam się.
- Może zmusił go, trzymając na muszce, by położył się na wózku?
- Gdyby leżał, Gault nie mógłby go poczęstować takim kopniakiem.
- Może uderzył go czymś?
- To był bardzo silny cios.

Marino zawahał się.

- No cóż, jest bardzo prawdopodobne, że nie był sam.
- Obawiam się, że masz rację – przyznałam.

Było prawie południe i jechaliśmy do domu Lamonta Browna, znanego także jako szeryf Santa, do cichej okolicy w Hampton Hills. Dom stał po

drugiej stronie Carry Street, naprzeciwko wirgińskiego klubu country, który nie chciał mieć pana Browna za swego członka.

– Wygląda na to, że szeryfom płacą dużo lepiej niż mnie – zauważył Marino ironicznie, kiedy parkował samochód.

– Pierwszy raz widzisz to miejsce? – spytałam.

– Bywałem w okolicy, kiedy dawniej patrolowałem ulice. Ale nigdy nie wszedłem do środka.

Hampton Hill stanowiło konglomerat posiadłości i skromnych domów otoczonych drzewami. Dom szeryfa Santa był jednopiętrowym budynkiem z cegły, krytym dachówką, z garażem i basenem. Jego cadillac i porsche 911 nadal stały na podjeździe, w towarzystwie policyjnych samochodów. Popatrzyłam na porsche. Było ciemnozielone, stare, ale dobrze utrzymane.

– Myślisz, że to możliwe? – zaczęłam mówić do Marino.

– To śmieszne – odparł.

– Pamiętasz numer rejestracyjny?

– Nie, cholera.

– To mógł być on – ciągnęłam, myśląc o Murzynie, który jechał za nami poprzedniej nocy.

– Do diabła, nie wiem. – Marino wysiadł z samochodu.

– Poznałby twoją półciężarówkę?

– Na pewno by się dowiedział, że to moje auto, gdyby tego chciał.

– Jeżeli poznał samochód, mógł cię śledzić – powiedziałam, kiedy szliśmy ceglany chodnikiem.

– Nie mam pojęcia.

– Albo po prostu mogła to spowodować twoja rasistowska nalepka na zderzaku. Zbieg okoliczności. Co jeszcze o nim wiemy?

– Rozwiedziony, dzieci dorosłe.

Policjant, schludny i porządny w granatowym mundurze, otworzył przed nami frontowe drzwi. Weszliśmy do wyłożonego twardym drewnem hallu.

– Czy Neils Vander jest tutaj? – spytałam.

– Jeszcze nie. Na górze działa dochodzeniówka – odparł funkcjonariusz, nawiązując do grupy, której zadaniem było zebranie i zabezpieczenie śladów.

– Chcę, żeby dotarł tutaj ze swoją lampą – wyjaśniłam.

– Tak, proszę pani.

Marino odzywał się burkliwie, ponieważ zbyt długo zajmował się sprawami zabójstw, by cierpliwie dostosowywać się do zachowań innych ludzi.

– Potrzebujemy więcej policjantów. Jeśli prasa coś zwęszy, zdeptają tutaj wszystko. Potrzebuję więcej samochodów na zewnątrz i chcę, by na większym obszarze pilnowano terenu wokół domu. Taśmy ogradzające powinny zostać przesunięte do samej drogi. Nie chcę, by ktokolwiek wchodził czy wjeżdżał na podjazd. I oznakować taśmami tyły domu. Cała ta przeklęta posiadłość musi być traktowana jak miejsce zbrodni.

– Tak jest, kapitanie. – Funkcjonariusz chwycił za radiotelefon.

Policja pracowała tutaj już od kilku godzin. Szybko stwierdzili, iż Lamont Brown został zastrzelony w łóżku w swojej sypialni. Poszłam za Marino na górę wąskimi schodami wyłożonymi chińskim chodnikiem, a głosy poprowadziły nas wzdłuż korytarza. Dwaj detektywi znajdowali się wewnątrz sypialni wyłożonej zabejcowanym na ciemno sosnowym, sękatym drewnem, a zasłony okienne i pościel przywodziły na myśl burdel. Szeryf był miłośnikiem ciemnego drewna, złota, ozdobnych chwestów, aksamitu oraz luster na suficie.

Rozglądając się wokoło, Marino nie wyrażał swojej opinii. Sąd o tym człowieku wyrobił sobie już dawno. Podeszłam bliżej królewskiego łóża.

– Czy cokolwiek tutaj ruszано? – spytałam jednego z detektywów, podczas gdy Marino wkładał rękawiczki.

– Niezupełnie. Sfotografowaliśmy wszystko i zajrzeliśmy pod przykrycie. Ale to, co pani widzi, wygląda niemal tak samo jak w chwili, kiedy tu weszliśmy.

– Czy drzwi wejściowe były zamknięte, gdy tutaj dotarliście? – zainteresował się Marino.

– Tak. Musieliśmy wybić okienko w drzwiach z tyłu domu.

– Więc nie było żadnych śladów włamania?

– Nie. Na dole, w salonie, znaleźliśmy na lusterku ślady kokainy. Ale mogły tam już być od jakiegoś czasu.

– Co jeszcze znaleziono?

– Białą jedwabną chustkę ze śladami krwi – odezwał się detektyw żujący gumę. – Leżała dokładnie tutaj, na podłodze, około trzech stóp od łóżka. I wygląda na to, że sznurówka użyta do obwiązania worka na śmieci wokół szyi szeryfa Browna pochodzi z butów sportowych z tamtej szafy. – Zawahał się. – Słyszałem o Jakesie.

– To było okropne. – Marino wydawał się roztargniony.

– Nie żył już, kiedy...

– Nie. Miał zmiażdżoną klatkę piersiową.

Detektyw przestał żuć.

– Znaleźliście broń? – spytałam, oglądając łóżko.

– Nie, zdecydowanie nie zakładaliśmy, że to samobójstwo.

– Taaa... – odezwał się drugi detektyw. – Byłoby dosyć trudno popełnić samobójstwo, a potem zawieźć się do kostnicy.

Poduszka nasączona była czerwonobrazową krwią, która na obrzeżach plamy skrzepła, oddzielając się od osocza. Krew skapała z boku na materac, ale nie było jej ani śladu na podłodze. Pomyślałam o strzale dziurawiącym

czoło Browna. Rana o średnicy ćwierć cala z opalonymi, poszarpanymi i otartymi brzegami. Znalazłam w niej ślady sadzy, a w leżących pod spodem tkankach, kości i oponie mózgowej spalony oraz nie spalony proch. Postrzał był kontaktowy, a ciało nie odniosło żadnych innych obrażeń, które wskazywałyby na walkę czy obronę ze strony ofiary.

– Sądzę, że kiedy został zastrzelony, leżał na plecach w łóżku – powiedziałam do Marino. – Byłoby nieco trudno przystawić broń między oczy komuś, kto się dopiero obudził i nie wie, co się dzieje.

– Nie ma żadnych dowodów, że w ogóle w jakikolwiek sposób zareagował. Rana postrzałowa znajduje się idealnie między oczami. Pistolet został przyłożony do skóry i wygląda na to, że szeryf ani drgnął.

– Może był nieprzytomny – powiedział Marino.

– Miał we krwi 1,6 promila alkoholu. Mógł być zamroczony, ale niekoniecznie. Musimy obejrzeć pokój w świetle Luma-Lite, by sprawdzić, czy znajdziemy ślady krwi, które uległy przeoczeniu.

– Ale mogło być i tak, że prosto z łóżka został włożony do worka. – Pokazałam Marino krew z boku materaca. – Gdyby niesiono go dalej, krew byłaby w całym domu.

– Racja.

Chodziliśmy dookoła sypialni, a Marino otwierał szuflady, które zostały już przejrzane. Szeryf Brown gustował w pornografii. Szczególnie lubił zdjęcia poniżanych kobiet, kojarzących się z niewolniczym poddaniem i przemocą. W gabinecie na dole znaleźliśmy dwa stojaki ze strzelbami, karabinami i kilka sztuk broni szturmowej.

Szafka poniżej miała wyważone drzwiczki i trudno było powiedzieć, jakiej broni krótkiej czy pudełek amunicji brakowało, ponieważ nie wiedzieliśmy, ile ich tam było wcześniej. To, co pozostało, to broń dziewięć – i dziesięćmilimetrowa oraz kilka magnum kalibru

czterdzieści cztery i trzysta siedemdziesiąt pięć. Szeryf Brown miał także szereg rozmaitych kabur, zapasowych magazynków, kajdanków i kuloodporną kamizelkę z kevlaru.

– Miał swoje wielkie chwile – odezwał się Marino. – Musiał mieć mocne powiązania w DC, Nowym Jorku i prawdopodobnie w Miami.

– Możliwe, że w tych szafkach znajdowały się narkotyki – powiedziałam – i po nie włamał się tu Gault, a nie po broń.

– Myślę, że tu byli oni, nie on – doszedł do wniosku Marino, kiedy na schodach rozległy się czyjeś kroki. – Chyba że sądzisz, iż Gault sam poradził sobie z ciałem. Ile ważył Brown?

– Prawie dwieście funtów – powiedziałam, gdy zza rogu wyłonił się Neils Vander, niosąc za uchwyt Luma-Lite.

Za nim szedł asystent z aparatami i innym sprzętem.

Vander miał na sobie za duży fartuch laboratoryjny oraz białe bawełniane rękawiczki, które śmiesznie wyglądały przy wełnianych spodniach i zimowych butach. Miał zwyczaj patrzenia na mnie w taki sposób, jakbyśmy się nie znali. Był zwariowanym naukowcem, łysym jak żarówka, zawsze w biegu i zawsze mającym rację. Uwielbiałam go.

– Gdzie mam to zamontować? – zapytał, nie zwracając się do nikogo wprost.

– W sypialni – odparłam. – A potem w gabinecie.

Wróciliśmy do sypialni obserwować, jak Vander zapala swoją czarodziejską różdżkę. Zgaszono światło, założyliśmy okulary i zapłonął nikły krwisty blask, ale przez następnych kilka minut nie wydarzyło się nic ważnego. Luma-Lite nastawiona była na najszerszy promień i przesuając się dookoła pomieszczenia wyglądała jak flesz świecący z głębokiej wody. Wysoko ponad komodą zapłonęła na ścianie plama tak jasna, jak mały, nieregularny księżyc. Vander podszedł bliżej i spojrzał na nią.

– Niech ktoś włączy światło – powiedział.

Zapłonęły lampy i zdjęliśmy przyciemniane okulary. Vander wspinał się na palce, gapiąc się na dziurę w sęku.

– Co to jest, do diabła? – spytał Marino.

– To bardzo interesujące – powiedział Vander, który rzadko bywał czymkolwiek podekscytowany. – Tam coś jest po drugiej stronie.

– Drugiej stronie czego? – Marino podszedł do niego i zapatrzył się także, marszcząc czoło. – Nic nie widzę.

– Ależ tak. Tam coś jest – upierał się Vander. – I ktoś dotknął w tym miejscu boazerii, mając na dłoni jakąś substancję chemiczną.

– Prochy? – spytałam.

– Z pewnością to mogą być narkotyki.

Wszyscy gapiliśmy się na boazerię, która – kiedy nie padało na nią światło z Luma-Lite – wyglądała całkiem normalnie. Kiedy jednak przysunęłam bliżej krzesło, zobaczyłam, o czym mówił Vander. Mała dziurka w środku sęka była idealnie okrągła. Została wywiercona. Po drugiej stronie znajdował się gabinet szeryfa, który już wcześniej przeszukaliśmy.

– To dziwne. – Marino zamyślił się, wychodząc z sypialni.

Vander, niepomny na ową nieoczekiwaną przygodę, podjął na nowo pracę, podczas gdy ja i Marino weszliśmy do gabinetu i ruszyliśmy prosto do ściany, w której powinna znajdować się dziura w sęku. Miejsce to zakrywało „centrum rozrywki”, które wcześniej już przekopaliśmy. Marino ponownie otworzył drzwiczki szafki i wysunął telewizor. Wyciągnął z półek nad głową książki, nadal nic nie dostrzegając.

– Hmm... – mruknął, przyglądając się segmentowi ze sprzętem elektronicznym. – Ciekawe, że to stoi jakieś sześć cali od ściany.

– Tak – potwierdziłam. – Odsuńmy go.

Odciągnęliśmy mebel jeszcze trochę, znajdując dokładnie na osi dziury w sęku małą kamerę wideo z szerokokątnym obiektywem. Była umocowana na płytkim występie, a przewód od niej biegł do podstawy aparatury wideo, skąd mogła być obsługiwana za pomocą pilota. Po kilku eksperymentach odkryliśmy, że urządzenie było zupełnie niewidoczne od strony sypialni Browna, jeżeli nie przystawiono się oka do otworu w ścianie, podczas gdy kamera była włączona i paliło się w niej czerwone światełko.

– Może niuchnął kilka działek koki i postanowił uprawiać z kimś seks – podsunął Marino. – W pewnym momencie wstał, by sprawdzić z bliska, czy kamera pracuje.

– Możliwe – zgodziłam się. – Kiedy możemy obejrzeć taśmę?

– Nie chcę tego robić tutaj.

– Nie winie cię za to. Kamera jest tak mała, że chyba nie zobaczymy zbyt wiele.

– Jak tylko skończymy w tym miejscu, zabiorę ją do dochodzeniówki.

Dla nas niewiele zostało już tutaj do zrobienia. Tak jak podejrzewał Marino, Vander znalazł w szafce z bronią liczne ślady związków chemicznych, ale nigdzie więcej w domu nie było śladów krwi.

Posesje sąsiadów, mieszkających po obu stronach posiadłości szeryfa Browna, oddzielone były drzewami i ich właściciele niczego nie słyszeli ani nie zauważyli żadnej podejrzanej aktywności ostatniej nocy ani dzisiejszego ranka.

– Gdybyś mógł mnie podrzucić do mojego samochodu – powiedziałam, kiedy odjeżdżaliśmy.

Marino spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Dokąd jedziesz?

– Do Petersburga.

– Po co, do diabła?



– Muszę pogadać z przyjacielem o butach.



Na 1-95 South było zawsze wiele ciężarówek, co w połączeniu z ciągnącymi się wzdłuż niej konstrukcjami powodowało, że uważałam ją za niegościnną. Nawet plantacje Philip Morrisa, reklamowane paczką meritsów wysokości budynku, stresowały mnie, ponieważ nie znosiłam aromatu świeżego tytoniu. Rozpaczliwie brakowało mi palenia, szczególnie kiedy jechałam sama autem w taki dzień jak dzisiaj. Mózg mi trzeszczał, a wzrok miałam cały czas wlepiony w lusterka, wypatrywałam granatowej furgonetki.

Wiatr miotał drzewami i przyginał zarośla na moczarach, a w powietrzu wirowały płatki śniegu. Kiedy zbliżałam się do Fortu Lee, zaczęłam widzieć baraki i składy w miejscu, gdzie kiedyś budowano wały z martwych ciał podczas tej najokrutniejszej godziny dla narodu. Kiedy pomyślałam o bagnach i lasach Wirginii oraz o nie odnalezionych zmarłych, ta wojna zdawała się niezbyt odległa. Nie było roku, żebym nie badała starych guzików, kości oraz trafiających do mojego laboratorium pocisków. Dotykałam tkanin oraz twarzy dawno naznaczonych przemocą i odbierałam to inaczej niż swoje obecne zajęcia. Zło, byłam o tym przekonana, zdążyło już przejść mutację.

Muzeum Kwatermistrzostwa Armii Stanów Zjednoczonych znajdowało się w Forcie Lee, tuż za wojskowym szpitalem im. Kennera. Przejechałam wolno koło biur i pomieszczeń klasowych, wypełnionych przez rzędy ubranych na biało kadetów, oraz obok grup młodych mężczyzn i kobiet w strojach maskujących bądź sportowych. Budynek, do którego zmierzałam,

był ceglany, z niebieskim dachem i kolumnami. Na lewo od wejścia znajdował się herb z orłem, skrzyżowanymi szablami i kluczem. Zaparkowałam samochód i weszłam do środka, szukając Johna Grubera.

Muzeum było pamiątką po oddziałach kwatermistrzowskich, które od czasów wojny domowej stanowiły podstawę armijnego zaopatrzeniowca. Kwatermistrzostwo ubierało, karmiło i dawało wojsku schronienie, zaopatrując równocześnie żołnierzy kawalerii w ostrogi i siodła, a generała Pattona w przenośne radiostacje do jego jeepa. Muzeum było mi znane, gdyż odpowiadało także za odnajdowanie, identyfikację i grzebanie zmarłych żołnierzy. Fort Lee miał jedyny w kraju Oddział Rejestracji Grobów, którego oficerowie przewijali się regularnie przez mój gabinet.

Przeszłam obok wystawy mundurów polowych, rynsztunku oraz sceny przedstawiającej okopy z drugiej wojny światowej, stworzonej z worków z piaskiem i granatów. Zatrzymałam się przy mundurach z wojny secesyjnej, o których wiedziałam, że są autentyczne, i zastanawiałam się, czy widoczne rozdarcia pochodzą od odłamków szrapneli, czy też powstały na skutek starości. Myślałam o mężczyznach, którzy je nosili.

– Doktor Scarpetta?

Odwróciłam się.

– Doktor Gruber – powiedziała ciepło. – Właśnie pana szukałam. Proszę mi coś opowiedzieć o gwizdku. – Wskazałam na gablotę wypełnioną instrumentami muzycznymi.

– Pochodzi z czasów wojny secesyjnej – objaśnił. – Muzyka była bardzo ważna w wojsku. Używano go do ogłaszania pory dnia.

Doktor Gruber, starszy mężczyzna z gęstymi siwymi włosami i z twarzą jakby wyciosaną z granitu, był kustoszem muzeum. Lubił workowate spodnie i krawaty wiązane jak kokarda. Dzwonił do mnie zawsze, kiedy ekshumowano jakieś żołnierskie zwłoki, i odwiedzałam go, gdy wraz z

ciałem znajdowano niezwykle przedmioty. Był w stanie na pierwszy rzut oka zidentyfikować każdą sprzączkę, guzik czy bagnet.

– Rozumiem, że ma pani coś, na co powinienem spojrzeć? – spytał, wskazując na moją walizeczkę.

– Tak. Zdjęcia, o których wspominałam panu przez telefon.

– Jeżeli nie ma pani ochoty rozejrzeć się tu trochę, to chodźmy do biura.

– Uśmiechnął się jak nieśmiały dziadek mówiący o swoich wnukach. – Mamy całkiem niezłą wystawę na temat Pustynnej Burzy. I mundur generała Eisenhowera. Nie sądzę, by był tutaj, kiedy ostatni raz pani nas odwiedziła.

– Doktorze Gruber, proszę mi pozwolić to obejrzeć przy innej okazji. – Nie siliłam się na żadne wykręty; z mojej twarzy mógł wyczytać, jak się czuję.

Poklepał mnie po ramieniu i powiódł tylnym wyjściem, znaleźliśmy się na placu manewrowym, gdzie stała stara przyczepa, pomalowana na wojskową zieleni.

– Należała do Eisenhowera – wyjaśnił Gruber, kiedy szliśmy. – Mieszkał w niej od czasu do czasu i nie było to złe, dopóki nie odwiedził go Churchill. Z powodu cygar. Może to sobie pani wyobrazić.

Kiedy przechodziliśmy przez wąską uliczkę, śnieg zaczął mocniej sypać. Oczy mi zwilgotniały na wspomnienie gwizdka w gablocie i pomyślałam o kobiecie, którą nazwaliśmy Jane. Zastanawiałam się, czy Gault był tu kiedykolwiek? Wyglądało na to, że lubił muzea, szczególnie te prezentujące pamiątki związane z przemocą. Szliśmy chodnikiem w stronę małego, beżowego budynku, w którym byłam już wcześniej. W czasie drugiej wojny światowej pełnił rolę punktu uzupełnienia armii. Teraz było to archiwum kwatermistrzostwa.

Doktor Gruber otworzył drzwi i weszliśmy do pomieszczenia zastawionego stołami oraz manekinami w historycznych uniformach. Stoły zasłane były dokumentami niezbędnymi do katalogowania nabytków. Na zapleczu znajdował się duży magazyn, w którym ogrzewanie było słabsze, stały w nim rzędy wielkich metalowych szafek, zawierających ubrania, spadochrony, tornistry, gogle, okulary... To, czym byliśmy zainteresowani, znaleźliśmy w wielkich drewnianych skrzyniach pod ścianą.

– Mogę zobaczyć, co pani przywiozła? – spytał doktor Gruber, rozjaśniając światło. – Przepraszam za panującą tu temperaturę, ale eksponaty musimy trzymać w chłodzie.

Otworzyłam teczkę i wyciągnęłam kopertę, a z niej kilka czarno-białych fotografii o wymiarach osiem na dziesięć, przedstawiających odciski butów znalezione w Central Parku. Przede wszystkim obchodziły mnie te, które – jak wierzyliśmy – pozostawił Gault. Pokazałam zdjęcia doktorowi Gruberowi, a on przysunął je bliżej światła.

– Rozumiem, że raczej trudno jest coś zobaczyć, ponieważ zostały odcisnięte w śniegu – powiedziałam. – Dobrze by było, gdyby znalazło się tam nieco więcej cienia dla kontrastu.

– Są całkiem dobre. Dają zupełnie wystarczający pogląd. To zdecydowanie obuwie wojskowe, ale fascynuje mnie ich znak firmowy.

Spojrzałam na to, co pokazywał na obcasie – okrągły obrys z ogonkiem z jednej strony.

– Dodatkowo mamy tutaj tę wypukłość w kształcie rombu i dwa otwory, widzi pani? – Pokazał mi. – Mogą służyć do mocowania uchwytów do wspinania się po drzewach. – Wręczył mi zdjęcia. – Wyglądają bardzo znajomo.

Podszedł do szafki i otworzył ją, ujawniając stojące na półkach rzędy wojskowych butów. Podnosił jedną parę po drugiej i obracał do góry, by

spojrzeć na podeszwy. Potem poszedł do drugiej szafy, otworzył ją i zaczął ten sam przegląd od początku. Posuwając się w głąb rzędów, wyjął but z cholewką z zielonego płótna, z brązowymi skórzanymi wzmocnieniami i dwoma takimiż paskami ze sprzączkami. Odwrócił go.

– Mogę jeszcze raz obejrzeć tę fotografię?

Przysunęłam zdjęcie bliżej buta. Podeszwa była z czarnej gumy, pokryta różnorodnością wzorów. Znajdowały się w niej otwory na gwoździe, szwy mocujące ją do wierzchu buta, falisty bieżnik i granulowany deseń. Na podbiciu rysowała się wypukłość w kształcie wielkiego rombu z otworami do mocowania uchwytów, tak wyraźnych na zdjęciach. Obcas ozdobił wieniec ze wstążką, która zdawała się pasować do ledwo widocznego ogonka odcisniętego na śniegu oraz na skroni Davili, tam gdzie – wedle mojego przekonania – kopnął go Gault.

– Co mi pan może powiedzieć o tym bucie? – spytałam.

Obracał go na wszystkie strony i oglądał.

– Pochodzi z czasów drugiej wojny światowej. Był testowany właśnie tutaj, w Forcie Lee, gdzie opracowano i poddawano próbom wiele wzorów podeszew.

– Druga wojna była dawno temu – oświadczyłam. – Skąd ktoś mógłby teraz wziąć takie obuwie? Czy w ogóle ktokolwiek mógłby je nosić?

– Och, z pewnością. Te rzeczy zawsze są do dostania. Można je kupić w sklepach z nadwyżkami wojskowymi. Albo znajdowały się w czyjejś rodzinie.

Odstawił but do wypchanej szafy, gdzie – jak podejrzewałam – znowu będzie leżał w zapomnieniu przez bardzo długi czas. Kiedy opuściliśmy budynek, stanęłam na miękkim od śniegu chodniku. Spojrzałam w ciemno szare niebo i na leniwy ruch na ulicach. Mimo że był jeszcze dzień, ludzie

włączali reflektory samochodów. Wiedziałam już, jakie buty nosił Gault, ale nie byłam pewna, czy ma to znaczenie.

– Mogę pani postawić kawę, moja droga? – spytał Gruber, ślizgając się nieco; chwyciłam go za ramię.

– O, rany – powiedział. – Będzie padać. Zapowiadają pięć cali śniegu.

– Muszę wracać do kostnicy – rzekłam, wsuwając sobie jego ramię pod moje. – Nie wiem, jak panu dziękować.

Poklepał mnie po ręku.

– Opiszę tego mężczyznę, żeby spytać, czy może widział go pan tutaj kiedyś?

Słuchał, kiedy odmalowywałam wygląd Gaulta i rozliczne kolory jego włosów. Opisałam ostre rysy twarzy i oczy tak jasnoniebieskie, jak u alaskańskiego malamuta. Opowiedziałam o jego dziwnym stroju i o tym, iż wiadomo, że lubi wojskowe ubiory lub przypominające je wzory, jak owe buty czy długi, czarny, skórzany płaszcz, w którym widziano go w Nowym Jorku.

– No cóż, jak sama pani widziała, mamy takie buty – oświadczył, kiedy doszliśmy do tylnych drzwi muzeum. – I obawiam się, że nie rzucał się tutaj w oczy.

Śnieg przykrył dach ruchomego domu Eisenhowera. Włosy i dłonie miałam mokre, a stopy mi zmarzły.

– Czy byłoby możliwe sprawdzenie pewnego nazwiska? – spytałam. – Chciałabym wiedzieć, czy Peyton Gault służył kiedykolwiek w oddziałach kwatermistrzowskich.

Doktor Gruber zawahał się.

– Myśli pani, że był w wojsku?

– Niczego z góry nie zakładam. Ale podejrzewam, że jest w tym wieku, iż mógł służyć podczas drugiej wojny światowej. Jedyne, co mogę dodać,

to to, że mieszkał w Albany, w Georgii, na plantacji pekanów.

– Rejestry nie są dostępne, jeśli nie jest się krewnym poszukiwanego albo nie ma się sądowego nakazu. Powinna pani zwrócić się z tym do St. Louis, ale – przykro mi to powiedzieć – rejestry od A do J uległy zniszczeniu we wczesnych latach osiemdziesiątych podczas pożaru.

– Wielkie nieba.

Ponownie się zawahał.

– Mamy własną komputerową listę weteranów wojennych tutaj w muzeum.

Pojawił się cień nadziei.

– Człowiek, który chce wydobyć swoje dane, może to uczynić za dwudziestodolarową opłatą – ciągnął doktor Gruber.

– A co, jeśli się chce zdobyć dane kogoś innego?

– Tego nie da się zrobić.

– Doktorze Gruber – odsunęłam na bok mokre włosy – proszę. Mówimy o człowieku, który w bestialski sposób zamordował co najmniej dziewięcioro ludzi. Jeżeli nie zdołamy go powstrzymać, może zabić wiele więcej.

Spojrzał w górę na sypiący śnieg.

– Dlaczego prowadzimy tę rozmowę tutaj, moja droga? – spytał. – Oboje złapiemy zapalenie płuc. Jak sądzę, Peyton Gault jest ojcem owej osoby.

Pocałowałam go w policzek.

– Ma pan numer mojego pagera – rzekłam, idąc w stronę swego samochodu.

Kiedy lawirowałam w burzy śnieżnej, radio gadało bez przerwy o morderstwach w kostnicy, a gdy dotarłam do biura, ujrzałam samochody telewizji i rozgłośni radiowych, otaczające budynek. Zaczęłam się zastanawiać, jak dostać się do środka.

– Do diabła z nimi – wymruczałam pod nosem, skręcając na parking.

Natychmiast, jak tylko wysiadłam z mercedesa, rzuciła się do mnie grupa reporterów. Aparaty błyskały lampami, kiedy szłam pomiędzy nimi stanowczym krokiem, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt przed sobą. Zewsząd wystawały mikrofony. Ludzie wykrzykiwali moje nazwisko, a ja śpieszyłam w stronę otwartych tylnych drzwi i z trzaśnięciem zamknęłam je za sobą. Byłam sama w pustym, cichym wewnętrznym podjeździe i stwierdziłam, że wszyscy pracownicy pojechali do domu, prawdopodobnie z powodu pogarszającej się pogody.

Tak jak przypuszczałam, drzwi do pomieszczeń sekcyjnych były zamknięte i kiedy pojechałam windą na górę, zastałam puste gabinety swoich zastępców i przekonałam się, że recepcjonistki oraz urzędnicy odeszli. Byłam kompletnie sama na pierwszym piętrze i zaczęłam się bać. Gdy weszłam do swego gabinetu i ujrzałam na ekranie komputera ociekający krwią napis KAIN, poczułam się jeszcze gorzej.

– Dobra – powiedziałam do siebie. – Nikogo tutaj nie ma. Nie ma powodu do obaw.

Usiadłam za biurkiem, kładąc swoją trzydziestkęósemkę w zasięgu ręki.

– To, co się stało wcześniej, jest przeszłością – ciągnęłam. – Musisz panować nad sobą. Jesteś psychicznie rozbita.

Wzięłam kolejny głęboki oddech.

Nie mogłam uwierzyć, że mówię do siebie. To także nie leżało w mojej naturze i martwiłam się tym podczas dyktowania porannych wyników sekcji. Serca, wątroby i płuca zamordowanych policjantów były w porządku. Arterie w normie. Kości, mózgi i budowa ciała – normalne.

– W granicach normy – powiedziałam do magnetofonu. – W granicach normy.

Mówiłam to bez końca.



To tylko to, co im uczyniono, nie było normalne, ponieważ Gault nie był normalny. Nie znał ograniczeń.

Kwadrans przed piątą zatelefonowałam do biura American Express i miałam szczęście, że Brent nie wyszedł dzisiejszego dnia wcześniej z pracy.

– Powinieneś pojechać wkrótce do domu. Drogi stają się coraz gorsze.

– Mam range rovera.

– Ludzie w Richmond nie umieją jeździć w śniegu – ostrzegłam go.

– W czym mogę pani pomóc, doktor Scarpetta? – spytał Brent, który był młody, całkiem zdolny i pomógł mi już wielokrotnie.

– Chciałabym, żeby pan zbadał moje rachunki z karty American Express – oznajmiłam. – Może pan to zrobić?

Zawahał się.

– Chcę być informowana o każdym wydatku. Kiedy przychodzą do was, a nie wówczas, gdy ja dostaję ich wykaz.

– Ma pani jakiś problem?

– Tak – potwierdziłam – ale nie mogę go z panem omawiać. Spodziewam się po panu tylko tego, o co już prosiłam.

– Proszę się nie rozłączać.

Słyszałam stukające klawisze.

– Okay, mam numer pani konta. Jak pani wie, ważność karty wygasa w lutym.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała jej wcześniej unieważnić.

– Od października jest zaledwie kilka wydatków. Prawie nic.

– Interesują mnie ostatnie.

– Jest ich pięć, pomiędzy dwunastym a dwudziestym pierwszym. W Nowym Jorku, w miejscu o nazwie Scaletta. Chce pani poznać kwoty?

– Ile średnio?

– Hm, średnio, zobaczymy. Jakieś osiemdziesiąt dolców naraz. Co to jest, restauracja?

– Proszę dalej.

– Ostatni – ciągnął. – Ostatni jest z Richmond.

– Kiedy? – Puls mi podskoczył.

– Dwa w piątek, dwudziestego drugiego.

Na dwa dni przed tym, jak wraz z Marino dostarczaliśmy koce biednym, a szeryf Santa zastrzelił Anthony’ego Jonesa. Byłam zaszokowana faktem, że Gault mógł być wówczas w mieście.

– Proszę mi coś powiedzieć o tych wydatkach w Richmond – poprosiłam Brenta.

– Dwieście czterdzieści trzy dolary w galerii w Shockhoe Slip.

– W galerii? – zdziwiłam się. – Ma pan na myśli galerię sztuki?

Shockhoe Slip znajdowała się tuż za rogiem. Nie mogłam uwierzyć, że Gault był aż tak bezczelny, by skorzystać tam z mojej karty. Większość sprzedawców mnie znała.

– Tak, galeria sztuki. – Podał mi nazwisko właściciela i adres.

– Może mi pan powiedzieć, co tam zostało kupione?

Nastąpiła kolejna przerwa.

– Doktor Scarpetta, jest pani absolutnie pewna, że to nie jest problem, w którym mógłbym pani pomóc?

– Właśnie mi pan pomaga. Bardzo mi pan pomaga.

– Zobaczymy. Nie, nie wiadomo, co zakupiono. Przykro mi.

Był bardziej rozczarowany niż ja.

– A inne wydatki?

– W USAir. Bilet lotniczy za pięćset czternaście dolarów. Z La Guardia do Richmond i z powrotem.

– Są daty?

– Tylko transakcji. Właściwe czasy odlotów i przylotów musieliby pani podać w biurze linii lotniczych. Jest tu numer biletu.

Poprosiłam go, by poinformował mnie natychmiast, gdyby w komputerze bankowym pojawiły się jakiegokolwiek kolejne wydatki. Spoglądając na zegar, pospiesznie przewertowałam książkę telefoniczną. Kiedy wybrałam numer galerii, telefon dzwonił tam bardzo długo, zanim się wreszcie poddałam.

Potem spróbowałam połączyć się z USAir i podałam im numer biletu, który otrzymałam od Brenta. Gault, używając mojej karty American Express, odleciał z La Guardia o siódmej rano w piątek, 22 grudnia. Wrócił o szóstej pięćdziesiąt tego samego wieczoru. Wprawilo mnie to w osłupienie. Był w Richmond calutki dzień. Co robił przez cały ten czas poza odwiedzeniem galerii sztuki?

– A niech to – zamruczałam, myśląc o przepisach prawnych Nowego Jorku.

Zastanawiałam się, czy Gault przyjechał tutaj kupić broń, po czym ponownie zatelefonowałam do linii lotniczych.

– Przepraszam – odezwałam się, przedstawiając się ponownie. – Czy to Rita?

– Tak.

– Rozmawialiśmy przed chwilą. Mówi doktor Scarpetta.

– Tak, madam. Co mogę dla pani zrobić?

– Chodzi o bilet, o którym mówiłam. Może mi pani powiedzieć, czy były też nadane jakieś bagaże?

– Proszę zaczekać. – Gwałtownie zastukały klawisze. – Tak, proszę pani. Podczas powrotnego lotu na La Guardia, został nadany jeden bagaż.

– Ale nic na trasie z Nowego Jorku?

– Nie. Żadnych bagaży podczas lotu z La Guardia do Richmond.

Gault spędził jakiś czas w więzieniu w tym mieście. Nie wiedziałam, kogo znał, ale byłam pewna, że jeśli chciał kupić w Richmond dziewięćmilimetrowy pistolet glocka, mógł to zrobić. Przestępcy z Nowego Jorku zwykle przejeżdżali tutaj po broń. Gault mógł włożyć pistolet do torby, którą nadał na samolot, i następnej nocy zastrzelić Jane.

To sugerowało działanie z premedytacją, czego do tej pory nie braliśmy pod uwagę. Wszyscy przypuszczaliśmy, że Jane była kimś, kogo Gault spotkał przypadkowo i postanowił zamordować – tak jak miało to miejsce w przypadku innych jego ofiar.

Zrobiłam sobie kubek gorącej herbaty i starałam się uspokoić. W Seattle był teraz środek popołudnia. Zdjęłam z półki informator Narodowej Akademii Medycznej Koronerów. Przerzuciłam go, znajdując nazwisko i numer telefonu naczelnego koronera w Seattle.

– Doktor Menendez? Scarpetta z Richmond – przedstawiłam się, kiedy usłyszałam go w słuchawce.

– Och – powiedział zaskoczony. – Jak się pani ma? Wesołych Świąt.

– Dziękuję. Przepraszam, że pana niepokoję, ale potrzebuję pańskiej pomocy.

Zawahał się.

– Wszystko w porządku? Słyszę, że jest pani zdenerwowana.

– Znajduję się w trudnej sytuacji. Chodzi o seryjnego zabójcę, który się nam wymyka. – Wzięłam głęboki oddech. – Jedną z jego ofiar jest młoda, nie zidentyfikowana kobieta z dużą liczbą złotych plomb.

– To nadzwyczaj ciekawe – powiedział z namysłem. – Wie pani, tutaj nadal jest wielu dentystów, którzy to robią.

– Dlatego dzwonię. Muszę z kimś porozmawiać na ten temat. Może z prezesem tego ich stowarzyszenia.

– Pozwoli pani, że odbędę kilka rozmów telefonicznych?

– Chciałabym, by sprawdził pan, czy jakimś cudem ich grupa nie znajduje się w Internecie. Wygląda na to, że to małe i dosyć niezwykle kółko. Być może jest z nimi łączność za pomocą poczty elektronicznej lub biuletynu. Coś jak „Prodigy”. Kto wie. Ale sposób na skontaktowanie się z nimi muszę poznać natychmiast.

– Od razu oddeleguję do tego kilku moich pracowników – zapewnił. – Jak najłatwiej panią złapać?

Podaliśmy mu swoje numery telefoniczne i rozłączyłam się. Pomyślałam o Gaulcie i zaginionej granatowej furgonetce. Zastanawiałam się, skąd wziął worek, w który zapakował ciało szeryfa Browna, i w końcu sobie przypomniałam. W każdym samochodzie zawsze mieliśmy jeden zapasowy. Więc najpierw przyszedł tu i ukradł furgonetkę. Potem pojechał do domu Browna. Ponownie przekartkowałam książkę telefoniczną, by sprawdzić, czy dom szeryfa jest w spisie. Nie było.

Podniosłam słuchawkę i połączyłam się z informacją. Poprosiłam o numer telefonu Lamonta Browna. Operator podał mi i wybrałam go, by sprawdzić, co się stanie.

– Nie mogę podejść do telefonu, ponieważ jeżdżąc saneczkami dostarczam prezenty... – Głos martwego szeryfa brzmiał z jego automatycznej sekretarki głośno i zdrowo. – Ho! Ho! Ho! Weeesołych Świąaaaat!

Wystraszona, ściskając w dłoni rewolwer, wstałam, by iść do toalety. Chodziłam po swoim urzędzie uzbrojona, gdyż Gault zbezczeszczył miejsce, w którym zawsze czułam się bezpieczna. Zatrzymałam się w korytarzu, przyjrzałam mu się dokładnie. Szare podłogi były wywoskowane, a ściany miały biel skorupki jajka. Nadśluchiwałam choćby najlżejszego dźwięku. Już raz się tu dostał. Mógł to znowu zrobić.

Strach chwycił mnie tak mocno, że trzęsły mi się ręce, kiedy myłam je w umywalni. Pociłam się i ciężko oddychałam. Podeszłam szybko na drugi koniec korytarza i wyjrzałam przez okno. Widziałam swój samochód przysypany śniegiem i tylko jedną furgonetkę. Drugiej w dalszym ciągu brakowało. Wróciłam do gabinetu, by kontynuować dyktowanie. Gdzieś zadzwonił telefon, wzdrygnęłam się, słysząc ten dźwięk. Skrzypienie krzesła spowodowało, że podskoczyłam. Kiedy usłyszałam, jak otwierają się drzwi windy po drugiej stronie korytarza, sięgnęłam po rewolwer i siedziałam bardzo cicho, obserwując drzwi z mocno bijącym sercem. Szybkie, pewne kroki stawały się coraz głośniejsze. Podniosłam broń, ściskając plastikowe okładziny kolby.

Weszła Lucy.

– Jezu! – wykrzyknęłam. – Lucy, mój Boże! – Zdjęłam palec ze spustu. Odłożyłam rewolwer na biurko.

– Co tutaj robisz? Dlaczego najpierw nie zadzwoniłaś? Jak się tu dostałaś?

Popatrzyła dziwnie na mnie i moją trzydziestkęósemkę.

– Jan mnie tutaj podwiozła, a ja mam klucz do tego budynku. Dałaś mi go dawno temu. Telefonowałam, ale cię nie było.

– O której dzwoniłaś? – spytałam z roztargnieniem.

– Parę godzin temu. Omal mnie nie zastrzełaś.

– Nie. – Staralam się odetchnąć głębiej. – Nie było aż tak źle.

– Nie trzymałaś palca na osłonie spustu, gdzie powinien spoczywać. Był na cynglu. Cieszę się, że nie nosisz teraz swojego browninga. Bardzo się cieszę, że nie miałaś żadnej automatycznej broni.

– Przestań, proszę – powiedziałam cicho, czując ból w klatce piersiowej.

– Spadło ponad dwa cale śniegu, ciociu Kay.

Lucy stała w drzwiach, wahając się. Była ubrana w sposób typowy dla siebie – wojskowe spodnie, wysokie buty i narciarska kurtka.

Żelazna dłoń ścisnęła mi serce, z trudnością oddychałam. Siedziałam bez ruchu, patrząc na siostrzenicę.

– Jan czeka na parkingu – odezwała się Lucy.

– Tam jest prasa.

– Nie zauważyłam żadnych dziennikarzy. Ale stoimy na płatnym parkingu po drugiej stronie ulicy.

– Jest tam kilku prostaków – powiedziałam. – Tam była także strzelanina. Jakieś cztery miesiące temu.

Lucy obserwowała moją twarz. Patrzyła mi na dłonie, kiedy chowałam rewolwer do torebki.

– Trzęsą ci się ręce – stwierdziła zatrwożona. – Ciociu Kay, jesteś biała jak prześcieradło.

Podeszła bliżej do biurka.

– Zabieram cię do domu.

Ból przebijał mi klatkę piersiową i odruchowo przycisnęłam tam dłoń.

– Nie mogę... – Ledwo mówiłam.

Ból był tak ostry, że nie mogłam złapać oddechu. Lucy starała się pomóc mi wstać, ale byłam zbyt słaba. Ręce mi drętwiały, palce zakrzywiły się; siedząc na krześle, opadłam do przodu; zamknęłam oczy i zlałam się zimnym potem. Oddychałam szybko i płytko.

Wpadła w panikę.

Niejasno zdawałam sobie sprawę, że krzyczy do telefonu. Chciałam powiedzieć, że czuję się dobrze, że potrzebna mi papierowa torebka, ale nie mogłam mówić. Wiedziałam, co się dzieje, ale nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Potem wycierała mi twarz zimnym, mokrym ręcznikiem. Masowała mi ramiona uspokajając mnie. Patrzyłam w dół na swoje ręce,

zaciśnięte na łonie niczym szpony. Wiedziałam, co się stanie, ale byłam zbyt wyczerpana, by z tym walczyć.

– Zadzwoń do doktor Zenner – zdołałam powiedzieć, kiedy ból ponownie dźgnął mnie w pierś. – Powiedz jej, żeby tu przyjechała.

– Gdzie ona jest? – Lucy, przerażona, znowu zmoczyła mi twarz ręcznikiem.

– AMW.

– Wszystko będzie dobrze – dodawała mi otuchy.

Nie odpowiedziałam.

– Nie martw się.

Nie mogłam rozprostować rąk i było mi tak zimno, że zaczęłam się trząść.

– Kocham cię, ciociu Kay! – krzyknęła Lucy.



Akademia Medyczna Stanu Wirginia uratowała w zeszłym roku życie mojej siostrzenicy, gdyż żaden inny szpital w okolicy nie był bardziej biegły w prowadzeniu ciężko rannych osób. Została tu przywieziona drogą lotniczą po wypadku w moim samochodzie i byłam przekonana, że uszkodzenia jej mózgu mogłyby okazać się trwałe, gdyby nie biegłość lekarzy oddziału urazowego. W pomieszczeniach pogotowia bywałam wiele razy, ale przed tą nocą nigdy jako pacjentka.

O dziewiątej trzydzieści leżałam spokojnie w małej separacie na czwartym piętrze szpitala. Marino i Janet byli za zewnątrz, a Lucy u mego boku, trzymając mnie za rękę.

– Czy jest coś nowego w związku z KAIN-em? – spytałam.

– O niczym teraz nie myśl – poleciła. – Musisz odpoczywać i nie denerwować się.

– Dali mi już coś na uspokojenie. Jestem spokojna.

– Jesteś wrakiem – oświadczyła.

– Nieprawda.

– Miałaś stan przedzawałowy.

– Miałam skurcze mięśni i gwałtowny oddech – odparłam. – Wiem dokładnie, co mi było. Widziałam elektrokardiogram.

– Dobra, w każdym razie nie zamierzają cię stąd wypuścić, dopóki się nie upewnią, że nie będzie więcej żadnych skurczów. Nie możesz lekceważyć tego bólu w piersiach.

– Serce mam w porządku. Wypuszczą mnie, kiedy im każę.

– Jesteś niezdyscyplinowana.

– Większość lekarzy jest taka – wyjaśniłam.

Lucy wbiła wzrok w ścianę. Odkąd weszła do pokoju, była zła. Nie wiedziałam dlaczego.

– O czym myślisz? – spytałam.

– Założyli stanowisko dowodzenia – powiedziała. – Mówili o tym w hallu.

– Stanowisko dowodzenia?

– W kwaterze głównej policji – odparła. – Marino telefonował ciągle z automatu, rozmawiając z panem Wesleyem.

– Gdzie on jest? – spytałam.

– Pan Wesley czy Marino?

– Benton.

– Jedzie tutaj.

– Wie, że jestem w szpitalu.

Lucy popatrzyła na mnie. Nie była głupia.

– Jest w drodze – powiedziała, kiedy do separatki weszła wysoka kobieta o krótkich, siwych włosach i przenikliwych oczach.

– Moja droga. – Doktor Anna Zenner pochyliła się, by mnie uściskać. – Więc teraz muszę odbywać wizyty domowe?

– To nie jest wizyta domowa – odrzekłam. – Leżę w szpitalu. Pamiętasz Lucy?

– Oczywiście. – Doktor Zenner uśmiechnęła się do mojej siostrzenicy.

– Poczekam na zewnątrz – rzekła Lucy.

– Zapomniałaś, że nie przyjeżdżam do centrum, jeśli nie muszę – ciągnęła Anna. – Szczególnie gdy pada śnieg.

– Dziękuję ci, Anno. Wiem, że nie zjawiasz się na wezwania telefoniczne, szpitalne czy jakiegokolwiek inne – powiedziałam szczerze, kiedy drzwi się zamknęły. – Czuję się taka szczęśliwa, że jesteś tutaj.

Doktor Zenner usiadła na moim łóżku. Natychmiast poczułam bijącą z niej energię, gdyż bezwiednie wypełniała pomieszczenie swoją osobowością. Była w nadzwyczajnie dobrej kondycji jak na kogoś po siedemdziesiątce oraz jednym z najlepszych ludzi, jakich znałam.

– I cóż to sobie zrobiliśmy? – spytała z silnym niemieckim akcentem, który z upływem czasu wcale nie zanikł.

– Obawiam się, że w końcu mnie dostały – odparłam. – Ofiary.

Skinęła głową.

– Tylko o tym słyszę. Za każdym razem, kiedy wezmę do ręki gazetę czy włączę telewizor.

– Dziś w nocy omal nie zastrzeliłam Lucy. – Spojrzałam jej w oczy.

– Opowiesz mi, co się stało?

Opowiedziałam.

– Ale nie wystrzeliłaś?

– Byłam tego bliska.

– Nie padły strzały?

– Nie – odrzekłam.

– Więc nie byłaś tego aż tak bliska.

– To byłby koniec mego życia. – Zamknęłam oczy, bo wypełniły się łzami.

– Kay, gdyby korytarzem szedł ktoś, kogo miałaś powód się obawiać, to byłby także koniec twego życia. Wiesz, o co mi chodzi? Zareagowałaś najlepiej, jak mogłaś.

Odetchnęłam głęboko, z drżeniem.

– A wynik nie jest taki zły. Lucy czuje się dobrze. Dopiero co ją widziałam – jest zdrowa i piękna.

Płakałam tak, jak nie robiłam tego już od bardzo dawna, zasłaniając twarz dłońmi. Doktor Zenner masowała mi plecy i wyciągała chusteczki z

pudełka, ale nie starała się wyprowadzać mnie z depresji. Pozwalała, bym wypłakała się w milczeniu.

– Tak się wstydzę – powiedziałam w końcu pomiędzy szlochnięciami.

– Nie wolno ci się wstydzic – odrzekła. – Czasami trzeba to z siebie wyrzucić. Nie robisz tego wystarczająco często i wiem, co czujesz.

– Moja matka jest bardzo chora, a ja nie pojechałam do Miami, by się z nią zobaczyć. Ani razu. – Nie potrafiłam się uspokoić. – Jestem kimś obcym w swoim urzędzie. Nie mogę mieszkać we własnym domu – czy gdziekolwiek indziej – bez ochrony.

– Zauważyłam na zewnątrz mnóstwo policjantów – potwierdziła.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na nią.

– On traci poczucie rzeczywistości – oświadczyłam.

Nasz wzrok spotkał się.

– I to dobrze. Im bardziej jest śmiały, tym bardziej ryzykuje. To jest to, co w końcu zrobił Bundy.

Doktor Zenner ofiarowywała mi to, co najlepsze. Słuchała.

– Im bardziej jego umysł się rozpręga – ciągnęłam – tym większe staje się prawdopodobieństwo, że popełni błąd i schwytamy go.

– Także przypuszczam, że w tej chwili jest na krawędzi – powiedziała Anna. – Nie ma żadnych hamulców. Zabił nawet Świętego Mikołaja.

– Zastrzelił szeryfa, który co roku odgrywał Świętego Mikołaja. Poza tym, ten szeryf był wplątany w handel narkotykami. Być może stanowiły one łączące ich ogniwo.

– Mów o sobie.

Utkwiłam wzrok w ścianie i po raz kolejny głęboko odetchnęłam. Wreszcie nieco się uspokoiłam. Przy Annie nie czułam potrzeby bycia u władzy. Jest psychiatrą. Poznałam ją, kiedy przeprowadziłam się do

Richmond, pomagała mi przebrnąć przez rozstanie się z Markiem, a potem przez jego śmierć. Miała serce i dłonie muzyka.

– Podobnie jak on mam nerwy w strzępach – zwierzyłam się sfrustrowana.

– Muszę wiedzieć więcej.

– To dlatego tutaj jestem. – Spojrzałam na nią. – Dlatego jestem w tym stroju, w tym łóżku. To dlatego omal nie zastrzeliłam swojej siostrzenicy. Dlatego za drzwiami są ludzie, którzy się o mnie martwią. Inni jeżdżą po ulicach, obserwując mój dom i troszczą się o moje bezpieczeństwo. Wszyscy się o mnie niepokoją.

– Czasami trzeba wezwać odwody.

– Nie chcę – powiedziałam niecierpliwie. – Pragnę, by mnie zostawiono w spokoju.

– Ha. Osobiście uważam, że potrzebujesz całej armii. Nikt nie może walczyć z tym człowiekiem samotnie.

– Jesteś przecież psychiatrą. Dlaczego za pomocą analizy nie rozłożysz go na czynniki pierwsze?

– Nie leczę zaburzeń osobowości – odparła. – Oczywiście jest socjopata. Podeszła do okna, rozsunęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz.

– Nadal pada. Uwierzysz w to? Może zostanę z tobą tutaj na noc. Przez lata miewałam pacjentów, którzy byli niemal nie z tego świata, i bardzo się starałam, by szybko się od nich uwolnić.

Tak jest z przestępcami, którzy stają się bohaterami legend. Chodzą do dentystów, psychiatrów, stylistów. Nie możemy im pomóc, ale spotykamy ich, tak jak spotykamy innych ludzi. Kiedyś, jeszcze w Niemczech, przez rok leczyłam pewnego mężczyznę, dopóki się nie okazało, że utopił w wannie trzy kobiety.

To jest właśnie to. Poił je winem i mył podczas w kąpeli. Kiedy docierał do ich stóp, nagle chwycił za kostki i pociągał. Z tych wielkich wanien nie możesz się sama wydostać, jeśli ktoś ci trzyma nogi w powietrzu. – Przerwała. – Nie jestem psychiatrą sądowym.

– Wiem o tym.

– Mogłam być – ciągnęła doktor Zenner. – Wiele razy to rozważałam. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Więc powiem ci, z jakiego powodu unikałam tej specjalności. Już zajmowanie się ofiarami jest wystarczająco złe dla takich ludzi jak ty, ale sędzę, że przesiadywanie w jednym pokoju z takimi Gaultami zatrułoby mi duszę. – Przerwała znowu. – Muszę ci się z czegoś okropnego zwierzyć.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Nie mam, cholera, pojęcia, dlaczego oni to robią – powiedziała z błyszczącymi oczyma. – Uważam, że powinni wisieć.

– Nie zamierzam się z tobą sprzeczać.

– Ale to nie znaczy, że nie mam pewnego przeczucia, jeśli chodzi o niego. Można to w końcu nazwać kobiecą intuicją.

– Masz na myśli Gaulta?

– Tak. Znasz mego kota, Chestera?

– O, tak. To najgrubszy kot, jakiego w życiu widziałam.

Nie uśmiechnęła się.

– Wychodzi i łapie mysz. Bawi się nią. Zachowuje się naprawdę sadystycznie. W końcu ją zabija. I co robi? Przynosi ją do domu. Wnosi na górę do mojego łóżka i zostawia mi na poduszce. To prezent dla mnie.

– Co sugerujesz, Anno?

– Uważam, że ten mężczyzna jest w jakiś dziwaczny, mocny sposób z tobą związany. Jakbyś była jego matką, a on przynosił ci to, co upolował.

– To absurd – odrzekłam.

– Podnieca go, że przyciąga twoją uwagę. Pragnie wyrzeć na tobie wrażenie. Kiedy kogoś zabija, robi to dla ciebie. A wie, że będziesz badać ofiary bardzo dokładnie, starając się przewidzieć każdy jego krok – tak jak matka ogląda rysunek swego synka, który malec przynosi ze szkoły. Widzisz, ta diabelska robota to jego malunek.

Pomyślałam o zakupie, jakiego dokonał w galerii w Shockhoe Slip. Zastanawiałam się, jakie dzieło sztuki kupił Gault.

– Wie, że analizujesz jego zachowanie i bez przerwy o nim myślisz, Kay.

– Anno, sugerujesz, że te zabójstwa mogą być popełnione z mojego powodu.

– Bzdura. Jeżeli zaczniesz w to wierzyć, zacznę widywać cię w swoim gabinecie. Regularnie.

– W jak wielkim jestem niebezpieczeństwie?

– Nie mogę się pochopnie wypowiadać. – Przerwała, by się zastanowić.

– Wiem, co muszą mówić inni. To dlatego jest tam tyle policji.

– A jakie jest twoje zdanie?

– Osobiście nie sądzę, żeby groziło ci wielkie fizyczne niebezpieczeństwo. Nie w tej chwili. Myślę jednak, że narażani są ludzie z twojego bezpośredniego otoczenia. Widzisz, on sprawia, że jego rzeczywistość staje się twoją.

– Wyjaśnij to, proszę.

– On nikogo nie ma. Chciałby, żebyś i ty nie miała.

– Nie ma nikogo z powodu tego, co robi – oświadczyłam ze złością.

– Mogę jedynie powiedzieć, że za każdym razem, kiedy zabija, staje się bardziej osamotniony. A w tych dniach także i ty taka jesteś. Jest w tym pewna relacja. Widzisz ją?

Przysunęła się do mnie i położyła mi rękę na czole.

- Nie masz gorączki – stwierdziła.
- Szeryf Brown nienawidził mnie.
- No widzisz, kolejny prezent. Gault uznał, że będziesz zadowolona.

Zabił mysz i przytargał ją do twojej kostnicy.

Zemdliło mnie.

Wyjęła z kieszeni stetoskop. Podniosła mi koszulę, osłuchiwała serce i płuca. Minę miała poważną.

- Odetchnij głębiej. – Przesunęła stetoskop na plecy. – Jeszcze raz.

Zmierzyła mi ciśnienie krwi i obmacała kark. Była rzadko spotykanym, staroświeckim lekarzem. Anna Zenner leczyła całego człowieka, nie tylko jego umysł.

- Masz niskie ciśnienie – powiedziała.

– To nowina.

– Co ci tutaj podali?

– Avitan.

Zdjęciu opaski z mego ramienia towarzyszył nieprzyjemny dźwięk.

– To dobrze. Avitan nie daje żadnych poważniejszych efektów ubocznych, jeśli chodzi o układ oddechowy czy krwionośny. Dla ciebie jest odpowiedni. Mogę ci wypisać receptę.

– Nie – odrzekłam.

– W tej chwili środek likwidujący napięcie to dobry pomysł.

– Anno – powiedziałam – nie lekarstw mi trzeba.

Poklepała mnie po ręce.

– Nie znajdujesz się w stanie rozstroju nerwowego.

Wstała i włożyła płaszcz.

– Anno – odezwałam się. – Chcę cię prosić o przysługę. Chodzi mi o twój dom w Hilton Head.

Uśmiechnęła się.



– Nadal jest najlepszym lekiem antystresowym, jaki znam. He razy ci to mówiłam?

– Chyba tym razem posłucham – odparłam. – Być może będę musiała zamieszkać gdzieś w pobliżu i nie chciałabym, żeby ktoś mnie niepokoił.

Doktor Zenner wyjęła z torebki klucze i zdjęła jeden z kółka. Potem napisała coś szybko na recepcie i wraz z kluczem położyła na stoliku obok.

– Nie musisz tam nic robić, ale zostawiam ci klucz i instrukcje. Nawet jeśli poczujesz chęć wyjazdu w środku nocy, nie musisz mnie o tym zawiadamiać.

– To bardzo miło z twojej strony – podziękowałam. – Wątpię, czy będę potrzebowała go na długo.

– Powinnaś tam pomieszkać. To jest nad oceanem, w Palmetto Dunes; mały, skromny dom w pobliżu Hyatt. Nie będę z niego korzystać w najbliższym czasie i nie sądzę, by ktokolwiek cię tam niepokoił. Prawdę mówiąc, możesz być po prostu doktor Zenner – zachichotała. – Nikt mnie tam nie zna.

– Doktor Zenner. – Zadumałam się. – Więc teraz jestem Niemką.

– Och, ty zawsze jesteś Niemką. – Otworzyła drzwi. – Nie obchodzi mnie to, co ci powiedziano.

Wyszła, a ja usiadłam podenerwowana i zatrwożona. Byłam w toalecie, kiedy usłyszałam, że otwierają się drzwi do separatki. Weszłam, spodziewając się ujrzeć Lucy. Zamiast niej w pokoju znajdował się Paul Tucker. Byłam tak zaskoczona, że nawet nie czułam skrępowania, mimo że stałam boso w koszuli, która prawie niczego nie zasłaniała.

Odwrócił spojrzenie, kiedy wracałam do łóżka i naciągnęłam na siebie przykrycie.

– Przepraszam, kapitan Marino powiedział, że mogę wejść – odezwał się szef policji w Richmond.

Bez względu na to, co twierdził, nie wyglądało wcale, żeby mu było szczególnie przykro.

– Powinien mi najpierw powiedzieć – oświadczyłam, patrząc mu prosto w oczy.

– No cóż, wszyscy znamy maniery kapitana Marino. Można? – Skinął głową w stronę krzesła.

– Proszę. Najwyraźniej jestem zakładniczką publiczności.

– Jest pani, ponieważ połowa mego departamentu policji ma teraz na panią oko.

Obserwowałam go uważnie.

– Doskonale wiem, co się stało dziś rano w kostnicy. – W jego oczach błysnął gniew. – Znajduje się pani w śmiertelnym niebezpieczeństwie, doktor Scarpetta. Jestem tutaj, by pani uzmysłwić zagrożenie. Proszę potraktować to poważnie.

– A na jakiej podstawie uważa pan, że nie traktuję tego poważnie? – spytałam z oburzeniem.

– No więc dobrze. Nie powinna była pani wracać do swojego biura po południu. Dopiero co zostało zamordowanych dwóch policjantów z wydziału kryminalnego – jeden z nich, kiedy znajdowała się pani w budynku.

– Nie miałam innego wyboru, pułkownik Tucker. Jak pan sądzi, kto dokonał ich sekcji?

Milczał. Potem zapytał:

– Uważa pani, że Gault opuścił miasto?

– Nie.

– Skąd pani wie?

– Nie wiem, ale nie sądzę, żeby wyjechał.

– Jak się pani czuje?

Powiedziałabym, że zarzucał przynętę, ale nie mogłam sobie wyobrazić, o co mu chodziło.

– Czuję się dobrze. Prawdę mówiąc, jak tylko pan wyjdzie, mam zamiar ubrać się i opuścić szpital – odrzekłam.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie uczynił tego. Przez chwilę patrzyłam na niego. Był ubrany w granatową bluzę od dresu Akademii FBI i sportowe buty za kostkę. Zastanawiałam się, czy trenował w sali gimnastycznej, kiedy ktoś go powiadomił o moim wypadku? Nagle uderzyło mnie, że jesteśmy sąsiadami. Wraz z żoną mieszkali w Windsor Farms, tylko kilka przecznic ode mnie.

– Marino powiedział mi, żebym się wyprowadziła z domu – powiedziałam tonem niemal oskarżycielskim. – Wie pan o tym?

– Tak.

– Maczał pan w tym palce?

– Dlaczego pani uważa, że mam cokolwiek wspólnego z tym, co sugeruje pani Marino? – spytał łagodnie.

– Pan i ja jesteśmy sąsiadami. Prawdopodobnie codziennie przejeżdża pan obok mojego domu.

– Nie przejeżdżam, ale wiem, gdzie pani mieszka, Kay.

– Proszę nie mówić mi Kay.

– Gdybym był biały, to pozwoliłaby mi pani tak siebie nazywać? – spytał ze spokojem.

– Nie, nie pozwoliłabym.

Nie wyglądał na obrażonego. Wiedział, że mu nie ufałam, że trochę się go obawiałam – a od teraz prawdopodobnie większości ludzi. Stałam się paranoiczką.

– Doktor Scarpetta. – Wstał. – Pani dom od tygodni znajduje się pod nadzorem. – Przerwał, spoglądając na mnie z góry.

– Dlaczego? – spytałam.

– Szeryf Brown.

– O czym pan mówi? – wyszło mi w ustach.

– Miał silne powiązania z handlarzami narkotyków, siatka rozciągała się od Nowego Jorku po Miami. Niektórzy z pani „pacjentów” również w tym tkwili. Z tego, co wiemy do tej pory, co najmniej ośmioro.

– Morderstwa dokonano pod wpływem narkotyków.

Skinął głową, patrząc w okno.

– Brown nienawidził pani.

– To było widać, ale nie znam powodu.

– Powiedzmy po prostu, że zbyt dobrze wykonywała pani swoją robotę. Z pani przyczyny kilku jego kamratów zostało zamkniętych na długie lata.

– Znowu urwał. – Obawialiśmy się, że zamierza się panią zająć.

Spojrzałam na niego jak ogłuszona.

– Co?

– Wynajął płatnych morderców.

– Kilku?

– Brown oferował już pieniądze komuś, kogo traktowaliśmy bardzo poważnie – powiedział Tucker.

Sięgnęłam po szklanę z wodą.

– To było na początku miesiąca. Może trzy tygodnie temu. – Jego wzrok wędrował po pokoju.

– Kogo wynajął? – spytałam.

– Anthony’ego Jonesa. – Tucker spojrzał na mnie.

Moje zdumienie wzrosło, a dodatkowo zaszokowały mnie jego późniejsze słowa.

– Osobą, która miała zostać zastrzelona w Wigilię, nie był Anthony Jones, tylko pani.

Brakło mi słów.

– Cały ten plan, polegający na pójściu w Whitcomb Court do innego mieszkania, zorganizowany został w celu zwabienia tam pani. Ale kiedy szeryf wszedł do kuchni, a potem do tylnego ogródka, wdał się z Jonesem w sprzeczkę. Jej wynik pani zna.

Wstał.

– Teraz szeryf także nie żyje, i szczerze mówiąc, ma pani szczęście.

– Pułkownik Tucker – zaczęłam. Stał przy moim łóżku. – Wiedział pan o tym, zanim do tego doszło?

– Chce pani wiedzieć, czy jestem jasnowidzem? – Minę miał ponurą.

– Myślę, że pan rozumie, o co pytam.

– Mieliśmy panią na oku, ale aż do tego zdarzenia w Wigilię nie wiedzieliśmy, że miała pani zginąć. Oczywiście, byliśmy świadomi faktu, że nigdy wcześniej nie jeździła pani po tamtej okolicy, rozwożąc koce.

Wbił wzrok w podłogę, namyślając się, dopiero po chwili odezwał się ponownie.

– Jest pani pewna, że chce się stąd wypisać?

– Tak.

– Gdzie pani zamierza spędzić dzisiejszą noc?

– W domu.

Potrząsnął głową.

– Nie ma mowy. Nie polecam także miejscowego hotelu.

– Marino zgodził się zostać ze mną.

– Och, założę się, że w takim razie będzie pani bezpieczna – powiedział kwaśno. – Proszę się ubrać, doktor Scarpetta. Mamy spotkanie.



Kiedy niewiele później wychyłam ze swojej separatki, zostałam powitana kilkoma spojrzeniami i słowami. Z Marino były Lucy i Janet, Paul Tucker, ubrany w kurtkę z gortexu, stał osobno.

– Doktor Scarpetta, pojedzie pani ze mną. – Skinął na Marino. – Pan za nami z młodymi damami.

Poszliśmy wyfroterowanym korytarzem w stronę wind i zjechaliśmy na parter. Wszędzie widziałam umundurowanych policjantów i kiedy szklane drzwi rozsunęły się, wypuszczając nas z izby przyjęć, trzech z nich zjawilo się, żeby nas eskortować do samochodów. Marino i szef zaparkowali na miejscach zarezerwowanych dla policji i kiedy ujrzałam prywatny samochód Tuckera, poczułam kolejny skurcz w piersiach. Jeździł czarnym porsche 911. Nie było to nowe auto, ale w doskonałym stanie.

Marino także je zobaczył. Otwierając swoją crown victoria milczał.

– Jechał pan 1-95 zeszłej nocy? – spytałam Tuckera, gdy tylko wsiedliśmy do samochodu.

Wyciągnął rękę i uruchomił silnik.

– Dlaczego pani o to pyta? – W jego głosie słyszałam jedynie ciekawość.

– Wracałam z Quantico do domu i jechał za nami samochód podobny do pańskiego.

– Kto to są „my”?

– Byłam z Marino.

– Rozumiem.

Skręcił w prawo z parkingu, ruszając w stronę kwatery głównej.

– A zatem była pani z Wielkim Smokiem.

– A zatem to był pan – stwierdziłam, kiedy wycieraczki odgarnęły śnieg z szyby.

Ulice były śliskie i kiedy Tucker zwalniał przed światłami na skrzyżowaniu, czułam jak samochód traci przyczepność.

– Widziałem poprzedniej nocy na zderzaku nalepkę z flagą Konfederacji. I wyraziłem swój brak akceptacji dla tego faktu.

– Ta półciężarówka należy do Marino.

– Nie obchodziło mnie, kto jest jej właścicielem.

Ponownie spojrzałam na niego. – Kapitan zareagował prawidłowo. – Roześmiał się.

– Czy zwykle zachowuje się pan tak agresywnie? – spytałam. – To prosta droga do tego, żeby zostać zastrzelonym.

– Zawsze warto spróbować.

– Nie polecam śledzenia i urągania prostytutce.

– Przynajmniej przyznaje pani, że to prostytutka.

– Ta uwaga miała charakter ogólny – powiedziałam.

– Jest pani inteligentną kobietą, doktor Scarpetta. Nie potrafię zrozumieć, co pani w nim widzi.

– Jest mnóstwo rzeczy, które można w nim zobaczyć, trzeba tylko chcieć.

– Jest rasistą, homofobem i szowinistą. Największym ignorantem, jakiego kiedykolwiek znałem i nie chciałbym mieć go na głowie.

– Nie ufa nikomu ani niczemu – oznajmiłam. – Jest cyniczny i na pewno ma swoje powody.

Tucker milczał.

– Nie zna go pan – dodałam.

– I nie chcę poznać. Pragnę tylko, by zniknął.

– Proszę nie robić nic takiego – rzekłam z naciskiem. – Popełniłby pan wielki błąd.

– To polityczny koszmar – ciągnął szef. – Nigdy nie powinien był dostać pierwszego komisariatu.

– To niech go pan przesunie do dochodzeniówki, do wydziału A. Tam gdzie naprawdę należy.

Tucker jechał ostrożnie. Nie chciał już rozmawiać o Marino.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziano, że ktoś chce mnie zabić? – spytałam i słowa te zabrzmiały dziwnie; naprawdę nie potrafiłam zaakceptować ich znaczenia. – Chcę wiedzieć, dlaczego nie powiedział mi pan, że jestem pod obserwacją?

– Zrobiłem to, co uznałem za najlepsze.

– Powinien był pan mnie powiadomić.

Kiedy wjeżdżał na tylny parking kwatery głównej policji w Richmond, spojrzął we wsteczne lusterko, by się upewnić, że Marino jest nadal za nami.

– Uznałem, że powiedzenie pani o tym wywołałoby tylko większe zagrożenie. Obawiałem się, że mogłaby pani stać się... – Przerwał. – No cóż, agresywna, niespokojna. Nie chciałem, żeby pani zachowanie zmieniło się w istotny sposób. Nie chciałem, żeby przeszła pani do ofensywy i, być może, spowodowała pogorszenie sytuacji.

– Nie sądzę, żeby miał pan prawo być tak tajemniczy – powiedziałam z naciskiem.

– Doktor Scarpetta. – Patrzył prosto przed siebie. – Naprawdę nie obchodziło mnie to, co pani sobie pomyśli. I nadal mnie nie obchodzi. Dbam wyłącznie o ochronę pani życia.

Przy wjeździe na policyjny parking stało na straży dwóch policjantów z odbezpieczonymi karabinami; ich czarne uniformy kontrastowały z bielą śniegu. Tucker zatrzymał się i opuścił okienko.

– Jak leci?



Sierżant był człowiekiem surowym, broń trzymał skierowaną w niebo.

– Panuje spokój, sir.

– Dobra, ale bądźcie czujni.

– Tak jest.

Tucker zamknął okno i pojechał dalej. Zaparkował po lewej stronie podwójnych szklanych drzwi prowadzących do hallu i zamykających olbrzymi betonowy kompleks, w którym dowodził. Na parkingu zauważyłam kilka policyjnych radiowozów i nieoznakowanych samochodów. Podejrzewałam, że w tę noc poślizgów było wiele wypadków, którymi należało się zająć, a wszyscy pozostali poszukiwali Gaulta. Ludzie z sił porządkowych inaczej go zaszeregowali. Był teraz zabójcą policjantów.

– Pan i szeryf Brown macie podobne samochody – zauważyłam, odpinając pas bezpieczeństwa.

– I na tym się kończy podobieństwo – powiedział Tucker wysiadając.

Jego biuro znajdowało w głębi ponurego korytarza, kilka pomieszczeń za wydziałem A, gdzie gnieździli się detektywi zajmujący się sprawami zabójstw. Gabinet szefa był zaskakująco skromny, a umeblowanie trwałe i praktyczne. Nie miał eleganckich lamp ani dywanów, a ściany – poza zdjęciami jego samego w towarzystwie polityków czy innych znakomitości – puste. Nie widziałam żadnych certyfikatów czy dyplomów, które mogłyby powiedzieć o tym, gdzie chodził do szkoły czy jakie otrzymał pochwały.

Tucker spojrzął na zegarek i wskazał nam przyległe małe pomieszczenie konferencyjne. Pozbawione okien, o podłodze pokrytej granatową wykładziną, wyposażone było w okrągły stół, osiem krzeseł, telewizor i magnetowid.

– A co z Lucy i Janet? – zapytałam spodziewając się, że szef wykluczy je z rozmowy.

– Wszystko w porządku – odparł, sadowiąc się wygodnie w obrotowym fotelu, jakby miał zamiar oglądać rozgrywki o Superpuchar. – Są agentkami.

– Ja nie – wyprowadziła go z błędu Lucy.

Spojrzał na nią.

– Napisałaś program KAIN-a.

– Nie całkiem.

– W każdym razie KAIN jest ważnym czynnikiem w tym wszystkim, więc równie dobrze możesz zostać.

– Pański departament policji jest do nas podłączony. – Wytrzymała jego spojrzenie. – Prawdę mówiąc był pierwszy, jaki przyłączono.

Odwróciliśmy się, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Benton Wesley. Ubrany był w sztruksowe spodnie oraz sweter i miał szorstkie spojrzenie kogoś zbyt wyczerpanego, by mógł spać.

– Myślę, że znasz wszystkich, Benton – powiedział Tucker, jakby sam znał go całkiem dobrze.

– Owszem. – Wesley był bardzo oficjalny. – Spóźniłem się, bo dobrze wykonujecie swoją robotę.

Tucker wyglądał na zmieszanego.

– Musiałem się zatrzymać na dwóch punktach kontrolnych.

– Ach. – Szef wydawał się zadowolony. – Wszyscy są w terenie. Bardzo nas cieszy ta pogoda.

Nie żartował. Marino wyjaśnił Lucy i Janet:

– Śnieg zatrzymał ludzi w domach. Im mniej się ich kręci na ulicach, tym lepiej dla nas.

– Jeżeli także i Gault gdzieś się nie zaszył – doszła do wniosku Lucy.

– Musi tu być – rzekł Marino. – Ta kreatura nie ma tutaj swego domku weekendowego.

– Owszem – odezwał się Wesley – ale może znać kogoś w mieście.

– Przypuszczasz, że mógł stąd wyjechać po opuszczeniu kostnicy dziś rano? – spytał Tucker Wesleya.

– Nie sądzę.

– Dlaczego? – spytał Tucker.

Wesley spojrzał na mnie.

– Uważam, że chce być tu, gdzie my jesteśmy.

– A co z jego rodziną? – dociękał Tucker.

– Mieszkają w pobliżu Beaufort, na wyspie w Karolinie Południowej, gdzie zakupili ostatnio sporej wielkości plantację pekanów. Nie sądzę, żeby Gault tam pojechał.

– Zraził ich do siebie – oświadczył Tucker.

– Nie do końca. Skądś otrzymuje pieniądze.

– Tak – potwierdził Wesley. – Mogą mu dawać forszę, żeby się trzymał od nich z dala. Mają dylemat. Jeżeli przestaną posyłać mu pieniądze, może wrócić do domu. Pomagając mu sprawiają, że zostanie tutaj, zabijając ludzi.

– Wyglądają mi na szczerych obywateli – powiedział Tucker sardonicznie.

– Nie pomogą nam – zgodził się Wesley. – Już próbowaliśmy. Jakie jeszcze środki przedsięwzięliście w Richmond?

– Wszystkie, jakie możemy – odrzekł Tucker. – Ten dupek zabija gliniarzy.

– Nie sądzę, żeby policjanci stanowili jego główny cel – zauważył Wesley trzeźwo. – Gliniarze go nie obchodzą.

– Dobra – odezwał się Tucker emocjonalnie – wystrzelił pierwszy pocisk, a my wystrzelimy kolejny.

Wesley spojrział na niego.

– Mamy dwuosobowe patrole samochodowe – ciągnął Tucker. – Jest straż na parkingu. Każdy radiowóz ma zdjęcie Gaulta i rozwiesiliśmy je w miejscowych instytucjach – tych, które są czynne.

– A co z obserwacją?

– Też. Miejsca, w których mógłby się pojawić. – Tucker spojrział na mnie. – Wliczając w to dom pani i mój. Oraz biuro koronera.

Odwrócił się z powrotem do Wesleya.

– Jeżeli są inne miejsca, dokąd mógłby pójść, chciałbym, żebyś mi o tym powiedział.

– Nie może ich być wiele – odezwał się Benton. – Ma wstrętny zwyczaj mordowania swych znajomych. – Zagapił się. – A co z helikopterami Policji Stanowej i samolotami patrolowymi?

– Wejdą do akcji, kiedy tylko przestanie padać śnieg – odparł Tucker.

– Nie mogę zrozumieć, jakim cudem potrafi tak łatwo się przemieszczać – odezwała się Janet. Ona prawdopodobnie resztę życia spędzi na zadawaniu podobnych pytań. – Nie wygląda zwyczajnie. Dlaczego ludzie go nie zauważają?

– Jest nadzwyczaj przebiegły – powiedziałam.

– Masz taśmę? – spytał Tucker Marino.

– Tak, sir, ale nie jestem całkiem pewien... – Urwał.

– Czego nie jest pan pewny, kapitanie? – Tucker zadarł nieco brodę.

– Nie jestem pewien, czy one powinny to widzieć. – Wskazał na Lucy i Jane.

– Proszę działać, kapitanie – powiedział szef szorstko.

Marino włożył kasetę do magnetowidu i zgasił światło.

– Nagranie trwa około pół godziny – zabrzmiał jego głos, kiedy przez ekran przewijały się cyfry i linie. – Czy komukolwiek by to przeszkadzało,

gdybym zapalił?

– Zdecydowanie mnie – odezwał się Tucker. – To jest kasetka, którą znaleźliśmy w kamerze wideo w domu szeryfa Browna. Jeszcze jej nie widziałem.

Zaczął się film.

– To, co tutaj widzimy – zaczął swą narrację Marino – to sypialnia na piętrze w domu Lamonta Browna.

Łóżko, które już dzisiaj oglądałam, było porządnie zasłane, a w tle ktoś hałasował.

– Sądzę, że w tej chwili sprawdza, czy kamera pracuje – kontynuował Marino. – Może wtedy pozostawił na ścianie te białe ślady. Patrzcie, teraz zeskakuje.

Nacisnął przycisk „pauza” i patrzyliśmy na zamazany obraz pustej sypialni.

– Czy znamy już wynik badania na obecność kokainy w organizmie szeryfa Browna? – dobiegł z ciemności głos szefa.

– Jest zbyt wcześnie, żeby stwierdzić, czy miał w sobie kokainę albo produkt jej rozkładu metabolicznego, benzoiloeckgoninę – odparłam. – Wszystko, co w tej chwili mamy, to poziom alkoholu we krwi.

Marino wrócił do przerwanej narracji.

– Wygląda na to, że włączył kamerę, potem wyłączył, a później ponownie ją uruchomił. Można to zauważyć, bo inny jest wyświetlony czas. Najpierw było sześć po dziesiątej. Teraz dziesiąta dwadzieścia.

– Najwyraźniej czekał na kogoś – odezwał się Tucker.

– Albo już tam byli. Może niuchali na dole kokę. Jedźmy dalej. – Marino wcisnął „play”. – Tutaj zaczynają się ciekawe rzeczy.

W ciemności pokoju konferencyjnego Tuckera zapanowało absolutne milczenie, pozwalające usłyszeć trzeszczenie łóżka i jęk, który brzmiał

bardziej jak oznaka bólu niż namiętności. Szeryf Brown był nagi i leżał na plecach. Z tyłu widzieliśmy Temple Gaulta, ubranego jedynie w chirurgiczne rękawiczki. W pobliżu, na łóżku, leżało ciemne ubranie.

Marino milczał. Widziałam profile Lucy i Janet. Ich twarze pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu, Tucker siedział bardzo spokojnie, a Wesley znajdował się obok mnie, przyglądając się badawczo.

Ciało Gaulta było niezdrowo blade i wszystkie kręgi oraz żebra doskonale rysowały się pod skórą. Najwyraźniej stracił sporo na wadze pomyślałam o kokainie w jego włosach, które były teraz białe; gdy się przesunął, ujrzałam całą jego klatkę piersiową. Lucy zeszywniała, a mój wzrok pobiegł na drugą stronę stołu. Poczułam, że Marino patrzy na mnie, kiedy Carrie Grethen zaczęła pracować nad dostarczeniem swemu klientowi rozkoszy. Wyglądało na to, że prochy mu w tym przeszkadzają i bez względu na to, jak bardzo się starała, szeryf Brown nie podniecił się, by odebrać przyjemność, stanowiącą równowartość największej ceny, jaką kiedykolwiek zapłacił. Lucy patrzyła śmiało w ekran telewizora. Gapiała się, zszokowana, jak jej była kochanka odstawia na tym brzuchatym, odurzonym narkotykami mężczyźnie jeden lubieżny akt po drugim.

Koniec wydawał się przewidywalny. Carrie powinna wyjąć broń i zastrzelić go. Ale nie. Osiemnaście minut później rozległ się odgłos kroków i do sypialni wszedł jej towarzysz. Temple Gault ubrany był w czarny garnitur i nadal miał na dłoniach chirurgiczne rękawiczki. Zdawał się nie wiedzieć, że kamera śledzi każdy jego krok oraz pociągnięcie nosem. Brown miał zamknięte oczy. Nie byłam nawet pewna, czy jest przytomny.

– Nadszedł czas – oświadczył Gault.

Jego intensywnie niebieskie oczy jakby przenikały przez ekran. Spoglądały prosto do naszego pokoju konferencyjnego. Nie ufarbował włosów. Były nadal marchewkowe, długie, odsłaniające czoło i zaczesane

za uszy. Rozpiął marynarkę i wyjął swego dziewięćmilimetrowego glocka. Nonszalancko podszedł do wezgłowia.

Carrie przyglądała się, jak Gault opiera lufę broni pomiędzy oczami szeryfa. Zasłoniła uszy. Żołądek mi się skręcił i zacisnęłam pięści, kiedy Gault nacisnął spust i pistolet podskoczył jakby przerażony tym, co się właśnie stało. Siedzieliśmy w szoku, kiedy ustawały agonalne drgawki szeryfa. Carrie zsiadła z niego.

– Cholera – odezwał się Gault, patrząc na swój gors. – Pobrudziłem się.

Wyjęła mu chusteczkę z górnej kieszonki marynarki i przykładała ją do jego szyi i klap marynarki.

– Nie będzie widać. To dobrze, że jesteś ubrany na czarno.

– Włóż coś na siebie – powiedział, jakby jej nagość go brzydziła.

Głos miał młodzieńczy, chropowaty i niezbyt głośny. Podszedł do nóg posłania i podniósł ciemny strój.

– A co z jego zegarkiem? – Spojrzała na łóżko. – To rolex. Prawdziwy, skarbie, i złoty. Bransoletka także.

– Ubieraj się – warknął Gault.

Upuścił pokrzwawioną chusteczkę na podłogę, gdzie później znalazła ją policja.

– Przynieś nasze torby – polecił.

Zdawało się, że majstrował coś przy jej ubraniu, kiedy odkładał je na toaletkę, ale ką, pod jakim kamera była ustawiona, powodował, że nie widzieliśmy go wyraźnie. Weszła Carrie z torbami.

Wspólnie ułożyli ciało w sposób chyba przemyślany i zaplanowany. Najpierw, nie wiadomo dlaczego, ubrali je w piżamę. Krew poplamiała bluzę, kiedy Gault naciągał na głowę denata worek na śmieci i obwiązał go sznurówką, wyciągniętą z treningowych butów szeryfa.

Zdjęli ciało z łóżka i umieścili na czarnym worku na podłodze; Gault trzymał Browna pod ramiona, a Carrie za kostki nóg. Zapakowali go do środka i zaciągnęli zamek. Ujrzelśmy, jak wynoszą szeryfa, i słyszeliśmy ich na schodach. Parę minut później Carrie pojawiła się ponownie, wzięła swoje ubranie i wyszła. Sypialnia opustoszała.

– Z całą pewnością nie możemy prosić o lepszy dowód – odezwał się Tucker z napięciem. – Czy rękawiczki pochodzą z kostnicy?

– Najprawdopodobniej z furgonetki, którą skradli – odparłam. – Mamy ich paczkę w każdym samochodzie.

– To nie koniec – oznajmił Marino.

Przewijaliśmy film do przodu, patrząc na scenę pustej sypialni, kiedy nagle pojawiła się tam jakaś postać. Marino cofnął taśmę i postać przeszła szybko tyłem po pokoju.

– Spójrzcie, co się stało dokładnie godzinę i jedenaście minut później – powiedział Marino, puszczając film w normalnym Temple.

Do sypialni weszła Carrie Grethen, ubrana tak jak Gault. Gdyby nie jej białe włosy, pomyślałabym, że to on sam.

– Co? Ma na sobie jego ubranie? – spytał zdumiony Tucker.

– To nie jest jego strój – stwierdziłam. – Podobny, ale to nie jest garnitur Gaulta.

– Skąd pani to wie? – dociekał Tucker.

– W kieszonce jest chusteczka. Ona wyjęła chustkę Gaulta, by zetrzeć z niego krew. I jeśliby pan cofnął film, zobaczyłby pan, że jego marynarka nie ma klap nad kieszeniami, a jej tak.

– Taaa – odezwał się Marino. – To prawda.

Carrie rozejrzała się po pokoju, podłodze i łóżku, jakby coś tutaj zgubiła. Była poruszona i zła, i czułam, że tym razem koka nie wprowadziła jej w euforię. Porozglądała się jeszcze trochę, po czym wyszła.



– Ciekawe, czego szukała? – powiedział Tucker.

– Zaczekajcie – polecił nam Marino.

Przewinął trochę taśmy i Carrie pojawiła się ponownie. Nachmurzona, znowu czegoś szukała, ściągając z posłania kołdrę i zaglądając pod pokrwawioną poduszkę. Uklękła na podłodze i zajrzała pod łóżko, klęła przy tym jak szewc.

– Pośpiesz się! – dobiegł skądś zniecierpliwiony głos Gaulta.

Spojrzała w lustro toaletki i przyglądziła włosy. Przez moment patrzyła prosto w obiektyw kamery z tak bliska, że przestraszyłam się stanem jej wyniszczenia. Kiedyś miała zgrabną figurę, doskonałe rysy twarzy i długie brązowe włosy – uważałam, że jest piękna. Stworzenie stojące teraz przed nami było wychudzone, miało szklany wzrok i postrzępione, białe włosy. Zapięła marynarkę i wyszła.

– Co o tym myślisz? – spytał Tucker Marino.

– Nie wiem. Patrzyliśmy na to dziesiątki razy i nie mamy pojęcia.

– Zostawiła coś – odezwał się Wesley. – To wydaje się oczywiste.

– Może to tylko ostatni, kontrolny rzut oka – podsunął Marino. – By się upewnić, że niczego nie przeoczyli.

– Jak kamera wideo – powiedział kwaśno Tucker.

– Nie przejmowała się tym, czy o czymś nie zapomnieli – zaprzeczył Wesley. – Zakrwawioną chusteczkę Gaulta zostawiła na podłodze.

– Ale oboje nosili gumowe rękawiczki – zauważył Marino. – Powiedziałbym, że byli dosyć ostrożni.

– Czy z domu zginęły jakieś pieniądze? – zapytał Benton.

– Nie wiemy ile – odrzekł Marino. – Ale portfel Browna był wyczyszczony. Prawdopodobnie brakuje broni, prochów i forsy.

– Zaczekajcie – powiedziałam. – Koperta.

– Jaka koperta? – spytał Tucker.

– Nie włożyli jej do kieszeni piżamy. Widzieliśmy, jak ubierają go i zapinają worek na zwłoki, ale bez kopertki. Przewiń to – poleciłam. – Wróćmy do tego momentu, zobaczmy, czy mam rację.

Marino cofnął taśmę i odtworzył fragment do momentu, kiedy Carrie i Gault wynosili ciało z pokoju. Brown spoczywał w zapiętym worku bez różowej koperty, którą znalazłam w kieszonce na piersi jego piżamy. Pomyślałam o wszystkich innych listach, jakie otrzymałam, i o problemach Lucy z KAIN-em. List został zaadresowany i opatrzony znaczkami, jakby autor zamierzał go wysłać pocztą.

– Może to jest to, czego Carrie nie mogła znaleźć? – zasugerowałam. – Może to ona posyła mi owe liściki. Miała zamiar wysłać także ten ostatni, co by wyjaśniało, dlaczego był zaadresowany i miał naklejone znaczki. Potem, bez jej wiedzy, Gault włożył go do kieszeni piżamy Browna.

– Dlaczego on to robi? – spytał Wesley.

– Może dlatego, że zna efekt, jaki wywoła – odparłam. – Wie, że zobaczą to w kostnicy i natychmiast pojmą, że Brown został zamordowany, a zamieszany w to jest Gault.

– Ale to, co mówisz, wskazuje, że Gault nie jest KAIN-em. Twierdzisz, że jest nim Grethen – rzekł Marino.

– Żadne z nich nie jest KAIN-em – odezwała się Lucy. – Są hackerami.

Przez chwilę milczeliśmy wszyscy.

– Oczywiście – podjęłam temat – Carrie pomaga nadal Gaultowi w jego grze z komputerem FBI. Stanowią zespół. Uważam jednak, że wziął list napisany do mnie, nie mówiąc jej o tym. Myślę, że tego szukała.

– Dlaczego miałyby go szukać w sypialni Browna? – zastanawiał się Tucker. – Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego list miała by tam być?

– Z pewnością tak – odrzekłam. – Rozebrała się tam. Prawdopodobnie miała kopertę w kieszeni. Puść ten fragment, Marino, kiedy Gault zabiera z łóżka to ciemne ubranie.

Przewinał do tego miejsca i chociaż nie widzieliśmy dokładnie, czy Gault wyjmuje z jej kieszeni list, to najwyraźniej manipulował coś przy jej stroju. Z pewnością mógł wyjąć w tym czasie list, a później włożyć do kieszeni pizamy Browna, na przykład w furgonetce czy nawet już w kostnicy.

– Więc naprawdę uważasz, że to ona posyła ci te liściki? – zapytał sceptycznie Marino.

– To prawdopodobne.

– Ale dlaczego? – Tucker był zbity z tropu. – Dlaczego miałyby to pani robić, doktor Scarpetta? Zna ją pani?

– Nie – odparłam. – Widziałam ją raz czy dwa, ale nasze ostatnie spotkanie nie należało do najprzyjemniejszych. A listy nie wyglądają mi na sprawkę Gaulta. Nigdy nie byłam o tym przekonana.

– Chce cię zniszczyć – powiedział Wesley spokojnie. – Chce zniszczyć was obie – ciebie i Lucy.

– Dlaczego? – spytała Janet.

– Ponieważ Carrie Grethen jest psychopatką – wyjaśnił Benton. – Ona i Gault są teraz bliźniakami. To interesujące, że nawet ubierają się tak samo. Wyglądają tak samo.

– Nie rozumiem tego, co zrobił z listem – wtrącił się Tucker. – Dlaczego, zamiast zabierać go bez jej wiedzy, po prostu nie poprosił o niego?

– Pytasz mnie o to, jak funkcjonuje mózg Gaulta – odrzekł Wesley.

– Istotnie.

– Nie wiem, dlaczego tak postąpił.

– Ale to musi coś oznaczać.

– Z pewnością – odparł Wesley.

– Co? – spytał Tucker.

– Ona uważa, że układ między nimi jest partnerski, że może mu ufać – i myli się. To znaczy, że w końcu zabije i ją, jeśli będzie mógł – podsumował Wesley, kiedy Marino włączył światło.

Wszyscy zmrużyli oczy. Spojrzałam na Lucy, która nie miała nic do powiedzenia, i jeden drobny gest zdradził, jak cierpi. Założyła okulary, mimo że ich nie potrzebowała, jeśli nie siedziała przed komputerem.

– To jasne, że są przypadkowo dobranym zespołem – powiedział Marino.

– Kto przewodzi? – odezwała się Janet.

– Gault – odrzekł Marino. – To dlatego on ma broń, a ona tylko ciągnie druta.

Tucker odepchnął od stołu swój fotel.

– Gdzieś musieli poznać Browna. Nie pojawili się w tym domu ot, tak sobie.

– Rozpoznałby Gaulta? – spytała Lucy.

– Możliwe, że nie – odparł Wesley.

– Myślę, że byli z nim w kontakcie – albo tylko ona była – by kupować prochy.

– Numeru telefonu Browna nie ma w książce, ale nie jest zastrzeżony – poinformowałam ich.

– Jego automatyczna sekretarka nie nagrała żadnych istotnych wiadomości – dodał Marino.

– Dobra, potrzebne mi powiązania – powiedział Tucker. – Jak tych dwoje go poznało?

– Pewnie dzięki narkotykom – zaczął Wesley. – Możliwe także, że Gault zainteresował się szeryfem z powodu doktor Scarpetty. Brown zastrzelił

kogoś w Wigilię i media mówiły o tym bez końca. Nie stanowiło tajemnicy, że doktor Scarpetta była tam, a także że przeprowadzi autopsję. Prawdę mówiąc, mogła też zostać członkiem ławy przysięgłych, ponieważ, co przewrotne, Brown wezwał ją jako biegłą.

Pomyślałam o tym, co powiedziała Anna Zenner na temat Gaulta znoszącego mi prezenty.

– Gault mógł to wszystko wiedzieć – powiedział Tucker.

– Możliwe – przyznał Wesley. – Jeśli w końcu dowiemy się, gdzie mieszka, możemy odkryć, że dostaje pocztą richmondską gazetę.

Tucker namyślał się chwilę, a potem spojrzał na mnie.

– Kto zatem zabił policjanta w Nowym Jorku? Czy to ta kobieta o białych włosach?

– Nie – zaprzeczyłam. – Nie byłaby w stanie kopnąć go w ten sposób. Jeżeli także nie ma czarnego pasa w karate.

– Czy tamtej nocy w tunelu działali razem? – pytał dalej Tucker.

– Nie wiem – odrzekłam.

– Była tam pani.

– Owszem – przyznałam. – Widziałam jedną osobę.

– O rudych czy białych włosach?

Pomyślałam o postaci oświetlonej pod łukiem sklepienia. Zapamiętałam długi, ciemny płaszcz i bladą twarz. Nie widziałam włosów.

– Podejrzewam, że to Gault był tam owej nocy. Nie potrafię tego dowieść, ale nie istnieje nic, co by sugerowało, że miał kompana, kiedy zamordował Jane.

– Jane? – zdziwił się Tucker.

– Tak nazwaliśmy kobietę zabitą w Central Parku – wyjaśnił Marino.

– A zatem wniosek z tego taki, że Carrie Grethen nie pomagała mu popełnić zbrodni, dopóki po pobycie w Nowym Jorku nie wrócił do

Wirginii – ciągnął Tucker, starając się poskładać razem kawałki układanki.

– Naprawdę nie wiemy – odrzekł Wesley. – To nigdy nie będzie nauka ścisła, Paul. Szczególnie kiedy mamy do czynienia z brutalnymi przestępcami, zatruwającymi swoje mózgi narkotykami. Im więcej biorą, tym dziwniej się zachowują.

Szef policji w Richmond pochylił się w przód, patrząc na niego twardym wzrokiem.

– Powiedz mi, proszę, co, do diabła, myślisz o tym wszystkim?

– Poznali się wcześniej. Podejrzewam, że w tym sklepie dla szpiegów w północnej Wirginii – odparł Wesley. – Dzięki temu załatwił KAIN-a. Teraz okazuje się, że ich związki przeniosły się na inny poziom.

– Taaa... – powiedział Marino. – Bonnie znalazła swego Clyde'a.

Jechaliśmy do mego domu opustoszałymi ulicami. Późno w nocy panowała cisza, gdyż śnieg pokrywał ziemię niczym bawełna, tłumiąc wszelkie dźwięki. Nagie drzewa odcinały się czernią od bieli, księżyc majaczył niewyraźnie za mgłą. Chciałam się przespacerować, ale Wesley nie pozwolił mi na to.

– Jest późno, a ty miałaś dzień pełen wrażeń – powiedział, kiedy siedzieliśmy w jego BMW, zaparkowanym za samochodem Marino przed frontem mego domu. – Nie wolno ci tu spacerować.

– Możesz iść ze mną. – Czułam się słaba, zmęczona i nie chciałam, by odchodził.

– Nikt z nas nie powinien się tu włóczyć – powiedział, kiedy Marino, Janet i Lucy zniknęli wewnątrz domu. – Powinnaś iść do siebie i przespać się.

– A ty co zrobisz?

– Mam tu pokój.

– Gdzie? – spytałam, jakbym miała prawo to wiedzieć.

– Linden Row. W centrum. Idź do łóżka, Kay, proszę. – Przerwał, patrząc przez przednią szybę. – Chciałbym zrobić więcej, ale nie mogę.

– Wiem, że nie możesz, i o nic cię nie proszę. Oczywiście, możesz niewiele więcej niż ja. Nienawidzę tego, że cię kocham. Bardzo tego nienawidzę. Szczególnie wtedy, kiedy cię potrzebuję. Jak teraz. – Wzdrygnęłam się. – Cholera.

Objął mnie i otarł mi łzy. Pogłaskał mnie po włosach i trzymał za rękę, jakby kochał z całego serca.

– Mogę zabrać cię ze sobą do centrum dziś w nocy, jeśli tego naprawdę chcesz.

Wiedział, że odmówię.

– Nie – powiedziałam, biorąc głęboki oddech. – Nie, Benton.

Wysiadłam z samochodu i zgarnęłam garść śniegu. Podchodząc do frontowych drzwi domu, wytarłam nim twarz. Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, że płakałam w ciemności w ramionach Bentona Wesleya.

Nie odjechał, dopóki nie zabarykadowałam się wewnątrz wraz z Marino, Janet i Lucy.

Tucker zarządził całodobową obserwację domu, a w środku dowodził Marino, który nie zawierzył naszego bezpieczeństwa umundurowanym funkcjonariuszom, siedzącym gdzieś w zaparkowanym radiowozie czy furgonetce, tylko zrobił nam zbiórkę jak Zielonym Beretom czy guerillas.

– Dobra – powiedział, kiedy weszliśmy do kuchni. – Wiem, że Lucy umie strzelać. Janet, jest pewne jak diabli, że będziesz robić to lepiej, gdy skończysz akademię.

– Umiałam strzelać, zanim do niej wstąpiłam – powiedziała po swoim – cicho i spokojnie.

– Doc?

Zaglądałam do wnętrza lodówki.

– Mogę zrobić spaghetti z niewielką ilością oliwy z oliwek, parmezanu i cebuli. Mam ser, jeśli ktoś chciałby kanapki. Lub jeżeli dacie mi szansę na rozmrożenie tego, będziemy mieć *le piccagge col pesto di ricotta* lub *tortellini verdi*. Myślę, że wystarczy dla wszystkich, jeśli odgrzeję obie te rzeczy.

Nikt mnie nie słuchał, a ja tak bardzo pragnęłam zrobić coś zwyczajnego.

– Przykro mi – odezwałam się znowu – ale ostatnio nie byłam w sklepie.



– Chciałbym się dostać do twojego sejfu, Doc – powiedział Marino.

– Mam bagietki.

– Hej, czy ktoś jest głodny? – spytał Marino.

Nikt się nie zgłosił. Zamknęłam lodówkę. Sejf z bronią był w garażu.

– Chodź. – Zaciągnęłam go.

Poszedł za mną, otworzyłam zamek szyfrowy.

– Może mi powiesz, o co ci chodzi? – spytałam.

– Uzbrajam nas – odrzekł, wyjmując jedną sztukę broni po drugiej i spoglądając na mój zapas amunicji. – Cholera, masz chyba własny skład w Green Top.

Green Top było miejscowym sklepem z bronią, zaopatrującym nie przestępców, ale normalnych obywateli, którzy strzelali sportowo i nabywali broń, aby zapewnić bezpieczeństwo swym domostwom. Przypomniałam o tym Marino, jakkolwiek nie mogłam zaprzeczyć, że według normalnych standardów miałam w domu istny arsenał.

– Nie wiedziałem, że masz tego tyle – ciągnął Marino, na wpół zanurzony w moim wielkim, ciężkim sejfie. – Kiedy, do cholery, kupiłeś to wszystko? Nie było mnie przy tym.

– Kupowałam od czasu do czasu – oparłam. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale potrafię kupować artykuły spożywcze, ubrania czy broń sama. I jestem bardzo zmęczona, Marino. Skończmy z tym.

– A gdzie broń długa?

– A co chcesz?

– A co masz?

– Remingtona. Marine magnum. 870 express security.

– To będzie to.

– Chciałbyś, żebym rozejrzała się za plastikiem? – spytałam. – Może jakiś zakładany na karabin wyrzutnik granatów?

Wyciągnął dziewięciomilimetrowego glocka.

– Także należysz do bojowej Tuppenware.

– Prowadzę z niego w domu próbne strzelanie – rzuciłam z przekąsem. – W tym celu używam większości tej broni. Doprowadzasz mnie do szafu. Czy teraz zamierzasz przekopać także moją szafę z ubraniami?

Marino wcisnął glocka za pasek od spodni.

– Zobaczymy. Zamierzam wziąć twojego dziewięciomilimetrowego smith & wessona z nierdzewnej stali i colta. Janet lubi colty.

Zatrzasnęłam sejf, kręcąc ze złością tarczą. Wróciliśmy z Marino do domu i poszłam na górę, ponieważ nie chciałam patrzeć, jak ładuje broń. Nie mogłam znieść myśli o Lucy z odbezpieczoną strzelbą i zastanawiałam się, czy cokolwiek jest w stanie zaniepokoić lub przerazić Gaulta. W pewnej chwili uważałam go za żywego trupa, którego nie może powstrzymać żadna znana nam broń.

Zgasiałam światła w sypialni i stanęłam przed oknem. Mój oddech skraplał się na szybie, kiedy patrzyłam w rozświetloną przez biel śniegu noc. Wspominałam chwile, kiedy nie było mnie długo w Richmond i budziłam się w świecie tak cichym i białym jak ten. Kilka razy miasto bywało sparaliżowane i nie mogłam jechać do pracy. Pamiętałam momenty, gdy chodziłam po okolicy kopiąc śnieg i rzucając śnieżkami w drzewa. Wspominałam dzieci ciągnące ulicami sanki.

Starłam mgiełkę z szyby, czując się zbyt smutna, by komukolwiek opowiedzieć o swych wrażeniach. W domach wzdłuż całej ulicy płonęły świąteczne świece, tylko u mnie nie. Ulice były jasne, lecz puste. Nie przejechał ani jeden samochód. Wiedziałam, że Marino zostanie pół nocy ze swoim żeńskim oddziałem do zadań specjalnych. Będą rozczarowani. Gault nie przyjdzie tutaj. Zaczynałam instynktownie przeczuwać, jak postąpi. Przypuszczalnie prawdą było to, co powiedziała o nim Anna.

Czytałam w łóżku, aż zasnęłam. Obudziłam się o piątej. Po cichu zesłam na dół, myśląc, co by to był za los zginąć zastrzelona ze strzelby we własnym domu, ale drzwi do jednego z pokoi gościnnych były zamknięte, a Marino chrapał na kanapie. Zakradłam się do garażu i wyprowadziłam mercedesa. Cudownie było jechać po miękkim, suchym śniegu. Czułam się jak ptak – i poleciałam.

Jechałam szybko przez Carry Street i gdy nagle zatańczyłam na jezdni, pomyślałam, że to fajne. Na drodze nie było nikogo innego. Zredukowałam bieg i przeorałam zasy na parkingu International Safeway's. Sklep spożywczy był zawsze otwarty i weszłam po sok pomarańczowy, serek kremowy, bekon i jajka. Miałam na głowie kapelusz i nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Wracając do samochodu, byłam tak szczęśliwa, jak mi się to nie zdarzyło od tygodni. Przez całą powrotną drogę do domu śpiewałam do wtóru radia i wpadałam w poślizgi, kiedy tylko mogłam sobie bezpiecznie na to pozwolić. Wjechałam do garażu, a tam czekał Marino ze swoją czarną, płaską strzelbą.

– Zdaje ci się, do cholery, że co robisz? – rozdarł się, kiedy zamykałam drzwi garażu.

– Kupiłam coś do jedzenia. – Moja euforia wyparowała.

– Jezu Chryste! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! – wrzasnął na mnie.

– A co ty sobie myślisz? Że kim jestem? – Poniosły mnie nerwy. – Patty Hearst? Zostałam porwana? Czy nie powinienes po prostu zamknąć mnie w kiblu?

– Właż do domu – powiedział Marino bardzo zdenerwowany.

Spojrzałam na niego zimno.

– To jest mój dom. Nie twój. Nie Tuckera. Nie Bentona. To, cholera, jest mój własny dom. I wejść do niego, kiedy będę miała na to ochotę.

– Dobra. I możesz w nim umrzeć, tak jak w każdym innym miejscu.

Poszłam za nim do kuchni. Wyciągnęłam zakupy z torby i trzasnęłam nimi o blat. Wbiłam jajka do rondla, a skorupki zepchnęłam z blatu do śmieci. Trzasnęłam naczyniem o gazowy palnik i rozbiłam zawartość na omlety z cebulą oraz serem fontina. Zrobiłam kawę i zaklęłam, bo zapomniałam o niskotłuszczowej śmietance. Porwałam na kwadraty papierowy ręcznik, ponieważ nie miałam także serwetek.

– Możesz przygotować stół w salonie i zacząć strzelać – powiedziałam, wsypując pieprz do spienionych jajek.

– Wymiana ognia zaczęła się zeszłej nocy.

– Czy Lucy i Janet już się obudziły? – Powoli dochodziłam do siebie.

– Nie mam pojęcia.

Wtarłam w patelnię oliwę z oliwek.

– To zapukaj do ich drzwi.

– Są w tej samej sypialni.

– Na litość boską, Marino. – Odwróciłam się i spojrzałam na niego z rozdrażnieniem.

Zjedliśmy śniadanie o siódmej trzydzieści, czytając mokrą gazetę.

– Co będziesz dzisiaj robić? – spytała Lucy, jakbyśmy byli na wakacjach, na przykład w jakimś wypoczynkowym kurorcie w Alpach.

Siedziała na otomanie przed kominkiem, miała na sobie te same wojskowe ciuchy, a obok niej leżał na podłodze niklowany, siedmiostrzałowy remington.

– Mam do załatwienia różne sprawy i wiele telefonów do wykonania – oświadczyłam.

Marino włożył bluzę od dresu i niebieskie džinsy. Siorbiąc kawę, patrzył na mnie podejrzliwie.

Spojrzałam mu w oczy.

– Jadę do centrum.

Nie odpowiedział.

– Benton już wyjechał.

Poczułam gorąco na policzkach.

– Usiłowałam się do niego dodzwonić, ale zwolnił pokój w hotelu. – Marino spojrział na zegarek. – To było dwie godziny temu, około szóstej.

– Kiedy wspomniałam centrum, miałam na myśli swoje biuro – powiedziałam bezbarwnym tonem.

– To, co powinnaś zrobić, Doc, to pojechać do Quantico i zameldować się na jakiś czas na piętrze bezpieczeństwa. Co najmniej na tydzień.

– Zgoda. Ale nie wcześniej, aż uporam się tutaj z kilkoma sprawami.

– Zatem Lucy i Janet będą z tobą.

Lucy patrzyła na przesuwane szklane drzwi, a Janet nadal czytała gazetę.

– Nie – odparłam. – Nie mogą tutaj zostać aż do momentu, kiedy pojedziemy do Quantico.

– To nie jest dobry pomysł.

– Marino, dopóki nie zostanę aresztowana z jakiegoś powodu, którego nie znam, wyjadę stąd przed upływem trzydziestu minut i udam się do swego gabinetu. I pojedę tam sama.

Janet opuściła gazetę i powiedziała do Marino:

– Tutaj dochodzimy do punktu, kiedy musisz się zająć swoim własnym życiem.

– To sprawa bezpieczeństwa – odparował ją Marino.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się. – Nie, to kwestia twego postępowania jako mężczyzny.

Marino spojrział zdziwiony.

– Jesteś nadopiekuńczy – dodała rozsądnie. – Chcesz mieć władzę i nad wszystkim panować.

- Marino nie wyglądał na rozzłoszczonego, ponieważ mówiła to łagodnie.
- Masz lepszy pomysł? – spytał.
  - Doktor Scarpetta może się sama o siebie zatroszczyć – ciągnęła Janet.
- Ale nie powinna zostawać samotnie w tym domu w nocy.
- On tu nie przyjdzie – powiedziałam.
- Janet wstała i przeciągnęła się.
- Prawdopodobnie nie – przyznała mi rację. – Ale Carrie tak.

Lucy odwróciła wzrok od szklanych drzwi. Na zewnątrz było oślepiająco jasno i z dachu kapała woda.

– Dlaczego nie mogę jechać z tobą do biura? – dopytywała się moja siostrzenica.

– Nie masz tam nic do roboty – odparłam. – Będziesz się nudzić.

– Mogę pracować na komputerze.

Zawiozłam Lucy i Janet do swego urzędu, zostawiając je w biurze Fieldinga, mego zastępcy. O jedenastej ulice w Slip stały się rozmiękłą breją i sklepy otwarto później niż zwykle. W kaloszach i długiej kurtce czekałam na chodniku, by przejść przez Franklin Street. Ekipy oczyszczania miasta rozsypywały sól, ale ruch w ten piątek przed sylwestrem był mały.

James Galleries zajmowała górne piętro byłego składu tytoniowego w pobliżu Laury Ashley i sklepu muzycznego. Weszłam bocznymi drzwiami, przeszłam ciemnym korytarzem i wsiadłam do windy zbyt małej, by zmieściło się tam więcej niż troje ludzi mojej postury. Nacisnęłam guzik drugiego piętra i wkrótce kabina otworzyła się w kolejnym słabo oświetlonym korytarzu, na którego końcu znajdowały się szklane drzwi z nazwą galerii namalowaną na nich czarnymi literami.

James otworzył swoją galerię po przeprowadzeniu się do Richmond z Nowego Jorku. Nabyłam raz u niego grafikę i rzeźbę ptaka; również

szklane wyroby w mojej jadalni pochodziły od niego. Potem przestałam tu kupować, gdy miejscowy artysta dostarczył niestosowne, jedwabne, malowane na moją cześć laboratoryjne kitle. Była na nich krew i kości oraz historyjki obrazkowe z miejsca zbrodni – i kiedy poprosiłam Jamesa, by ich nie sprowadzał, on zwiększył swoje zamówienie.

Widziałam go za gablotą, przedstawiającego na tacy coś, co wyglądało na bransolety. Kiedy zadzwoniłam, podniósł wzrok, potrząsając głową i wymawiając bezgłośnie, z przesadą, że sklep jest zamknięty. Zdjęłam kapelusz oraz okulary przeciwsłoneczne i zastukałam w szybę. Patrzył nie widzącym wzrokiem, aż wyjęłam portfel i pokazałam mu odznakę.

Był przestraszony, a potem zakłopotany, że mnie widzi. James, który upierał się przy tym, by go tak nazywać, ponieważ jego pierwsze imię brzmiało Elmer, podszedł do drzwi. Spojrzał ponownie na moją twarz i kiedy przekreślił klucz, dzwonki zagrzechotały o szkło.

– Jak jest na świecie? – powitał mnie, wpuszczając do środka.

– Musimy pogadać – powiedziałam, rozpinając okrycie.

– Nie mam już laboratoryjnych fartuchów.

– Miło mi to słyszeć.

– Mnie także. Wyzbyłem się wszystkich na gwiazdkę. Sprzedaję w galerii więcej tych jedwabnych kitli niż czegokolwiek innego. Myślimy w następnej kolejności o jedwabnych kombinezonach w takim samym stylu, jakie nosicie podczas sekcji.

– Nie lekceważysz mnie – odparłam – tylko zmarłych. Nigdy nie będziesz mną, ale pewnego dnia umrzesz. Może powinieneś się nad tym zastanowić.

– Twój problem polega na tym, że nie masz poczucia humoru.

– Nie przyszłam tutaj rozmawiać o tym, jak postrzegasz moje problemy – oświadczyłam spokojnie.

Wysoki, kapryśny mężczyzna specjalizował się w malarskich miniaturach, mosiądzach i meblach, w niecodziennej biżuterii oraz kalejdoskopach. Oczywiście, miał skłonność do okazywania braku szacunku oraz dziwaczności; poza tym targowanie się z nim nie wchodziło w ogóle w rachubę. Zachowywał się wobec klientów tak, jakby spotkało ich wielkie szczęście, że mogą w jego galerii wydać pieniądze. Nie byłam pewna, czy James kogokolwiek traktował dobrze.

– Co cię tutaj sprowadza? – spytał. – Wiem, co się stało za rogiem, w twoim urzędzie.

– Jestem pewna, że wiesz. Nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek mógłby tego nie wiedzieć.

– Czy to prawda, że jeden z gliniarzy został wsadzony do...

Obdarzyłam go kamiennym spojrzeniem.

Wrócił za kontuar, gdzie – jak teraz widziałam – przywiązywał małe kartoniki z ceną do srebrnych i złotych bransoletek w kształcie węży, warkoczy, a nawet kajdanków.

– Szczególne, nieprawdaż? – Uśmiechnął się.

– Są bardzo różne.

– To jest moja ulubiona. – Wręczył mi jedną.

Był to łańcuch z różowo-złotych dłoni.

– Kilka dni temu ktoś przyszedł do twojej galerii, posługując się moją kartą kredytową – powiedziałam.

– Tak. Twój syn. – Odłożył bransoletkę na tackę.

– Mój kto?

Spojrzał na mnie.

– Twój syn. Zobaczmy. Jestem przekonany, że na imię ma Kirk.

– Nie mam syna – odparłam. – Nie mam dzieci. A moja karta American Express została skradziona kilka miesięcy temu.



– To dlaczego, do diabła, nie unieważniłaś jej?

– Do niedawna w ogóle nie wiedziałam, że przepadła. Ale nie o tym chciałam rozmawiać – powiedziałam. – Muszę wiedzieć, co się dokładnie stało.

James odsunął stołek i usiadł. Nie zaproponował mi krzesła.

– Przyszedł w piątek przed świętami – zaczął. – Około czwartej po południu.

– To był mężczyzna?

James obdarzył mnie pełnym oburzenia spojrzeniem.

– Naprawdę wiem, na czym polega różnica. Tak. To był mężczyzna.

– Opisz go, proszę.

– Pięć stóp dziesięć cali, wyraziste rysy. Policzki nieco zapadnięte. W końcu uznałem, że ma dosyć uderzający wygląd.

– Jakie miał włosy?

– Nosił czapkę baseballową, więc nie widziałem wiele. Ale odniosłem wrażenie, że były wściekle rude. Coś w odcieniu Rageddy Andy. Nie mam pojęcia, kto mu to zrobił, ale powinien zaskarżyć go o nadużycie zaufania.

– A oczy?

– Miał ciemne okulary. Podróbka Armaniego. – Roześmiał się. – Byłem bardzo zaskoczony, że masz takiego syna. Wyobrażałbym sobie raczej, że twój chłopak nosi khaki, skórzane krawaty i uczęszcza do MIT-u...

– James, w tej rozmowie nie ma nic zabawnego – powiedziałam nagle.

Twarz mu zapłonęła, a kiedy wreszcie zrozumiał, zrobił wielkie oczy.

– O, Boże! Ten mężczyzna, o którym czytałem? To ten... Mój Boże. On był w mojej galerii?

Nic nie powiedziałam.

– To fantastyczne. Zewsząd będą tu przychodzić ludzie. Moja galeria znajdzie się na szlaku turystycznych wycieczek.

– Racja. Rozgłoś to – rzekłam – a wariaci z całego kraju ustawią się w kolejce. Będą dotykać drogich obrazów, brązów, tapet i zadawać nie kończące się pytania. I nie kupią ani jednej rzeczy.

Zamilkł.

– Kiedy wszedł – ciągnęłam – to co zrobił?

– Rozejrzał się wokoło. Powiedział, że szuka prezentu.

– Jaki miał głos?

– Cichy. Trochę piskliwy. Zapytałem, dla kogo ma być ten podarunek, a on odparł, że dla matki. Wyjaśnił, że jest lekarką. To dlatego pokazałem mu szpilkę, którą w końcu kupił. To był kaduceusz. Dwa węże z białego złota, owinięte dookoła laski z żółtego złota. Węże miały oczy z rubinów. Ręczna robota, nadzwyczaj efektowna.

– I to właśnie nabył za dwieście pięćdziesiąt dolarów? – spytałam.

– Tak. – Obrzucił mnie wzrokiem, zginając palec pod brodą. – Ostatecznie, jest twoja. Szpilka jest naprawdę twoja. Czy chcesz, żeby artysta wykonał jeszcze jedną?

– A co stało się potem, kiedy ją kupił?

– Spytałem, czy mam ją zapakować, a on odrzekł, że nie. Wyjął kartę kredytową, a ja powiedziałem: „Ależ ten świat jest mały. Pańska matka pracuje zaraz za rogiem”. Nic nie odpowiedział. Więc spytałem, czy przyjechał na ferie do domu, a on się uśmiechnął.

– Nic nie mówił?

– Prawie się nie odzywał. Nie nazwałbym go przyjacielskim, ale był uprzejmy.

– Pamiętasz, jak był ubrany?

– W długi skórzany płaszcz, ściągnięty pasem, więc nie widziałem, co miał pod spodem. Ale pomyślałem, że wygląda groźnie.

– Buty?

– Jakieś wysokie.

– Czy zauważyłeś jeszcze coś interesującego?

Namyślał się przez moment, patrząc przeze mnie na drzwi.

– Teraz, kiedy o tym wspomniałaś – powiedział – miał coś na palcach, co wyglądało jak oparzenia. Pomyślałem, że to nieco straszne.

– A co z jego higieną? – pytałam dalej, gdyż im więcej cracku się bierze, tym mniej dba się o strój czy czystość.

– Wydał mi się schludny, ale tak naprawdę to nie zbliżałem się do niego.

– Nie kupił nic więcej?

– Niestety, nie.

Elmer James oparł łokieć na gablocie i podparł pięścią podbródek. Westchnął.

– Ciekawe, jak mnie tu znalazł?



Poszłam do siebie, omijając rozmokłe kałuże na ulicach i unikając samochodów, które beztrąsko przez nie przejeżdżały. Raz zostałam ochlapana. Wróciłam do swego biura, gdzie Janet siedziała w czytelni, oglądając nagranie z sekcji zwłok, podczas gdy Lucy pracowała w pomieszczeniu komputerowym. Zostawiłam je tam i zeszłam na dół do kostnicy, by doglądać pracy swoich podwładnych.

Fielding był przy pierwszym stole, zajmując się ciałem młodej kobiety, znalezionej na śniegu pod oknem jej sypialni. Zauważyłam różowość ciała oraz poczułam zapach alkoholu, zawartego w jej krwi. Na prawym ramieniu, na gipsowym opatrunku, widniała kolumna nabazgranych wiadomości i autografów.

– Jak stoimy? – spytałam.

– Mamy poziom alkoholu we krwi. Dwa przecinek trzy dziesiąte promila  
– odparł. – Ale nie to ją zabiło. Sądzę, że zmarła na skutek wychłodzenia organizmu.

– A jakie są okoliczności śmierci? – Nie mogłam się powstrzymać, by nie pomyśleć o Jane.

– Piła z przyjaciółmi w mieście i około jedenastej wieczorem, kiedy mocno padał śnieg, odprowadzili ją do domu. Zostawili ją na zewnątrz, nie sprawdzając, czy weszła. Policja uważa, że upuściła klucze i nie mogła znaleźć ich w śniegu.

Wrzucił wycinek aorty do słoja z formaliną.

– Więc próbowała włamać się do domu, rozbijając okno swym gipsem.

Podniósł mózg z szalki.

– Ale to nie zdało egzaminu. Okno było zbyt wysoko i z jedną zdrową ręką nie mogłaby się tam wspiąć. W końcu zmarła.

– Mili kumple – podsumowałam wychodząc.

Doktor Anderson, która była tu nowa, fotografowała dziewięćdziesięciodziesięcioletnią kobietę z pękniętym stawem biodrowym. Zebrałam papiery z pobliskiego biurka i szybko przerzuciłam dokumenty sprawy.

– To jest sekcja? – spytałam.

– Tak – odparła doktor Anderson.

– Dlaczego?

Przerwała to, co robiła, i spojrzała na mnie przez osłaniającą twarz przyłbicę. Widziałam w jej wzroku napomnienie.

– Złamanie nastąpiło dwa tygodnie temu. Koroner z Albermarle jest przekonany, że jej śmierć mogła być spowodowana komplikacjami związanymi z tym wypadkiem.

- A jakie są okoliczności jej śmierci?
- Miała wysięk w opłucnej i trudności z oddychaniem.
- Nie widzę żadnego bezpośredniego związku pomiędzy tym a złamaniem biodra.

Doktor Anderson oparła dłonie w rękawiczkach na krawędzi stalowego stołu.

– Wola boska może nas odwołać w każdej chwili – wyjaśniłam. – Może pani to zostawić. To nie jest przypadek dla koronera.

– Doktor Scarpetta. – Głos Fieldinga wzniosł się ponad warczenie piły Strykera – czy wie pani, że w czwartek jest spotkanie Towarzystwa Transplantologicznego?

– Mam uczestniczyć w wyborze ławy przysięgłych.

Odwróciłam się do doktor Anderson.

– A pani występuje w czwartek w sądzie?

– Tak, sprawa jest kontynuowana. Wysyłają mi wezwania do stawienia, chociaż zażądali powołania mnie jako biegłej.

– Pani poprosi Rose, żeby się tym zajęła. Jeżeli jest pani wolna i nie będziemy mieli w czwartek dużo roboty, może pani iść z Fieldingiem na spotkanie transplantologów.

Sprawdziłam wózki i szafki zastanawiając się, czy zniknęło jeszcze jakieś inne pudełko rękawiczek chirurgicznych, ale wyglądało na to, że Gault zabrał tylko te z furgonetki. Rozmyślałam, co jeszcze mógł znaleźć w moim biurze i moje myśli stały się jeszcze bardziej ponure.

Nie odzywając się do nikogo ani słowem, poszłam prosto do swego gabinetu i otworzyłam drzwi szafki pod mikroskopem. Z tyłu miałam schowany zestaw noży do sekcji, które Lucy podarowała mi pod choinkę. Niemieckie, z nierdzewnej stali, z gładkimi, lekkimi rękojeściami. Były drogie i nieprawdopodobnie ostre. Wyjęłam tekturowe pudełko z

przezroczami, czasopisma, żarówki do podświetlania stolika mikroskopu, baterie i stopy papierów. Noże zniknęły.

W gabinecie przylegającym do mojego Rose wisiała na telefonie; weszłam tam i stanęłam przy biurku.

– Ale już ją powołaliście jako biegłą – mówiła. – Jeśli tak, to oczywiście nie musicie wysyłać jej wezwań, by się stawiła; może wam przesłać swoje zeznanie...

Spojrzała na mnie i przewróciła oczami. Rose posunęła się w latach, ale była czujna i energiczna. Słońce czy deszcz, zawsze trwała na posterunku.

– Tak, tak, wreszcie do czegoś dochodzimy. – Nabazgrała coś w notatniku. – Obiecuję, że doktor Anderson będzie bardzo wdzięczna. Oczywiście. Życzę miłego dnia.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na mnie.

– Posunęłyście się za daleko.

– Opowiedz mi o tym.

– Lepiej niech pani uważa. Pewnego dnia zobaczy pani, że pracuję już gdzie indziej.

Byłam zbyt wyczerpana na żarty.

– Nie winiłabym cię – rzekłam.

Przyjrzała mi się jak dociekliwa matka, która wie, że piłam, coś kombinowałam lub wykradłam się na papierosa.

– O co chodzi, doktor Scarpetta? – spytała.

– Czy widziałaś moje noże do sekcji?

Nie wiedziała, o czym mówię.

– Te, które dostałam od Lucy. Trzy noże w twardym plastikowym pudełku. Trzy rozmaite wielkości.

Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Och tak, teraz pamiętam. Myślałam, że trzyma je pani w swojej szafce.

– Nie ma ich tam.

– Psiakrew. Mam nadzieję, że to nie sprzątaczkę. Kiedy ostatni raz je pani widziała?

– Prawdopodobnie zaraz po tym, jak je otrzymałam od Lucy. To znaczy tuż przed świętami, ponieważ nie chciała ich zabierać ze sobą do Miami. Pokazywałam ci je, pamiętasz? A potem schowałam je do szafki, gdyż nie miałam zamiaru trzymać ich na dole. Rose spochmurniała.

– Wiem, o co pani chodzi. Och – wzdrygnęła się – jaka makabryczna myśl.

Przyciągnęłam sobie krzesło i usiadłam.

– Myśl o tym, że coś podobnego uczynił moimi nożami...

– Nie może pani tak uważać. – Przerwała mi. – Nie ma pani kontroli nad tym, co on robi.

Zapatrzyłam się przed siebie.

– Martwię się o Jennifer – powiedziała sekretarka.

Jennifer była jedną z urzędniczek w moim biurze. Jej główne zadanie polegało na sortowaniu zdjęć, odpowiadaniu na telefony i wprowadzaniu danych do naszego komputera.

– Przeżywa załamanie.

– To się czasem zdarza – rzekłam.

Rose skinęła głową.

– Płakała dziś rano w umywalni. Wiadomo, że to, co się stało, jest okropne i krąży tutaj wiele plotek. Ale ona jest dużo bardziej podenerwowana niż ktokolwiek inny. Staralam się z nią porozmawiać. Obawiam się, że zamierza odejść z pracy.

Przesunęła mysz na ikonę WorldPerfect i kliknęła.

– Wydrukuję protokoły z sekcji, żeby je pani przejrzała.

– Napisałaś już oba?

– Przyszłam wcześniej rano. Mam napęd na cztery koła.

– Porozmawiam z Jennifer – obiecałam.

Poszłam wzdłuż korytarza. Lucy tkwiła zahipnotyzowana przed monitorem i nie przeszkadzałam jej. W pomieszczeniach frontowych budynku Tamara odpowiadała na jakiś telefon, podczas gdy dwa inne dzwoniły, a jeszcze ktoś, chcąc się połączyć, bez powodzenia błyskał na linii. Cleta robiła fotokopie, podczas gdy Jo wprowadzała do komputera świadectwa zgonu. Wróciłam korytarzem i pchnęłam drzwi do damskiej toalety. Jennifer stała przy jednej z umywalek, ochlapując sobie twarz zimną wodą.

– Och! – wykrzyknęła, kiedy ujrzała mnie w lustrze. – Dzień dobry, doktor Scarpetta.

Wyglądała na zdenerwowaną i zakłopotaną. Była pospolitą młodą kobietą, która zawsze walczyła z kaloriami i nosiła stroje mające maskować ich nadmiar. Miała opuchnięte oczy, wystające zęby i rozczochrane włosy. Nawet w chwili takiej jak ta, kiedy jej wygląd nie powinien mieć znaczenia, stosowała zbyt mocny makijaż.

– Usiądź, proszę – powiedziałam łagodnie, przesuwając w pobliże szafek czerwone, plastikowe krzeselko.

– Przepraszam – odezwała się. – Wiem, że nie pracuję dzisiaj dobrze.

Wzięłam drugie krzeselko i usiadłam, żeby nad nią nie górować.

– Jesteś zdenerwowana – stwierdziłam.

Zagryzła dolną wargę, by powstrzymać jej drzenie, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Jak mogę ci pomóc? – spytałam.

Potrząsnęła głową i zaczęła szlochać.

– Nie mogę przestać – wyznała. – Nie mogę przestać płakać. Jeżeli ktoś zaszura krzesłem o podłogę, podskakuję.



Trzęsącymi się rękami otarła łzy papierowym ręcznikiem.

– Czuję, że wariuję.

– Kiedy się to zaczęło?

Wydmuchwała nos.

– Wczoraj, po znalezieniu szeryfa i tego policjanta. Słyszałam o tym na dole. Powiedzieli, że nawet jego buty się paliły.

– Jennifer, czy pamiętasz broszurę, którą wydałam na temat syndromu stresu pourazowego?

– Tak, proszę pani.

– To jest coś, czym wszyscy musimy się przejmować w takim miejscu jak to. Każdy z nas. Ja także jestem tym przejęta.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Oczywiście. Obawiam się tego bardziej niż ktokolwiek inny.

– Myślałam, że pani przywykła.

– Bóg nie pozwala, żebyśmy przywykli.

– To znaczy – zniżyła głos, jakbyśmy rozmawiały o seksie – że czuje się pani tak jak ja teraz? Jestem pewna, że nie – dodała szybko.

– Z pewnością tak – oznajmiłam. – Czasami jestem bardzo zdenerwowana.

Jej oczy ponownie napełniły się łzami i wzięła głęboki oddech.

– To sprawia, że czuję się o niebo lepiej. Wie pani, kiedy byłam mała, mój tata zawsze mi mówił, jaka jestem głupia i gruba. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że ktoś taki jak pani może się czuć tak jak ja.

– Nikt nie powinien ci mówić takich rzeczy – odparłam z naciskiem. – Jesteś wspaniałym człowiekiem, Jennifer, i mamy wielkie szczęście, że pracujesz z nami.

– Dziękuję – powiedziała cicho, wzrok miała spuszczoney.

Wstałam.

– Sądzę, że powinnaś dzisiaj pójść do domu i zrobić sobie długie, miły weekend. Co ty na to?

Patrzyła w dalszym ciągu w podłogę.

– Zdaje mi się, że go widziałam – powiedziała, przygryzając dolną wargę.

– Kogo?

– Tego mężczyznę. – Spojrzała mi w oczy. – Kiedy ujrzałam w telewizji jego zdjęcie, nie mogłam w to uwierzyć. Nie przestawałam myśleć, że muszę o tym komuś powiedzieć.

– Gdzie go widziałas?

– W Pogłoskach.

– W barze? – spytałam.

Skinęła głową.

– Kiedy to było?

– We wtorek.

Przyjrzałam się jej dokładnie.

– Ostatni wtorek? Po Bożym Narodzeniu?

Tej nocy Gault był w Nowym Jorku. Widziałam go w tunelu metra albo przynajmniej tak mi się zdawało.

– Tak, madam – potwierdziła Jennifer. – Myślę, że było około dziesiątej wieczorem. Tańczyłam z Tommym.

Nie wiedziałam, kto to jest Tommy.

– Widziałam go snującego się pośród innych ludzi. Nie mogłam go nie zauważyć z powodu tych jego białych włosów. Nie zwykłam widywać nikogo w jego wieku o tak siwych włosach. Był w idealnie czarnym, lekkim garniturze, pod którym miał czarny podkoszulek. Pamiętam to. Pomyślałam, że pochodzi spoza miasta. Może z jakiejś dużej metropolii, jak Los Angeles czy coś takiego.

- Tańczył z kimś?
  - Tak, zatańczył z jedną czy dwoma dziewczynami. Wie pani, postawił im drinka. Potem go już nie widziałam, zniknął.
  - Wyszedł sam?
  - Wygląda na to, że z dziewczyną.
  - Wiesz z jaką? – zapytałam przerażona.
- Miałam nadzieję, że ta kobieta, kimkolwiek była, nadal żyje.
- To nie był nikt, kogo bym znała – odparła Jennifer. – Pamiętam tylko, że tańczył z nią. Zatańczyli ze trzy razy, a potem zeszli razem z parkietu, trzymając się za ręce.
  - Opisz ją – poleciłam.
  - Była czarna. Bardzo ładna, w krótkiej, głęboko wyciętej czerwonej sukience. Pamiętam, że miała jaskrawoczerwoną szminkę i cienkie warkoczyki z błyskającymi w nich malutkimi światełkami.
- Przerwała na moment.
- I jesteś pewna, że razem opuścili klub? – spytałam.
  - O tyle o ile. Żadnego z nich nie widziałam już później tej nocy, a zostaliśmy tam z Tommym do drugiej.
  - Chciałabym, żebyś zatelefonowała do kapitana Marino i opowiedziała mu to samo, co powiedziałaś mnie – oznajmiłam.
- Jennifer wstała z krzeselka, teraz czuła się ważna.
- Zadzwoń natychmiast.
- Wróciłam do swego gabinetu w chwili, kiedy Rose z niego wychodziła.
- Proszę zatelefonować do doktora Grubera – powiedziała.
- Wybrałam numer Muzeum Kwatermistrzostwa, by się przekonać, że Gruber wyszedł. Oddzwonił dwie godziny później.
- Czy w Petersburgu bardzo sypie? – spytałam.
  - Och, jest mokro i wszędzie zalega błoto.

– Jak sprawy?

– Mam coś dla pani – oświadczył doktor Gruber. – Ale naprawdę z tego powodu czuję się nie w porządku.

Czekałam. Nie powiedział nic więcej:

– Dokładnie, z jakiej przyczyny? – chciałam wiedzieć

– Poszukałem w komputerze nazwiska, które mi pani podała. Nie powinienem był tego robić.

Jego głos ponownie ucichł.

– Doktorze Gruber, zajmuję się sprawą seryjnego mordercy.

– Nigdy nie służył w wojsku.

– Ma pan na myśli jego ojca – powiedziałam rozczarowana.

– Żaden z nich – wyjaśnił Gruber. – Ani Temple, ani Peyton Gault.

– Och – rzekłam. – A zatem buty pochodzą prawdopodobnie ze sklepu z nadwyżkami wojskowymi.

– Możliwe, ale on może mieć wuja.

– Kto?

– Temple Gault. To dlatego się zastanawiam. Jest jeden Gault w komputerze, tylko że na imię ma Luther. Luther Gault. Służył w kwatermistrzostwie podczas drugiej wojny światowej. – Przerwał. – Prawdę mówiąc, przez większość czasu właśnie tutaj, w Fortcie Lee.

Nigdy w życiu nie słyszałam o Lutherze Gaulcie.

– Żyje nadal? – spytałam.

– Zmarł w Seattle jakieś pięć lat temu.

– Co wywołało pańskie podejrzenia, że mógł to być wuj Temple'a? Gaultowie pochodzą z Georgii, a Seattle znajduje się po drugiej stronie Stanów.

– Jedyńm związkiem, jakiego się doszukałem, jest nazwisko i Fort Lee.

– Uważa pan za możliwe – spytałam – że te traperskie buty mogły kiedyś należeć do niego?

– No cóż, pochodzą z czasów drugiej wojny światowej i były testowane tutaj, gdzie przez większość swej wojskowej kariery stacjonował Luther Gault. Zdarzało się, że żołnierze, a nawet niektórzy oficerowie bywali proszeni o wypróbowanie naszych butów czy innych części wyposażenia, zanim jakiegokolwiek z nich zostały wysłane chłopcom w szynelach.

– A co porabiał Luther Gault po wojnie?

– Nie mam żadnych informacji na ten temat, z wyjątkiem tego, że umarł w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. – Zawahał się. – Ale może panią zainteresować fakt, że zrobił w wojsku karierę. Odszedł na emeryturę w stopniu generała majora.

– I nigdy wcześniej pan o nim nie słyszał?

– Tego nie powiedziałem – przerwał znowu. – Sądzę, że armia ma dosyć danych na jego temat, jeśli tylko zdołałaby pani położyć na nich rękę.

– Czy mogłabym otrzymać jego fotografię?

– Mam jedną w komputerze. Dosyć niewyraźne zdjęcie do akt.

– Może je pan przefaksować?

Znowu wahanie.

– Jasne.

Rozłączyłam się, kiedy weszła Rose z protokołami z wczorajszych sekcji. Podczas oczekiwania na dzwonek faksu przejrzałam je i poczyniłam poprawki. W pewnej chwili faks dźwięknął i w moim gabinecie zmaterializowała się czarno-biała podobizna Luthera Gaulta. Stał dumnie w ciemnym, półoficjalnym mundurze ze złotymi pagonami i guzikami oraz satynowymi wyłogami. Istniało podobieństwo. Temple Gault miał jego oczy.

Zatelefonowałam do Wesleya.

– Prawdopodobnie Temple Gault miał wujka w Seattle – powiedziałam. –  
Był generał majorem.

– Jak się tego dowiedziałaś? – spytał.

Nie lubiłam tego jego opanowania.

– Nieważne. Liczy się to, że powinniśmy dowiedzieć się na ten temat  
wszystkiego, co możliwe.

Benton utrzymał swoją rezerwę.

– Jak to się wiąże?

Straciłam panowanie nad sobą.

– A jak cokolwiek jest powiązane, kiedy usiłuje się powstrzymać kogoś  
takiego jak on? Jeżeli nie masz nic, szukasz wszystkiego.

– Pewnie, pewnie – powiedział. – Żaden problem, ale nie możemy  
zrobić tego teraz. Ty także.

Odłożył słuchawkę.

Siedziałam ogłuszona, moje serce ścisnął ból. Ktoś musiał być w jego  
biurze. Wesley nigdy nie odkładał słuchawki wcześniej ode mnie. Kiedy  
wyszłam na poszukiwanie Lucy, moja paranoja nasiliła się.

– Cześć – powiedziała, zanim odezwałam się od drzwi.

– Musimy jechać – oświadczyłam.

– Dlaczego? Znowu pada?

– Nie, świeci słońce.

– Prawie tutaj skończyłam – rzekła, pisząc.

– Muszę ciebie i Janet zawieźć z powrotem do Quantico.

– Musisz zadzwonić do babci – odparła. – Czuje się opuszczona.

– Zanedbuję ją i mam poczucie winy – przyznałam się.

Kiedy odezwał się mój pager, Lucy obejrzała się i popatrzyła na mnie.

– Gdzie jest Janet? – spytałam.

– Chyba poszła na dół.

Wywołałam odczyt i rozpoznałam domowy numer Marino.

– Znajdź ją i spotkajmy się za chwilę na dole.

Wróciłam do gabinetu i tym razem zamknęłam za sobą drzwi. Kiedy zadzwoniłam do Marino, jego głos brzmiał tak, jakby Pete był na amfetaminie.

– Wyjechali – powiedział.

– Kto?

– Odkryliśmy, gdzie się zatrzymali. Hacienda Motel przy US 1, w tej karaluszej norze niedaleko od miejsca, gdzie kupujesz całą tę swoją broń i amunicję. To tam ta dziwka wzięła tę panienkę.

– Jaką panienkę? – Nadal nie wiedziałam, o czym mówi.

Potem przypomniałam sobie Jennifer.

– Ach, kobietę, którą Carrie poderwała w Pogłoskach?

– Tak. – Był tak podniecony, jakby znajdował się w stanie zagrożenia. – Nazywa się Apollonia i...

– Żyje? – przerwałam mu.

– Och, tak. Carrie przywiozła ją do motelu i zrobiły sobie balangę.

– Kto prowadził?

– Apollonia.

– Znaleźliście moją furgonetkę na parkingu motelu?

– Nie, wpadliśmy tam przed chwilą. Pokoje były wysprzątane, jakby ich nigdy tutaj nie było.

– A zatem Carrie nie była w zeszły wtorek w Nowym Jorku – powiedziałam.

– Nie. Zabawiała się tutaj, podczas gdy Gault był w Nowym Jorku, gdzie załatwił Jimmy'ego Davilę. Potem, jak sądzę, wynajęła pokój dla niego i prawdopodobnie pomogła mu się do niego dostać.

– Wątpię, żeby przyleciał do Richmond z Nowego Jorku – rzekłam. – To byłoby zbyt ryzykowne.

– Osobiście sędzę, że poleciał w środę do DC...

– Marino – wtrąciłam. – Ja byłam w środę w DC.

– Wiem o tym. Być może lecieliście jednym samolotem.

– Nie widziałam go.

– Nie wiesz, czy nie widziałaś. Ale problem w tym, że jeżeli istotnie byliście w tym samym samolocie, to założę się, iż on widział ciebie.

Przypomniałam sobie wyjście z lotniska i wsiadanie do tej starej, poobijanej taksówki, w której nie dawały się otworzyć ani okna, ani drzwiczki. Zastanawiałam się, czy Gault to obserwował.

– Czy Carrie ma samochód? – spytałam.

– Ma saaba kabriolet, zarejestrowany na jej nazwisko. Ale jasne jak słońce, że nie jeździ nim teraz.

– Nie wiem, czemu poderwała tę Apollonię. Jak ją znalazłaś?

– Łatwo. Ona pracuje w Pogłoskach. Nie jestem pewien, co sprzedaje, ale to nie są tylko papierosy.

– Cholera – zamruczałam.

– Przypuszczam, że tropem jest koka – rzekł Marino. – I może cię zainteresować, że Apollonia знаła szeryfa Browna. Prawdę powiedziawszy, można powiedzieć, że się spotykali.

– Myślisz, że mogła mieć coś wspólnego z tym morderstwem? – spytałam.

– Tak. Prawdopodobnie pomogła Carrie i Gaultowi dotrzeć do niego. Zaczynam przypuszczać, że szeryf był pogotowiem ratunkowym dla narkomanów. Sędzę, że Carrie spytała Apollonię, gdzie mogłaby kupić trochę kokainy, i wypłynęło nazwisko Browna. Potem Carrie powiedziała Gaultowi, a on rozpisał na instrumenty kolejny ze swoich koszmarów.



– To bardzo możliwe – przyznałam. – Czy Apollonia wiedziała, że Carrie to kobieta?

– Taaa. To nie miało znaczenia.

– Cholera. Byliśmy tak blisko.

– Wiem. Wprost nie mogę uwierzyć, że tak łatwo wyslizgnęli się z sieci. Poszukują ich wszyscy poza Gwardią Narodową. Mamy w powietrzu helikoptery, wszystkie dziewięć komisariatów stoi na głowie. Ale czuję, że wyjechali z miasta.

– Rozmawiałam z Bentonem i odłożył słuchawkę – poinformowałam go.

– Co? Pokłóciliście się?

– Marino, coś idzie cholernie źle. Miałam wrażenie, że ktoś był w jego biurze, a Benton nie chciał, żeby ta osoba wiedziała, że ze mną rozmawia.

– Może jego żona.

– Jadę tam teraz z Lucy i Janet.

– Zostaniecie na noc?

– To zależy.

– No cóż, chciałbym, żebyś się nie kręciła tutaj samochodem. A jeśli ktokolwiek spróbuje cię zatrzymać z jakiegokolwiek powodu, nie stawaj. Żadne latarki, syreny ani nic innego, poza oznakowanym patrolem policyjnym. – Obdarzył mnie jednym ze swoich wykładów. – I trzymaj swego remingtona pomiędzy przednimi siedzeniami.

– Gault nie zamierza przestać zabijać – powiedziałam.

Marino milczał po drugiej stronie przewodu.

– Kiedy był w moim gabinecie, ukradł zestaw noży sekcyjnych.

– Jesteś pewna, że nie zrobił tego nikt z personelu sprzątającego? Takie noże są dobre do filetowania ryb.

– Wiem, że to Gault.

Wróciłyśmy do Quantico krótko po trzeciej, a kiedy usiłowałam znaleźć Wesleya, nie było go. Zostawiłam mu wiadomość, by odszukał mnie w OBI, gdzie zamierzałam spędzić kilka następnych godzin w towarzystwie siostrzenicy.

Na całym piętrze nie było żadnych inżynierów ani naukowców, ponieważ trwał świąteczny weekend i miałyśmy okazję popracować same i w zupełnym spokoju.

– Mogę tu otrzymać pocztę elektroniczną z całego świata – oświadczyła Lucy, siedząc za swoim pulpitem. – Posłuchaj, dlaczego nie miałybyśmy czegoś stąd wypuścić i zobaczyć, kto to pochwyti?

– Pozwól mi ponownie skontaktować się z szefem koronerów w Seattle.

Miałam jego numer zapisany na skrawku papieru; zadzwoniłam do niego. Powiedziano mi, że wyjechał na cały dzień.

– To bardzo ważna sprawa – wyjaśniłam sekretarce. – Może jest w domu?

– Nie mam prawa podać pani tego numeru. Ale jeśli zostawi mi pani swój, to kiedy zadzwoni po wiadomości...

– Nie mogę tego zrobić – powiedziałam z rosnącą frustracją. – Jestem pod numerem, pod który nie może zatelefonować.

Powiedziałam jej, kim jestem, dodając:

– Podam pani numer swego pagera. Proszę powiedzieć, żeby mnie wywołał, a wtedy oddzwonię do niego.

Nie zadziało. Godzinę później mój pager milczał.

– Prawdopodobnie nie wzięła sobie tego do serca – rzekła Lucy, buszując w KAIN-ie.

– Czy są gdziekolwiek jakieś dziwne wiadomości? – spytałam.  
– Nie. Jest piątek i mnóstwo ludzi wyjechało. Myślę, że powinniśmy wysłać coś do „Prodigy” i zobaczyć, co nadejdzie w odpowiedzi.

Usiadłam obok niej.

– Jak nazywa się ta grupa?

– American Academy of Gold Foil Operators.

– I najwięcej jej członków znajduje się w stanie Waszyngton?

– Tak. Ale nie byłoby źle włączyć całe Zachodnie Wybrzeże.

– To włączy całe Stany – odparła Lucy, wystukując „Prodigy”, podając swój służbowy ID i hasło.

– Sądzę, że najlepiej zrobić to przez e-mail. – Spoglądając na mnie, podciągnęła Jump Window. – Co chcesz, żebym napisała?

– Na przykład: *Do wszystkich członków American Academy of Gold Foil Operators. Patolog Sądowy potrzebuje waszej pomocy tak szybko, jak to tylko możliwe. A potem podaj nasz adres.*

– W porządku. Podam im skrzynkę e-mailową tutaj i identyczną w Richmond. – Wróciła do klawiatury. – Odpowiedzi mogą przyjść za jakiś czas. Może się okazać, że poznasz korespondencyjnie wielu dentystów.

Uderzyła w klawisz, jakby to była muzyczna koda i odepchnęła się z fotelem do tyłu.

– Masz. Poszło – rzekła. – Nawet kiedy tu rozmawiamy, każdy subskrybent powinien dostać informację o czekającej na niego nowej wiadomości. Miejmy nadzieję, że ktoś tam siedzi przy swoim komputerze. I że może nam pomóc.

Już kiedy to mówiła, jej monitor nagle ściemniał i zaczęły się na nim ukazywać jasnozielone litery. Ruszyła drukarka.

– Nadzwyczaj szybko – zaczęłam.

Ale Lucy już nie było na jej miejscu. Pobiegła do pomieszczenia, w którym znajdował się KAIN i przyłożyła dłoń do identyfikatora linii papilarnych, by wejść do środka. Szklane drzwi otworzyły się z głośnym szcęknięciem, a ja weszłam za nią do środka. Ta sama wiadomość biegła na ekranie głównego systemu, a Lucy porwała z blatu małego, beżowego pilota i nacisnęła przycisk. Spojrzała na swego Breitlinga i uruchomiła stoper.

– Chodź, tutaj, chodź! – zawołała.

Usiadła przed KAIN-em, patrząc w ekran, kiedy stopniowo ujawniała się wiadomość. Był to pojedynczy, krótki akapit, wielokrotnie powtórzony.

---

...WIADOMOŚĆ PQ43 76301 001732  
DO: WSZYSTKICH POLICJANTÓW  
OD: KAINA  
JEŻELI KAIN ZABIŁ SWEGO BRATA, TO JAK MYŚLISZ, KTO ZABIJE CIEBIE?  
JEŻELI TWÓJ PAGER ODZYWA SIĘ W KOSTNICY, TO ZNACZY, ŻE TELEFONUJE  
JEZUS.  
...WIADOMOŚĆ PQ43 76301 001732 KONIEC...

---

Spojrzałam na zapełniające jedną ścianę półki modemów i na ich błyskające światełka. Chociaż nie czułam się ekspertem komputerowym, nie dostrzegałam korelacji pomiędzy ich aktywnością a tym, co objawiało się na ekranie. Rozejrzałam się wokoło jeszcze raz i pod blatem biurka zauważyłam telefoniczne gniazdko. Włączony do niego przewód zniknął pod podestem KAIN-a. Pomyślałam, że to dziwne.

Dlaczego jakieś urządzenie, wpięte do telefonicznego kontaktu, miałyby się znajdować pod podłogą? Telefony stały na stolikach i biurkach. Modemy znajdowały się na ściennych stelażach. Schyliłam się i

podniosłam panel zasłaniający trzecią część podłogi w pomieszczeniu KAIN-a.

– Co robisz? – wykrzyknęła Lucy, nie odrywając wzroku od ekranu.

Modem pod podłogą wyglądał jak mały, zagadkowy sześcian z gwałtownie migającymi światełkami.

– Cholera! – powiedziała Lucy.

Spojrzałam na nią. Patrzyła na zegarek, zapisując coś. Obraz zniknął z monitora. Światełka modemu przestały mrugać.

– Zepsułam coś? – spytałam skonsternowana.

– Ty draniu! – Grzmotnęła pięścią w pulpit, aż podskoczyła klawiatura.

– Prawie cię miałam. Jeszcze trochę i dobiorę ci się do dupy!

Wstałam.

– Nie zrobiłam niczego złego, mam nadzieję? – spytałam.

– Nie. Niech to szlag! Rozłączył się. Miałam go – mówiła, nadal patrząc na monitor, jakby znowu miały zacząć płynąć zielone wyrazy.

– Gaulta?

– Podszywającego się pod KAIN-a. – Wypuściła z siebie głośno powietrze i spojrzała w dół na nagie wnętrzości tworów, który nazwała imieniem pierwszego mordercy w historii ludzkości. – Znalazłaś to – powiedziała łagodnie. – Całkiem niezłe.

– To w ten sposób on się tutaj dostaje – oświadczyłam.

– Tak. To jest tak oczywiste, że nikt na to nie wpadł.

– Ty zauważyłaś.

– Nie od razu.

– Carrie to umieściła, zanim stąd odeszła jesienią – rzekłam.

Lucy skinęła głową.

– Jak wszyscy, szukałam czegoś bardziej technicznie wyrafinowanego. Ale to było wspaniałe dzięki swej prostocie. Ukryła tu własny modem,

którego kodem wywoławczym jest numer prawie nigdy nie używanej linii diagnostycznej.

– Od jak dawna o tym wiesz?

– Odkąd pojawiły się pierwsze dziwne wiadomości.

– Więc zaczęłaś bawić się z nim w tę grę – rzekłam zdenerwowana. –

Czy wiesz, jak bardzo jest ona niebezpieczna?

Zaczęła stukać w klawiaturę.

– Próbował cztery razy. Boże, byliśmy tak blisko.

– Przez jakiś czas sądziłaś, że to robi Carrie.

– Ona to urządziła, ale wcale nie uważałam, że się włamuje do KAIN-a.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ śledziłam tego intruza dzień i noc. To jest ktoś niezbyt zręczny. – Po raz pierwszy od miesiąca wypowiedziała imię swojej byłej przyjaciółki. – Wiem, jak działa umysł Carrie, a Gault jest zbyt narcystyczny, by pozwolić komukolwiek innemu – poza nim samym – być KAIN-em.

– Dostałam list, prawdopodobnie od Carrie, podpisany KAIN – oznajmiłam.

– Założę się, że Gault nie wiedział, że ona go wysłała. I założę się także, że jeśli to odkryje, pozbawi ją tej małej przyjemności.

Pomyślałam o różowym liściku, który – jak podejrzewaliśmy – Gault zabrał Carrie w domu szeryfa Browna. Kiedy Temple włożył go do kieszeni góry zakrwawionej piżamy, działanie to z pewnością służyło potwierdzeniu jego dominacji. Gault wykorzystywał Carrie, w związku z czym ona zawsze czekała w samochodzie, z wyjątkiem tych chwil, kiedy potrzebował jej pomocy do przeniesienia ciała albo gdy musiała odbyć poniżający akt seksualny.

– Więc co się tutaj stało? – spytałam.

Odpowiadając, Lucy nie patrzyła na mnie.

– Znalazłam wirus i wprowadziłam własny. Za każdym razem, kiedy Gault usiłował przesłać jakąś wiadomość do dowolnego terminalu podłączonego do KAIN-a, wirus powodował, że zostawała ona powtórzona na jego monitorze – jak odbicie prosto w twarz – zamiast dokądkolwiek iść. Do tego otrzymywał wskazówkę: *Spróbuj jeszcze raz*. Więc ponawiał próbę. Kiedy przytrafiło mu się to za pierwszym razem, system dał mu dostęp po dwóch powtórkach, więc uznał, że wiadomość została wysłana.

Kiedy jednak znowu się podłączył, stało się to samo, ale zmusiłam go do dokonania jednej próby więcej. Chodzi o to, żeby zatrzymać go na linii tak długo, by udało się nam namierzyć miejsce, z którego wchodzi do systemu.

– Nam?

Lucy podniosła małego beżowego pilota, którego widziałam już wcześniej.

– Mój sygnał alarmowy – powiedziała. – Bezpośrednie połączenie radiowe z kwaterą główną.

– Przypuszczam, że Wesley wiedział o tym ukrytym modemie, odkąd go tylko znalazłaś?

– Tak.

– Wyjaśnij mi coś – poprosiłam.

– Pewnie. – Spojrzała mi w oczy.

– Nawet jeśli Gault czy Carrie mają ten sekretny modem i jego tajny numer, to co z twoim hasłem dostępu? Jak mogą się podłączyć jako superużytkownik? I czy nie ma tam jakichś komend UNIX, które mogłabyś wpisać, a które powiedziałyby ci, że do systemu jest podłączony jakiś inny użytkownik lub urządzenie?

– Carrie zaprogramowała wirus tak, by przechwytywał moje hasło każdorazowo, ilekroć je zmieniałam. Jego rozkodowana forma była

przesyłana do Gaulta pocztą elektroniczną. Znając je mógł się podłączyć, podszywając się pode mnie, ale wirus nie pozwalał mu wejść do systemu, póki ja także w nim byłam.

– Ukrywał się za tobą.

– Jak cień. Używał adresu mego terminalu. Korzystał z mojego hasła i imienia użytkownika. Okryłam to kiedyś, gdy sprawdziłam, że moje imię pojawiło się dwukrotnie.

– Jeżeli KAIN łączy się z danym użytkownikiem, by sprawdzić jego prawo dostępu, to dlaczego numer telefonu Gaulta nie ujawnił się w miesięcznych wydrukach rachunków telefonicznych OBI?

– To także jest częścią programu wirusa. Poleca on systemowi rozmów zwrotnych zaliczyć koszt połączeń w poczet karty kredytowej AT&T, w związku z czym nie znalazły się one nigdy w wykazach rachunków telefonicznych Biura. Płaci za nie ojciec Gaulta.

– Zdumiewające.

– Oczywiście, Gault zna numer karty swego ojca i jego kod PIN.

– Wie, że jego syn z niej korzysta?

Zadzwoił telefon. Lucy podniosła słuchawkę.

– Tak, sir – powiedziała. – Wiem. Byliśmy blisko. Oczywiście, natychmiast przyniosę panu wydruki.

Odłożyła słuchawkę.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek mu o tym powiedział.

– To znaczy nikt stąd nie powiadomił Peytona Gaulta.

– Zgadza się. Telefonował pan Wesley.

– Muszę z nim pogadać – oświadczyłam. – Czy zaufasz mi na tyle, bym mogła mu zanieść te wydruki?

Lucy patrzyła na monitor, na którym ponownie pojawił się oszczędzacz ekranu – lśniące kształty prześlizgiwały się jeden po drugim, tańcząc



wokoło siebie, jakby uprawiały seks.

– Możesz mu je zanieść – powiedziała wywołując „Prodigy”. – Zanim jednak wyjdiesz... Hej, czeka na nas wiadomość.

– Ile jest tych informacji? – podeszłam do niej bliżej.

– Jak dotąd, tylko jedna – otworzyła ją.

*Co to są złote plomby?* – przeczytałam.

– Prawdopodobnie dostaniemy dużo podobnych – powiedziała Lucy.



Kiedy weszłam do hallu akademii, za kontuarem recepcyjnym ponownie znajdowała się Sally, która pozwoliła mi przejść, nie rejestrując mnie ani nie wydając mi przepustki gościa.

Poszłam zdecydowanie wzdłuż długiego, brązowego korytarza, obok poczty, a potem koło pomieszczenia czyszczenia broni. Uwielbiałam panujący w nim zapach.

Samotny mężczyzna w roboczym mundurze przedmuchiwał sprężonym powietrzem lufę karabinu. Rzędy długich, czarnych blatów były puste i idealnie czyste, a ja pomyślałam o latach zajęć, o mężczyznach i kobietach, których tu widziałam, oraz o czasach, kiedy sama stałam przy pulpicie, czyszcząc własny rewolwer. Widziałam przychodzących i wychodzących nowych agentów. Widziałam ich biegających, walczących, strzelających i spoconych. Uczyłam ich i opiekowałam się nimi.

Wezwałam windę, weszłam do niej i zjechałam na niższy poziom. W pokojach widziałam wiele sylwetek, ludzie kiwali w moim kierunku głowami, kiedy przechodziłam. Sekretarka Wesleya miała wolne, więc

minęłam jej biurko i zapukałam w zamknięte drzwi. Usłyszałam jego głos. Odsunął fotel i podszedł do drzwi, otwierając je.

– Witaj – powiedział zaskoczony.

– To są wydruki, które chciałeś dostać od Lucy. – Wręczyłam mu je.

– Dziękuję. Wejdz, proszę. – Założył okulary do czytania, przeglądając informację, którą nadesłał nam Gault.

Był bez marynarki; biała koszula marszczyła się wokół skórzanych pasków kabury. Wesley był spocony i przydałoby mu się golenie.

– Schudłeś jeszcze bardziej? – spytałam.

– Nigdy się nie ważę – odparł.

Spojrzał na mnie sponad okularów i usiadł za biurkiem.

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Jest coraz bardziej rozstrojony – doszedł do wniosku. – Wynika to z tej wiadomości. Ponosi go brawura. Zaryzykowałbym twierdzenie, że namierzemy go pod koniec weekendu.

– A co potem?

– Wezwiemy OUZ.

– Rozumiem – rzekłam sucho. – A wtedy oni dokonają desantu ze śmigłowców i wysadzą budynek w powietrze.

Wesley spojrzał na mnie ponownie. Odłożył papiery na biurko.

– Jesteś zła – zauważył.

– Nie, Benton. Jestem zła na ciebie, a nie w ogóle.

– Dlaczego?

– Prosiłam cię, żebyś nie wciągał w to Lucy.

– Nie mieliśmy wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór. Nie obchodzi mnie, co kto mówi.

– Mając na uwadze kwestię zlokalizowaniu Gaulta, trzeba przyznać, że ona stanowi teraz naszą jedyną nadzieję. – Urwał, patrząc wprost na mnie. –

Lucy ma własne zdanie.

– Tak, ma. To mój problem. Nie wie, kiedy się wycofać. Nie zawsze dostrzega granice.

– Nie zamierzamy jej pozwolić na zrobienie niczego takiego, co naraziłoby ją na ryzyko – powiedział.

– Już jest na nie narażona.

– Musisz pozwolić jej dorosnąć, Kay.

Zagapiłam się na niego.

– Tej wiosny robi dyplom na uniwersytecie. Jest dorosłą kobietą.

– Nie chcę, żeby tu wróciła – odrzekłam.

Uśmiechnął się lekko, ale jego oczy pozostały zmęczone i smutne.

– A ja mam nadzieję, że będzie tutaj pracowała. Potrzebujemy takich agentek, jak ona i Janet. Potrzebujemy wszystkich, których możemy dostać.

– Wiele rzeczy utrzymuje przede mną w sekrecie. Wydaje mi się, że oboje spiskujecie za moimi plecami, pozostawiając mnie w niewiedzy. Już wystarczająco źle... – Ugryzłam się w język.

Wesley spojrzał mi w oczy.

– Kay, to nie ma nic wspólnego z naszym związkiem.

– Chciałabym, żeby tak było.

– Chcesz wiedzieć o wszystkim, co robi Lucy.

– Oczywiście.

– A czy ty mówisz jej o wszystkim, kiedy zajmujesz się jakąś sprawą?

– Absolutnie nie.

– Rozumiem.

– Dlaczego odłożyłeś słuchawkę?

– Zadzwońska w nieodpowiednim momencie – odparł.

– Nigdy wcześniej nie rozłączałeś się, bez względu na to, jak bardzo niewłaściwa była to chwila.

Zdjął okulary i ostrożnie je złożył. Sięgnął po kubek z kawą, zajrzał do środka i stwierdził, że jest pusty. Trzymał go obiema rękami.

– W moim biurze był ktoś i nie chciałem, by ta osoba wiedziała, że jesteś na linii – wyjaśnił.

– Kto taki? – spytałam.

– Ktoś z Pentagonu. Nie mogę podać nazwiska.

– Z Pentagonu? – powtórzyłam zaskoczona.

Milczał.

– Dlaczego uważasz, że ten ktoś z Pentagonu mógłby wiedzieć, że to ja do ciebie dzwonię? – dociekałam.

– Wygląda na to, że wywołałaś pewien problem – odparł Benton bez ogródek, odstawiając kubek. – Wolałbym, żebyś nie zaczęła niuchać wokół Fortu Lee.

Zdziwiłam się.

– Twój przyjaciel, doktor Gruber, może zostać zwolniony. Doradzałbym ci, żebyś powstrzymała się od ponownego kontaktowania się z nim.

– To z powodu Luthera Gaulta?

– Tak, generała Gaulta.

– Nie mogą nic zrobić Gruberowi – zaprotestowałam.

– Obawiam się, że mogą – stwierdził Wesley. – Doktor Gruber przeprowadził nieautoryzowane poszukiwania w wojskowej bazie danych. Przekazał ci utajnione informacje.

– Utajnione? – rzekłam. – To absurd. To jedna strona rutynowych informacji, jaką możesz uzyskać płacąc dwadzieścia dolarów podczas pobytu w Muzeum Kwatermistrzostwa. Nie poprosiłam, do cholery, o tajne akta Pentagonu.

– Nie możesz zapłacić tych dwudziestu dolarów, jeśli nie masz pełnomocnictwa uprawniającego do uzyskania tej szczególnej informacji

albo nie jesteś tą właśnie osobą.

– Benton, rozmawiamy o seryjnym mordercy. Czy wszyscy powariowali? Kogo, do diabła, obchodzą ogólnie dostępne dane komputerowe?

– Wojsko.

– Czy rzecz zahacza o sprawy bezpieczeństwa narodowego?

Wesley nie odpowiedział. Kiedy nadal milczał, powiedziałam:

– Dobra. Możecie, chłopcy, mieć swoje małe tajemnice. Rzygać mi się chce z ich powodu. Moim jedynym celem jest zapobiec dalszym zbrodniom. I nie jestem już pewna, jakie ty masz priorytety.

Moje spojrzenie było raniące i nie obiecywało wybaczenia.

– Proszę. – Wesley westchnął z rozdrażnieniem – Wiesz, pewnego dnia zacznę palić jak Marino. Generał Gault nie jest związany z tym śledztwem. Nie ma potrzeby go w to wciągać.

– Myślę, że wszystko, czego dowiemy się o rodzinie Gaultów, może być istotne. I nie mogę uwierzyć, że tego nie rozumiesz. Informacje z przeszłości mają kapitalne znaczenie dla stworzenia portretu psychologicznego i przewidzenia zachowania mordercy.

– Mówię ci, że generał Gault jest poza naszym zasięgiem.

– Dlaczego?

– Szacunek.

– Dobry Boże, Benton! – pochyliłam się w przód w swoim fotelu. – Być może Gault zabił dwoje ludzi, mając na nogach te pieprzone traperskie buty swego wuja. A jakby się to spodobało armii, gdyby przeczytali o tym w „Timie” lub „Newsweeku”?

– Nie groź.

– Z całą pewnością będę grozić. Jeżeli ludzie nie będą postępować właściwie, posunę się jeszcze dalej. Opowiedz mi o generale. Wiem już, że

jego bratanek odziedziczył po nim oczy. I że generał puszył się, ponieważ wygląda na to, że wolał fotografować się we wspinałym mundurze półwyjściowym, jaki nosił Eisenhower.

– Być może miał nadmiernie rozbudowane ego, ale biorąc pod uwagę wszystko inne, był wspinałym człowiekiem – odparł Wesley.

– A zatem to wuj Gaulta? Przyznajesz to?

Benton zawahał się.

– Luther Gault jest wujem Temple’a Gaulta.

– Powiedz coś więcej.

– Urodził się w Albany i ukończył studia w Cytadeli w 1942 roku. Dwa lata później, kiedy został kapitanem, jego dywizję przerzucono do Francji, gdzie wślawił się w bitwie o Bulge. Odznaczono go Medalem za Odwagę i awansowano. Po wojnie skierowano do Fortu Lee jako oficera nadzorującego jednostkę badań i rozwoju umundurowania w oddziałach kwatermistrzostwa.

– A zatem buty należały do niego – powiedziałam.

– Z całą pewnością mogło tak być.

– Czy był dużym mężczyzną?

– Powiedziano mi, że bratanek jest mniej więcej podobnej budowy, co jego wuj, kiedy był młodszy.

Pomyślałam o zdjęciu generała w kurtce półwyjściowego munduru. Był smukły i niezbyt wysoki. Twarz miał wyrazistą, wzrok pozbawiony wahania, ale nie wyglądał na gbura.

– Luther Gault służył także w Korei – ciągnął Wesley. – Na jakiś czas został oddelegowany do Pentagonu, pełnił funkcję zastępcy szefa personelu, a potem wrócił do Fortu Lee jako zastępca komendanta. Zakończył karierę w DWW-W.

– Nie wiem, co to takiego – rzekłam.

– Dowództwo Wsparcia Wojskowego – Wietnam.  
– Po czym odszedł na emeryturę i zamieszkał w Seattle? – spytałam.  
– Przeprowadził się tam z żoną.  
– Dzieci?  
– Dwóch chłopców.  
– A co z kontaktami generała z bratem?  
– Nie wiem. Generał nie żyje, a jego brat nie chce z nami rozmawiać.  
– Więc nie wiemy, w jakich okolicznościach Gault zwinął buty swego wujka.

– Kay, istnieje osobny kodeks uhonorowanych Medalem za Odwagę. Stanowią osobną klasę. Armia nadaje im specjalny status i mocno ich ochrania.

– To stąd te wszystkie tajemnice? – spytałam.

– Wojsko nie ma ochoty, by świat się dowiedział, iż ich odznaczony Medalem za Odwagę dwugwiazdkowy generał jest wujem najgłośniejszego psychopatycznego mordercy, jakiego widział ten kraj. Pentagon nie pragnie, by stało się powszechnie wiadome, że ten zabójca – jak to już podkreśliłaś – wykończył dwóch ludzi kopniakiem, mając na nogach buty generała Gaulta.

Wstałam z fotela.

– Mam dosyć facetów i ich kodeksów honorowych. Męskich przyjaźni i sekretów. Nie bawimy się w Indian i kowboi. Nie jesteśmy dziećmi z sąsiedztwa, bawiącymi się w wojnę. – Poczułam się wyczerpana. – Myślałam, że jesteś poważniejszy.

Wstał także, kiedy odezwał się mój pager.

– Źle to zrozumiałaś – stwierdził.

Popatrzyłam na ekranik. Numer kierunkowy był z Seattle i nie pytając Wesleya o pozwolenie, skorzystałam z telefonu.

- Halo – odezwał się głos, którego nie znałam.
- Na pagerze pokazał mi się pański numer – odparłam zmieszana.
- Nie przekazywałem go na żaden pager. Skąd pani telefonuje?
- Z Wirginii. – Byłam skłonna odłożyć słuchawkę.
- Właśnie telefonowałem do Wirginii. Proszę chwilę poczekać. Pani w sprawie „Prodigy”?
- Och, prawdopodobnie rozmawiał pan z Lucy?
- LUCYMÓWI?
- Tak.
- Właśnie w tej chwili przekazaliśmy sobie pocztę elektroniczną. Odpowiadam na pytanie o złote plomby. Jestem dentystą z Seattle i członkiem American Academy of Gold Foil Operators. Pani jest anatomopatologiem sądowym?
- Tak – odparłam. – Bardzo dziękuję, że pan się zgłosił. Usiłuję zidentyfikować zmarłą młodą kobietę, która miała duże złote wypełnienia w zębach.
- Proszę je opisać.
- Opowiedziałam mu o wyglądzie stomatologicznych napraw Jane i stopniu zużycia jej uzębienia.
- Jest możliwe, że była muzykiem – dodałam. – Prawdopodobnie grała na saksofonie.
- Była tutaj pewna kobieta, która chyba odpowiada opisowi.
- W Seattle?
- Tak. Wszyscy w naszym stowarzyszeniu wiedzieli o niej, ponieważ miała tak nieprawdopodobne uzębienie. Jej złote wypełnienia i dentystyczne anomalie prezentowano na slajdach podczas wielu naszych spotkań.
- Pamięta pan, jak się nazywała?



– Przykro mi, ale nie należała do moich pacjentów. Ale zdaje się, iż słyszałem, że przed jakimś okropnym wypadkiem była profesjonalnym muzykiem. To wtedy zaczęły się jej problemy z uzębieniem.

– Kobieta, o której mówię, miała znaczne ubytki szkliwa – powiedziałam. – Prawdopodobnie z powodu nazbyt częstego mycia zębów.

– Och, oczywiście. Ta kobieta tutaj także je miała.

– Nie wygląda mi na to, by osoba, o której pan mówi, była bezdomna.

– Może była. Ktoś zapłacił za te naprawy.

– Ta kobieta w Nowym Jorku zmarła jako bezdomna – rzekłam.

– Jezu, przykro mi. Sądzę, że kimkolwiek była, nie umiała o sobie zadbać.

– Jak się pan nazywa?

– Jay Bennet.

– Doktor Bennet? Czy pamięta pan coś jeszcze, co mogło zostać powiedziane podczas owych prezentacji przezroczy?

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

– Ach, tak. Ale to bardzo mgliste. – Znowu się zawahał. – Och, wiem – przypomniał sobie. – Tamta kobieta była spokrewniona z kimś ważnym. Mógł to być ktoś, z kim mieszkała tutaj, zanim zniknęła.

Podaliśmy mu dalsze informacje, żeby mógł ewentualnie zadzwonić później. Odłożyłam słuchawkę i napotkałam wzrok Wesleya.

– Myślę, że Jane była siostrą Gaulta – powiedziałam.

– Co? – Był naprawdę zaszokowany.

– Uważam, że Temple Gault zamordował swoją siostrę – powtórzyłam. – Nie mów, że tego nie wiedziałeś.

Zdenerwował się.

– Musimy potwierdzić jej tożsamość – oświadczyłam głosem wypranym z wszelkich emocji.

– Nie załatwi tego jej karta dentystyczna?

– Jeśli ją znajdziemy. Jeżeli nadal istnieją jej zdjęcia rentgenowskie. Jeżeli armia zejdzie mi z drogi.

– Wojsko nic o niej nie wie. – Przerwał i na moment w jego oczach błysnęły łzy.

Nie patrzył na mnie.

– Kiedy wysłał dzisiejszą wiadomość do KAIN-a, po prostu powiedział nam, co zrobił.

– Tak – potwierdziłam. – Przypomniiał, że KAIN zabił swego brata. Opis jej i Gaulta widzianych w Nowym Jorku brzmiał bardziej jak charakterystyka dwóch facetów, a nie kobiety i mężczyzny. – Urwałam. – Ma jakieś inne rodzeństwo?

– Tylko siostrę. Wiemy, że mieszkała na Zachodnim Wybrzeżu, ale nigdy nie potrafiliśmy jej zlokalizować, ponieważ najwyraźniej nie prowadzi samochodu. W krajowym rejestrze kierowców nie ma żadnych zapisów o ważnym prawie jazdy. Prawda jest taka, że nigdy nie byliśmy pewni, czy w ogóle żyje.

– Nie żyje – przypomniałam mu.

Mrugnął i nadal patrzył w przestrzeń.

– Nigdzie nie mieszkała, szczególnie w ostatnich latach – kontynuowałam, myśląc o jej nędznych rzeczach i niedożywionym ciele. – Już od dawna żyła na ulicy. Szczerze mówiąc uważam, że miała się całkiem dobrze, dopóki do miasta nie przyjechał jej brat.

– Jak ktokolwiek może zrobić coś takiego? – Głos mu się załamał, wyglądał na sponiewieranego.

Objęłam go. Nie obchodziło mnie, czy ktoś wejdzie. Uściskałam go jak przyjaciela.

– Benton – rzekłam. – Idź do domu.

Ten weekend oraz Nowy Rok spędziłam w Quantico i chociaż za pośrednictwem „Prodigy” otrzymałam sporo elektronicznej poczty, ustalenie tożsamości Jane nie zapowiadało się obiecująco. Jej dentysta przebywał od roku na emeryturze, a panoramiczne zdjęcia uzębienia zostały oddane w celu odzyskania srebra. Stanowiło to największe rozczarowanie, ponieważ prześwietlenia mogły pokazać stare pęknięcia czy anomalie kostne, mogące zaowocować pozytywną identyfikacją ciała. Gdy rozmowa zeszła na karty dentystyczne, jej stomatolog, mieszkający teraz w Los Angeles, stał się wykrętny.

– Ma pan je w dalszym ciągu, prawda? – spytałam go bezpośrednio we wtorkowy wieczór.

– Posiadam ich miliony w pudłach w garażu.

– Wątpię, żeby było tego aż tyle.

– Jest ich mnóstwo.

– Proszę. Chodzi o kobietę, której nie potrafimy zidentyfikować. Każda istota ludzka ma prawo zostać pochowana pod własnym nazwiskiem.

– Spróbuję, okay?

Parę minut później powiedziałam do Marino przez telefon:

– Spróbujemy badania DNA lub identyfikacji wizualnej.

– Taa... – powiedział błaznując. – A tak właściwie, jak zamierzasz to zrobić? Pokazać Gaultowi fotografię i spytać, czy kobieta, której to zrobił, wygląda jak jego siostra?

– Sądzę, że jej dentysta ciągnął z niej spore korzyści.

– O czym ty mówisz?

– Czasami tak robią. Wpisują do kart pacjentów zabiegi, których nie wykonali, pobierając za to pieniądze z Medicare lub przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego.

– Ale ona miała mnóstwo tych plomb.

– Mógł ich wypisać do diabła i trochę. Zaufaj mi. Na przykład dwa razy więcej złotych wypełnień, niż było w istocie. To oznaczałoby tysiące dolarów. Ona jest upośledzona umysłowo i mieszka ze starym wujem. Co taka para może o tym wiedzieć?

– Nienawidzę dupków.

– Gdybym mogła położyć łapę na jego kartotekach, oskarżyłabym go. Ale nie zamierza ich oddać. Prawdopodobnie już nie istnieją.

– O ósmej rano masz wybór do ławy przysięgłych – poinformował mnie Marino. – Rose telefonowała, żeby przypomnieć.

– Oznacza to, że wyjeżdżam stąd bardzo wcześnie.

– Jedź prosto do domu, a ja tam wpadnę po ciebie.

– Pojadę prosto do sądu.

– Nie, nie pojedziesz. Nie pojedziesz sama do centrum.

– Wiemy, że Gaulta nie ma w Richmond – oświadczyłam. – Jest znowu tam, gdzie się zwykle ukrywa, w apartamencie czy pokoju, w którym ma komputer.

– Tucker nie odwołał rozkazu chronienia cię.

– Nie może mi nic rozkazywać ani nawet zamówić<sup>[10]</sup> dla mnie lunchu.

– Ależ może, może. Przydziela ci gliniarzy, a ty albo akceptujesz całą sytuację, albo próbujesz im uciec. Jeśli zechce ci zamówić ten pieprzony lunch, to także go dostaniesz.

Następnego ranka zatelefonowałam do nowojorskiego biura koronera, zostawiając dla doktora Horowitza wiadomość z sugestią, by dokonał badania DNA na podstawie próbki krwi Jane. Potem, kiedy sąsiedzi

wyglądali przez okna lub zabierali sprzed drzwi gazety, Marino zabrał mnie z domu. Przed frontem parkowały trzy radiowozy, a nieoznakowany ford Marino stał na ceglany podjeździe. Windsor Farms budziło się, ludzie szli do pracy, obserwując mój odjazd pod eskortą gliniarzy. Doskonale utrzymane trawniki były białe od śniegu, a niebo prawie niebieskie.

Kiedy przybyłam do gmachu sądu imienia Johna Marshalla, wszystko odbyło się tak samo, jak wiele razy wcześniej, tyle tylko, że stojący przy bramce prześwietlającej strażnik nie rozumiał, dlaczego się tutaj znalazłam.

– Dzień dobry, doktor Scarpetta – powitał mnie z szerokim uśmiechem. – Cóż pani powie na ten śnieg? Nie wydaje się pani, że mieszka pani na rysunku z kartki świątecznej? Miłego dnia, kapitanie Marino.

Kiedy przeszłam przez bramkę, zadźwięczała. Pojawiła się umundurowana kobieta, by mnie obszukać, podczas gdy strażnik, cieszący się z opadów śniegu, sprawdzał moją torebkę. Wraz z Marino poszliśmy schodami w dół, do wyłożonego pomarańczowym dywanem pomieszczenia z rzadko rozsianymi rzędami również pomarańczowych foteli. Siedliśmy z tyłu, skąd słyszeliśmy ludzi chrapiących podczas drzemki, szeleszczących papierami, kaszlących i wydmuchujących nosy. Mężczyzna w skórzanej kurtce, spod której wystawała mu koszula, grzebał w stosie czasopism, podczas gdy inny czytał powieść. W sąsiednim pomieszczeniu warczał odkurzacz. Uderzył o drzwi pomarańczowego pomieszczenia i ścichł.

Wliczając Marino, w tym potwornie posępnym pomieszczeniu otaczało mnie trzech umundurowanych policjantów. O ósmej pięćdziesiąt weszła spóźniona urzędniczka sądowa i wspięła się na podium, żeby nas poinstruować.

– Są dwie zmiany – odezwała się, patrząc prosto na mnie. – Szeryf z taśmy wideo, którą macie właśnie zobaczyć, nie jest już szeryfem...

– Dlatego, że nie żyje – szepnął mi Marino do ucha.

– I – ciągnęła urzędniczka – dowiedcie się z nagrania, że wynagrodzenie za bycie sędzią przysięgłym wynosi trzydzieści dolarów, ale tak naprawdę to dwadzieścia.

– Pieprzenie – szepnął mi ponownie do ucha Marino. – Potrzebujesz pożyczki?

Obejrzelśmy taśmę wideo i dowiedziałam się sporo rzeczy na temat moich obywatelskich powinności oraz przywilejów. Widziałam na monitorze szeryfa Browna, dziękującego mi ponownie za uczestnictwo w tym społecznym obowiązku. Powiedział mi, że zostałam wezwana, by zdecydować o losie innej osoby, a potem pokazał komputer, którego użył, by mnie wybrać.

– Spośród wyłonionych w ten sposób, sąd losuje potem członków ławy przysięgłych – recytował z uśmiechem. – Nasz system sprawiedliwości opiera się na dokładnym rozważeniu dowodów. Nasz system sprawiedliwości zależy od nas.

Podał numer telefonu, pod który można dzwonić, i przypomniał wszystkim, że kawa jest po dwadzieścia pięć centów, reszty się nie wydaje.

Po projekcji podeszła do mnie urzędniczka sądowa, przystojna czarnoskóra kobieta.

– Pani jest z policji? – spytała szeptem, patrząc na Marino i pozostałych gliniarzy.

– Nie – odparłam i wyjaśniłam jej, kim jestem.

– Musimy panią przeprosić – szepnęła ponownie. – Nie powinna była pani się tu znaleźć. Trzeba było zatelefonować i powiedzieć nam o tym. W ogóle nie wiem, dlaczego pani tu jest.

Inni wylosowani gapili się na nas. Obserwowali nas, odkąd tylko weszliśmy i powód tego zdawał się krystalizować. Ci ludzie byli ignorantami w kwestii funkcjonowania systemu sądowego, ja zaś

przybyłam w otoczeniu policjantów. Teraz znalazła się także przy mnie urzędniczka sądowa. W ich oczach byłam pozwaną. Prawdopodobnie nie byli świadomi, że podsądni nie czytają czasopism w tym samym pokoju co sędziowie przysięgli.

Wysłałam przed lunchem zastanawiając się, czy w ogóle kiedykolwiek w życiu będzie mi dane zasiąść w ławie przysięgłych. Marino wysadził mnie przed wejściem urzędu koronera i poszłam do swego gabinetu. Ponownie zatelefonowałam do Nowego Jorku i tym razem telefon odebrał doktor Horowitz.

– Została pochowana wczoraj – powiedział o Jane.

Poczułam wielki smutek.

– Myślałam, że zwykle czeka pan nieco dłużej.

– Dziesięć dni, Kay. Coś koło tego. Zna pani nasze problemy z brakiem miejsca do przechowywania zwłok.

– Możemy ustalić jej tożsamość za pomocą badań DNA – rzekłam.

– Dlaczego nie za pomocą karty dentystycznej?

Wyjaśniłam mu, w czym problem.

– To doprawdy wstyd. – Doktor Horowitz urwał, po czym podjął z niechęcią. – Bardzo mi przykro, że muszę pani to powiedzieć, ale mamy tutaj okropny bałagan.

Znowu się zawahał.

– Szczerze mówiąc, nie chcieliśmy dać jej pochować. Ale musieliśmy.

– Co się stało?

– Nie bardzo wiadomo. Zachowaliśmy próbkę krwi na papierowym filtrze do badań DNA, tak jak to robimy rutynowo. I, oczywiście, trzymaliśmy zmagazynowane w pojemniku wycinki najważniejszych organów ciała, i tak dalej. Wydaje się, że próbka krwi gdzieś się zawieruszyła, a pojemnik z wycinkami został przez przypadek wyrzucony.

– To się nie mogło zdarzyć – rzekłam.

Doktor Horowitz milczał.

– A co z tkankami w parafinie do badań histologicznych? – spytałam, ponieważ także mogły zostać poddane badaniu DNA, jeśliby wszystko inne zawiodło.

– Nie przygotowujemy tkanek do badań mikroskopowych, jeśli przyczyna zgonu jest oczywista – odparł.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Albo doktor Horowitz prowadził przerażająco niekompetentny urząd, albo te błędy nie były przypadkowe. Zawsze byłam przekonana, że jest on nieskazitelnie skrupulatnym człowiekiem. Może się myliłam. Wiedziałam, jak to jest w Nowym Jorku. Politycy wtrącają się nawet do spraw kostnicy.

– Trzeba ją ekshumować – powiedziałam. – Nie widzę innego wyjścia. Była zabalsamowana?

– Rzadko balsamujemy ciała mające trafić na Hart – oznajmił, mając na myśli wyspę leżącą na East River, gdzie znajdował się Cmentarz Bezimiennych. – Trzeba znaleźć jej numer identyfikacyjny, a potem wykopać ciało i przywieźć z powrotem promem. Możemy to uczynić. To wszystko, co możemy zrobić, naprawdę. Może zająć kilka dni.

– Doktorze Horowitz. Co się tam dzieje? – spytałam ostrożnie.

Kiedy odpowiedział, jego głos był zdecydowany, ale brzmiało w nim rozczarowanie.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Siedziałam chwilę za biurkiem, starając się wymyślić, co mam robić. Im dłużej się zastanawiałam, tym mniejszy w tym wszystkim widziałam sens. Co by to szkodziło wojsku, gdyby Jane została zidentyfikowana? Jeżeli była bratanicą generała Gaulta, a armia wiedziałaby, że ona nie żyje, każdy



by uznał, iż powinni chcieć ją zidentyfikować i pochować pod jej własnym nazwiskiem.

– Doktor Scarpetta. – W przejściu pomiędzy naszymi pokojami stała Rose. – Dzwoni Brent z Ameksu.

Przełączyła rozmowę.

– Mam kolejny wydatek – powiedział Brent.

– Tak – poczułam napięcie.

– Wczoraj. W miejscu zwanym Fino, w Nowym Jorku. Sprawdziłem. To przy Wschodniej Trzydziestej Szóstej. Sto cztery dolary i trzynaście centów.

Fino miał wspaniałe dania kuchni północnych Włoch, skąd pochodzili moi przodkowie, a Gault udawał Włocha z północy, nazwiskiem Benelli. Spróbowałam dodzwonić się do Wesleya, ale nie zastałam go. Zatelefonowałam więc, do Lucy, ale nie było jej ani w OBI, ani w pokoju gościnnym. Jediną osobą, której mogłam powiedzieć, że Gault ponownie jest w Nowym Jorku, był Marino.

– Po prostu dalej się bawi – wyjaśnił Marino z niechęcią. – Wie, że śledzisz jego wydatki, Doc. Zostawia za sobą wyraźny ślad.

– Wiem o tym.

– Nie złapiemy go dzięki American Express. Powinnaś unieważnić tę kartę.

Ale nie mogłam. Była jak ten modem, o którym Lucy wiedziała, że jest ukryty pod podłogą. Obie te rzeczy stanowiły cienkie nitki wiodące do Gaulta. Bawił się, ale pewnego dnia może przechytrzyć samego siebie. Będąc na kokainowym haju, może stać się tak nieostrożny, że popełni błąd.

– Doc – ciągnął Marino – za bardzo cię to zżera. Powinnaś trochę odpocząć.

Być może Gault chce, żebym to ja go znalazła, pomyślałam. Za każdym razem, kiedy posługuje się moją kartą, wysyła mi wiadomość. Mówi mi coraz więcej o sobie. Wiem, co lubi jadać, i że nie pija czerwonego wina. Znam markę papierosów, które pali, i noszonego przez niego ubrania; zastanowiłam się nad jego butami.

– Słuchasz mnie? – spytał Marino.

Wcześniej zawsze zakładałam, że traperskie buty należały do Gaulta.

– To były buty jego siostry – pomyślałam głośno.

– O czym ty mówisz? – zapytał Marino niecierpliwie.

– Wiele lat temu musiała dostać je od swego wuja, a potem Gault zabrał je jej.

– Kiedy? Nie zrobił tego w Cherry Hill na śniegu.

– Nie wiem kiedy. To mogło być na krótko przed jej śmiercią. W Muzeum Historii Naturalnej. Zasadniczo mieli niemal ten sam rozmiar stóp. Mogli zamienić się butami. To mogło być gdziekolwiek, ale wątpię, by mu je chętnie oddała. Z tego powodu, że traperskie buty są bardzo dobre na śnieg. Służyłyby jej lepiej od tych, które znaleźliśmy w legowisku Benny’ego.

Marino milczał dłuższą chwilę. Potem odezwał się:

– Dlaczego zabrał jej buty?

– To proste – stwierdziłam. – Bo chciał.



Tego popołudnia pojechałam na richmondskie lotnisko z wypchaną dyplomatką i torbą spakowaną na krótki wyjazd. Nie zatelefonowałam do swego agenta, ponieważ nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, dokąd lecę.

Przy stanowisku USAir kupiłam bilet do Hilton Head w Karolinie Południowej.

– Słyszałam, że jest tam bardzo przyjemnie – powiedziała towarzyska urzędniczka, nadając mój niewielki bagaż.

– Musi go pani oznaczyć – zniżyłam głos. – Mam tam broń.

Skinęła głową i wręczyła mi ogniście pomarańczową plakietkę oznaczającą, że przewożę broń w stanie rozładowanym.

– Pozwolę pani to włożyć do środka – rzekła. – Czy pani torba się zamyka?

Zapięłam suwak i patrzyłam, jak ustawia bagaż na pasie przenośnika. Wręczyła mi bilet i poszłam schodami do wyjścia, w którym roіło się od ludzi, mających niezbyt szczęśliwe miny z powodu powrotu po feriach do domu czy pracy.

Lot do Charlotte zdawał się trwać dłużej niż godzinę, a to za sprawą tego, że nie mogłam skorzystać z telefonu komórkowego, a mój pager odezwał się dwa razy. Przeczytałam „The Wall Street Journal” i „Washington Post”, podczas gdy moje myśli krążyły wokół tej niebezpiecznej wyprawy. Rozważałam, co powinnam powiedzieć rodzicom o Temple’u Gaulcie i martwej Jane.

Nie byłam nawet pewna, czy Gaultowie spotkają się ze mną, gdyż nie zadzwoniłam do nich wcześniej. Ich numeru telefonu ani adresu nie było w spisie, ale żywiłam przekonanie, że znalezienie posiadłości, którą kupili w pobliżu Beaufort, nie powinno być trudne. Plantacje galasów były jednymi z najstarszych w Karolinie Południowej i miejscowi ludzie powinni wiedzieć o tej parze właścicieli ziemskich z Albany, których dom został ostatnio zmyty przez powódź.

Na lotnisku w Charlotte miałam dosyć czasu, by oddzwonić. Oba wezwania były od Rose, która chciała, żebym ustaliła wolne terminy,

ponieważ nadeszło już kilka wezwań do sądu.

– Także Lucy starała się z panią skontaktować – dodała.

– Ma numer mego pagera – zdziwiłam się.

– Zapytałam ją o to – odparła moja sekretarka. – Powiedziała, że zatelefonuje później.

– Czy powiedziała, skąd dzwoni?

– Nie. Przypuszczam, że z Quantico.

Nie miałam czasu na dalsze pytania, ponieważ wyjście D było daleko, a samolot do Hilton Head odlatywał za piętnaście minut. Biegłam przez całą drogę i znalazłam tylko czas na kupno miękkiego precla bez soli. Chwyciłam kilka pakietów musztardy i zjadłam precel – jedyny posiłek, jaki miałam tego dnia w ustach. Biznesmen, obok którego usiadłam, patrzył na moją przekąskę, jakby mu powiedziała, że jestem prostą kurą domową, która nie ma pojęcia o podróżach lotniczych. Kiedy byliśmy już w powietrzu, dobrałam się do musztardy i zamówiłam whisky z lodem.

– Może mi pan rozmieniść dwudziestkę? – spytałam faceta obok siebie, ponieważ wielokrotnie słyszałam skargi, że stewardesy nie wydają reszty, tłumacząc się brakiem drobnych.

Wyjął portfel, kiedy otworzyłam „New York Timesa”. Dał mi dziesiątkę i dwie piątki, więc postawiłam mu drinka.

– *Quid pro quo* – rzekłam.

– To mogłoby być miłe – powiedział ze słodkim jak syrop południowym akcentem. – Pochodzi pani, jak sądzę, z Nowego Jorku?

– Tak – skłamałam.

– Czy nie leci pani przypadkiem do Hilton Head na konwent Carolina Convenience Store? Odbywa się w Hyatt.

– Nie, na zjazd domów pogrzebowych – łgałam dalej. – Ma miejsce w Holiday Inn.

– Och. – Zamknął się.

Na lotnisku w Hilton Head stało wiele prywatnych samolotów i odrzutowców, należących do bardzo bogatych ludzi mieszkających na wyspie. Dworzec lotniczy był w zasadzie zwykłą szopą i bagaże wyłożono po prostu na drewniany stół. Było chłodno, chmury co jakiś czas zasnuwały niebo i kiedy pasażerowie śpieszyli do czekających samochodów oraz w kierunku promów, słuchałam ich narzekań.

– Niech to szlag! – wykrzyknął mężczyzna, który wcześniej siedział przede mną.

Ciągnął kije golfowe, kiedy zagrzmiało i błyskawica rozdarła niebo na dwoje, jakby zaczynała się wojna.

Wynajęłam srebrnego lincolna i spędziłam trochę czasu na parkingu, kryjąc się w aucie. Deszcz bębnił o dach i kiedy studiowałam mapę Hertza, przez przednią szybę nie było nic widać. Dom Anny Zenner znajdował się w Palmetto Dunes, niedaleko Hyatt, dokąd zmierzał mój sąsiad z samolotu. Spojrzałam bez specjalnej nadziei, by sprawdzić, czy jego samochód nadal stoi na parkingu, ale o ile mogłam stwierdzić, on i jego kije golfowe zniknęli.

Deszcz nieco zmalął, więc wyjechałam z parkingu na Wiliam Hilton Parkway, która doprowadziła mnie do Queens Folly Road. Jakiś czas jechałam nią, zanim znalazłam dom Anny. Spodziewałam się czegoś mniejszego. Jej kryjówka nie była bungalowem, tylko wspaniałym, rustykalnym dworkiem ze zmacerowanego przez warunki atmosferyczne drewna i szkła. Ogródek z tyłu domu, gdzie postawiłam auto, był zacieniony wysokimi palmami karłowatymi oraz porośniętymi hiszpańskim mchem dębami. Gdy wspięłam się na schodki prowadzące pod portyk, z drzewa zeskoczyła wiewiórka. Podeszła blisko, stając na tylnych łapkach;

policzki ruszały się jej szybko, jakby miała mi bardzo wiele do powiedzenia.

– Założę się, że Anna cię dokarmiała, co? – odezwałam się do zwierzątka, wyjmując klucz.

Stała z podniesionymi górnymi łapkami, jakby protestując przeciwko czemuś.

– No cóż, nie mam nic poza wspomnieniem o preclu – wyznałam. – Naprawdę, bardzo mi przykro. – Urwałam, kiedy podskakując przybliżyła się nieco. – A jeśli jesteś chora na wściekliznę, zastrzelę cię.

Weszłam do domu rozczarowana, że nie ma alarmu antywłamaniowego.

– Niedobrze – powiedziałałam sobie, ale nie zamierzałam się stąd ruszyć.

Zamknęłam drzwi i zasuwę. Nikt nie wiedział, że tu jestem. Wszystko powinno być w porządku. Anna przyjeżdżała do Hilton Head od lat i nie widziała potrzeby instalowania alarmu. Gault był w Nowym Jorku i nie przypuszczałam, by mógł mnie wysledzić. Weszłam do salonu o rustykalnych drewnianych ścianach i oknach od podłogi po sufity. Podłoga z twardego drewna była przykryta jasnym indiańskim kilimem, a meblowanie składało się z wyblakłego mahoni, wyściełanego robionymi na zamówienie tkaninami w cudownie jasnych odcieniach.

Wędrowałam od pokoju do pokoju, robiąc się coraz głodniejsza, podczas gdy ocean za oknami zamienił się w roztopiony ołów, a armie ciemnych chmur zdecydowanie maszerowały z północy. Długi chodnik z desek prowadził z domu przez wydmy i zabrałam ze sobą kawę na sam jego koniec. Obserwowałam ludzi spacerujących, jeżdżących na rowerach czy uprawiających jogging. Piasek był twardy i szary, a eskadry brązowych pelikanów latały w regularnych formacjach, jakby przygotowując atak powietrzny na kraj wrogich ryb, czy może na nieprzyjazną pogodę.

Wynurzył się morświn, spacerowicze wrzucali do morza golfowe piłeczki, a potem wiatr wyrwał z rąk chłopca małą, dziecięcą styropianową deskę surfingową. Wlokło ją po plaży, a on szaleńczo za nią biegł. Obserwowałam tę pogoń, ciągnącą się przez ćwierć mili, aż deska przeleciała przez wydmową roślinność i przeskoczyła ponad moim ogrodzeniem. Zbiegłam ze stopni i chwyciłam ją, zanim wiatr porwał ją ponownie. Kiedy chłopiec zauważył, że go obserwuję, zawahał się.

Nie mógł mieć więcej jak osiem, dziewięć lat, ubrany był w dżinsy i bluzę od dresu. Dalej na plaży jego matka starała się odrobić dzielący ich dystans.

– Może mi pani oddać deskę? – spytał, patrząc w piasek.

– Chcesz, żebym ci pomogła zanieść ją do mamy? – zapytałam łagodnie.

– Na tym wietrze trudno to będzie zrobić jednej osobie.

– Nie, dziękuję – wymamrotał nieśmiało z wyciągniętymi rękami.

Stojąc na chodniku i obserwując chłopca, jak walczył z wiatrem, poczułam się odrzucona. Wreszcie przycisnął deskę płasko do swego ciała i z trudem posuwał się po wilgotnym piasku. Obserwowałam jego i matkę, kiedy wycofywali się poza horyzont i w końcu zniknęli mi z oczu. Zastanawiałam się, dokąd poszli. Do hotelu czy do domu? Gdzie tutaj kryli się mali chłopcy ze swymi matkami podczas sztormowej pogody?

Kiedy dorastałam, nie wyjeżdżałam na wakacje, ponieważ nie mieliśmy dosyć pieniędzy; ja z kolei nie miałam dzieci. Słuchając głośnego szumu fal, pomyślałam o Wesleyu i chciałam do niego zatelefonować. Pomiędzy welonem chmur pojawiły się gwiazdy, wiatr niósł różne głosy, ale nie byłam w stanie zrozumieć ani słowa. Równie dobrze mogłabym słuchać skrzeku żab czy kwilenia ptaków. Zaniiosłam do wnętrza pusty kubek po kawie i choć raz niczego się nie bałam.

Dotarło do mnie, że w domu nie ma prawdopodobnie nic do jedzenia, a wszystko, co dziś zjadłam, to jeden precel.

– Dzięki, Anno – powiedziałam, znajdując coś w zamrażarce.

Podgrzałam indyka z mieszanką warzywną, włączyłam w domu gazowe ogrzewanie i zasnęłam na białym tapczanie, kładąc browninga w zasięgu ręki. Byłam zbyt zmęczona, by śnić. Wstałam równo ze słońcem i realność mojej misji nie wydawała mi się rzeczywista, póki nie przekopałam swej dyplomatki i nie pomyślałam o tym, co kryje jej wnętrze. Było zbyt wcześnie, by wyjechać, więc włożyłam dżinsy i sweter i poszłam na spacer.

Piasek był twardy i opadał płasko w stronę Sea Pines, a słońce lśniło na wodzie białym złotem. Pisk ptaków przebijał się ponad huk fal. Słonki północnoamerykańskie wędrowały w poszukiwaniu krabów i robaków, rybitwy szybowały na wietrze, a wrony wałęsały się niczym zakapturzeni czarni rozbójnicy.

Teraz, kiedy słońce słabo grzało, na spacerze nie było jeszcze starszych ludzi; idąc koncentrowałam swą uwagę na wiejącym z naprzeciwka wietrze. Czułam, że oddycham. Ogrzewały mnie uśmiechy trzymających się za ręce mijanych ludzi, i machałam do nich, kiedy i oni to robili. Zakochani szli objęci, a samotnicy pili kawę, stojąc na drewnianych chodnikach i spoglądając na ocean.

Po powrocie do domu Anny zrobiłam sobie tost z bagietki, którą znalazłam w zamrażarce i wzięłam porządny prysznic. Potem włożyłam czarny blezer i spodnie. Spakowałam się i posprzątałam dom, jakbym już nie miała tu wrócić. Nie wiedziałam, że jestem obserwowana, dopóki ponownie nie zjawiła się wiewiórka.

– Och, nie – powiedziałam, otwierając drzwi samochodu. – Tylko nie ty. Stała na tylnych łapkach, robiąc mi wykład.



– Posłuchaj, Anna powiedziała, że mogę się tutaj zatrzymać. Jestem jej bardzo dobrą przyjaciółką.

Policzki zwierzęcia trzęsły się, kiedy pokazywało mi swój mały, biały brzuszek.

– Jeśli opowiadasz o swoich problemach, to nie fatyguj się. – Wrzuciłam torbę na tylne siedzenie. – To Anna jest psychiatrą, nie ja.

Otworzyłam drzwiczki od strony kierowcy. Przykicała trochę bliżej. Nie mogłam mitrzyć czasu, więc wydobyłam z dyplomówki paczkę orzeszków, którą dostałam w samolocie. Wiewiórka stała na tylnych łapkach, żując zawzięcie, a ja wycofywałam samochód z ocienionego przez drzewa podjazdu. Obserwowała, jak odjeżdżam.

Wjechałam na 278 Zachodnią i podziwiałam bujne wierzby oraz bagniste zarośla i sitowie. Stawy pokrywały nenufary i lilie, i niemal co chwilę widziałam szybujące w powietrzu jastrzębie. Przy wąskich drogach stały malutkie białe kościółki, a przyczepy mieszkalne były nadal przystrojone świątecznymi lampkami. Bliżej Beaufort pojawiły się warsztaty samochodowe, małe motele stojące na nieporośniętych niczym działkach i zakład fryzjerski ozdobiony powiewającą flagą Konfederatów. Dwukrotnie się zatrzymywałam, żeby sprawdzić mapę.

Na St. Helen Island przepelzłam obok traktora, wzniesającego kurz z pobocza drogi i zaczęłam rozglądać się za miejscem, gdzie mogłabym stanąć, by zapytać o drogę. Zamiast tego widziałam opuszczone cementowo-żuzłowe bloki, będące niegdyś magazynami. Zatrzymałam się dopiero na Tripp Island, gdzie znalazłam miejsce, w którym mogłam zjeść lunch.

Restauracja nazywała się Gullah House, a kobieta, która wskazała mi miejsce, była wielka i bardzo czarna. Wyglądała wspaniale w powiewającej sukni w jaskrawych kolorach i kiedy odezwała się zza kontuaru do kelnera,

ich język brzmiał jak muzyka pełna obcych słów. Przypuszcza się, że dialekt gullah powstał z przemieszania się angielszczyzny elżbietańskiej i tej z Indii Zachodnich. Był to mówiony język niewolników.

Czekałam na mrożoną herbatę, siedząc przy drewnianym stole i martwiłam się, że nikt, kto tu pracuje, nie będzie mógł mi wyjaśnić, gdzie mieszkają Gaultowie.

– Co ci jeszcze podać, kochanie? – Kelnerka wróciła z wielką szklanicą herbaty pełnej lodu i cytryny.

Wskazałam na *Biddy een de Fiel*, ponieważ nie byłam w stanie tego wymówić. Tłumaczenie obiecywało pierś kurczaka z grilla na liściach sałaty.

– Chce pani może na początek frytki ze słodkich ziemniaków albo smażone kraby? – Kiedy rozmawialiśmy, jej wzrok omiatał restaurację.

– Nie, dziękuję.

Przekonana, że jej klientka powinna zamówić coś więcej, niż tylko dietetyczny lunch, wskazała mi na samym dole menu smażone krewetki.

– Mamy dzisiaj także świeże smażone krewetki. To prawdziwe niebo w gębie. Spojrzałam na nią.

– Dobrze, wezmę małą przystawkę.

– A więc chce pani dwie sztuki.

– Tak, proszę.

Obsługa poruszała się swoim ospałym krokiem, więc była prawie pierwsza, kiedy wreszcie uregulowałam rachunek. Kobieta w jaskrawej sukni, która – jak uznałam – była kierowniczką, stała na zewnątrz, na parkingu, rozmawiając z inną Murzynką, siedzącą za kierownicą furgonetki. Na boku samochodu wymalowano nazwę *Gullah Tours*.

– Przepraszam – zwróciłam się do kierowniczkii.

Oczy miała jak szkliwo wulkaniczne – podejrzliwe, ale nie nieprzyjazne.

– Ma pani ochotę na wycieczkę po wyspie? – spytała.

– Właściwie potrzebne mi są pewne wskazówki – powiedziałam. – Zna pani plantację Live Oaks?

– Nie jest w programie żadnej wycieczki. Już nigdy więcej.

– Więc nie mogę tam pojechać.

Kierowniczką odwróciła twarz i spojrzała na mnie zezem.

– Sprowadzili się tam jacyś nowi. Nie są zbyt uprzejmi, jeśli pani słyszała, co powiedziałam.

– Słyszałam – potwierdziłam. – Ale muszę tam pojechać. Nie chcę wycieczki, chcę informacji.

Dotarło do mnie, że język, jakim przemawiam, nie jest tym, który kierowniczką – bez wątpienia właścicielka Gullah Tours – chciałaby słyszeć.

– Może zapłaciłabym za wycieczkę – rzekłam – a pani wyśle kierowcę swojej furgonetki, by mi pokazała drogę do Live Oaks?

To okazało się dobrym pomysłem. Wręczyłam jej dwadzieścia dolarów i ruszyłam w drogę. Odległość nie była zbyt wielka i wkrótce furgonetka zwolniła, a z okienka wysunęło się ramię w niezwykle kolorowym rękawie, wskazując akry pekanowych drzew, rosnących za białym, czystym ogrodzeniem. Brama stała otworem i na końcu długiego, niebrukowanego podjazdu, jakieś pół mili w głębi posiadłości, pochwyciłam mignięcie białego drewna i starego miedzianego dachu. Nie było żadnej tabliczki z nazwiskiem właścicieli czy wzmianki, że jest to plantacja Live Oaks.

Skręciłam w lewo w drogę dojazdową i badałam wzrokiem przerwy pomiędzy starymi drzewami pekanowymi. Było już po zbiorach. Na skraju pokrytego rzęsą wodną stawu brodziła czapla. Nie widziałam nikogo, ale kiedy podjechałam bliżej wspaniałego domu, pochodzącego jeszcze sprzed wojny secesyjnej, zobaczyłam samochód osobowy i półciężarówkę. Z tyłu,

obok silosu, stała stara stodoła o blaszanym dachu. Nadciągnęły chmury i kiedy wspinałam się po stopniach pod portykiem, aby zadzwonić do drzwi, mój żakiet był trochę za cienki.

Z wyrazu twarzy mężczyzny poznałam momentalnie, że brama na początku podjazdu nie jest zbyt często otwarta.

– To prywatna posiadłość – oświadczył bezbarwnym tonem.

Jeśli Temple Gault był jego synem, to ja nie widziałam pomiędzy nimi żadnego podobieństwa.

Ten człowiek miał siwiejące, sztywne jak druty włosy, a jego twarz była pociągła i zniszczona. Miał na sobie gumki, spodnie khaki i prostą, szarą bluzę z kapturem.

– Szukam Peytona Gaulta – powiedziałam, patrząc mu w oczy i chwytając swoją dyplomatkę.

– Brama powinna być zamknięta. Nie widziała pani tabliczek z napisem „Wstęp wzbroniony”? Przybiłem je do każdego słupa w ogrodzeniu. Czego pani chce od Peytona Gaulta?

– Tylko jemu mogę powiedzieć, jaki mam do niego interes – rzekłam.

Przyglądał mi się uważnie, w jego wzroku kryło się niezdecydowanie.

– Nie jest pani dziennikarką, co?

– Nie proszę pana, z całą pewnością nie. Jestem naczelnym koronerem stanu Wirginia. – Wręczyłam mu swoją wizytówkę.

Oparł się o framugę drzwi, jakby zrobiło mu się słabo.

– Dobry, miłosierny Boże – wymruczał. – Dlaczego ludzie nie mogą zostawić nas w spokoju?

Nie byłam w stanie wyobrazić sobie jego osobistej kary dla tego, którego sam spłodził, gdyż gdzieś w głębi ojcowskiego serca nadal kochał syna.

– Panie Gault – odezwałam się – proszę ze mną porozmawiać.

Kciukiem i palcem wskazującym ścisnął kąciki oczu, by powstrzymać łzy. Zmarszczki na jego opalonym czole pogłębiły się, a nagły promień słońca, który przedarł się przez chmury, zamienił barwę ostrzyżonych na jeża włosów w kolor piasku.

– Nie przyjechałam tutaj powodowana ciekawością – powiedziałam. – Nie robię wywiadu. Proszę.

– Sprawiał kłopoty od dnia swego przyjścia na świat. – Peyton Gault wytarł oczy.

– Wiem, że jest to dla pana strasznie bolesne. To niewyobrażalny horror. Ale rozumiem to.

– Nikt nie potrafi tego zrozumieć – stwierdził.

– Proszę pozwolić mi spróbować.

– Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Może wyjść tylko coś dobrego – odparłam. – Jestem tutaj, bo tak było trzeba.

Spojrzał na mnie niepewnie.

– Kto panią przysłał?

– Nikt. Sama zdecydowałam się przyjechać.

– Więc jak pani nas znalazła?

– Spytałam o drogę.

– Nie wygląda na to, by było pani ciepło w tym żakiecie.

– Wystarczająco ciepło.

– W takim razie chodźmy na molo.

Jego dok załadunkowy przebiegał przez rozciągające się wokoło, jak okiem sięgnąć, moczary; na horyzoncie Barrier Islands majaczyły rzadkie wieże wodociągowe. Oparliśmy się o poręcz, obserwując krzątające się w ciemnym mule kraby.

– Podczas wojny secesyjnej było tutaj dwustu pięćdziesięciu niewolników – odezwał się, jakbyśmy prowadzili przyjacielską pogawędkę.  
– Zanim pani wyjedzie, powinna pani zatrzymać się obok Kaplicy Łaski. Teraz to tylko zniszczona skorupa z malutkim cmentarzykiem, otoczona zardzewiałym ogrodzeniem z kutego żelaza.

Pozwalałam, by mówił.

– Oczywiście, groby były okradane od tak dawna, jak ktokolwiek sięga pamięcią. Sądzę, że kaplicę zbudowano około 1740 roku.

Milczałam. Westchnął, patrząc w stronę oceanu.

– Mam ze sobą zdjęcia, które chciałabym panu pokazać – powiedziałam cicho.

– Wie pani – w jego głosie słychać było cierpienie – to jest tak, jakby ta powódź stanowiła karę za coś, co uczyniłem. Urodziłem się na tamtej plantacji w Albany.

Spojrzał na mnie.

– Prawie przez dwa wieki opierała się wojnie i warunkom atmosferycznym. A potem uderzył sztorm i poziom rzeki podniósł się o ponad dwadzieścia stóp. Policja stanowa wraz z wojskiem budowała wały. Woda sięgnęła sufitu mego domu rodzinnego. I niech pani zapomni o drzewach. Nie chodzi o to, by od pekanów zależała nasza egzystencja, ale w jednej chwili, wraz z trzystoma innymi ludźmi, zostaliśmy bez dachu nad głową.

– Pański syn nie był przyczyną tej powodzi – wyjaśniłam łagodnie. – Nie jest w stanie sprowadzić żadnej żywiołowej katastrofy.

– No cóż, prawdopodobnie również dlatego się przenieśliśmy. Cały czas kręcili się tam różni ludzie, starając się zobaczyć miejsce, w którym dorastał. To źle wpływało na nerwy Racheli.

– Rachela to pańska żona?

Skinął głową.

– A co z waszą córką?

– To kolejna przykra historia. Musieliśmy wysłać Jayne na zachód, kiedy miała jedenaście lat.

– Tak ma na imię? – spytałam zdumiona.

– Tak naprawdę, to również nazywa się Rachela, ale na drugie ma Jayne. Nie wiem, czy pani o tym wiedziała, ale Temple i Jayne są bliźniętami.

– Nie miałam pojęcia – przyznałam.

– I zawsze był o nią zazdrosny. Ledwo to mogliśmy znieść, ponieważ ona za nim szalała. Stanowili dwójkę najbardziej rezolutnych blond brzdąców, jakie kiedykolwiek pani widziała, ale od pewnego momentu Temple chciał ją zgnieść jak insekta. Był okrutny...

Urwał. Skrzecząc, przeleciała mewa, a kraby wbiły się w korzenie wierzb. Peyton Gault pogładził włosy i oparł stopę na niższej poprzeczce barierki.

– Myślę, że przekonałem się o najgorszym, kiedy miał pięć lat, a Jayne dostała psa. Najmilszy mały szczeniak, kundel.

Ponownie przerwał.

– No cóż – z trudem wymawiał słowa – psiak zniknął, a tamtej nocy Jayne obudziła się i znalazła go nieżywego w swoim łóżku. Prawdopodobnie Temple udusił go.

– Powiedział pan, że Jayne zamieszkała w końcu na Zachodnim Wybrzeżu? – spytałam.

– Oboje z Rachelą nie wiedzieliśmy, co innego moglibyśmy zrobić. Byliśmy przekonani, że to, kiedy ją zabije, pozostaje tylko kwestią czasu – czego później, jak sądzę, był niemal bliski. Widzi pani, miałem brata w Seattle. Luthera.

– Generała.

Nadal patrzył przed siebie.

– Widzę, że mnóstwo o nas wiecie. Temple już się o to postarał. A wkrótce okaże się, że będę czytał o nim książki i oglądał filmy.

Uderzył lekko dłonią o poręcz barierki.

– Jayne przeniosła się tam z pańskim bratem i jego żoną?

– A my trzymaliśmy Temple’a w Albany. Proszę mi wierzyć, gdybym mógł gdzieś go odesłać, zatrzymałbym ją. Była takim słodkim, czułym dzieckiem. Marzycielskim i grzecznym. – Po jego policzkach potoczyły się łzy. – Umiała grać na fortepianie i saksofonie, a Luther kochał ją jak jedno ze swoich dzieci. Miał synów. Wszystko szło dobrze, wzięwszy pod uwagę nasze problemy. Kilka razy w roku jeździliśmy z żoną do Seattle. Powiadam pani, ciężko mi było, ale jej mało serce nie pękło. Potem popełniliśmy wielki błąd.

Zanim zaczął mówić dalej, kilkakrotnie odchrząknął.

– Jayne pewnego lata nalegała na przyjazd do domu. Sądzę, iż miała wtedy jakieś dwadzieścia pięć lat. Chciała spędzić swoje urodziny z nami. Więc ona, Luther i Sara, jego żona, przylecieli z Seattle do Albany. Temple zachowywał się tak, jakby nie był tym ani trochę poruszony i pamiętam...

Znowu chrząknął.

– I pamiętam, jak myślałem, że może wszystko będzie dobrze. Że być może wyrósł z tego, co go opętało. Jayne miała podczas przyjęcia urodzinowego swoje wielkie chwile i postanowiła wziąć naszego starego ogara, Snaggletootha, na spacer. Chciała mu zrobić zdjęcie pośród drzew pekanowych. Potem wszyscy wróciliśmy do domu – z wyjątkiem jej i Temple’a.

Przyszedł w porze kolacji, a ja go zapytałem: „Gdzie jest twoja siostra?”

Odpark: „Powiedziała, że zamierza pojechać konno”.



Więc czekaliśmy i czekaliśmy, a ona nie wróciła. Luther i ja poszliśmy jej szukać. Znaleźliśmy jej konia, nadal osiodłanego i chodzącego dookoła stajni, a ona leżała obok, cała we krwi.

Otarł dłońmi twarz i nie jestem w stanie opisać współczucia, jakie miałam dla tego człowieka i jego córki, Jayne. Przerazało mnie, że będę musiała opowiedzieć mu zakończenie tej historii.

– Lekarz – ciągnął z wysiłkiem – pomyślał, że została po prostu kopnięta przez konia, ale ja miałem swoje podejrzenia. Obawiałem się, że Luther zabije chłopaka. Wie pani, swego Medalu za Odwagę nie dostał za wydawanie umundurowania z magazynu. Kiedy więc Jayne wyzdrowiała na tyle, żeby opuścić szpital, Luther zabrał ją do domu. Ale już nigdy nie przyszła do siebie.

– Panie Gault – powiedziałam. – Czy ma pan najmniejsze choćby pojęcie, gdzie teraz znajduje się pańska córka?

– No cóż, od jakichś czterech czy pięciu lat, kiedy umarł Luther, sama rządzi swoim życiem. Zwykle dowiadujemy się o niej czegoś na Święta Bożego Narodzenia, na urodziny lub kiedy jej coś takiego strzeli do głowy.

– A miał pan jakąś wiadomość w te święta? – spytałam.

– Nie dokładnie w Boże Narodzenie, ale jakiś tydzień czy dwa wcześniej. – Zamyślił się głęboko, a jego twarz przybrała dziwny wyraz.

– Gdzie wówczas była?

– Telefonowała z Nowego Jorku.

– Wie pan, co tam robiła?

– Nigdy nie wiedziałem, co robi. Prawdę mówiąc, myślę, że włóczyła się po prostu i telefonowała, kiedy potrzebowała pieniędzy. – Patrzył na leżącą na pniaku śnieżną czapę.

– Kiedy dzwoniła z Nowego Jorku – nalegałam – czy prosiła o pieniądze?

– Ma pani coś przeciwko temu, żebym zapalił?

– Oczywiście, że nie.

Wyłowił z kieszeni na piersi paczkę meritsów i walczył z wiatrem, by zapalić papierosa. Odwracał się to w tę, to w tamtą stronę, aż w końcu stuliłam swoje dłonie na szczycie jego rąk i przytrzymałam zapałkę. Drżał.

– To bardzo ważne, żeby mi pan powiedział o pieniądzach – odezwałam się. – Ile i jak je otrzymywała?

Wahał się.

– Widzi pani, wszystko załatwiała Rachela.

– Czy pańska żona przekazywała je telegraficznie, czy posyłała czek?

– Jak widzę, nie znała pani mojej córki. Nikt by jej nie zrealizował czeku. Rachela wysyła jej pieniądze telegraficznie normalnym trybem. Widzi pani, Jayne musiała brać lekarstwa, żeby uniknąć ataków padaczki. Przez to, co stało się z jej głową.

– Dokąd przesyłano pieniądze? – spytałam.

– Do biura Western Union. Rachela może pani powiedzieć, do którego dokładnie.

– A co z pańskim synem? Kontaktował się pan z nim?

– Nigdy.

– Nie próbował przyjechać do domu?

– Nie.

– A co teraz? Wie, że tutaj państwo mieszkacie?

– Jedyne kontakty, jakie chcę mieć z Temple'em, to za pomocą dwulufowej strzelby. – Mięśnie szczęk mu zadrgały. – Nie jest moim synem.

– Czy jest pan świadom, że on posługuje się pańską kartą kredytową AT&T?

Gault wyprostował się i strzepnął popiół, który porwał wiatr.

- To niemożliwe.
- Rachunki telefoniczne płaci pańska żona?
- Tak, te płaci ona.
- Rozumiem.

Pstryknął niedopałkiem w błoto i jakiś krab powędrował w tamtą stronę.

– Jayne nie żyje, prawda? – spytał. – Pani jest koronerką i dlatego się tutaj zjawiała.

– Tak, panie Gault. Ogromnie mi przykro.

– Miałem takie przeczucie, kiedy się pani przedstawiła. Moja mała dziewczynka jest tą kobietą, o której wszyscy sądzą, że Temple zamordował ją w Central Parku.

– Dlatego tutaj jestem – potwierdziłam. – Ale do tego, by dowieść, że ona jest pańską córką, potrzebuję pana pomocy.

Spojrzał mi w oczy i odczułam ulgę. Wyprostował się i poczułam jego dumę.

– Madam, nie chcę, żeby leżała w jakimś zapomnianym przez Boga grobie dla nędzarzy. Pragnę, by była tutaj – ze mną i z Rachelą. Przynajmniej teraz, kiedy jest za późno, by Temple mógł ją znowu zranić.

Poszliśmy wzdłuż pirsu.

– Mogę pana zapewnić, że tak się stanie – powiedziałam, a wiatr przyginał trawę i szarpał nasze włosy. – Wszystko, czego potrzebuję, to próbki pańskiej krwi.

Zanim weszliśmy do domu, pan Gault ostrzegł mnie, że jego żona z trudnością akceptuje rzeczywistość. Wyjaśnił tak delikatnie, jak to tylko możliwe, że Rachel Gault nigdy nie stawiała czoła prawdzie, dotyczącej zmarnowanego losu jej dzieci.

– To nie znaczy, że nie chciała się przystosować – wyjaśniał cichym głosem, kiedy wspinaliśmy się po stopniach pod portykiem. – Tylko po prostu nie przyjęła tego do wiadomości, jeżeli rozumie pani, co mam na myśli.

– Może pan obejrzeć te zdjęcia tutaj – zaproponowałam.

– Zdjęcia Jayne. – Znowu wydawał się bardzo zmęczony.

– Jej oraz śladów stóp.

– Śladów stóp? – Przeciągnął stwardniałymi palcami po włosach.

– Czy pamięta pan, że miała traperskie buty? – spytałam.

– Nie. – Potrząsnął wolno głową. – Ale Luther miał mnóstwo takich rzeczy.

– Wie pan, jaki nosił rozmiar?

– Miał mniejsze stopy od moich. Sądzę, że siedem i pół albo osiem.

– Czy dał kiedykolwiek taką parę Temple’owi?

– Ho! – powiedział krótko. – Jedynym sposobem, w jaki Luther mógłby dać buty temu chłopakowi, to gdyby je miał na nogach i kopał jego głowę.

– Buty mogły należeć do Jayne.

– Och, z pewnością. Ona i Luther mieli prawdopodobnie zbliżony rozmiar stóp. Była dużą dziewczynką. Prawdę mówiąc, taka jak Temple. Jak podejrzewam, stanowiło to część jego problemu.

Pan Gault mógłby tak stać na przenikliwym wietrze i gadać cały dzień. Nie chciał, bym otworzyła swoją dyplomatkę, bo wiedział, co jest w środku.

– Nie musimy tego robić – powiedziałam. – Nie musi pan niczego oglądać. Możemy się ograniczyć do badania DNA.

– Jeżeli to pani nie sprawi różnicy – odparł, a jego oczy pojaśniały, kiedy sięgnął do drzwi – lepiej uprzedzę Rachełę.

Hall domu Gaultów wymalowany był na biały kolor, graniczący z bladym odcieniem szarości. Z wysokiego stropu zwisał stary mosiężny kandelabr, a piękna spiralna klatka schodowa wiodła na pierwsze piętro. W salonie stały stare angielskie meble, leżały wschodnie dywany i wisiały wspaniałe portrety olejne.

Rachela Gault siedziała na eleganckiej sofie z robótką na kolanach. Widziałam przez obszerne łukowe przejście, że jej hafty pokrywają krzesła w jadalni.

– Rachelo? – Pan Gault stanął przed nią z kapeluszem w dłoni niczym nieśmiały kawaler. – Mamy gościa.

Wbiła i wyciągnęła igłę.

– O, to miło. – Uśmiechnęła się, odkładając robótkę.

Rachela Gault była niegdyś prawdziwą piękną o jasnej skórze, jasnych oczach i włosach. Intrygowało mnie to, że Temple i Jayne odziedziczyli swoje rysy po niej i po wuju, ale postanowiłam nie spekulować na ten temat, tylko złożyć to na karb praw Mendla. Pan Gault usiadł na sofie, wskazując mi krzesło z wysokim oparciem.

– Jaka pogoda na zewnątrz? – zapytała Rachela Gault z nikłym uśmiechem swego syna i pochodzącym z dalekiego Południa akcentem. – Zastanawiam się, czy zostały nam jakieś krewetki?

Spojrzała wprost na mnie.

– Nie wiem, jak się pani nazywa. Peyton, nie bądź niegrzeczny. Przedstaw mnie swojej nowej przyjaciółce.

– Rachelo – spróbował ponownie jej mąż; ręce trzymał na kolanach, a głowę miał zwieszoną. – To jest lekarka z Wirginii.

– Och? – Jej delikatne dłonie opadły na leżące na kolanach płótno.

– Nazywają ją koronerką. – Spojrzał na żonę. – Kochanie, Jayne nie żyje.

Pani Gault wróciła do robótki.

– Wie pani, rosła tutaj magnolia, która miała prawie sto lat, dopóki tej wiosny nie uderzył w nią piorun. Wyobraża pani to sobie? – Szyła dalej. – Tu też mamy sztormy. Skąd pani pochodzi?

– Mieszkam w Richmond – odparłam.

– Ach, tak – powiedziała; igła poruszała się szybciej. – Widzi pani, mieliśmy szczęście, że nie zginęliśmy wszyscy podczas wojny. Założę się, że miała pani prapradziadka, który w niej walczył?

– Jestem Włoszką – odrzekłam. – Urodziłam się w Miami.

– Cóż, z pewnością jest tam gorąco.

Pan Gault siedział bezradnie na sofie. Poddał się, nie patrząc na żadną z nas.

– Pani Gault – powiedziałam – widziałam Jayne w Nowym Jorku.

– Naprawdę? – Wyglądała na prawdziwie ucieszoną. – Proszę mi wszystko o tym opowiedzieć.

Jej dłonie były niczym kolibry.

– Kiedy ją widziałam, była okropnie chuda i ostrzyżona na łyso.

– Nigdy nie jest zadowolona ze swojego uczesania. Kiedy nosi krótkie włosy, wygląda jak Temple. Są bliźniętami i ludzie mylili ich sądząc, że Jayne jest chłopcem. Więc zawsze nosiła długie włosy i jestem zdziwiona, iż mówi pani, że miała je krótko ścięte.

– Rozmawia pani z synem? – spytałam.

– Ten zły chłopak nie dzwoni tak często, jak powinien. Ale wie, że może to robić.

– Jayne telefonowała tutaj dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem – podsunęłam.

Szyła w milczeniu.

– Czy mówiła pani coś na temat tego, że ma się spotkać ze swoim bratem?

Milczenie.

– Tak się zastanawiam, ponieważ on także był w Nowym Jorku.

– Powiedziałam mu, że mógłby zobaczyć się z siostrą i życzyć jej wesołych świąt – powiedziała pani Gault, a jej mąż mrugnął.

– Posłała jej pani pieniądze? – ciągnęłam.

Podniosła na mnie wzrok.

– Wydaje mi się, że to zbyt osobiste pytanie.

Nawlekła igłę jasnoniebieską przędzą.

– Lekarze są bezpośredni – spróbowałam z innej beczki. – To część naszego zawodu.

Roześmiała się lekko.

– Tak, teraz tacy są. To chyba dlatego nie lubię do nich chodzić. Uważają, że są w stanie wyleczyć wszystko mleczkiem magnezjowym, a to tak, jakby się piło białą farbę do ścian. Peytonie? Mógłbyś mi przynieść szklankę wody z lodem? I spytaj, czego sobie życzy nasz gość.

– Niczego – powiedziałam do niego cicho, kiedy niechętnie wstał i wyszedł z pokoju.

– To świadczy o wielkiej troskliwości z pani strony, że wysłała pani pieniądze córce – rzekłam. – Proszę mi powiedzieć, jak pani to załatwiła w tak wielkim i ruchliwym mieście jak Nowy Jork?

- Przesłałam przez Western Union, tak jak zawsze to robię.
  - Dokąd dokładnie?
  - Do Nowego Jorku, gdzie jest Jayne.
  - Ale dokąd w Nowym Jorku, pani Gault? Robiła pani to więcej niż raz?
  - Do apteki, ponieważ ona musi zażywać lekarstwa.
  - Z powodu jej ataków. Chodzi o difenylhydantoinę.
  - Jayne powiedziała, że to nie jest dobra dzielnica. Nazywała ją Houston, ale nie wymawia się tego tak, jak nazwę miasta w Teksasie.
  - Houston, i co dalej? – spytałam.
  - Nie wiem, o co pani chodzi. – Stawała się niespokojna.
  - O skrzyżowanie ulic. Potrzebny mi jest adres.
  - Dlaczego, na Boga?
  - Ponieważ to może być miejsce, do którego pani córka poszła tuż przed śmiercią.
- Zaczęła szyć szybciej, a jej usta stały się wąską kreską.
- Proszę mi pomóc, pani Gault.
  - Dużo jeździ autobusami. Mówi, że kiedy siedzi w autobusie, może oglądać Amerykę przepływającą obok niej jak na filmie.
  - Wiem, że nie chce pani, by ktokolwiek jeszcze zginął.
- Zacisnęła powieki.
- Proszę.
  - Położę się teraz.
  - Co? – spytałam.
  - Rachelo. – Do pokoju wrócił pan Gault. – Nie ma lodu. Nie wiem, co się stało.
  - Spać – powiedziała.
- Oniemiała, spojrzałam na jej męża.



– Teraz położę się spać, modląc się do Boga, by strzegł mej duszy – powtórzył, patrząc na nią. – Modliliśmy się tak co wieczór z dziećmi, kiedy były małe. Czy o tym myślisz, kochanie?

– Pytanie sprawdzające dla Western Union – wyjaśniła.

– Ponieważ Jayne nie miała żadnych dokumentów – powiedziałam. – Więc zadawali jej pytanie, by sprawdzić, czy jest właściwą osobą, i wydać pieniądze oraz przepisane lekarstwo.

– Tak. Zawsze stosowaliśmy ten sposób. Od lat.

– A co z Temple'em?

– Z nim także, oczywiście.

Pan Gault potarł swą twarz.

– Rachelo, nie dawałaś mu pieniędzy. Proszę, nie mów mi...

– To moje pieniądze. Mam własne zasoby po rodzicach, tak jak i ty. – Podjęła szycie, obracając płótno to na lewą, to na prawą stronę.

– Pani Gault, czy Temple wiedział, że Jayne otrzymuje od pani pieniądze za pośrednictwem Western Union?

– Oczywiście, że tak. Jest jej bratem. Powiedział, że podjął je dla niej, gdyż nie czuła się dobrze. Od kiedy ten koń ją zrzucił. Nigdy nie miała tak jasnej głowy jak Temple. Jemu także trochę posyłałam.

– Jak często? – spytałam ponownie.

Zawiązała supełek i strzelała obok nas oczami, jakby coś zgubiła.

– Pani Gault, nie opuścę tego domu, dopóki nie uzyskam odpowiedzi albo mnie pani stąd nie wyrzuci.

– Po śmierci Luthera nie było już nikogo, kto mógłby się nią opiekować, a nie mogła przyjechać tutaj – powiedziała. – Jayne nie chciała przebywać w jednym z tych domów, więc gdziekolwiek była, dawała mi znać, a ja pomagałam jej, jak mogłam.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś. – Peyton Gault był zdruzgotany.

– Jak długo przebywała w Nowym Jorku? – spytałam.

– Od pierwszego grudnia. Posyłałam jej pieniądze regularnie, co jakiś czas trochę. Pięćdziesiąt dolarów raz, sto dolarów za drugim razem. Prztelegrafowałam nieco w ostatnią sobotę, jak zwykle. Stąd wiem, że z nią wszystko w porządku. Zdała test. Stała tam w kolejce.

Zastanawiałam się, od jak dawna Gault przechwytywał pieniądze swej biednej siostry. Gardziłam nim tak mocno, że mnie to przerażało.

– Nie lubiła Filadelfii – ciągnęła pani Gault, mówiąc szybciej. – Mieszkała tam przed wyjazdem do Nowego Jorku. Miasto burdelowej miłości, ot co. Ktoś jej ukradł tam flet. Wyrwał prosto z rąk.

– Jej blaszany klarnet? – spytałam.

– Saksofon. Wie pani, mój ojciec grał na skrzypcach.

Wraz z panem Gaultem patrzyliśmy na nią.

– Może to, co jej zabrali, to był saksofon. Bożeee, gdzie ona cały czas była. Kochanie? Pamiętasz, kiedy przyjechała tutaj na urodziny i poszła z psem pomiędzy drzewa pekanowe? – Dłonie znieruchomiały.

– To było w Albany. Nie tu, gdzie teraz mieszkamy.

Zamknęła oczy.

– Miała dwadzieścia pięć lat i nigdy się nie całowała. – Roześmiała się. – Pamiętam ją przy fortepianie, grała i śpiewała „Sto lat” do wtóru zespołu. Potem Temple zabrał ją do stodoły. Chodziła z nim wszędzie. Nigdy nie zrozumiałam dlaczego. Ale Temple potrafił być czarujący.

Łza potoczyła się na jej koronki.

– Poszła pojeździć na tym cholernym koniu, Priss, i nigdy nie wróciła. – Potoczyło się więcej łez. – Och, Peytonie, nigdy już nie ujrzałam swojej małej córeczki.

– Temple zabił ją, Rachelo. To nie może już trwać – powiedział wstrząsającym głosem.



Pojechałam z powrotem do Hilton Head i złapałam wczesnopopołudniowy lot do Charlotte. Stamtąd poleciałam do Richmond i odzyskałam swój samochód. Nie udałam się do domu. Czułam pewien niepokój, który trzymał mnie w stanie ekscytacji. Nie mogłam złapać Wesleya w Quantico, a Lucy nie odpowiedziała na żaden z moich telefonów.

Była niemal dziewiąta wieczorem, kiedy jechałam obok smoliście czarnych szeregów baraków artylerii i niezgrabnych cieni drzew po obu stronach wąskiej drogi. Wypatrując tablic i skrzyżowań, czułam się zdenerwowana i wyczerpana, kiedy we wstecznym lusterku błysnęły niebieskie światła. Staralam się dostrzec, kto za mną jedzie. Nie mogłam tego stwierdzić, ale nie był to policyjny radiowóz, ponieważ oprócz świateł na kratownicy chłodnicy, miał je także na dachu.

Jechałam dalej. Rozmyślałam o sprawach, z jakimi miałam do czynienia w pracy, o samotnych kobietach zatrzymujących się, ponieważ sądziły, że mają do czynienia z policją. Wiele razy w ciągu tych lat ostrzegałam Lucy, by z żadnego powodu nie stawała nigdy przy nieoznakowanym właściwie samochodzie, a już szczególnie w nocy. Auto za mną było wytrwałe, ale nie dawałam się dogonić, dopóki nie dojechałam do wartowni akademii. Tamten nieoznakowany wóz zatrzymał się za mną i nagle umundurowany funkcjonariusz żandarmerii wojskowej wyrósł przy moich drzwiczkach z wyciągniętym pistoletem. Serce stanęło mi w piersi.

– Proszę wysiąść z rękami nad głową! – rozkazał.

Siedziałam idealnie nieruchomo. Tamten cofnął się i widziałam, że strażnik mówi coś do niego. Potem wartownik wynurzył się ze swojej budki, a żołnierz postukał w okno drzwiczek mego samochodu. Odkręciłam

szybę, podczas gdy on opuścił niżej broń, nie spuszczać ze mnie wzroku. Nie wyglądało na to, by miał choć jeden dzień ponad dziewiętnaście lat.

– Musi pani wysiąść, madam. – Żandarm był pełen nienawiści, ponieważ czuł się zakłopotany.

– Wsiądę, jeśli schowa pan broń i odstąpi od auta – powiedziałam, gdy strażnik cofnął się. – I mam pistolet pomiędzy przednimi siedzeniami. Mówię panu o tym, żeby pan nie spanikował.

– Jest pani z wydziału antynarkotykowego? – domagał się wyjaśnienia, przyglądając się memu mercedesowi.

Miał na twarzy coś, co wyglądało na szare resztki kleju do wąsów. Krew się we mnie zagotowała. Wiedziałam, że zamierza odstawić męską pokazówkę, ponieważ obserwował go wartownik. Stałam obok samochodu, a niebieskie światła pulsowały na naszych twarzach.

– A mam być? – spojrzałam na niego.

– Tak.

– Nie jestem.

– Jest pani z FBI?

– Nie.

Zaniepokoił się bardziej.

– To kim pani jest, madam?

– Anatomopatologiem sądowym – odparłam.

– Kto jest pani przełożonym?

– Nie mam przełożonego.

– Proszę pani, musi pani mieć szefa.

– Moim szefem jest gubernator stanu Wirginia.

– Proszę pokazać prawo jazdy – polecił.

– Nie, dopóki nie powie mi pan, o co jestem oskarżona.

– Jechała pani z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę w obszarze o dozwolonej prędkości trzydziestu pięciu mil. I usiłowała pani uciec.

– Czy wszyscy ludzie, którzy usiłują uciekać, kierują się prosto na wartownię?

– Proszę pokazać prawo jazdy.

– Niech pan pozwoli, że o coś spytam. Prywatnie – powiedziałam. – Jak pan sądzi, dlaczego nie zatrzymałam się na tej zapomnianej przez Boga i ludzi drodze?

– Naprawdę nie wiem, proszę pani.

– Nieoznakowane samochody rzadko zatrzymują ruch drogowy, ale psychopaci robią to często.

Jasnoniebieskie światło pulsowało na jego młodej twarzy. Prawdopodobnie nie wiedział, kto to jest psychopata.

– Nigdy nie zatrzymam się przed pańskim nieoznakowanym chevroletem, jeśli pan i ja powtórzymy kiedykolwiek w życiu tę nieszczęsną przygodę. Rozumie pan? – spytałam.

Od strony akademii nadjechał samochód, zatrzymując się po drugiej stronie szlabanu.

– Ścigał mnie pan – mówiłam oburzona, zamykając drzwiczki. – Wyciągnął pan swój przeklęty dziewięciomilimetrowy pistolet i wycelował we mnie. Czy nikt w piechocie morskiej nie nauczył pana, co to jest nieuzasadnione stosowanie przymusu bezpośredniego?

– Kay? – Z ciemności wyłonił się Benton.

Zrozumiałam, że musiał po niego zatelefonować strażnik, ale nie miałam pojęcia, dlaczego Wesley był tu o tej porze. Nie przyjechał z domu, mieszkał niemal we Fredericksburgu.

– Dobry wieczór – powiedział surowo do żandarma.

Odeszli na bok i nie słyszałam, co mówią, ale żołnierz wrócił do swojego małego samochodu. Niebieskie światła cofnęły się i odjechały w swoją stronę.

– Dzięki – zwrócił się Wesley do strażnika. – Chodź – powiedział. – Jedź za mną.

Nie pojechał na parking, z którego zwykle korzystałam, ale na rezerwowane miejsca za budynkiem Jeffersona. Nie było tam żadnego samochodu poza dużą półciężarówką, w której rozpoznałam własność Marino. Wsiadłam.

– Co się dzieje? – spytałam, mój oddech parował na chłodzie.

– Marino jest na dole, w wydziale. – Wesley miał na sobie ciemny sweter i spodnie; czułam, że coś się stało.

– Gdzie jest Lucy? – zapytałam szybko.

Nie odpowiedział; wsunął kartę identyfikacyjną w szczelinę zamka, otwierając tylne drzwi.

– Musimy pogadać – oznajmił.

– Nie. – Wiedziałam, co to znaczy. – Jestem zbyt zdenerwowana.

– Kay, nie jestem twoim wrogiem.

– Czasami tak mi się zdaje.

Ruszył szybko, nie zawracając sobie głowy windą.

– Przykro mi – rzekł. – Kocham cię i nie wiem, co robić.

– Zdaję sobie sprawę. – Trzęsłam się. – Ja także nie wiem. Stale potrzebuję kogoś, żeby mi to mówił. Ale nie chcę tego, Benton. Pragnę tego, co mieliśmy, i jednocześnie nie chcę.

Milczał przez chwilę.

– Lucy go namierzyła za pomocą KAIN-a – rzekł w końcu. – Postawiliśmy na nogi OUZ.

– A więc jest tutaj – rzekłam z ulgą.

– Jest w Nowym Jorku. My też tam jedziemy. – Spojrzał na zegarek.

– Nie rozumiem – powiedziałam, kiedy nasze kroki zabrzmiały na stopniach.

Szliśmy szybko długim korytarzem obok pokoi, w których spędzali swój czas negocjatorzy, jeśli nie przebywali za granicą, prowadząc pertraktacje z terrorystami przetrzymującymi zakładników czy z porywaczami samolotów.

– Nie rozumiem, dlaczego Lucy jest w Nowym Jorku? – spytałam zdenerwowana. – Czemu nie tutaj?

Weszliśmy do jego biura, w którym Marino kucał obok turystycznej torby. Była rozpięta, a na wykładzinie obok niej leżała saszetka z przyborami do golenia i trzy naładowane magazynki do jego sig sauera. Szukając czegoś w dalszym ciągu, podniósł na mnie wzrok.

– Dasz wiarę? – powiedział do Wesleya. – Zapomniałem brzytwy.

– Mają je w Nowym Jorku – odparł Benton.

– Byłam w Karolinie Południowej – rzekłam. – Rozmawiałam z Gaultami.

Marino przestał grzebać w torbie i zagapił się na mnie; Wesley usiadł za biurkiem.

– Mam nadzieję, że nie wiedzą, gdzie jest ich syn – powiedział dziwnym tonem.

– Nie mam żadnych wskazówek na ten temat. – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– No cóż, może to nie ma znaczenia. – Potarł oczy. – Nie chcę po prostu, by ktokolwiek go ostrzegł.

– Lucy przytrzymała go przy KAIN-nie wystarczająco długo, byście zdołali go namierzyć?

Marino wstał i usiadł na krześle.

– Ten drań ma kryjówkę tuż przy Central Parku.

– Gdzie? – spytałam.

– W budynku Dakoty.

Pomyślałam o Wigilii, gdy byliśmy przy fontannie w Cherry Hill. Gault mógł nas obserwować. Mógł ze swego pokoju widzieć nasze światła.

– Nie stać go na Dakotę – stwierdziłam.

– Pamiętasz jego fałszywe prawo jazdy? – spytał Marino. – Na nazwisko Benelli?

– To jego apartament?

– Tak – odparł Wesley. – Pan Benelli jest najwyraźniej dziedzicem poważnej rodzinnej fortuny. Zarządca uznał, iż obecny lokator – Gault – jest jego włoskim krewnym. W każdym razie nie zadają tam zbyt wielu pytań, a on mówił z włoskim akcentem. To jest bardzo wygodne dla Gaulta, ponieważ pan Benelli nie płaci czynszu. Reguluje go jego ojciec z Werony.

– Dlaczego nie pójdziecie po niego do Dakoty? – zapytałam. – Dlaczego OUZ nie może tego zrobić?

– Może, ale wolałbym, żeby do tego nie doszło. To zbyt ryzykowne – odrzekł Wesley. – To nie jest wojna, Kay. W budynku Dakoty mieszkają ludzie i nie chcemy żadnych ofiar ani rannych, a poza tym jesteśmy spętani przez prawo. Nie wiemy, gdzie jest Benelli. Może być w mieszkaniu.

– Taaa, w plastikowym worku za chowanym w ścianę łóżkiem – powiedział Marino.

– Wiemy, gdzie jest Gault i obserwujemy budynek, ale Manhattan to nie miejsce, które wybrałbym na schwytanie tego gościa. Dzielnica jest piekielnie zatłoczona. Wdasz się w wymianę ognia – nieważne, jak dobry w tym jesteś – a ktoś na pewno zostanie trafiony. Ktoś inny zginie. Kobieta, mężczyzna, dziecko, którym przytrafiło się wyjść z domu w złą godzinę.



– Rozumiem – powiedziałam. – Nie zamierzam się z wami spierać. Czy Gault jest teraz w mieszkaniu? I co z Carrie?

– Nie widziano jej ani nie mamy powodu, by przypuszczać, że podróżuje z Gaultem – odparł Wesley.

– Nie używał mojej karty kredytowej do kupowania dla niej biletów lotniczych – zauważyłam. – To wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć.

– Wiemy na pewno, że ostatnio Gault był w apartamencie Benellego o ósmej wieczorem – ciągnął Wesley. – To wtedy wszedł na linię i Lucy go namierzyła.

– Namierzyła? – Spojrzałam na obu mężczyzn. – Namierzyła go stąd, a teraz jej nie ma? Zabrała się razem z OUZ?

Przed oczami ujrzałam niecodzienny obraz Lucy w czarnym mundurze i czarnych butach, ładującej się do samolotu w bazie lotniczej Andrews. Wyobraziłam ją sobie z grupą doskonale wyszkolonych pilotów śmigłowców, snajperów i ekspertów od materiałów wybuchowych – i moje niedowierzanie wzrosło.

Wesley spojrzał mi w oczy.

– Od kilku dni Lucy przebywa w Nowym Jorku, pracując na komputerze Policji Transportowej. Stamtąd go zlokalizowała.

– Dlaczego nie jest tutaj, gdzie KAIN? – spytałam, ponieważ nie chciałam, by Lucy była w Nowym Jorku.

Nie chciałam, by znajdowała się choćby w tym samym stanie co Temple Gault.

– Policja Transportowa ma nadzwyczaj wyrafinowany system – odrzekł.

– Mają rzeczy, jakich my nie mamy, Doc – przemówił Marino.

– Na przykład?

– Na przykład komputerową mapę całego systemu nowojorskiego metra.

– Siedząc, Marino pochylił się ku mnie i oparł się przedramionami o

kolana.

Rozumiał, co czułam. Widziałam to w jego oczach.

– Sądzymy, że to z tego powodu Gault się tam kręci.

– Uważamy, że Carrie Grethen podłączyła Gaulta, poprzez KAIN-a, do komputera Policji Transportowej. Dzięki temu zaplanował sobie sposób poruszania się po mieście za pośrednictwem tuneli, by zdobywać narkotyki i popełniać zbrodnie. Ma dostęp do szczegółowych rysunków stacji, tuneli, przejść inspekcyjnych i wyjść awaryjnych.

– Jakich wyjść?

– System transportowy metra ma wyjścia ewakuacyjne z tuneli, przewidziane na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu pociąg musiał się zatrzymać pomiędzy stacjami. Pasażerowi mogą być wyprowadzeni przez wyjście bezpieczeństwa, które pozwala wydostać się na powierzchnię. W Central Parku jest ich wiele.

Wesley wstał i podszedł do swojej walizeczki. Otworzył ją i wyjął gruby rulon białego papieru. Zdjął gumową opaskę i rozwinął bardzo długi plan nowojorskiego systemu kolei podziemnej, obejmujący tory, infrastrukturę, każdy właz, kubeł na śmieci, sygnalizator dla pociągów i każdy peron. Wykresy, niektóre dłuższe niż sześć stóp, pokryły większą część podłogi w jego biurze. Oglądałam je zafascynowana.

– To od komandor Penn – powiedziałam.

– Tak – potwierdził Wesley. – A to, co mają w swoim komputerze, jest jeszcze bardziej szczegółowe. Na przykład – kucnął, wskazując coś i odsuwając przeszkadzający mu krawat – w marcu 1979 roku kołowrotek przy wejściu na CB numer 300 został usunięty. To tutaj.

Pokazał mi na rysunku stacji przy Sto Dziesiątej Ulicy, skrzyżowaniu Lenox Avenue i Sto Dwunastej.

– I takie zmiany są bezpośrednio wprowadzane do komputera Policji Transportowej.

– To znaczy, że znajdują natychmiastowe odbicie na mapach komputerowych – powiedziałam.

– Owszem. – Przysunął bliżej inny rysunek, ten ze stacją obok Muzeum Historii Naturalnej przy Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy. – Powód, dla którego, jak sądzimy, Gault korzysta z tych map, znajduje się tutaj.

Poklepał obszar, obejmujący na planie wyjście bezpieczeństwa, znajdujące się bardzo blisko Cherry Hill.

– Jeśli Gault oglądał te rysunki – kontynuował Wesley – to wybrał najprawdopodobniej to wyjście awaryjne, by pojawić się w Central Parku i uciec po dokonaniu morderstwa. Tym sposobem on i jego ofiara – po opuszczeniu muzeum – mogli się poruszać tunelami nie zauważeni, a kiedy wyszli na powierzchnię w parku, znaleźli się bardzo blisko fontanny, gdzie planował wystawić na pokaz jej ciało.

Ale tym, czego nie dowiesz się z oglądania tych wydruków sprzed trzech miesięcy, jest to, że na dzień przed morderstwem służby utrzymania tuneli zamknęły tę klapę na głucho w celu dokonania naprawy. Sądzimy, że dlatego Gault i jego ofiara wyszli na powierzchnię bliżej Ramble – mówił dalej. – Niektóre odciski podszew w tym miejscu odpowiadają ich butom. Ślady zostały także znalezione w pobliżu wyjścia awaryjnego.

– Więc musisz zapytać, skąd wiedział, że wjazd przy Cherry Hill został zablokowany – odezwał się Marino.

– Myślę, że mógł to wcześniej sprawdzić – podsunęłam.

– Nie można tego zrobić z powierzchni, ponieważ klapy otwierają się tylko od strony tuneli – powiedział Marino.

– Może był tam na dole i widział, że drzwi zostały zablokowane – upierałam się, ponieważ rozumiałam, do czego to prowadzi; i wcale mi się

to nie podobało.

– To, oczywiście, możliwe – zauważył rozsądnie Wesley. – Ale policjanci z Policji Transportowej bardzo często chodzą tunelami. Są na peronach i stacjach, a żaden z nich nie pamięta, by widział Gaulta. Sądzę raczej, że podróżował tam na dół za pośrednictwem komputera, dopóki jego sytuacja nie wymagała, żeby zjawił się tam osobiście.

– A jaka jest w tym rola Lucy? – spytałam.

– Ma nim manipulować – odparł Marino.

– Nie jestem komputerowcem – dodał Wesley. – Ale na tyle, na ile mogłem to zrozumieć, opracowała coś takiego, że kiedy on się włącza do tej elektronicznej mapy, to widzi tę, którą ona przygotowała.

– Przygotowała w jakim celu?

– Mamy nadzieję, że złapiemy go jak szczura w labiryncie.

– Myślałam, że to OUZ wejdzie do akcji?

– Zamierzamy spróbować wszystkiego, co tylko możliwe.

– Dobrze zatem, ale pozwólcie, że zasugeruję rozważenie innego planu – powiedziałam. – Kiedy Gault potrzebuje pieniędzy, idzie do Houston Professional Pharmacy.

Spojrzeli na mnie, jakbym zwariowała.

– Jego matka przesyła tam telegraficznie pieniądze dla siostry Temple'a, Jayne...

– Zaczekaj moment – przerwał Marino, ale ja mówiłam dalej.

– Próbowałam zadzwonić z tym do was wcześniej. Wiem, że Temple podejmował bezprawnie te pieniądze, ponieważ pani Gault wysłała je jeszcze po śmierci Jayne. I ktoś je odebrał. Ta osoba znała odpowiedź na pytanie sprawdzające.

– Poczekaj – powtórzył Marino. – Zaczekaj jedną pieprzoną minutę. Czy chcesz powiedzieć, że ten skurwysyn zamordował własną siostrę?

– Tak – potwierdziłam. – Bliźniaczkę.

– Jezu. Nikt mi tego nie powiedział. – Spojrzał oskarżycielsko na Wesleya.

– Przyjechałeś tutaj zaledwie dwie minuty przed aresztowaniem Kay – odparł Wesley.

– Nie zostałam aresztowana – zaprzeczyłam. – Jej drugie imię brzmi Jayne, przez „y” – dodałam.

– To wszystko zmienia – stwierdził Wesley i zatelefonował do Nowego Jorku.

Kiedy przestał rozmawiać, była niemal jedenasta. Wstał i wziął swoją dyplomatkę, torbę oraz radiotelefon, który leżał na biurku. Marino także podniósł się z fotela.

– Trzeci do siedemnastego – powiedział Wesley do radia.

– Siedemnasty.

– Ruszamy.

– Tak jest, sir.

– Jadę z wami – oznajmiłam Bentonowi.

Spojrzał na mnie. Nie byłam na pierwotnej liście pasażerów.

– W porządku. Chodźmy.

Omawialiśmy nasz plan, gdy pilot kierował się w stronę Manhattanu. Sztab Biura w Nowym Jorku wysłał tajnego agenta do apteki na rogu Houston i Second Avenue, a dwóch agentów z Atlanty zostało skierowanych na plantację Live Oaks. Wszystko to działo się w chwili, kiedy rozmawialiśmy przez laryngofony.

Jeśli pani Gault postąpi zgodnie ze swoim zwyczajem, pieniądze powinny być jutro wysłane telegraficznie. Ponieważ Temple nie wiedział, że jego rodzice zostali powiadomieni o śmierci córki, przypuszczał, że przekaz nadejdzie jak zwykle.

– To, czego na pewno nie zrobi – głos Wesleya wypełnił moje słuchawki, kiedy wyglądałam na pogrążone w ciemności równiny – to nie pojedzie do apteki taksówką.

– Istotnie – przyznał Marino. – Wątpię w to. Wie, że szukają go wszyscy oprócz królowej Anglii.

– Chcemy, żeby zszedł do tuneli.

– Wydaje mi się, że to jest bardziej ryzykowne – powiedziałam myśląc o Davili. – Żadnych świateł. Szyna zasilająca pod napięciem i jeżdżące pociągi.

– Wiem – zgodził się Benton. – Ale on ma mentalność terrorysty. Nie obchodzi go, kogo zabija. Nie możemy sobie pozwolić na strzelaninę na Manhattanie w środku dnia.

Rozumiałam ten punkt widzenia.

– W jaki sposób upewnisz się, że do apteki próbuje dostać się tunelami?  
– spytałam.

– Postawimy na nogi całą policję bez zwracania jego uwagi.

- Jak?
- Jutro odbywa się Marsz Przeciwno Przemocy.
- To nadzwyczaj stosowne – zauważyłam ironicznie. – Trasa wiedzie przez Bowery?
- Tak. Może zostać z łatwością zmieniona, tak by demonstracja poszła przez Houston lub Second Avenue.
- Wszystko, co trzeba zrobić – wtrącił się Marino – to przestawić bariery na ulicach.
- Departament Policji Transportowej może wysłać komputerową informację, zawiadamiając policję w Bowery, że o tej a o tej porze odbywa się przemarsz. Gault zobaczy na swoim monitorze, iż demonstracja ma przechodzić przez ten obszar miasta dokładnie w tym czasie, kiedy powinien odebrać pieniądze. Ujrzy także, że stacja metra przy Second Avenue będzie czasowo zamknięta.
- Będzie zatem wiedział, że to nie jest odpowiednia pora, by poruszać się po ulicach – powiedziałam.
- Właśnie. Kiedy odbywa się parada, są i gliny.
- Obawiam się, że może po prostu nie pójść po pieniądze – odezwał się Marino.
- Pójdzie – rzekł Wesley, jakby wiedział to na pewno.
- Tak – poparłam go. – Jest uzależniony od cracku. – To dużo silniejszy motyw niż jakikolwiek strach, który mógłby odczuwać.
- Myślicie, że zabił swoją siostrę z powodu pieniędzy? – spytał Marino.
- Nie – odparł Wesley. – Ale te niewielkie sumy, jakie posyłała jej matka, stanowiły jeszcze jedną rzecz, którą sobie przywłaszczał. W końcu zabrał wszystko, co jego siostra miała.
- Nie, nie zabrał – powiedziałam. – Nigdy nie była tak zła, jak on. To najlepsza rzecz, jaką miała i Gault nie mógł jej sobie przywłaszczyć.

- Przybywamy do Big Apple<sup>[11]</sup> z bronią – rozległ się głos Marino.
- Moja torba – odezwałam się. – Zapomniałam jej zabrać.
- Powiem o tym zarządzającemu jutro rano, w pierwszej kolejności.
- Bo to najważniejsze – potwierdził Marino.

Usiedliśmy na lądowisku dla helikopterów na Hudsonie, w pobliżu obwieszonych bożonarodzeniowymi światełkami lotniskowca „Intrepid”. Radiowóz Policji Transportowej czekał już na nas i przypomniałam sobie swoje nie tak dawne przybycie tutaj i pierwsze spotkanie z komandor Penn. Pamiętałam widok krwi Jayne na śniegu, kiedy nie znałam jeszcze przykrej prawdy na jej temat. Ponownie zajechaliśmy do New York Athletic Club.

– W którym pokoju jest Lucy? – spytałam Wesleya, kiedy meldowaliśmy się u starego mężczyzny o wyglądzie kogoś, kto zawsze pracuje na nocnej zmianie.

– Nie ma jej tutaj. – Wręczył nam klucze.

Odeszliśmy od kontuaru recepcji.

– Dobra – zaczęłam. – Powiedz mi teraz.

Marino ziewnął.

– Sprzedaliśmy ją do małej fabryczki w okręgu Garment.

– W pewnym sensie znajduje się pod ochroną. – Wesley uśmiechnął się lekko, kiedy otworzyły się mosiężne drzwi windy. – Jest z komandor Penn.

W pokoju zdjęłam kostium i powiesiłam go na prysznicu. Odświeżyłam go i wyprasowałam, tak jak robiłam to przez ostatnie dwie noce, zastanawiając się przy tym, czy uda mi się jeszcze kiedykolwiek zmienić strój. Spałam pod kilkoma kocami przy szeroko otwartych oknach. Wstałam o szóstej, zanim zadzwonił budzik. Wzięłam tusz i zamówiłam na śniadanie kawę i bagietkę.

O siódmej zadzwonił Wesley, a potem wraz z Marino zjawili się pod moimi drzwiami. Poszliśmy na dół do hallu, a następnie wsiedliśmy do



czekającego na nas policyjnego samochodu. Mój browning był w dyplomatce i miałam nadzieję, że Wesley załatwił specjalne pozwolenie, ponieważ nie miałam ochoty naruszyć nowojorskich przepisów regulujących posiadanie broni. Pomyślałam o Bernardzie Goetzu.

– Oto, co będziemy robić rano – odezwał się Benton, kiedy jechaliśmy w stronę Manhattanu. – Przedpołudnie spędzę przy telefonie. Marino, chcę żebyś był na ulicy z policjantami z Transportowej. Upewnij się, że te barierki są tam, gdzie powinny być.

– Załatwione.

– Kay, chcę, żebyś była z komandor Penn i Lucy. Będą w bezpośrednim kontakcie z agentami w Karolinie Południowej oraz z tym w aptece. – Wesley spojrział na zegarek. – Agenci w Karolinie Południowej powinni dotrzeć do plantacji w ciągu godziny.

– Miejmy nadzieję, że Gaultowie nie pokrzyżują nam szyków – powiedział Marino.

Benton spojrział na mnie.

– Kiedy opuszczałam Gaultów, wydali się skłonni do współpracy – wyjaśniłam. – Ale czy nie możemy po prostu posłać pieniędzy w jej imieniu i trzymać ją od tego z daleka?

– Moglibyśmy – rzekł Wesley. – Ale im mniej uwagi zwracamy, tym lepiej. Pani Gault mieszka w małej miejscinie. Jeśli agenci przyjdą tam i nadadzą forszę, ktoś może o tym powiedzieć.

– A jak to ma trafić do Gaulta? – spytałam sceptycznie.

– Jeśli pracownik Western Union w Beaufort trzyma w jakiś sposób sztamę z tym w Nowym Jorku, nigdy nie można być pewnym, czy nie stanie się coś, co spłoszy Gaulta. Nie chcemy stracić szansy, a im mniej ludzi jest w to zaangażowanych, tym lepiej.

– Rozumiem – powiedziałam.

– Jest jeszcze inny powód, dla którego chcę, żebyś była z komandor Penn – ciągnął Wesley. – Gdyby pani Gault postanowiła w jakikolwiek sposób wmieszać się w to, chciałbym, żebyś z nią porozmawiała i utrzymała ją w ryzach.

– Gault może pokazać się w aptecce w każdej chwili – zauważył Marino.  
– Gdyby jego staruszka wypięła się na nas i pieniądze by nie przyszły, Gault nie dowie się o tym, dopóki nie podejdziesz do kontuaru.

– Nie wiemy, co on robi – rzekł Wesley – ale podejrzewam, że najpierw zatelefonuje.

– Musi posłać mu pieniądze – zgodziłam się. – Koniecznie musi przez to przejść. A to jest trudne.

– Racja, to jej syn – zgodził się Benton.

– Więc jak się to rozegra? – spytałam.

– Zaaranżowaliśmy to tak, że marsz zacznie się o drugiej, to jest w czasie, kiedy dawniej przychodziły pieniądze. Mamy już OUZ na ulicach – niektórzy z brygady będą uczestniczyć w demonstracji. Mamy i innych agentów. Dochodzą tajniacy. Ci znajdują się głównie w metrze i w miejscach, gdzie są wyjścia ewakuacyjne.

– A co z samą apteką? – chciałam wiedzieć.

Wesley zawahał się.

– Oczywiście, mamy tam kilku ludzi, ale nie chcemy chwytać Gaulta w sklepie czy w jego pobliżu. Może zacząć strzelać. Jeżeli mają już być jakieś ofiary, niech będzie tylko jedna.

– Jedyne, o co proszę, to to, żebym ja był tym szczęściarzem, który go zastrzeli – odezwał się Marino. – Potem mogę iść na emeryturę.

– Musimy koniecznie sprowadzić go pod ziemię – naciskał Wesley. – Nie wiemy, jaką bronią obecnie dysponuje. Nie mamy pojęcia, ilu ludzi może wyeliminować dzięki karate. Jest mnóstwo rzeczy, których nie

wiemy. Ale wierzę, że wybuchła po zażyciu koki i nagle się załamuje. I nie boi się. To dlatego jest tak niebezpieczny.

– Dokąd jedziemy? – spytałam, widząc przesuwane się obok nas w drobnym deszczu ponure budynki.

To nie był dobry dzień na demonstrację.

– Penn urządziła sobie stanowisko dowodzenia na Bleecker Street, która jest dosyć blisko apteki, ale zarazem w bezpiecznej odległości – odrzekł Benton. – Jej zespół był tam przez całą noc, znosząc wyposażenie komputerowe, i tak dalej. Lucy jest z nimi.

– Czy to jest na stacji metra?

– Tak, madam – odparł kierowca. – To lokalny przystanek, który jest czynny tylko przez pięć dni w tygodniu. Podczas weekendów pociągi nie zatrzymują się tam, więc powinno być spokojnie. Departament Policji Transportowej ma miniposterunek, który obejmuje swym zasięgiem Bowery.

Zatrzymał samochód przed schodami prowadzącymi w dół do stacji. Chodniki i ulice zatłoczone były pieszymi, niosącymi nad głowami parasole lub rozłożone gazety.

– Zejdzie pani prosto na dół i zobaczy po lewej stronie kołowrotek drewniane drzwi. Zaraz za okienkiem informacji – poinstruował mnie policjant.

Odczepił swój mikrofon.

– Wóz jeden-jedenaście.

– Jeden-jedenaście – odpowiedział dyspozytor.

– Dziesięć-pięć oddział trzy.

Dyspozytor połączył trójkę i poznałam głos komandor Penn. Wiedziała, że przyjechaliśmy. Wesley, Marino i ja zeszliśmy ostrożnie po śliskich stopniach, gdyż deszcz padał coraz mocniej. Wyłożona płytkami podłoga

była mokra i brudna, a w pobliżu nie było żywego ducha. Denerwowałam się coraz bardziej.

Minęliśmy okienko informacji i Wesley zapukał w drewniane drzwi. Detektyw Maier, poznany przeze mnie w kostnicy po śmierci Davili, zaprowadził nas do pomieszczenia, które zostało zamienione w pokój kontrolny. Monitory wewnętrznej telewizji stacji metra stały na długim stole, a moja siostrzenica siedziała przy konsolce wyposażonej w telefony, łączność radiową i komputery.

Frances Penn, mająca na sobie ciemny blezer oraz spodnie oddziałów specjalnych, którymi dowodziła, podeszła do mnie i gorąco uścisnęła mi dłonie.

– Kay, tak się cieszę, że tutaj jesteś – powiedziała pełna energii, ale i zdenerwowana.

Lucy była zaabsorbowana obserwowaniem czterech monitorów. Każdy pokazywał światłodruk innego fragmentu systemu kolei podziemnej.

– Muszę iść do naszej kwatery polowej – zwrócił się Wesley do komandor Penn. – Marino będzie z pani chłopcami, tak jak to omawialiśmy.

Skinęła głową.

– Więc zostawiam doktor Scarpettę tutaj.

– Bardzo dobrze.

– Do czego to wszystko zmierza? – domagałam się wprowadzenia.

– Zamykamy stację przy Second Avenue, to na prawo od apteki – wyjaśniła mi komandor Penn. – Policjanci drogówki i bariereki blokują wejście. Nie możemy ryzykować konfrontacji, kiedy na tym terenie znajdują się cywile. Spodziewamy się, że pójdzie tunelem wzdłuż torów wiodących na północ albo – co bardziej prawdopodobne – zostawi tę drogę i uda się przez Second Avenue, skoro nie jest otwarta. – Przerwała,

spoglądając na Lucy. – Lepiej zrozumiesz, jeśli twoja siostrzenica pokaże ci to na ekranie.

– A zatem chcecie go złapać gdzieś na stacji – stwierdziłam.

– Tak – potwierdził Wesley. – Mamy tam kilku facetów ukrytych w ciemności. OUZ będzie wszędzie dookoła. Chodzi o to, że chcemy schwytać go tam, gdzie nie ma ludzi.

– Oczywiście – zgodziłam się.

Maier przyjrzał się nam uważnie.

– Jak pani wpadła na to, że ta kobieta z parku to jego siostra? – zapytał patrząc na mnie.

Przedstawiłam mu krótkie streszczenie wypadków, dodając:

– W celu zweryfikowania tej hipotezy wykonamy badania DNA.

– Raczej się nie uda, z tego, co słyszałem – odparł. – Dotarło do mnie, że jej próbka krwi przepadła, i nic nie mają w tej kostnicy.

– Skąd pan to wie? – spytałam.

– Znam kilku chłopaków, którzy tam pracują. Wie pani, detektywów z wydziału osób zaginionych NYPD.

– Zidentyfikujemy ją – powiedziałam, obserwując go badawczo.

– No cóż, gdyby mnie pani spytała o zdanie, to bym powiedział, że to hańba, co oni wykombinowali.

Komandor Penn słuchała uważnie; miałam wrażenie, że i ona, i ja dochodzimy do tego samego wniosku.

– Dlaczego pan to mówi? – spytałam.

Maier zezłościł się.

– Ponieważ sposób, w jaki ten system działa w tym mieście, powoduje, że aresztujemy tego dupka właśnie tutaj, prawda? Zostanie oskarżony o zamordowanie tej kobiety, ponieważ nie ma dosyć dowodów, by obarczyć go odpowiedzialnością za śmierć Jimmy'ego Davili. I w stanie Nowy Jork

nie mamy kary śmierci, a oskarżenie będzie słabsze, jeśli nie będziemy znać nazwiska zabitej, a nikt nie wie, kim ona była.

– Brzmi to tak, jakby pan chciał, żeby prokuratura miała słabe podstawy – stwierdził Wesley.

– Taaa... tak brzmi, ponieważ chciałem, żeby tak zabrzmiało.

Marino patrzył na niego, nie zdradzając swoich uczuć.

– Ten bydlak załatwił Davilę z jego służbowego rewolweru. Sprawa powinna potoczyć się w ten sposób, że Gault winien zostać usmażony na krześle.

– Masz cholerną rację. – Mięśnie szczęk Maiera nabrzmiały. – Zabił gliniarza. Kurewsko dobrego gliniarza, który jest oskarżany o różne bzdury, ponieważ tak się dzieje, kiedy zginiesz na służbie. Ludzie, politycy, wydział wewnętrzny – wszyscy spekulują. Każdy ma jakiś pomysł. Cały kraj go ma. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Gault był sądzony w Wirginii, nie tutaj.

Ponownie na mnie spojrział. Zrozumiałam, co się stało z wycinkami tkanek Jayne. Detektyw Maier poprosił przyjaciół w kostnicy koronera, by ze względu na honor zabitego kolegi zrobili mu przysługę. Chociaż to, co uczynili, było bardzo złe, prawie ich nie winiałam.

– W Wirginii, gdzie Gault także popełnił zbrodnię, macie krzesło elektryczne – ciągnął Maier. – Tylko że jeśli ten drań zostanie złapany w Nowym Jorku, prawdopodobnie nie będzie pani świadkiem oskarżenia, prawda?

– Nie wiem – odparłam.

– Rozumiem. Ona nie wie. To znaczy: zapomnij o tym. – Rozejrzał się wokoło, jakby udowodnił coś, od czego nie było odwołania. – Ten dupek musi trafić do Wirginii, gdzie zostanie ugotowany, jeśli wcześniej nie załatwi go któryś z nas.

– Detektyw Maier – powiedziała cicho komandor Penn. – Muszę porozmawiać z panem na osobności. Proszę do mojego biura.

Wyszli przez tylne drzwi. Odsunęła go od tej sprawy, ponieważ stracił panowanie nad sobą. Udzieliła mu nagany i prawdopodobnie mógł zostać zawieszony.

– Wychodzimy – odezwał się Wesley.

– Taaa... Następnym razem zobaczysz nas w telewizji – powiedział Marino, mając na myśli monitory w pokoju kontrolnym.

Zdjęłam płaszcz oraz rękawiczki i właśnie otwierałam usta, by przemówić do Lucy, kiedy tylne drzwi otworzyły się i wynurzył się z nich Maier. Szybkim, wściekłym krokiem podszedł prosto do mnie.

– Niech pani to zrobi dla Jimbo – powiedział z naciskiem. – Proszę nie pozwolić, by ten dupek wykręcił się z tego.

Patrzył w sufit, a na karku wystąpiły mu żyły.

– Przepraszam. – Zamrugał, odpędzając łzy.

Niemal nie był w stanie mówić; zamaszyście otworzył drzwi i wyszedł.

– Lucy? – odezwałam się, kiedy zostałyśmy same.

Maksymalnie skoncentrowana, stuknęła w klawiaturę.

– Cześć – odparła.

Podeszłam do niej i pocałowałam ją w czubek głowy.

– Siadaj – powiedziała, nie odrywając wzroku od tego, co robiła.

Przyjrzałam się badawczo monitorom. Strzałki wskazywały pociągi na trasach Manhattanu, Brooklynu, Bronksu i Queens, a pogmatwana siatka kresek ukazywała ulice, szkoły i centra medyczne. Wszystkie były ponumerowane. Usiadłam obok niej i kiedy ponownie zjawiała się Penn, wyjęłam ze swej aktówki okulary; twarz pani komandor była pełna napięcia.

– To nie było zabawne – odezwała, się stając za nami; pistolet u jej pasa niemal dotykał mego ucha.

– Co oznaczają te świecące znaczki, wyglądające jak poskręcane drabiny? – spytałam wskazując na ekranie, o co mi chodzi.

– To wyjścia awaryjne – wyjaśniła komandor Penn.

– Możesz mi wyjaśnić, co tutaj robicie? – poprosiłam.

– Lucy, opowiedz – powiedziała komandor.

– To bardzo proste – zaczęła Lucy, a ja nigdy jej nie wierzyłam po takim wstępie. – Przypuszczam, że Gault ogląda te same mapy. Więc pozwalałam mu widzieć to, co chcę, żeby zobaczyć.

Stuknęła w kilka klawiszy i pokazał się kolejny fragment metra, opatrzone symbolami i długimi linijkami opisu szlaków. Stukała dalej i jeden tunel zabarwił się na czerwono.

– To jest trasa, którą – jak się spodziewamy – wybierze – powiedziała. – Logika podpowiada, że wejdzie do systemu komunikacyjnego tędy.

Lucy wskazała na monitor na lewo od tego, który miała na wprost siebie.

– To jest Muzeum Historii Naturalnej. Jak widać, są tam trzy wyjścia bezpieczeństwa, dokładnie obok Planetarium Haydena oraz jedno dalej, przy Beresford Apartaments. Gault może także iść na południe, bliżej Kenilworth Apartments, i dostać się do podziemia tamtędy, a potem wybrać jakikolwiek peron, gdy przyjdzie czas, żeby wsiąść do pociągu.

– Na tym obszarze mapy niczego nie zmieniłam – ciągnęła Lucy. – Ważniejsze jest, by zmylić go na drugim końcu trasy, tam gdzie jest Bowery.

Stukała gwałtownie w klawiaturę, a na monitorze ukazywał się obraz za obrazem. Mogła je nachylać, przesuwać i manipulować nimi tak, jakby były modelami, które obraca w dłoniach. Na środkowym ekranie znajdował się



podświetlony symbol wyjścia awaryjnego, a wokół niego narysowany był kwadrat.

– Uważamy, że to jego przejście – podjęła Lucy. – To jest w miejscu, gdzie Czwarta i Trzecia łączą się z Bowery – wskazała. – Tutaj, za tym domem z piaskowca, należącym do Cooper Union Foundation Building.

– Powód, dla którego uważamy, że korzysta z tego wejścia – odezwała się komandor Penn – jest taki, iż odkryliśmy, że było ono używane. Pomiędzy klapę a jej obramowanie wsunięto kawałek blaszki aluminiowej, by dało się ją otworzyć z góry.

– Jest to także wyjście najbliższe apteki – ciągnęła komandor Penn. – Znajduje się w ustronnym miejscu, ukryte za budynkiem, praktycznie w przejściu pomiędzy kontenerami na śmieci. Gault może tamtędy wchodzić i wychodzić, kiedy zechce, i mało prawdopodobne, by nawet w środku dnia ktokolwiek go widział.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedziała Lucy. – Przy Cooper Square znajduje się znany sklep muzyczny – The Carl Fischer Music Store.

– Racja – potwierdziła komandor Penn. – Ktoś, kto tam pracuje, pamięta Jayne. Wpadała od czasu do czasu i wertowała płyty. To było w grudniu.

– Czy ktoś z nią rozmawiał? – spytałam i posmutniałam.

– Wszyscy pamiętają, że interesowała się albumami jazzowymi. Nie wiemy, jakie związki z tym sklepem ma Gault. Ale mogą być bardziej istotne, niż sądzimy.

– Zlikwidowaliśmy to wyjście awaryjne – wtrąciła Lucy. – Policja zamknęła je na głucho.

Postukała w klawisze. Symbol wjazdu przestał świecić, a obok pojawił się napis *Niedostępne*.

– Wydaje się, że to mogłoby być dobre miejsce do schwytania go – zauważyłam. – Dlaczego nie zrobić tego na tyłach Cooper Union Building?

– To znowu jest zbyt blisko zaludnionych obszarów – powiedziała komandor Penn. – A gdyby Gault ponownie zanurkował do tuneli, zakopałby się w nich bardzo głęboko. W samych wnętrznościach Bowery. Poszukiwania go stałyby się śmiertelnie niebezpieczne i mógłby się nam wymknąć. Moim zdaniem zna te korytarze na dole lepiej od nas.

– W porządku. Więc co się stanie?

– Ponieważ nie może skorzystać ze swoich ulubionych wyjść ewakuacyjnych, ma dwie możliwości. Może wybrać inny wjazd, który – idąc wzdłuż torów – znajduje się dalej na północ. Albo może iść tunelem i wynurzyć się na powierzchnię na peronie stacji przy Second Avenue.

– Nie sądzimy, żeby użył innego wyjścia – wtrąciła komandor Penn. – Zatrzymałoby go to zbyt długo pod ziemią. A wie, że z powodu demonstracji na górze będzie mnóstwo gliniarzy. Naszym zdaniem zostanie w tunelach tak długo, jak będzie mógł.

– Właśnie – potaknęła Lucy. – To miejsce jest doskonałe. Wie, że stacja jest czasowo zamknięta. Nikt nie będzie go widział, kiedy wyjdzie z tunelu. A potem jest tuż przy aptece – to praktycznie drzwi obok. Zabiera swoje pieniądze i wraca tą samą drogą.

– Może wróci – rzekłam – a może nie.

– Wie o demonstracji – powiedziała Lucy twardo. – Wie, że stacja przy Second Avenue jest zamknięta. Wie, że wyjście bezpieczeństwa, którym się poruszał, jest niedostępne. Wie wszystko, co chcemy, żeby wiedział.

Spojrzałam na nią sceptycznie.

– Powiedz mi, jakim sposobem możesz być tak tego pewna?

– Przygotowałam to, więc dostaję wiadomość w tej samej chwili, kiedy pliki zostają zaakceptowane. Wiem, gdzie one są, i wiem, kiedy się pojawiają. – W jej oczach błyszczał gniew.

– Ktoś inny też może to wiedzieć?

– Tak to zmontowałam, że nie może.

– Kay – powiedziała komandor Penn – jest jeszcze jedna część tego planu. Spójrz tam.

Skierowała uwagę na monitory wewnętrznej telewizji, stojące na długim, wysokim stole.

– Lucy, pokaż jej.

Lucy wystukała odpowiednie komendy i monitory włączyły się – każdy pokazywał inną stację metra. Widziałam przechadzających się tam ludzi. Parasole mieli złożone i wsunięte pod pachy, rozpoznawałam torby na zakupy od Bloomingdale’a, ze sklepu spożywczego Deana & DeLuci oraz z delikatesów przy Second Avenue.

– Przestało padać – zauważyłam.

– Teraz spójrz na to – rzekła Lucy.

Wystukała kolejne polecenia, synchronizując obraz na monitorach z komputerowymi diagramami. Oba jednocześnie były na ekranie.

– To, co robię – wyjaśniła – to w pewnym sensie działanie kontrolera ruchu lotniczego. Jeżeli Gault zrobi coś niespodziewanego, będę – za pośrednictwem radia – w nieustannym kontakcie z policjantami i agentami.

– Jeśli na przykład, Boże uchroni, wyrwie się nam i zaszyje głębiej w systemie metra, wzdłuż tych torów tutaj – komandor Penn pokazała na komputerowej mapie na ekranie – wtedy Lucy może zawiadomić przez radio policję, że jest tam drewniana zapora, biegnąca z prawej strony. Albo krawędź peronu, tory ekspresu, wyjście bezpieczeństwa, przejście czy sygnalizator.

– To na wypadek, gdyby uciekał, a my musielibyśmy go ścigać przez to piekielne miejsce, gdzie zabił Davilę – powiedziałam. – To na wypadek, gdyby zdarzyło się najgorsze.

Frances Penn spojrzała na mnie.

- Co jest najgorsze, kiedy ma się z nim do czynienia?
- Chciałabym to wiedzieć – odparłam.
- Wiesz, że Policja Transportowa ma własny system telefoniczny. – Lucy pokazała mi. – Jeżeli numery są w komputerze, możesz zatelefonować do dowolnego miejsca na świecie. A już zupełnie spokojnie pod 911. Jeśli wybierze się go na ziemi, sygnał idzie do NYPD. Jeśli w metrze, biegnie do Policji Transportowej.

Wstałam.

- Kiedy zamykacie stację przy Second Avenue? – spytałam komandor Penn.

Spojrzała na zegarek.

- Za niecałą godzinę.
- Pociągi będą jeździć?
- Oczywiście. Nie będą się tylko tam zatrzymywać.

Marsz Przeciwno Zbrodni zaczął się w przewidywanym czasie i składał się z piętnastu grup zorganizowanych przez kościoły oraz z rozmaitych zbiorowisk mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy chcieli poczuć się bezpieczniej na ulicach. Pogoda pogorszyła się i mroźny wiatr zacinał śniegiem, zapędzając wielu przechodniów do taksówek i metra, gdyż było zbyt zimno, by chodzić pieszo.

O drugiej piętnaście Lucy, komandor Penn i ja znajdowałyśmy się w pomieszczeniu kontrolnym, w którym włączone były wszystkie monitory, telewizory i radiotelefony. Wesley siedział w jednym z kilkunastu samochodów Biura, które OBI przemalowało tak, by wyglądały jak żółte nowojorskie taksówki, wyposażając je w radia, skanery i inne urządzenia nadzoru. Marino był na ulicy z policjantami z Policji Transportowej oraz z tajniakami z FBI. OUZ zostało podzielone pomiędzy Dakotę, aptekę i Bleecker Street. Nie znaleźliśmy dokładnego położenia każdego z członków oddziału, gdyż wszyscy na zewnątrz znajdowali się w ruchu, a my tkwiłyśmy w jednym miejscu.

- Dlaczego nikt nie dzwoni? – skarżyła się Lucy.
- Nie dostrzegli go jeszcze – powiedziała komandor Penn; była spokojna, choć spięta.
- Przypuszczam, że demonstracja już się zaczęła – odezwałam się.
- Jest na Lafayette – potwierdziła komandor Penn. – Zmierza w naszą stronę.

Ona i Lucy miały na uszach słuchawki, nasłuchiwały na różnych częstotliwościach.

– W porządku, w porządku – powiedziała Penn, prostując się w fotelu. – Namierzyliśmy go. Peron siódmy! – zawołała w stronę Lucy, której palce fruwały po klawiaturze. – Właśnie wyszedł z korytarza inspekcyjnego. Wszedł do systemu metra z tunelu, który biegnie pod parkiem.

Na czarno-białym ekranie ukazał się peron siódmy. Widzieliśmy postać w ciemnym, długim płaszczu. Gault miał wysokie buty, kapelusz i ciemne okulary. Stał na skraju peronu, trzymając się na uboczu. Lucy dała jego zbliżenie na kolejnym ekranie, podczas gdy komandor Penn zajmowała się radiostacją.

Patrzyłam na pasażerów – chodzących, siedzących, oglądających plan metra lub stojących. W tunelu zawył pociąg i zwolnił podczas zbliżania się do stacji, aż wreszcie stanął. Otworzyły się drzwi i Gault wszedł.

– W którą stronę jedzie? – spytałam.

– Na południe. Jedzie tam – oznajmiła komandor Penn podniecona.

– Jest w linii A – rzekła Lucy, obserwując monitory.

– Tak. Najdalej może nią zajechać do Washington Square – powiedziała komandor Penn do kogoś przez radio. – Potem może się przesiąść na linię F, prowadzącą prosto w stronę Second Avenue.

– Sprawdzimy jedną stację po drugiej – odezwała się Lucy. – Nie wiemy, gdzie może wysiąść. Ale gdzieś musi, żeby móc wrócić do tuneli.

– Musi to zrobić, jeśli jedzie do apteki – przekazywała komandor Penn przez radio. – Nie może tam wysiąść z pociągu, ponieważ nie zatrzymuje się przy Second Avenue.

Lucy przełączała obraz na monitorach wewnętrznej telewizji przemysłowej. W miarę jak pociąg, którego nie widziałyśmy, zmierzał w naszą stronę, w krótkich odstępach ukazywały się rozmaite stacje.

– Nie ma go na Czterdziestej Drugiej powiedziała. – Nie widać go na Penn Station, ani na Dwudziestej Trzeciej.

Monitory mrugały, pokazując perony i ludzi, którzy nie wiedzieli, że są obserwowani.

– Jeśli zostanie w pociągu, powinien wysiąść na Czternastej Ulicy – stwierdziła komandor Penn.

Ale jeśli nawet tak było, to albo nie wysiadł, albo my go nie dojrzałyśmy. Potem jednak szczęście się do nas uśmiechnęło.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Lucy. – Jest na Grand Central Station. Jak się tam, do diabła, dostał?

– Musiał skrócić na wschód, zanim wpadłyśmy na to, że mógł to zrobić, i przeciął Times Square – rzekła komandor Penn.

– Ale dlaczego? – spytała Lucy. – To nie ma najmniejszego sensu.

Penn wywołała drugi radiowóz, w którym siedział Benton. Spytała go, czy Gault telefonował już do apteki. Zdjęła słuchawki i wywinęła je na zewnątrz, tak że wszystkie słyszałyśmy, co mówił.

– Nie, nie było żadnego telefonu – nadeszła odpowiedź Wesleya.

– Nasze monitory pokazały go właśnie na Grand Central – wyjaśniła.

– Co?

– Nie mam pojęcia, dlaczego poszedł w tamtą stronę. Ale tam krzyżuje się mnóstwo różnych tras, które może wybrać. Może pojechać dokądkolwiek z dowolnego powodu.

– Też się tego obawiam – oznajmił Wesley.

– A co z Karoliną Południową? – spytała Penn.

– Wszystko dziesięć-cztery. Ptaszek wyleciał i wylądował – odparł Wesley.

Pani Gault nadała pieniądze albo zrobiło to Biuro. Patrzyłyśmy chwilę, jak jej jedyny syn jechał metrem w otoczeniu innych pasażerów, którzy nie wiedzieli, że znajdują się w towarzystwie ludzkiego potwora.

– Poczekaj chwilę – komandor Penn kontynuowała przekazywanie informacji. – Jest przy Czternastej Ulicy i Union Square, kieruje się na południe wprost na ciebie.

To, że nie mogliśmy go zatrzymać, doprowadzało mnie do szaleństwa. Widzieliśmy go i nic to nie pomagało.

– Wygląda na to, że bardzo zmienił swoją trasę – zauważył Benton.

– Znowu wsiadł. Pociąg odjechał. Mamy na ekranie Astor Place. To ostatni przystanek, dopóki nie przejedzie obok nas i nie wysiądzie w Bowery.

– Pociąg się zatrzymuje – oświadczyła Lucy.

Obserwowaliśmy na monitorach wysiadających ludzi, ale nie zobaczyliśmy pomiędzy nimi Gaulta.

– Musiał zostać w wagonie – powiedziała komandor Penn do mikrofonu.

– Zgubiliśmy go – rzekła Lucy.

Zmieniała obrazy z kamer telewizji wewnętrznej, jak sfrustrowany człowiek przełącza kanały telewizyjne. Nie widzieliśmy go.

– Cholera – zamruczała.

– Gdzie on może być? – Penn była zmieszana.

– Gdzieś musiał wysiąść. Jeśli idzie do apteki, to nie może skorzystać z wyjścia przy Cooper Union. – Spojrzała na Lucy. – To jest to. Może idzie je sprawdzić? Ale nie wyjdzie tamtędy. Może nie wiedzieć o tym, że właz jest zaszpuntowany.

– Musi być tego świadom – upierała się Lucy. – Czytał wysyłałą przez nas pocztę elektroniczną.

Nadal prowadziła poszukiwania, a my w dalszym ciągu go nie widzieliśmy; radio milczało jak zakłęte.

– Niech to szlag – powiedziała Lucy. – Powinien być na linii numer sześć. Sprawdźmy jeszcze raz Astor Place i Lafayette.



Niczego to nie dało. Siedziałyśmy przez chwilę nic nie mówiąc i patrząc na zamknięte drewniane drzwi, które prowadziły do naszej pustej stacji metra. Ponad nami setki ludzi przemierzało mokre ulice, by zademonstrować, że mają dosyć zbrodni. Spojrzałam na mapę metra.

– Powinien teraz być na Second Avenue. Powinien był wysiąść na wcześniejszym lub późniejszym przystanku i na piechotę pokonać resztę drogi.

Dotarła do mnie straszliwa myśl.

– To samo mógł zrobić tutaj. Nie jesteśmy tak blisko apteki, ale także znajdujemy się na linii numer sześć.

– Taaa. – Lucy odwróciła się i spojrzała na mnie. – Spacer stąd do Houston to nic wielkiego.

– Ale nasza stacja jest zamknięta – rzekłam.

Lucy znowu stuknęła w klawiaturę. Wstałam z krzesła i spojrzałam na komandor Penn.

– Jesteśmy tutaj same. Jest nas trzy. Podczas weekendów żadne pociągi nie zatrzymują się na tej stacji. Nie ma tu nikogo. Wszyscy są przy aptece na Second Avenue.

– Baza do dwójki – powiedziała Lucy do radia.

– Dwójka – odezwał się Wesley.

– Wszystko dziesięć-cztery? Zgubiłyśmy go.

– Zaczekaj.

Otworzyłam dyplomatkę i wyjęłam broń. Przeładowałam pistolet i zabezpieczyłam go.

– Jaki jest wasz dziesięć-dwadzieścia? – powiedziała Penn do mikrofonu, prosząc o ich lokalizację.

– Czekamy twardo przy aptece.

Ekran błyskały szaleńczo, kiedy Lucy starała się zlokalizować Gaulta.

– Czekaście, czekaście – nadszedł głos Wesleya z radia.

Potem usłyszaliśmy Marino.

– Wydaje się, że go mamy.

– Macie? – spytała z niedowierzaniem komandor Penn. – Gdzie jest?

– Wchodzi do apteki – odpowiedział Wesley. – Czekaście chwilę, czekaście.

Zapadło milczenie. Potem znowu odezwał się Benton.

– Stoi przy ladzie, odbiera pieniądze. Czekać.

Czekałyśmy w olbrzymim napięciu. Minęły trzy minuty. Ponownie odezwał się Wesley.

– Wychodzi. Otoczymy go, kiedy już znajdzie się w terminalu. Czekać.

– Jak jest ubrany? – spytałam. – Jesteście pewni, że to ta sama osoba, która wsiadła przy muzeum?

Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

– Chryste! – wykrzyknęła nagle Lucy i spojrzaliśmy na monitory.

Widziałyśmy perony na stacji przy Second Avenue i wyskakujących z ciemności członków OUZ. Ubrani w czarne mundury polowe i wojskowe buty, biegli przez peron i po schodach wiodących na ulicę.

– Coś idzie nie tak – powiedziała komandor Penn. – Biorą go na powierzchni!

W radiu tłoczyły się liczne głosy.

– Mamy go!

– Próbuje uciekać!

– Okay, okay, mamy jego broń. Jest powalony.

– Skuliście go?

W pomieszczeniu kontrolnym rozbrzmiała syrena. Światła pod sufitem zaczęły migać krwistą czerwienią, a na ekranie komputera błyskał czerwony kod 429.

– Na pomoc! – zawołała komandor Penn. – Zaatakowano policjanta!  
Nacisnął przycisk bezpieczeństwa przy swoim nadajniku radiowym!

Patrzyła na ekran pełna napięcia i niedowierzania.

– Co się dzieje? – Lucy domagała się odpowiedzi przez radio.

– Nie wiem – zatrzeszczał głos Wesleya. – Coś nie tak. Czekać.

– To nie stamtąd, gdzie jest Gault. Wezwanie nie pochodzi ze stacji przy Second Avenue – rzekła komandor Penn z grozą. – Ten kod na ekranie jest służbowym numerem Davili.

– Davili? – spytałam zdrętwiała. – Jimmy’ego Davili?

– To on był cztery dwadzieścia-dziewięć. To jego kod. Nie został ponownie nikomu przyznany. To jest dokładnie tam.

Spojrzałyśmy na ekran. Błyszczący czerwony kod zmieniał swoje położenie, przemieszczając się wzdłuż komputerowej siatki torów. Byłam zaszokowana, że nikt nie pomyślał o tym wcześniej.

– Czy Davila miał przy sobie nadajnik, kiedy znaleziono jego ciało? – zapytałam.

Komandor Penn nie zareagowała.

– Ma go Gault – ciągnęłam. – Ma radiotelefon Davili.

Nadbiegł głos Wesleya, który nie wiedział o naszych trudnościach. Nie wiedział o wezwaniu pomocy.

– Nie jesteśmy pewni, czy go mamy – powiedział Benton. – Nie wiemy, kogo mamy.

Lucy patrzyła na mnie intensywnie.

– Carrie – oświadczyła. – Nie są pewni, czy mają ją, czy Gaulta. Są prawdopodobnie tak samo ubrani.

Tkwiąc wewnątrz naszego małego pomieszczenia kontrolnego, pozbawionego okien i jakiegokolwiek ochrony, obserwowaliśmy czerwony

sygnał alarmowy, przemieszczający się po ekranie komputera i przybliżający się do naszego stanowiska.

– Jest w południowym tunelu, prowadzącym wprost do nas – powiedziała Penn z naciskiem.

– Nie odebrała wiadomości, jakie wysyłałyśmy – podsumowała Lucy.

– Ona? – spytała komandor Penn, patrząc na nią dziwnie.

– Nie wiedziała o marszu ani o tym, że stacja przy Second Avenue jest zamknięta – ciągnęła Lucy. – Usiłowała wyjść w tym przejściu pomiędzy kontenerami i nie mogła się wydostać z tunelu, bo właz został zaszpuntowany. Więc została pod ziemią i krążyła wokoło, skoro widziałyśmy ją aż na Grand Central Station.

– Ani Gaulta, ani Carrie nie było na peronach najbliższych stacji – zaprzeczyłam. – I nie wiesz, że to ona.

– Jest mnóstwo stacji – odezwała się komandor Penn. – Któreś z nich mogło wysiąść, a my tego nie widziałyśmy.

– Gault wysłał ją do apteki zamiast siebie – stwierdziłam, z każdą minutą coraz bardziej się denerwowałam. – W jakiś sposób wie o wszystkim, co robimy.

– KAIN – wymruczała Lucy.

– Tak. To, a poza tym prawdopodobnie obserwował nas.

Lucy przełączyła na monitory wewnętrznej TV obraz naszego lokalnego przystanku przy Bleecker Street. Trzy z nich pokazywały peron i kołowrotki przy wejściu, ale jeden ekran był ciemny.

– Coś zasłania którąś z kamer – powiedziała.

– Zdarzyło się tak wcześniej? – spytałam.

– Nie. Przynajmniej odkąd się tu zainstalowałyśmy – odparła. – Ale nie monitorowałyśmy stacji, na której się znajdujemy. Zdawało się, że nie ma takiego powodu.

Patrzyliśmy, jak czerwony kod przesuwają się wolno po siatce metra.

– Powinniśmy ogłosić ciszę w eterze – powiedziałam do komandor Penn. – On ma radio – dodałam, ponieważ nie miałam wątpliwości, że to Gault był tym czerwonym sygnałem na naszym ekranie. – Ma włączony nadajnik i słyszy każde nasze słowo.

– Dlaczego sygnał alarmu jest cały czas włączony? – spytała Lucy. – Czy ona chce, żebyśmy wiedzieli, gdzie jest?

Zagapiłam się na nią. Było tak, jakby Lucy znalazła się w jakimś transie.

– Alarm mógł zostać uruchomiony przez nieuwagę – wyjaśniła komandor Penn. – Jeśli nie wiesz o nim, to nie stwierdzisz, że to przycisk alarmowy. A ponieważ nadaje bezgłośny sygnał radiowy, Gault może o nim nie wiedzieć.

Ale ja nie wierzyłam, że cokolwiek tutaj dzieje się przez przypadek. Gault szedł do nas ponieważ chciał się tu znaleźć. Był płynącym przez czerń tunelu rekinem, a ja pomyślałam o tym, co Anna powiedziała mi na temat jego odrażających prezentów dla mnie.

– Jest niemal przy sygnalizatorze. – Lucy wskazała na ekran. – To cholernie blisko.

Nie wiedziałyśmy, co robić. Jeśli odezwiemy się przez radio do Wesleya, Gault to podsłucha i ponownie zniknie w tunelach. Jeśli nie nawiążemy kontaktu, oddziały specjalne nie będą wiedzieć, co się tutaj dzieje. Lucy znalazła się przy drzwiach, uchylając je nieco.

– Co robisz? – Niemal wrzasnęłam na nią.

Zamknęła je szybko.

– To od damskiej toalety. Sądzę, że dozorca otworzył drzwi podczas sprzątania i tak je zostawił. Drzwi zasłaniają kamerę.

– Widziałaś kogokolwiek na zewnątrz? – spytałam.

– Nie – odparła z nienawiścią w oczach. – Uważają, że ją mają. Skąd wiedzą, że to nie Gault? To ona może mieć radio Davili. Znam ją. Przypuszczalnie wie, że tutaj jestem.

– Mamy tutaj trochę żelastwa – powiedziała do mnie komandor Penn z napięciem w głosie.

– Tak – potwierdziłam.

Pośpieszyłyśmy na zaplecze do ciasnego pomieszczenia z obitym drewnianym biurkiem i fotelem. Otworzyła szafkę i porwałyśmy krótkie strzelby, pudełka naboju oraz kamizelki z kevlaru. Nie było nas kilka minut, a kiedy wróciłyśmy do pokoju kontrolnego, Lucy zniknęła.

Spojrzałam na monitory telewizji wewnętrznej i na czwartym ekranie zobaczyłam mrugający obraz, jakby ktoś zamknął drzwi damskiej toalety. Świecący czerwony kod na planie metra błyskał teraz w głębi stacji. Znajdował się w tunelu inspekcyjnym i w każdej chwili mógł dotrzeć do peronu. Rozejrzałam się za swoim browningiem, ale nie było go na konsoli, na której go zostawiłam.

– Wzięła moją broń – powiedziałam w zdumieniu. – Wyszła. Poszła za Carrie!

Naładowałyśmy strzelby tak szybko, jak potrafiłyśmy, ale nie traciłyśmy czasu na ubieranie kamizelek kuloodpornych. Ręce miałam niezdarne i zimne.

– Wezwij przez radio Wesleya – powiedziałam zupełnie oszalała. – Musisz coś zrobić, żeby ich tutaj sprowadzić!

– Nie możesz wyjść stąd sama – zaproponowała Penn.

– Nie mogę zostawić Lucy.

– Pójdziemy obie. Weź latarkę.

– Nie. Musisz sprowadzić pomoc. Wezwać tutaj kogoś.

Wybiegłam nie wiedząc, co mnie czeka na zewnątrz, ale stacja była opustoszała. Stałam nieruchomo, ze strzelbą gotową do strzału. Zauważyłam pracującą kamerę, na podpórcie przymocowanej do wyłożonej zielonymi kafelkami ściany w pobliżu toalet. Peron był pusty i słyszałam gdzieś w dali pociąg. Przeleciał nie zatrzymując się, ponieważ składy nie stawały tutaj podczas weekendów. Przez okna widziałam pasażerów – śpiących, czytających, a kilku chyba dostrzegło kobietę ze strzelbą i pewnie pomyślało, że to dziwny widok.

Zastanawiałam się, czy Lucy jest w toalecie, ale to nie miało sensu. Jedna z nich znajdowała się obok pomieszczenia kontrolnego, wewnątrz naszego schronienia, gdzie spędziłyśmy cały dzień. Z bijącym sercem podeszłam bliżej peronu. Szczypał mróz, a ja nie miałam płaszcza. Palce sztywniały mi na łożysku strzelby.

Z pewną ulgą dotarło do mnie, że Lucy mogła pobiec po pomoc. Możliwe, że zamknęła drzwi toalety i ruszyła w stronę Second Avenue. A co, jeśli tak nie zrobiła? Patrzyłam na zamknięte drzwi i nie miałam ochoty przez nie przechodzić.

Krok po kroku skradałam się bliżej, żałując, że nie mam pistoletu. Strzelba była nieporęczna w małych pomieszczeniach i przy wychodzeniu zza rogu. Kiedy dotarłam do drzwi, serce miałam w gardle. Chwyciłam klamkę, szarpnęłam mocno i wpadłam do środka z wycelowaną bronią. Umywalnia była pusta. Nie słyszałam żadnego dźwięku. Zajrzałam pod drzwi kabin i przestałam oddychać, ujrawszy niebieskie nogawki i parę brązowych butów, które były zbyt duże jak na kobiece. Szczęknął metal.

Trzęsąc się przeładowałam broń i zażądałam:

– Wyłaż z rękami nad głową!

Na kafelkową podłogę spadł wielki klucz monterski, a hydraulik, wynurzając się z kabiny w kombinezonie z narzuconym na niego

płaszczem, spojrział tak, jakby miał dostać zawału serca. Kiedy patrzył na mnie i moją broń, oczy wyłaziły mu na wierzch ze strachu.

– Ja tylko naprawiam tutaj spłuczkę. Nie mam żadnych pieniędzy – powiedział przerażony, z rękami wyciągniętymi prosto nad głowę, jakby właśnie zdobył sześć punktów w *touch football*<sup>[12]</sup>.

– Znalazł się pan w samym centrum policyjnej operacji! – wykrzyknęłam, celując strzelbą w sufit i opuszczając bezpiecznik. – Niech się pan stąd natychmiast zabiera!

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Nie wziął nawet swoich narzędzi ani nie założył z powrotem kłódki na drzwi toalety. Pomknął schodami na ulicę, podczas gdy ja ponownie zaczęłam obchodzić peron. Zlokalizowałam każdą z kamer, zastanawiając się, czy komandor Penn widzi mnie na monitorach. Miałam właśnie wracać do naszego centrum łączności, kiedy spojrzałam wzdłuż ciemnych torów i wydało mi się, że słyszę jakieś głosy. Nagle rozległo się szuranie i coś, co brzmiało jak chrząkanie. Lucy zaczęła krzyczeć.

– Nie! Nie! Nie chcę!

Strzał rozbrzmiał głośno niczym eksplozja w metalowym bębnie. W ciemności, skąd nadbiegł krzyk, ukazały się iskry i zamrugały lampy na stacji przy Bleecker Street.



Wzdłuż torów nie było świateł i nic nie widziałam, ponieważ nie ośmieliłam się zapalić trzymanej w ręku latarki. Schodząc po prowadzących do tunelu wąskich stopniach, wymacywałam ostrożnie drogę na metalowym pomoście.



Kiedy oddychając płytko, posuwałam się cal po calu przed siebie, moje oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. Ledwo widziałam kształty łuków, szyny i betonowe płaszczyzny, na których bezdomni uwili swoje legowiska. Moje stopy trafiały na różne odpadki, powodując hałas, kiedy uderzały o metalowe czy szklane przedmioty.

Trzymałam strzelbę przed sobą, by osłonić głowę przed jakimkolwiek zagrożeniem, którego mogłam nie dostrzec. Czułam smród brudu, ludzkich odpadków i spalonego ciała. Im dalej szłam, tym swąd stawał się bardziej intensywny, a potem jasne jak księżyc światło urosło przede mną, gdy na północnym torze pojawił się pociąg. Temple Gault znajdował się ode mnie nie dalej niż piętnaście stóp.

Trzymał Lucy w duszącym uchwycie, nóż przyłożył jej do gardła. Niedaleko nich leżał detektyw Maier; jego ciało przywarło do szyny zasilającej południowych torów, a ręce i zęby miał kurczowo zaciśnięte na skutek przepływu prądu. Pociąg zgrzytnął obok i powróciła ciemność.

– Puść ją – powiedziałam drżącym głosem, włączając latarkę.

Krzywiąc się, zasłonił twarz przed światłem. Był tak blady, że wyglądał jak albinos, a na jego nagich dłoniach, ściskających nóż sekcyjny, widziałam mięśnie i ścięgna. Jednym szybkim ruchem mógł rozciąć gardło Lucy aż do kręgosłupa. Patrzyła na mnie w niemym przerażeniu.

– To nie o nią ci chodzi. – Podeszłam krok bliżej.

– Nie świeć mi w twarz – powiedział. – Wyłącz latarkę.

Nie zgasiałam jej, ale przesunęłam wolno promień światła na betonowy występ, gdzie rzuciłam nieregularny snop światła na spaloną, zakrwawioną głowę detektywa Maiera. Zastanawiałam się, dlaczego Gault nie polecił mi odłożyć broni? Może jej nie widział? Trzymałam strzelbę wycelowaną prosto w niego. Teraz nie dzieliło nas więcej jak sześć stóp.

Gault miał spękane usta i głośno sapał. Był wychudzony i rozczochrany, i zastanawiałam się, czy jest na haju po cracku, czy też w depresji. Miał na sobie dzinsy, traperskie buty i czarną skórzaną kurtkę – zniszczoną i podartą. W klapie tkwiła szpilka w kształcie kaduceusza, którą kupił w Richmond na kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

– Ona nie należy do gry. – Nie mogłam powstrzymać drżenia głosu.

Jego okropne oczy zdawały się ogniskować na spływającej po szyi Lucy nitce krwi. Wzmocniłam uchwyt na strzelbie.

– Puść ją. To jest sprawa między tobą a mną. To o mnie ci chodzi.

W jego oczach błysnęło światło, niemal widziałam ich niezwykłą niebieską barwę. Dłonie Gaulta poruszyły się szybko, popchnął Lucy w kierunku szyny zasilającej. Rzuciłam się gwałtownie do przodu. Chwyciłam jej sweter, ciągnąc ją energicznie do siebie; upadłyśmy obie na ziemię, a strzelba zagrzecotała o podłoże. Strzeliły ognie i posypały się iskry, kiedy chciwa szyna pochwyciła ją w swoje władanie.

Gault, z moim browningiem w dłoni, odrzucił nóż i uśmiechnął się. Zarepetował broń i ścisnął pistolet oburącz, celując w głowę Lucy. Zwykle używał glocka i chyba nie wiedział, że mój browning ma bezpiecznik. Nacisnął spust i nic się nie stało. Nie zrozumiał.

– Uciekaj! – wrzasnęłam na Lucy, popychając ją. – Uciekaj!

Gault przeładował broń, ale była już raz zarepetowana i nabój nie wyleciał z komory. Rozwścieczony, ponownie nacisnął spust, ale pistolet był zablokowany.

– Uciekaj! – krzyknęłam.

Leżałam na ziemi, sama nie próbując uciekać, ponieważ nie wierzyłam, by gonił Lucy, skoro ja byłam tutaj. Potrząsając pistoletem zmagił się z otwarciem komory zamkowej, podczas gdy Lucy, potykając się w ciemności, zaczęła krzyczeć. Nóż leżał w pobliżu szyny zasilającej i

macając za nim, skaleczyłam się o rozbite szkło; po nogach przebiegł mi szczur. Moja głowa była niebezpiecznie blisko stóp Gaulta.

Nie mógł sobie poradzić z bronią i kiedy spojrzał na mnie, widziałam rysujące się na jego twarzy napięcie. Zaciskając dłoń na zimnej, stalowej rękojeści, czułam, co myśli. Wiedziałam, co potrafi zrobić swoimi nogami, a nie mogłam sięgnąć do klatki piersiowej ani tym bardziej do głównej aorty na jego szyi, gdyż na to nie było czasu. Klęczałam. Podniosłam nóż, kiedy szykował się do kopnięcia i wbiłam mu go w udo. Napierając obiema rękami rozciąłam tyle, ile zdołałam, aż wrzasnął.

Kiedy wyciągnęłam ostrze, krew tętnicza trysnęła mi na twarz, a rozcięta arteria krwawiła w rytm pulsowania jego obrzydliwego serca. Zanurkowałam w bok, gdyż wiedziałam, że OUZ ma go na swoich celownikach – i czeka.

– Pchnęłaś mnie nożem – powiedział Gault z dziecięcym niedowierzaniem w głosie.

Zgarbiony, patrzył zszokowany, jak krew tryska mu z rany pomiędzy ściskającymi nogę palcami.

– Nie przestaje, jesteś lekarką. Zatrzymaj krwotok.

Spojrzałam na niego. Głowę pod kapeluszem miał ogoloną. Pomyślałam o jego martwej siostrze – bliźniaczce i o szyi Lucy. Z wnętrza prowadzącego w kierunku stacji tunelu trzasnął dwukrotnie snajperski karabin. Zaświstały kule i Gault upadł w pobliżu szyny, na którą o mało co nie zrzucił Lucy. Nadjeżdżał pociąg, a ja nie kiwnęłam palcem, by odsunąć go od torów. Odeszłam, nie oglądając się.

Lucy, Wesley i ja opuściliśmy Nowy Jork w poniedziałek. Nasz helikopter poleciał najpierw na wschód. Przelecieliśmy ponad klifami i rezydencjami Westchester, osiągając w końcu tę poszarpaną, nędzną wyspę,

której próżno szukać na jakiegokolwiek mapie turystycznej. Rozkruszony komin wznosił się nad ruinami starego ceglanoego więzienia. Zataczaliśmy kręgi, podczas gdy więźniowie i ich strażnicy patrzyli w górę na zachmurzone niebo poranka.

Belljet ranger obniżył maksymalnie pułap i miałam nadzieję, że nic nieprzewidzianego nie zmusi nas do wylądowania. Nie chciałam znaleźć się w pobliżu mężczyzn z Rikers Island. Oznakowania grobów wyglądały jak szczerzące się ze skał białe zęby. Obok otwartego grobu stała zaparkowana ciężarówka z platformą i mężczyźni zdejmowali z niej nową sosnową skrzynię.

Kiedy wprowadziliśmy powietrze w gwałtowniejsze turbulencje niż ostry wiatr, do którego byli przyzwyczajeni, zatrzymali się, by spojrzeć w górę. Wraz z Lucy siedziałyśmy z tyłu helikoptera, trzymając się za ręce. Więźniowie, opatuleni w zimowe ubrania, nie pomachali nam. Zardzewiały prom kołysał się na wodzie, czekając na zabranie trumny na Manhattan, gdzie miał zostać wykonany ostatni test. Siostra Gaulta powinna dzisiaj przepłynąć rzekę. Jayne wracała w końcu do domu.

---

---

[1] Santa – Santa Claus, czyli Święty Mikołaj (przyp. tłum.).

---

[2] Crack – (sl.) sprasowana, twarda kokaina wysokiej czystości, spreparowana do palenia (przyp. tłum.).

---

[3] Nieprzetłumaczalna gra słów. Angielskie „pole” oznacza zarówno „słupek, pal, żerdź”, jak i „Polak, Polka” (przyp. tłum.).

---

[4] Piotr Karol Gustawowicz Fabergé – (1846-1920), rosyjski złotnik i jubiler (przyp. tłum.).

---

[5] NYPD – Nowojorski Departament Policji (przyp. tłum.).

---

[6] Pierwsze słowa popularnej kolędy ang. (przyp. tłum.).

---

[7] UNIX – system operacyjny dla komputerów różnych klas i typów (przyp. tłum.).

---

[8] Contributor – osoba wspierająca (instytucję) (przyp. tłum.).

---

[9] Potters’s Field – (dosł. pole garncarza); miejsce pochówku biedaków i osób bezimiennych. Nazwa wywodzi się z Ewangelii wg Mateusza: „Po odbyciu narady kupili za nie Pole Garncarza, na grzebanie cudzoziemców”. Mat. 27.7 (przyp. tłum.).

---

[10] Ang. *to order* – oznacza jednocześnie „rozkazać” i „zamówić”, (przyp. tłum.).

---

[11] *Big Apple* – Nowy Jork (przyp. tłum.).

---

[12] *Touch football* – rodzaj futbolu amerykańskiego, w którym do zatrzymania zawodnika z piłką wystarczy dotknięcie go jedną lub obiema rękami (przyp. tłum.).

---